

Pupil

Kirył Bułyczow



calibre 0.9.27



Kirył Bułyczow

Pupil

przekład : Ewa i Eugeniusz D bscy

Prolog

Z woli rzadkiego, niemal nieprawdopodobnego przypadku, pierwszy kosmiczny statek przybyszy, których potem przyjął to nazywa sponsorami, wylądował na brzegu Wolgi między Kalazinem i Ugliczem w chwili, gdy Siergiej Siemionow i Klara rozmawiali o latających talerzach.

W tym miejscu brzeg płasko i uroczyście opuszcza się do rzeki ze szczytu wzgórza, na którym stoi odrestaurowana posiadłość Połonieckich, a obok niej, niczym spiczasta wieżyczka, sterczy dzwonnica przyległej cerkwi. Po niej i z prawej stoją domy wsi Białe Gorodiszcze, za nią zaczyna się las.

Posiadłość Połonieckich przez długie lata niszczała; najpierw oddana na przedszkole, potem warsztaty. W końcu, pięć lat temu, przejechała na dom wypoczynku-profilaktorium fabryka z Uglicza "Czerwony bojownik". Siergiej Siemionow pracował w tym domu jako instruktor wioślarstwa, a Klara wypoczywała i cieszyła się, że zwrócił na nią uwagę tak znany w skali profilaktorium człowiek.

Siedzieli na stojącym nad wodą ławeczce, tam, gdzie zaczynały się pomosty prowadzące na płynący pomost - przysta "Białe Gorodiszcze". Był jasny, przejrzysty wieczór, dźwięki od nieprawdopodobnej przestrzeni i rzadkich, niezauważalnych w dzień, odgłosów z rzeki. Z daleka dochodziły płunienie ryb, z drugiego brzegu - brzęczenie łańcucha w studni, a z tyłu, z góry - muzyka z dyskoteki. Ale te dźwięki, choć wyraźne, wydawały się na tyle oddalone, jak gdyby nie istniały w rzeczywistości. Brzęczenie komara, który przyfrunął tu nad wodę, był bardziej realny i głośniejszy.

Siergiej Siemionow chciał wywrzeć na Klarze pozytywne wrażenie, dlatego też, bez względu na swój wygląd i stanowisko, był nie młodym człowiekiem, co zmuszało go do starannego, wyczerpującego kultywowania reputacji miejscowego doniana. Ale, pomimo wszystkich swych krótkotrwałych triumfów, Siergiej posiadał dziwne cechy charakteru - kiedy romans zaczynał i prowadził tak, jakby wcale nie znał kobiet.

- Niejednokrotnie widziałem latające talerze - powiedział Siergiej. - Tu mamy duży i otwarty przestrzeń, a ja o wicie wychodzę na przebiegi. Trzymam form.

Prosz popatrze .

Siergiej zgi łą r k w łokciu i - chwyciwszy drug dloni posłuszne palce blond-afro Klary - położył je na swój biceps. Potem, przykrywszy je dloni , docisnął do niej. Klara milczała i nie manifestowała ochoty na wycofanie ręki.

- Czuje pani? - zapytał Siergiej.

- Tak, bardzo - ochryplym głosem powiedziała Klara.

- Poka pani potem mi nie brzucha - uzupełnił Siergiej. - Ani grama tłuszczu.

2

W tej samej chwili ogarnęło go niecierpliwość - pomyślał, że Klara może nie zrozumie jego słowa. Dlatego dodał:

- Przyjdziemy jutro si opala to pani zobaczy.

- Szkoda, że nie wzięłam ze sobą stroju - powiedziała Klara - skoro już tu przyszliście.

- Niektórzy pensjonariusze kłopotliwi są tu w nagiej postaci - oświadczył Siergiej. -

Trzeba było usunąć.

- Ale nie, nie to miałam na myśli - powiedziała Klara i zarumieniła się.

Ponieważ jednak całe otoczenie straciło już barwy i w zapadającym zmierzchu nabrało wszelkich możliwych odcieni szarości, to Siergiej odnotował, że twarz Klary pociemniała.

Zapadła niezręczna cisza, Klara postanowiła ją rozładować.

- A jakie były te talerzyki? - zapytała.

- Nie powiedziałbym, że to talerze - W tym momencie Siergiej przypomniał

sobie, że wciąż jeszcze przyciska do swojego bicepsa szczupłe paluszki Klary i puścił je. Po sekundzie wahania dziewczyna z lekkim westchnieniem cofnęła rękę.

- A co? - zapytała, najwidoczniej mając na uwadze talerzyki.

- Prosz popatrzeć do góry - powiedział Siergiej.

Klara posłusznie uniosła ku niebu spiczasty nos - nad głowę i od strony, gdzie spoczęło słońce, niebo nie miało barwy, ale po przeciwnej stronie nieba, na ciemnym błękitnie, już rozkwitły gwiazdy, a nieliczne jasne obłoki zachowały odblask kolorów zmierzchu.

Siergiej objł Klarę a ona posłusznie przyłgnęła do niego.

- Ka dy obłok - powiedział Siergiej - je li tego chcesz, mo e wyda si talerzem.

O tam, widzisz - malutki, jasny?

- To gwiazda?

- Wyobra sobie, e to statek - wtedy zacznę rosn i wyl duje przed nami.

- Och, tak bym chciała! - powiedziała Klara opieraj c głow na ramieniu Siergieja. Jej bujne, drobne loczki laskotały go w policzek i nos, ale nie cofał

twarzy, dlatego e włosy były ciepły i pachniały traw i wod rzeki.

- Chcesz, eby przylecieli?

- Dawno o tym marz - powiedziała Klara. - Ju mi si znudziło czeka .

- A po co?

3

- Bo oni wyl duj i powiedz : po co budujecie fabryki i zatruwacie rzeczki?

Nie wstyd wam? Po co walczycie mi dzy sob ? Natychmiast przesta cie!

Ostatnie słowa Klara powiedziała podniesionym tonem i, skonfundowana, zamilkła.

- A gdyby to były agresywne roboty? - zapytał Siergiej, głaszcz c szerok dłoni szczupłe gor ce plecy Klary. Klara spaliła si na sło cu, plecy lekko piekły.

Pieszczota Siergieja wywołał dreszcz.

- Bzdury? - powiedziała. - Po co lecie poprzez gwiazdy, eby nas podbija ?

Je li cywilizacja osi gn ła takie szczyty, to musi by humanistyczn i b dzie nam pomagała.

- Nie wiem - powiedział Siergiej. - Wolalbym, eby si nie pieszyli.

- Dlaczego? Boisz si ?

- A jak zaczn zaprowadza porz dki i powiedz : a dlaczego to Siemionow Siergiej całuje na brzegu Wołgi pensjonariuszk Klar Tumanow ?

- Jeszcze si nie całowale - powiedziała Klara jawnie popychaj c Siergieja do spełnienia gro by.

Siergiej pochylił si i pocałował Klar w szczupł i tak delikatn szyj . Klara odchylił głow , eby mógł całowa jeszcze, i zobaczyła, e jedna z gwiazd wci ro nie i ro nie. Najpierw pomy lała, e wydaje jej si z powodu słodkiego osłabienia ogarniaj cego całe ciało, ale gwiazda stał si ju błyszcz cym dyskiem.-

- Talerz! - powiedziała Klara.

- Bóg z nim - powiedział Siergiej, szukaj ustami ust dziewczyny.

- Nie rozumiesz! - zawołała Klara wyrywaj c si . - Przecie to oni! Bracia w rozumie!

Siergiej równie popatrzył w gór i zobaczył dysk.

- Szkoda - powiedział.

- Co ty - nie rozumiesz?

- Teraz nie da si całowa . .

- Zglupiałe zupełnie! - oburzyła si Klara. - Spełnia si odwieczne marzenie ludzko ci!

Siergiej nie sprzeczał si . Zrobiło mu si głupio. A nawet dziwnie, e Klara nie odczuwa niczego poza radosnym podnieceniem.

4

Kiedy na twoich oczach zachodzi Wydarzenie, najpewniej, b dziesz stał i gapił

si , dlatego e nie wiadomo co robi , skoro takiego Wydarzenia nie było wcze niej.

Stali wi c i patrzyli jak, wci zwalniaj c, ogromny, o ponad stumetrowej rednicy, dysk osiadł na ziemi nieco z boku, z drugiej strony pomostu, gdzie na brzegu znajdowała si promowa przeprawa.

Dysk był tak ci ki, e ziemia drgn ła a powietrze uderzyło w uszy; pełne zadziwienia i strachu krzyki, dobiegaj ce przed chwil z kryształowej ciszy domu wypoczynkowego, gdzie równie zauwa ono dysk, urwały si jak uci te no em.

- Pójd ju - powiedziała Klara. - Trzeba ich uprzedzi ..

Siergiej chwycił j za r k i nie puszczał.

- Mo e oni czekaj , boj si - powiedziała Klara.

- Chod my lepiej st d - powiedział Siergiej.

Chciał odej , całym ciałem chciał odej , uciec, schowa si , ale Klara nawet o tym nie myślała. Opanowała ją ogromna grzmi ca pró no , własny radosny krzyk, rozlegaj cy si w głowie: “To ja znalazłam! Ja była pierwsza!”

- Chod my - powtórzył Siergiej, zastanawiaj c si , jak by tu najlepiej chwyci Klar , eby j wynie st d. Przecie nie mógł jej tu zostawi ..

Ale póki si zastanawiał, na obrze u dysku odsłoniło si mnóstwo niewielkich otworów, niczym małe iluminatory. To wygl dało ładnie i Klara zd yła powiedzie :

- Patrz!

Z tych otworów pod mocnym ci nieniem, rozprzestrzeniaj c si po całym brzegu, pełzn c do góry do domu wypoczynkowego, w stron rzeki, wsi, gdzie zamilkły szczekaj ce wcze niej psy, i do pomostu, i do Siergieja z Klar , run ła fala roz arzonego do trzech tysi cy stopni dezynfekuj cego gazu, który miał

zagwarantowa absolutn sterylno i bezpiecze stwo l dowiska, jak równie zneutralizowa i zniszczy całe wrogie i agresywne rodowisko, poniewa z do wiadczenia l dowa sponsorów na innych wiatach wynikało przekonanie: zanim dojdzie do rozmów i bada , nale y wysterylizowa .

Co si stało.

Siergiej i Klara zd yło zobaczy , jak p dzi na nich fala gazu, ale nawet nie zd yli si ruszy czy zakry twarze. . Spopielilo ich.

Buchn l ogniem i w kilka minut znikł drewniany pomost, zapłon ły domy w Białym Gorodiszczu, posiadało Polonieckich i cerkiew - i nawet drzewa, stare lipy, zielone i pot ne, zaj ły si jak pochodnie. Gorzały chałupy na drugim brzegu Wolgi. .

5

L dowanie zostało wykonane zgodnie z regułami i zako czyło si pomy lnie.

Upłyn ło sto lat.

6

Rozdział 1

Pupil zakochał si

Dokładnie pami tam, e po raz pierwszy zobaczyłem j w pi tek szóstego maja zaraz po obiedzie.

Postanowiłem poopala si nad basenem - na k piel jeszcze za zimno, ale, jak si le y obok wody i sło ce przygrzewa, mo na sobie wyobrazi , e nadeszło lato.

Le ałem tak, eby móc zerka na s siedni działk - rano przeprowadzili si tam nowi s siedzi na miejsce Zło nicy, która poleciała do m a na Mars.

Zamkn łem oczy i zaczą łem drzema , ale nagle obudziłem si , chocia nie mogłem nic usłysze - po trawniku szła rudowłosa dziewczyna.

Ich basen zaczyna si zaraz za nisk ywoplotem, dziel cym nasze działki.

Dziewczyna usiadła na brzegu basenu, zanurzyła w wodzie pi t i natychmiast poderwała j - nie oczekiwała, e woda jest taka zimna! Sk d przyjechał, skoro nie wie, e na pocz tku maja jeszcze si nie k piemy?

Tak rozmy laj c wpatrywałem si w ni , i dziewczyna to zauwa yła, rzuciła w moim kierunku ostre spojrzenie i odwróciła si , jakby dopiero co patrzyła nie na mnie, a na much .

- Cze ! - powiedziałem. - Witaj w nowym miejscu.

- Ach! - cicho wykrzykn ła. I podniosła lewy łokie , eby ukry przede mn zarys pełnej piersi.

- Pani tu na długo? - zapytałem udaj c, e nie zauwa yłem tego gestu.

- B dziemy tu mieszka . - Jej ci kie pasma włosów opadały na białe ramiona.

- Mnie wołaj Tim - powiedziałem wstaj c. Chciałem, eby zobaczyła, jak jestem zbudowany. Nie nadaremnie robi sto metrów w dwana cie sekund.

- Bardzo mi miło - odpowiedziała z uśmiechem, ale nie przedstawiła si .

I w t ej samej chwili - co za ironia losu! - z domu dało si słysze :

- Inna! Inneczko, gdzie jeste ? Chod tu szybko.

- Widzisz - powiedziała Inna - ju si znamy.

Z gracj wyprostował si i pobiegła do domu. Bardzo mi si spodobały jej plecy i nogi - miała długie proste nogi z kształtnymi łydkami.

W biegu odwróciła si i pomachała do mnie r k .

Ju si znali my.

7

**Opowiedziałem o niej Wikowi - cynikowi w wieku około dwudziestu, których nikt nie liczył, k
dzierzawemu, niebieskookiemu, rasowemu.**

Wik - chciwy, bezczelny facet, wiem, co jest wart, ale przyja ni si od dzieci stwa.

**- Tak, widziałem j - machn ł r k w odpowiedzi na mój zachwycony opis Inny. - Rzadko bywasz w
wiecie, siedzisz jak przykuty w domu, ani na wystawie ci nie ma, ani w parku. Tak wi c
pierwszy ładniutki pyszczek w zasi gu twojego ostrego wzroku i - jeste gotów.**

- Marz o niej - powiedziałem.

Chrypka w moim głosie wywołała miech mojego przyjaciela.

- Romeo! - powtarzał. - Romeo z gołym tyłkiem!

**Chciałem mu przyr n za słowa, które bolesnym echem odezwały si w moim okaleczonym sercu,
ale Wik uchylił si . Z trudem dogoniłem go przed sam bram , powaliłem na traw i wykr cilem r k
za plecy.**

- Poddaj si ! - rykn łem. - Bo rozszarpi !

Ale tu jak na zło przyniosło pani Jajbłuszko.

**- Jak dzieci! - zawołała, wylewaj c si z flyera. - Natychmiast przesta cie, bo poodrywam uszy!
Przecie ziemia jest zimna.!**

Rzuciła si za nami, ale gdzie tam dogoni dwóch młodych ludzi!

- No dobrze, dobrze - krzykn ła za nami. - Id przygotowywa kolacj , słyszysz, Timoszka?

Swietnie wie, e nienawidz tego psiego imienia. Udałem, e nie słysz .

Pobiegli my z Wikiem do starej budki transformatorowej.

**Kiedy , kiedy byłem dzieciakiem lubilem chowa si tu i wyobra a sobie, e skradam si do
niepokonanego smoka w d ungli Eurydyki.. Wyrosłem, d unglą została wykarczowana, smok
siedzi w ZOO, a budka transformatorowa jak stała tak stoi, od stu lat nikomu niepotrzebna. .**

- Dzisiaj trzeci odcinek polecı - powiedział Wik.

- Je li ma siostr - powiedziałem - mo esz si z ni pozna .

- Jaki ty cwany - u miechn 1 si ironicznie mój przyjaciel. - Jeste pewien, e pozwol ci si z ni kontaktowa ?

- Nie zamierzam nikogo pyta .

- Aj-jaj-jaj, jacy jeste my odwa ni!

8

- Timofiej! Timosza! - Jajbluszko wołala mnie najczulszym ze swojego zestawu głosów. - Jedzenie, jedzonko, chod tu, moje male stwo!

- Zwariowa mo na! - roze miał si Wik. - Ona zamierza karmi ci piersi do trzydziestego roku ycia.

No to go waln 1em pi ci w czubek łba, mało go nie stracił. J kn 1 i zamkn 1

si .

A ja poszedłem do domu wcale nie dlatego, e usłuchałem Jajbluszko, a dlatego, e bałem si j rozzło ci , a wtedy nie pozwoli mi wieczorem ogl da telewizji.

- Wytarłe nogi? - zapytała Jajbluszko, kiedy wszedłem do domu.

Nie odpowiedziałem, a poszedłem do kuchni.

Jajbluszko siedziała przy stole, przed ni stało naczynie z piciem - lekarz jej przepisał. Na moim talerzu le ał kawałek fl dry, posypany zielenin . Rzadki w naszych czasach przysmak.

Zanim zabrałem si do obiadu podszedłem do okna i wyjrzałem - okno wychodziło na dom Inny. Ale nigdzie nie było wida dziewczyny.

Po obiedzie odpoczywali my, a potem Jajbluszko wyprowadziła mnie na spacer.

Nie lubi tych rytualnych spacerów, Jajbluszko nie nale y do tych, których człowiek wybierze sam na towarzysza spaceru. Ale ja jej nie wybierałem.

Tego dnia, id c obok niej, po raz pierwszy powa nie pomy lałem o niesprawiedliwo ci losu. Przecie ka dy z nas jest taki, jakim si urodził, jakim go wychowano. Wolałbym inny los, niechby nie taki pewny i syty, niechby obfituj cy w wyrzeczenia i niebezpiecze stwa, jak w przypadku włócz g i my liwych.

Zreszt , nie widziałem adnego na oczy.

Im bli ej centrum miasta, tym wi cej spotykali my par, podobnych do naszej.

Jajbluszko kłaniała si , przysiadła, kr ciła biodrami, brz czła ni mi elaznych koralami, a kiedy pochylała do przodu tors wydawało mi si , e zaraz trza nie mnie tymi koralami w skro - i run martwy na jezdni .

Poj lem, e Jajbluszko kieruje si do baru "Olimpia" przy centrum handlowym. B dzie tam ssala niestrawne napoje z podobnymi do siebie damami, a ja pob d z lud mi.

Podeszli my do baru, i Jajbluszko, dobra aba, o wiadczyła:

- Timosza, je li posiedzisz we wspólnej sali, to pójdziemy potem do kina, dobrze?

9

Odwróciłem si . Niech my li, e si tym przej lem bardziej ni była naprawd .

A przecie nie miałem nic przeciwko temu, eby pogada ze starymi przyjaciółmi, póki ty, goł

beczko, b dziesz przyswaja swoje mierz ce nalewki.

Tak wi c w milczeniu popatrzyłem na ni ładnymi, wyrazistymi oczami.

**Ale Jajbluszko wytrzymała moje pełne wyrzutu spojrzenie i wyci gn ła z torebki kaganiec.
Zbladłem, ale Jajbluszko wskazała na obwieszczenie przed wej ciem do sali:**

SALA DLA DOMOWYCH PUPILI

WPROWADZANIE BEZ KAGANCÓW WZBRONIONE

To było znane mi i poniżej obwieszczenie. Ale nie spierałem się i nie kaprysiłem, nie miałem humoru.

Podstawiłem twarz i Jajbluszko nie brutalnie, powiedziałbym, ale z niezręczną delikatnością ci umocowała mi na twarzy kaganiec, który zakrywał dolną część twarzy. Zupełnie się zgadzam, ale byłem wtedy, z powodu nieporozumienia, który z domowych pupili ugryzł innego człowieka. Ale kto i dlaczego rozciął go?

ten przypadek na regulację? Z jakiego powodu uznali, że konieczne musimy rzucać się na siebie i gryźć się?

W dużej sali, gdzie państwo zostawiają domowych pupili, póki sami piją kawę, plotkują w kawiarni albo wybierają coś w sklepach, było już ze trzydzieści osób, co najmniej. Wszyscy w kagańcach, ale o ile ja miałem taki prosty, niemal niewidoczny - ja i Jajbluszko staraliśmy się sprowadzić poniżenie do minimum, to inni ludzie mieli na facjatkach chwilami niewyobraźalnie absurdalne konstrukcje ochronne: jeden z kutego drutu, drugi w postaci ceramicznej doniczki.

Od razu zobaczyłem Wika, który siedział przed teleekranem; miał na sobie również ów kaganiec, udający maskę bramkarza Chryzapominajki -

wstydzilibym się pokazać z czym takim ludziom. Przyjrzałem się obecnym, mają nadzieję, że wśród nich jest Kurt, który obiecał mi gumę do ucia. Bydlak Wik opacznie wytłumaczył sobie moje poszukujące spojrzenie i, poprawiwszy zrobione trwałe dziury, złośliwie zauważył:

- Tutaj nie przyprowadzaj samiczek. Mogłoby się skończyć!

- Szukam Kurta.

Sam wiedziałem, że to nie jest miejsce dla dziewczyn. Wśród domowych pupili zdarzają się bydlaki.

- Nie ma tu Kurta - powiedział Wik.

- A co w telewizorze?

Wik nie odpowiedział. Dawali historyczny film o pierwszym lądowaniu sponsorów na Ziemi.

10

.. #/sk d..? wyjął z Kirylem/ tłum tubylców w obrzydliwych odzieniach rechochce na widok wychodzących z otwartego łuku statku trzech sponsorów.

Sponsorzy s maszyni, s o wiele wi ksi i ci si od ludzi, niektórzy osi gaj cztery metry. Ze skafandrów wysuwaj si pokryte łusk zielone łapy z długimi, chwytными, jakby bezkostnymi palcami. Zielone, błyszcz ce, jakby wysmarowane tłuszczem głowy pokryte s łusk . Przybysze witaj si z tubylcami.

- Dzi mamy jubileusz! - rzekł nagle siedz cy obok mnie m czyzna w rednim wieku, ubrany w jak głupi pelerynk . - Wiek! Wiek pierwszego szcz liwego kontaktu!

- Zeby tak obla - rzekł jaki n dzny parchawiec. Czasami do sali relaksu domowych pupili przenikaj z ulicy włócz cy si ludzie. Ukrywszy si pomi dzy nami mog liczy na szklank lemoniady albo gar orzeszków. - Zeby tak wypi , powiedziałem! Z okazji szcz liwego jubileuszu!

Patrzył prosto na mnie, jakby spodziewał si , e wyci gn z zanadrza butelk samogonu.

Zeby unikn jego bezczelnego spojrzenia odwróciłem si do ekranu.

Nawiedziła mnie dziwna my l: jak zmieniło si ycie na Ziemi w ci gu minionych stu lat! Nie było mnie, co prawda, wtedy na wicie, ale wiem ze starych ta m i czasopism o wicie gwałtu, niepewno ci, wczesnej mierci i biedy, o wicie, w którym panowało prawo silniejszego, gdzie ludzie, jakby d c do samobójstwa,

niszczyli rzeki i zatrawali powietrze. . a strach my le , co by było bez Wizyty!

Parchawiec natomiast ju uczeił si Wika, słyszałem jego mendowaty głos:

- Zdob d e łyk, no zdob d , bracie. Przecie mo esz, jeste gładziutki!

Dumny patrzyłem na ekran, gdzie spokojnie, z poczuciem własnej dumy poruszali si sponsorzy, chłon c wiec cymi dobrem oczami otaczaj c rzeczywisto . Ciekawe, jakie my li przebiegały w tamtym czasie pod wysokimi zielonymi czołami! Kiedy Jajbłuszko, głaszcz c mnie po pleckach, opowiadała mi o swoim ojcu - jednym z pierwszych sponsorów. Zapewniała mnie, e sponsorzy byli wstrz ni ci tym, co zobaczyli na Ziemi.

- Aj! - rozpaczliwy krzyk przeci ł spokojny szum sali relaksu.

Poderwałem si . Wszyscy si poderwali. Tak jak my lałem: Wik, elegancki, miły, wydawałoby si e genetycznie pozbawiony agresji, jak dziki pies rzucił si na parchawca, i turlali si teraz po podłodze, usiłuj c wpi si z bami w gardło drugiego. Pozostali poderwali si ze swoich miejsc, otoczyli bij cych si pier cieniem i oklaskami oraz krzykami ich zach cali. Takie zachowanie moich kolegów mnie oburzyło.

- Jak wy si zachowujecie! - krzykn łem. - Wstyd cie si ! Zapomnieli cie, e nasi sponsorzy nie aluj czasu i sił, eby nauczy nas wła ciwego rozumienia dobra! Nie mamy prawa poni a si do prymitywnej bójki. Lada moment mo e to kto zobaczy !

Ale jak na zło nikt mnie nie słyszał. A zwabieni hałasem do sali wpadli dwaj sklepowi milicjanci z elektropalnikami. Zachowywali się tak, jakby wszyscy byli przestępcami i chuliganami - tłukli palnikami, rzucali na podłogę, deptali nogami.

Musieliśmy wbić się w kąt, ale i tam się gwałt nas raził tych sadystów.

Zawsze mnie oburzali ci ludzie, którzy nie widzą różnicy pomiędzy miłymi do naszych sponsorów, współpracującymi z nimi i usługiwaniem im kosztem swoich współplemieńców. Jak to się mówi, "słuchaj ochotki, wysługiwaj się brzydki!" Oto moje credo.

Ale credo nie broniło mnie przed ciosami, które, który nikogo nie tknę palcem i nie brał udziału w ohydnej bójce, sprowokowanej, jak uczciwie przyznałem Jajbluszkowi, kiedy zabrał mnie z sali relaksu, przez szubrawca-parchawca, był moim agentem sił destrukcyjnych, wystąpił pod fałszywym hasłem: "Ziemia dla ludzi!"

- Gdzie by oni teraz byli - burknęła w odpowiedzi Jajbluszkowi, ci gnę się smycz, na której prowadziła mnie do domu, a przeznaczonej, w moim konkretnie przypadku, tylko do tego, by uchroniła mnie w przypadku niespodziewanej napaści - gdyby nie nasza ekspansja, wymarliby we własnych brudach.

Oczywiście cię, całkowicie się zgadzam z moim kochanym, dobrodusznym Jajbluszkowi, czterometrowym niezgrabnym abakiem!

Postanowiłem wykorzystać jej zaniepokojenie i powiedziałem:

- Pani, widziałem niedawno trójkolorowy elektroniczny obrotowy .

- Po co ci? Masz zupełnie nową .

- Ta ma wszczepiony system ostrzegania. Jeżeli ktoś zechce mnie ukraść, to obrotowy a od razu to zasygnalizuje.

- Pewnie w ciekło kosztuje - burknęła moja pani.

A ja zrozumiałem, że jej stał strach przed utratą mnie, jej papusia, pieseczka-koteczka, kochanego jej człowieczka, którego szczerze uważała za członka rodziny, zmusił ją do wykosztowania się. Taki trójkolorowy miał już Wik, cała nasza ulica wariowała z zazdrości.

Skręciliśmy do domu. Wkrótce miał wrócić z pracy sam sponsor Jajbluszkowi, więc my z panią zawsze z drzwiami czekaliśmy na tę chwilę .

- W czasie kiedy tłukło się w zwierzyca - kontynuowała Jajbluszkowi (próbowałem oponować, ale nie słuchała mnie - po prostu głośno myła) -

wła nie komentowały my z damami wiadomo ci z Symferopola. To si w głowie nie mie ci - napad na uzdrowski autobus! Nie jestem zwolenniczka surowego traktowania, ale ka da cierpliwie ma swoje granice. I to bezsensowne hasło. .

- "Ziemia dla ludzi!" - powiedziałem, a zabrzmiało to odrobin bardziej wyzywaj co, ni zamierzałem.

12

W tej samej chwili Jajbluszko smagn ła mnie po plecach biczem, który zawsze nosiła ze sob , eby odp dza ode mnie wielbicielki.

To mnie gł boko obraziło. Nawet je li jeste wi kszy i silniejszy, to nie znaczy, e mo esz u ywa bata. Poło yłem si na gołym zakurzonym asfalcie.

Postanowiłem na znak protestu natychmiast umrze !

Jajbluszko szarpn ła za smycz. Nie sprzeciwiałem si . Poci gn ła mocniej i dosłownie powlokła mnie, nie zastanawiaj c si nad tym, e mog si podrapa i zacznie si ropienie, od którego ju tylko krok do gangreny!

Wstałem. Przecie to nie ona b dzie si m czy przed mierci , bydl t pe! Je li zaj li Ziemi , bo maj ogłupiaj ce gazy, laserowe armaty i diabli jeszcze wiedz jak bro , to jeszcze to nie oznacza, e ludzie s niewolnikami. Nie, jeszcze nie powiedzieli my ostatniego słowa! Te jeste my cywilizowanymi lud mi!

Jajbluszko, widocznie, poczuła gniew bij cy od przedstawiciela ubezwłasnowolnionego, ale nie zniewolonego narodu, dlatego e przestała ci gn za smycz i powiedziała z win w głosie:

- Otrzep si Timosza. Nie wolno tak si zachowywa - ludzie patrz .

- Niech patrz - powiedział, ale podporz dkowałem si .

Jestem człowiekiem dobrym i nie pami tliwym.

Nadal szli my w kierunku domu.

Czasami spotykali my innych sponsorów i sponsorki, odbywaj cych popołudniowy spacer z domowymi pupilami. Sponsorzy witali si i wymieniali po kilka zda we własnym j zyku, a to dawało i nam, pupilom, równie przywita si i poplotkowa .

- Słuchaj, Tim - zapytał mnie Iwan Aleksiejewicz z domu Plijbocziko - Sienia ma wierzb. Powie li go do rakarni.

- Nie mo e by !

- Miała z nim kontakt?

Nie lubi Iwana Aleksiejewicza. Przez całe życie wysługiwał się ponad miarę swoim sponsorom. Nawet biegał do sklepu i kołysze ich dziecko. Nie wolno tak się poniżać!

- Chyba pan przesadza - powiedziałem, a sam poczułem jak serce ciska mi się na z powodu Sieni, uprzejmego, dobrze wychowanego człowieka.

Jajbłuszką nieoczekiwanie pociągnęła mnie dalej, obróciła się i wpiła się w gardło.

Dobrze, że nie usłyszała o Sieni. Jeszcze by pociągnęła do weterynarza!

Widok, jaki otworzył się moim nieszczęsnym oczom, odwrócił moją uwagę od fizycznych cierpień.

13

Na spotkanie szedł abczak i prowadził na złotym łańcuszku mój ukochany!

Nie, nigdy nie pomyliłem jej z nikim na świecie! Jej wietlisty wizerunek na zawsze zapadł w mój umysł!

- Gdzie? - krzyknęła Jajbłuszką i tak szarpnęła do tyłu, że straciłem równowagę, żeby nie upaść na ziemię, musiałem opaść na czworaki.

Dziewczyna, która najpierw uśmiechnęła się do mnie jak do starego znajomego, widząc moje nieszczęśliwe spojrzenie miała się - melodyjnie, delikatnie i boleśnie. Jej sponsorek zatrzymał się i też zaczął się miewać, jak miewają się oni -

chrząkając i wypinając brzuch.

- Za co? - zapytałem, wstała i starała się zachować poczucie własnej godności. - Czy by fakt, że sto lat temu udało się wam ujarzmić Ziemię, dając wam uprawnienia do tak krzywdzącego i bolesnego upokarzania jej ludności?

Widząc w sercu tego cielska coś drgnęło, ponieważ Jajbłuszką surowym głosem rozkazała abczakowi-sponsorkowi, by przestał się miewać. Zdyscyplinowani to oni są.

Zabczak zamilkł i pociągnęła mój ukochany na bocznicę. Dziewczyna tak elegancko i lekko biegła obok niego, podskakując w ruchu, linia nóg tak płynnie przechodziła w kręgi tyłeczek, rude kłęby tak delikatnie i kusząco spływały po szczupłych plecach, że zaparło mi dech. I wszystkie próby i usiłowania Jajbłuszki, by oderwać mnie od tego podniecającego widoku były próżne.

Musiała chwycić mnie na swoje łapy i, przyciskając do twardej piersiowej łuski, odnieść do domu.

Nie rozmawiałem więcej z Jajbłuszką. Ona nie kryła swego niezadowolenia, ja -

poczucia krzywdy.

Jak jest dobry dzie to dostaj je razem ze sponsorami, w jadalni, ale dzi Jajbluszko postawił mi misk w k cie kuchni. Wzi łem j , usiadłem na parapecie, eby chlepcz c patrze przez okno w nadziei, e moja ukochana wróciła ze spaceru, ale Jajbluszko zajrzała do kuchni, dała mi klapsa i sp dzila z parapetu.

Gotów byłem zem ci si na niej i zrezygnowa z kolacji, ale strasznie chciało mi si je , wi c odło yłem zemst na inn okazj .

Na tym moje nieszcz cia si nie sko czyły. Ni z tego ni z owego absko urz dzilo sprz tanie w komórce i znalazła tam ksi k z komiksami o supermanie Iwanowie, któr dostalem od Wika za star monet . Wi c kiedy w domu pojawil si ponury sponsor Jajbluszko, ona podala mu jeszcze przed obiadem swoje trofeum.

Głodny i dlatego szczególnie niebezpieczny dla ludzko ci przybysz Jajbluszko wyci gn ł mnie spod kanapy, pod któr chciałem si schroni i bezlito nie wysmagal elektrobiczem. Jego ólte oczka plon ly przy tym w ciekłym sadystycznym ogniem, ale podczas egzekucji rozmawial ze mn , jakby nie sprawial niewyobra alnego bólu, tylko popijal herbatk .

14

- Czy by do tej pory nie zrozumiał, homo servilus, e czytanie to domena istot rozumnych? Dzisiaj zacz le czyta . .

- Przecie to tylko komiks! Oj, boli!

- B dzie bolalo jeszcze mocniej. . Dzisiaj czytasz komiks, a jutro wyjdiesz na ulic z wypelnion plastikiem bomb !

- Nigdy nie o mielilbym si podnie r ki na swojego ywiciela!

- Nie podniesiesz, dopóki si nas boisz, ale gdy tylko zniknie strach, staniesz si niebezpieczny.

Tak dywaguj c sponsor Jajbluszko tlukł mnie.

Ja natomiast, zachłystuj c si lzami i bólem byłem bliski utraty przytomno ci, kiedy pani Jajbluszko wyrwała mnie z r k mał onka i odniosła na posłanie.

Rozmawiali za drzwiami w swoim zwierz cym j zyku, który znałem jak własny. Ciekawe, e aden sponsor nie wierzy, e ludzie s w stanie opanowa ich j zyk - jakoby ta umiej tno znajduje si po za zasi giem naszych mo liwo ci umysłowych. W rzeczywisto ci ka dy domowy pupil, oprócz najt pszych, rozumie rozmowy sponsorów. Zreszt - jak eby inaczej? Oni postanowi wysła ci do rakarni, a ty tylko si b dziesz gapil?

- Wydaje mi się, że był przesadnie okrutny, mój panie - powiedziała pani Jajbłuszko.

Jej mój wychrzkał w odpowiedzi.

- Przecie on nie jest obcy.

Znowu niezrozumiale.

Podpełzłem do drzwi, wlokę za sobą posłanie. Idiotyczny zakaz ubierania się przez ludzi, który wpadł do grobu wiele już tysięcy, szczególnie jest okropny, kiedy jesteś zбитy. Masz dreszcze, a okryć się nie ma czym.

Jako taki nacignęwszy posłanie na siebie i zadrapania, ułożyłem się przy drzwiach do ich pokoju.

- Ale wzięli mi go gdy był maluchem! Pamiętaj, jaki był zabawny!

- Ale już nie jest zabawny. Należy pomyśleć, co z nim robi w przyszłości.

- Jest nieszkodliwy.

- Musisz myśleć o zwierzęciu! On ma swoje potrzeby - rozsiadł się i spokojnie mówił sponsor. Tylko dlaczego nazywa mnie zwierzęciem, skoro dawno już udowodniono, że ludzie są rozumni?

- Jakie to potrzeby ma Timosza?

15

- Potrzeby dorosłego samca!

- No wiesz co!

Potem nastąpiła cisza. Widocznie sponsor skończył kolację, a jego ona zastanawiała się. Zawsze zastanawia się z prędkością ciemności.

- Masz rację - usłyszałem jej głos. - Dzisiaj pomyślałem sobie o tym samym.

- A co się stało?

- Na widok pewnej... osobnika płci żeńskiej niemal zerwał smyczę.

- Przecież mówiłem! Odwieziemy go do kliniki. Pięć minut i po kłopotach.

- Nie! - niemal krzyknęła pani sponsorka. - Tylko nie to!

- Dlaczego? Miliony ludzi przechodzi tak operację. Od razu obniża poziom agresji, pozytywnie oddziałuje na charakter zwierzęcia. Jeśli nie zrobi się na czas operacji to może dojść do tragedii. Przecież wiesz, ilu młodych samców uciekało z domu, trafiało pod samochody, w obławę, do rąk!

- Tylko nie to! Nie przez to. Nie wiem, jak będzie bez swojej Timoszki!

- Nie jest. Będzie ci za to wdzięczny.

Za drzwiami nastąpiła złowieszcza cisza. Fizycznie czułem, jak mi li moja sponsorka. Pową nie rozwa a problem: czy zabi we mnie m czyzn ? Ona -

istota, z któr yjemy ju około dwudziestu lat, ona, która wstawiała do mnie w nocy, kiedy miałem szkarlatyn , której przynosz pantofle i dogrzany bulion, je li cierpi na bezsenno . . Czy by pani Jajbluszk miała si zgodzi na to, bym ja, najbli sza jej istota, został poddany strasznej operacji? O, nie!

- No, dobrze - usłyszałem głos pani. - Kład my si spa . Pogadamy jeszcze jutro.

Drzwi si otworzyły, pani kazała mi i do sypialni, poło y si na dywaniku przy ich ló ku. Z trudem wykonałem polecenie. Całe ciało bolało. Strach skuwał

moje członki.

Pa stwo zasn li szybko, ale ja, rzecz jasna, nie spałem. Zamierzali si toporem na najwa niejszy dar przyrody, na moje jestestwo! Znam tych nieszcz snych niewolników, tych domowych pupili, pozbawionych m skiej godno ci. Znam te ałosne szcz liwe cienie ludzi, które do ywaj swojego biologicznego wieku, nie zostawiwszy ladu na Ziemi.

Bezszelstne wstałem i podszedłem do okna.

St d, z pi tra domu, wida było trawnik, oddzielaj cy nasz dom od domu, w którym mieszka Inna. I nagle zobaczyłem w nocnym półmroku, jak ona, lekka, pachn ca, wyszła na ten trawnik, poło yła si na plecach i przeci gn ła Oto jaka jest - delikatno , oczekiwanie miło ci, t sknota, szcz cie!

16

Trzasn ły drzwi, wylazł jej abczak. Kazał i spa .

Moja ukochana leniwie wstała i wróciła do domu.

A ja byłem gotów umrze . .

Nast pnego ranka nikt nawet nie wspomniął o wczorajszych burzliwych wydarzeniach. I ja, obudziwszy si z powodu sennego koszmaru, natychmiast oprzytomniałem słysz c czuły głos sponsorki:

- Timosza, szybko umyj si i chod na niadanie! Ugotowałam ci kaszk !

Pogłaskała mnie po głowie i powiedziała, e zaprowadzi mnie na ondulacj , a ja tylko czekałem na t chwil , kiedy b d mógł wyj do ogrodu, a tam spotkam. .

Jak na zło długo nie wypuszczała mnie. Najpierw wpadło jej do głowy zrobi mi pedicure, potem uznała, e mam gor czk , i zmusiła mnie do zmierzenia temperatury. Staralem si nie patrze w okno, eby nie wywoła podejrze .

- A na pana Jajbluszko nie gniewaj si - mówiła sponsorka, przebieraj c moje loki - bywa surowy, ale zawsze sprawiedliwy. Przecie wiesz, e ma w jednostce wiele organizacyjnych problemów, i nie mo e pozwoli sobie na oslabienie uwagi.

Z wami, lud mi, przez cały czas trzeba oczekiwa podst pu. Jeste cie jak niewychowane dzieci.

- Dlaczego niewychowane?

- Dlatego, e usilujecie skrycie rozrabia , dlatego e jeste cie niewdzi czni, dlatego, e oszukujecie.. dlatego e. . miliony przyczyn! Czego si na mnie gapisz? Najadale si - id pospacerowa . Ale ani na krok za plot.

Grzecznie uklonilem si Jajbluszko i poczekalem a jej zielona luskowata tusza wyplynie z kuchni, i natychmiast rzucilem si do ogrodu. Serce podpowiadalo mi, e Inna czeka tam na mnie albo wygl da ze swojego okienka, eby wyj , kiedy ja si pojawi .

Przemierzylem trawnik, przycupn lem przy basenie, sprawdzilem stop wod .

Woda byl zimna. Poszedlem w kierunku krzakow, co to rosly przy ywoplocie i skutecznie ukrylyby tych, ktorzy postanowili skry si przed ciekawskimi oczyma.

Nie bylo tam nikogo. Pustka ta byla nasycona brz czeniem owadow, szczebiotem ptasz t i podobnymi pokojowymi, zupełnie nie miejskimi d wi kami.

Starsi powiadaj , e wcze niej na Ziemi bylo nie tak cicho i ladnie, ale sponsorzy zakazali u ywania mierz cych silnikow i zburzyli szkodliwe fabryki. Oni sami nie potrzebuj wi kszo ci naszych rzeczy, ludzie rownie szybko odzyczaili si od takich przedmiotow jak buty i piece, nawet od ubra , dlatego e, jak mi mowiono, ludzie yj tylko w cieplych miejscach naszej planety.

17

- Tim - powiedziala Inna zagl daj c w krzaki, - Wiedzialam, e ci tu znajd .

- A ja umy lnie tu przyszedlem - powiedzialem. Bylem szcz liwy. Ale nie moglem wytlumaczy tego uczucia. To nie bylo to uczucie, o jakie podejrzewali mnie pa stwo. Chcialem patrze na Inn , a je li ju dotkn j to tylko koniuszkami palcow.

- Zbili ci ? - zapytala Inna.

- Wczoraj - powiedzialem. - Przez ciebie.

- Przeze mnie? - Miala niebieskie, czule oczy.

- Oni uznali, e jestem za bardzo. . za bardzo jestem porywczy. Ze nadszedl

czas. . - J zyk nie posluchal mnie i nie moglem powiedzie , o co chodzi, mimo e nie byla to

tajemnica albo co niezwykłego - ponad trzy czwarte m czyzn po dwudziestym roku ycia poddawano amputacji tych organów dla ich własnego dobra i po ytku demografii.

- Niemo liwe! - domy lila si Inna. - Tylko nie to!

- Dlaczego? - wyrwało mi si .

Chciałem usłysze przyjemn dla siebie odpowied .

Inna odwróciła si . Pytanie jej si nie spodobało. Widocznie wydało si cyniczne.

- Wybacz - powiedziałem. Poczulem si winnym przed t dziewczyn .

Zachwycalem si jej profilem - Inna maila mały nosek, który odrobin podci gał

do góry górn warg , przez co widoczne były białe z bki. - Wybacz, zaj czku.

- Jeste dure - powiedziała Inna. - Pewnie nigdy nie miałe dziewczyny.

- A niby sk d? - przyznałem si . - Przecie mnie wzi li gdy byłem szczeniakiem, z hodowli. I tak sobie yj jako domowy pupil. Nie znam innego ycia.

- A ja pami tam swoj mam ! - powiedziała Inna.

- By nie mo e!

To było takie dziwne. Nikt nie powinien zna sowych rodziców. To jest przest pstwo. To jest amoralne. Pupil nale y do tego sponsora, który pierwszy zło ył na niego zamówienie.

- To ona si przyznała - wyszeptała Inna. - Opowiedzie ci?

- Oczywi cie, opowiedz.

Inna przysiadła si bli ej, nasze ramiona zetkn ły si . Poło yłem dło na jej kolanie, a ona nie rozzło ciła si . Dlaczego, pomy lałem, uczyniła mi zarzut, e nie miałem dziewczyny? Czy to znaczy, e ona ju kogo miała?

18

My l ta przepelniła mnie gorycz , jakiej dotychczas nie odczuwałem.

- W naszym domu była jeszcze jedna pupilka, starsza ode mnie - powiedziała Inna. - Wiele mnie nauczyła. Opowiadał mi o ludziach, którzy yj na wolno ci.

- Nie wiedziała o tym?

- Wiedziałam tylko, że leś sije poza domem.

W tym momencie w pobliżu zatrzeszczały gałęzie, rozległy się ciękie kroki.

Nawet nie zdążyłem odskoczyć - obrzydliwy abczak, synek sponsora Inny, zwałił się na mnie i zaczął wykręcać mi rękę.

- Ach, to tym się zajmujesz! - ryczał.

Zdążyłem zauważyć jak trzepnęło się Inną w bok i jak biedaczka pofrunęła. Ale nie mogłem jej pomóc - abczak już wyciągał mnie z krzaków, wykręcając rękę, a ja wrzeszczałem z bólu.

Moje krzyki cięgnęły pani Jajbluszkę.

Zaczęła oburzona krzycze :

- Jak miesz! To nie twój pupil! Natychmiast przestań męczyć Timoszkę!

A abczak, nie zwalniasz nacisku, wrzeszczał:

- No to prosz popatrz , prosz popatrz , czym się zajmował w tych krzakach! Ta nasza dziewczynka jest jeszcze niewinna, gwałcieł przeł ty! Nie ujdiesz żywy!

Nadepnęło mi na brzuch, zrozumiałem, że jeszcze chwila i zginę - to samo musiała poczuć moja Jajbluszkę. I, nie zważając na osławioną powściągliwość i rozszedek sponsorów, myślałem o ewentualnej utracie pupila tak jak się rozgniewała, że rzuciła się na abczaka i zaczęła bezlitośnie okładać go zielonymi pokrytymi łuskami łapami. Ten się bronił, ale był dzieckiem, i to dzieckiem, które o siebie nie miało się na cudzym terenie wszcząć bójkę z gospodynią domu, tak więc zostałem uratowany i po kilku minutach, pochlipując z bólu i poniesienia, nasz sędziad oddalił się do swojego ogródka i zaczął stamtąd powarkować :

- Gdzie jest ta łajdaczka, gdzie ta rozpustna bydlę? Ja jej pokazę .. Mamooooo, pani Jajbluszkę mnie zabiła. .

- No i widzisz - powiedziała moja sponsorka, pomagając mi wstać i dojść do domu, a ja nie dokonałbym tego bez jej pomocy. - Mieliśmy absolutną rację : bez zabiegu cięglebdziesz wpadał w nieprzyjemne sytuacje. I nie powinieneś się odwracać i płakać . Po co te leżki, mój miły? To się odbywa szybko i pod narkozą .

Obudzisz się szczęśliwy, a ja upiekę ci pierośkę. Już dawno prosiłem cię o pierośkę z kapustą .

Milczałem walcząc z łzami. W gruncie rzeczy Jajbluszkę była dobrą sponsorką . Inni ludzie mieli włączyć cicieli o wiele bardziej okrutnych i brutalnych.

Inni nawet by i nie rozmawiali - zawie li gdzie trzeba, zrobili co trzeba - i yj sobie szcz liwy!

Le ałem na posłaniu w swoim k cie, dziwne, popl tane my li kr yły po mojej głowie. Nagle pomy lałem, e pewnie nigdy nie b d miał kolorowej elektronicznej obro y, jak ma Wik. Przecie sponsorzy s ze mnie niezadowoleni. Nagle my li przeskoczyły na moje własne przest pstwo i zrozumiałem, e adnego przest pstwa nie było. Chciałem nawet wsta i wytłumaczy pani, e wcale nie usilowałem skrzywdzi Inny, znaczy - napa na ni . . A - w ko cu - to nasza sprawa, sprawa ludzi, jak mamy si kontaktowa ze sob ! I nie b d całowa sponsorki Jajbluszek! Nieoczekiwanie dla samego siebie zachichotałem, ale, na szcz cie, nie usłyszała tego. Siedziała nad haftem na chor gwi dla pułku sponsora Jajbluszek, poniewa stara si postrz pila na niezliczonych manewrach i defiladach.

Odwróciłem si na plecy, ale plecy bolały - co mi ten zielony abczak uszkodził. Musiałem le e na boku.. Rozumiałem, e jestem skazany - mimo e moje do wiadczenie w miło ci było takie bardziej kontemplacyjne, poniewa w ci gu tych dziewi tnastu lat, które prze yłem, nie byłem blisko z kobiet - inni pupile pokazywali mi obrazki i opowiadali, wiele mo na si dowiedzie w salo relaksu dla udomowionych pupili! Wcze niej nie wiedziałem CO strac w przypadku operacji, której miałem si podda , zreszt - nawet nie zastanawiałem si nad tym. . Ale teraz spotkałem Inn i wszystko si zmieniło - my l o operacji napelniała mnie strachem. . Ale dlaczego? Przecie nie znienawidziłem dentysty po tym , jak bolał mnie z b? Głupio i naiwnie. . Co mnie obchodzi jaka tam kontynuacja rodu? Nas, domowych pupili, to nie dotyczy. Chocia kiedy w sali relaksu opowiadano, e w jednych sponsorów mieszkała razem i spała na jednym posłaniu para pupili, chocia jest to surowo zakazane. A kiedy podro li, to zacz li.. w wyniku czego pupilka urodziła małego dzieciaczka. Chcieli go utopi , a rzucili go do rzeki, a on ni uton ł, kto go znalazł, a potem pewien m dry detektyw rozwi zał t zagadk . . Zreszt - nie pami tam, nie b d kłamał.

Zasn łem. . Poniewa byłem pobity i moralnie potłuczony.

Kilka razy budziłem si tego dnia. Najpierw dlatego, e przyszli s siedzi -

sponsorka i jej abczak, który naskar ył na moj pani . Granda była niesamowita, przy tym obie damy straszyły si wzajemnie swoimi m ami, a to było niezwykle. Potem s siadka zacz ła krzycze , e nale y mnie zbada , na wypadek, gdybym był zaka nie chory, na co moja pani powiedziała, e to Inna jest zaka nie chora.. W sumie aby miały zabaw , a ja na wszelki wypadek schowałem si za piecem, bo nie wykluczałem, e oberw .

Udało si . S siedzi poszli sobie, a pani przyszło do kuchni, ustawiła si przy piecu i zerkaj c w szczelin zrobiła mi wykład o tym jakie bywaj niewdzi czne stworzenia, w które wło ono tyle sił, nerwów, czasu, a one nie odpowiadaj tym 20

samym. Domy liłem si , kto jest tym stworzenie i zrobiło mi si przykro.

Oznaczało to, e powioz mnie na operacj .

Wieczorem otrzymałem potwierdzenie swoich l ków - pa stwo, jak zwykle przekonani, e aden

pupil nie pozna ich parszywego j zyka, spokojnie rozwa ali mój los.

- Jestem przekonana, e nasz Timoszka nawet palcem jej nie tkn ł - mówiła pani. - Sama go zwabiła w krzaki w wiadomym celu. Przecie wiesz, jak szybko rozwijaj si ich samiczki.

- Ale ten dzieciak te jest niezły!

- Mam do siebie al za porywczo .

- Przecie zaatakował ci na naszym terytorium.

- Ale jest słaby i głupi. .

Drzemalem, nie pieszna rozmowa ledwie docierała do mnie. Ale nagle si obudziłem.

- Zadzwonisz jutro do weterynarza? - zapytała pani.

Nic jeszcze nie było powiedziane, ale w moim sercu ju utkwila igła.

- A sama nie mo esz?

- Pewnie jest kolejka na dwa miesi ce - ile tych operacji musi robi !

- To prawda, a ja jestem jednakowo zwolennikiem humanitarnego punktu widzenia - mrukn ł mój sponsor - niepotrzebne nale y topi . Topi i topi . Wtedy nie b dzie problemu z weterynarzami.

- Chcialby , eby Timosz utopiono?

Pan zrozumiał, e przesadził i wycofał si :

- Timosza to wyj tek - powiedział. - Jest jakby cz ci domu, jest mi bliski jak to krzesło. .

Porównanie było nieco w tpliwe. Dla mnie, w ka dym razie, zabrzmiało do gro nie. Stare krzesła rzuca si w ogie .

- Dobrze - powiedział sponsor - zadzwoni i umówi si . A ty napisz oficjalny łagodz cy spraw list do s siadów. Sam go odnios . Musimy z nimi współ y , a on jest drugim adiutantem garnizonu.

Zrobilo mi si smutno, e moi pa stwo nie s najsilniejsi na wiecie.

Chcialbym, eby byli najsilniejsi i nie bali si jakich parszywych abczaków. .

Potem zacz lem wmawia sobie, e weterynarz jest tak zaj ty, e operacja mo e si odwlec na cały rok.. a do tego czasu co wymy limy i, na przykład, 21

uciekniemy z Inn , albo moi sponsorzy ulituj si widz c moje uczucie i kupi Inn od naszych s
siadów. B dziemy z ni yli razem i spali na jednym posłaniu, i kupi nam jednakowe trójkolorowe
obro e . Przepelnionym takim szcz liwymi my lami zasn lem.

A obudziwszy si , zrozumiałem, e nie ma si z czego cieszy .

Ka dy sygnał telefonu odbierał jak d wi k pogrzebowego dzwonu, ka dy przelatuj cy flyer
wydawał mi si zwiastunem złego losu. Ale los milczał do szóstej wieczorem. Wła nie wtedy
zadzwonil gospodarz. Jego zielony pysk zaj ł

cały ekran telefonu; stoj za plecami pani słyszałem ka de słowo.

- Wszystko si uło yło - powiedział sponsor, jakby rozmowa dotyczyła problemu czy kupi mi na
zim now pelerynk - przycisn lem go, powiedziałem, e Timofiej jest niebezpieczny dla otoczenia
z powodu nadzwyczajnej agresywno ci, ale nie chcieliby my go usypia , poniewa ona jest do
przywi zana. . w sumie - zgadza si .

- Kiedy? - zapytała pani Jajbłuszko.

- Dzisiaj o dwudziestej pierwszej trzydzie ci!

- Zwariowale ! Mam zamówiony o dwudziestej drugiej masa !

- Trzeba b dzie si po wi ci - powiedział sponsor - dla dobra domowego pupila.

- To straszne! Nawet nie zd

przygotowa ci kolacji!

- Jak chcesz - rykn ł sponsor. - Nie b d si wi cej poni ał przed weterynarzem!

- Dobrze, dobrze..

Pani odwróciła si do mnie - domy liła si , e stoj za jej plecami.

- No i wszystko si uło yło - powiedziała takim tonem, jakby operacja ju si odbyła. - Zrobimy to i
ju jutro o wszystkim zapomnimy. Nie smu si , podnie głow , mój mały człowieczku! - Pani
pogłaskała mnie, a ja byłem gotów uk si t łuskowat dło , ale powstrzymałem si . W ko cu -
jestem człowiekiem czy nie!

- Id do ogródka, pobaw si - powiedziała. - Przygotuj kolacj i pójdziemy. To niedaleko.

Prosi , błaga - bez sensu. Sponsorzy s pozbawienie naszych ludzkich uczu .

Zyj w racjonalnym wiecie, i nawet dziwiłem si , e w swoimi czasie, w trakcie Wielkiego
Podboju, nie wytrzebili wszystkich ludzi. By mo e wła nie emocje, nasze uczucia, nasze

slabostki wywołały u którego ze sponsorów podobne uczucia? Wszak nie nadaremno ich psychologzy zalecaj trzymanie człowieka w domu, w którym jest abczak, przepraszam - dzieci .

22

Nadszedł zimny, marudny wiosenny wieczór. Wyszedłem do sadu. Wiedziałem, e Inny nie b dzie - schowali j za siedmioma zamkami. Ale mo e patrzy w tej chwili w okno?

Zerwałem stokrotk i zacząłem j w cha , demonstruj c całym sob , jaki jestem smutny i przygniony. Je li Inna patrzy to te zapłacze. Cóż robi , my lałem, gdyby było na Ziemi miejsce albo poza ni , jakiegokolwiek miejsce, w którym mógłby si ukry i prze y skrzywdzony i poni ony człowiek, przedstawiciel dumnej rasy ludzi. Ale przecie nie zamierzał sta si w drownym psem, który b dzie grzebał w mietniku w oczekiwaniu chwili, kiedy go złapi i zawioz do rakarni! Nie, lepsza mier , lepsza operacja. . Widziałem tych parchawców, widziałem jak wioz ich przez miasto w okratowanej suce, a oni szczerz z by na przechodniów, dlatego e nic innego im nie pozostało jak tylko szczerz si . Nie, człowiek to brzmi dumnie! Mo e b d wykastrowany, ale nie pochyl głowy!

Tak dumaj c, odrzuciłem stokrotk i spacerowałem po trawniku, założywszy r ce za plecy i opdzaj c si od gnojowych much, które usiłowały osi na moim

gładkim, delikatnym ciele.

- Hej, Timosza! - usłyszałem ironiczny głos.

Mój przyjaciel Wik przeskoczył przez płot i znalazł si obok mnie.

- Dlaczego puszczaj ci samego spacerowa po mie cie! - zdziwiłem si .

- Przecie wiesz - moja stara aba nie jest w stanie mnie upilnowa . A zreszt i tak bym si nie posłuchał.

- Wik - powiedziałem - jestem zrozpaczony!

I opowiedziałem mu o tym, e wkrótce poprowadz mnie do weterynarza.

- Szczerze mówi c - o wiadczył Wik wysłuchawszy mojej krótkiej opowie ci -

gdyby co takiego przydarzyło si mi, to ja by uciekł albo si powiesił. Na szcz cie wybrano mnie na reproduktora, i na razie nic minie grozi.

- Ale dlaczego miałe takie szcz cie? Dlaczego?

- Jestem z bardzo dobrej rasy. Ju w dzieci stwie mierzyli mnie i badali. Cały miesi c trzymali w o rodku eugenicznym.

- Gdzie?

- Tam gdzie sprawdzaj rasy i hoduj nowe.

- A ja mog do tego o rodka?

- Za pó no przyjacielu, za pó no - powiedział Wik. - Zreszt to zaj cie nie dal ciebie. Cały czas trzeba zajmowa si sportem, przestrzega diety, by gotowym do pracy w dowolnym czasie dnia i nocy.

23

- A dlaczego twoja sponsorka si zgodzila?

- Pró no , pró no - westchn ł Wik. - Takich jak ja jest mało, a rasowego dzieciaka chce mie wiele rodzin. Nie ulicznego, przypadkowego - wła nie rasowego. Przy okazji, nie jestem tu przypadkowo. O dwunastej mam by w tym domu. Do pracy.

- Co? - Jakby mnie poraziło pr dem. - Co masz na my li?

- Inna, która tu mieszka, no ta, która tak ci si spodobala!

- A ty. . co?

- Dzisiaj rano jej pani zadzwoniła do mojej i prosi: pilnie potrzebuj waszego samca! Nasza panienka, powiada, dojrzała i dokoła niej kr c si kawalerzy..

Tim, Timka, co ci? Zbladłe jak ciana.

Odsun ł si o krok.

- Wła nie sobie pomy lałem - mówił dalej, odsuwaj c si , dlatego, e był

durniem, który nie mo e sko czy mówi , póki wszystkiego nie powie. - Ze to mieszne - ty do weterynarza, a ja do niej. Prawda, e mieszne?

Wtedy wyr n lem go w mord . Mi dzy oczy, z całej siły.

Wik był wi kszy, był silniejszy, ale nie oczekiwał, e mog go uderzy .

Domowi pupile, szczególnie z tych rasowych, z dobrych rodzin, nigdy si nie bij .

Sponsorzy b d si gniewali! Wik wyrwał si i zacz ł ucieka , ale dogoniłem go i powaliłem na trawnik. Próbował oderwa moje palce od gardła, chrypiał i szarpał si , bił mnie nogami, a ze wszystkich stron ju biegli ludzie i sponsorzy.

Moja pani zaczęła odrywać mnie od niego, abczak walił swoimi szponiastymi nogami - nienawidził mnie i chciał zabić. W otwartym oknie mignęła twarz Inna, wykrzywiona przez strach, a ja walczyłem, drapałem, gryzłem - byłem dzikim zwierzęciem, które należało zabić. Gdyby mnie zabili w tej chwili, nie zdziwiłbym się i nie uważał za krzywdę - dla takiego jak ja nie było miejsca w naszym dobrze zorganizowanym cywilizowanym świecie.

**Odcięli mnie. Wiek leżał bez ruchu na trawniku, nie wiadomo - martwy czy żywy. Co krzyczeli. .
A ja istniałem na poziomie zwierzęcych instynktów. Rzucił**

mn instynkt samozachowawczy.

Szarpnęłem si i przeturlałem po trawie.

- Gdzie? - krzyczała pani Jajbluszko.

Ale ju przeskoczyłem przez płot i pobiegłem to skokami, to pochylałem się, to robiłem uniki - oczekujcie w każdej chwili kuli albo laserowego promienia w plecy; powiedziałem gdzie oczy poniosą, prowadził mnie instynkt samozachowawczy - za miasto, do lasu, na stary mietnik. . Widziałem, że mnie złapią, zawsze uciekinierów łapali i nawet pokazywali takie operacje w telewizji, żeby inni mieli nauczki. Ale i tak uciekłem..

24

Rozdział 2

Pupil na mietniku

Nigdy jeszcze nie porzuciłem naszego miasteczka, które wydawało mi się rodkiem Wszechwiata, ale miałem jakieś takie pojęcie o otaczającym świecie.

Mieliśmy w domu telewizor, a pani Jajbluszko pozwalała mi oglądać go razem z nimi. Ale telewizor przeznaczony był nie dla domowych pupili czy innych ludzi -

to było widowisko dla sponsorów.

Widziałem, że nasza Ziemia jest duża jak planety, z kontynentami i oceanami.

Ziemia wchodzi w skład wielkiej federacji wolnych światów, a państwo sponsorzy zajmują w tej federacji honorowe miejsce. Niosą oni wszelkie prawdy i sprawiedliwość światom, które nie mają prawdziwej wiedzy. Zanim przylecieli do nas, my, ludzie, również nie znaliśmy prawdziwej wiedzy. Teraz wiele już wiemy, ale dużo jeszcze przed nami.

Wcześniej na Ziemi było bardzo dużo ludzi, nazywało się to nadmierną populacją, ludzie mieli mało cywilizacji, denerwowali się i nędzili na innych. Silni zabijali słabych, ginęły całe państwa. Kiedy sponsorzy przylecieli na Ziemię, niosąc ze sobą światło wiedzy, wśród ludzi znajdowali się szczególnie osobnicy, którzy nie rozumieli prawdziwego celu sponsorów i starali się im przeszkodzić.

W tym ludzmi, uzbrojonymi w czołgi i inne rodzaje masowej zagłady, przyszło postąpić z całą surowością i sprawiedliwością. Widziałem historyczne filmy telewizyjne, w których drobni, ale straszliwie uzbrojeni ludzie starali się wysadzić w powietrze wojskowe i ideologiczne obiekty sponsorów, a oni, z definicji dobrzy i sprawiedliwi, zmuszeni byli do cięć, niczym nie usprawiedliwionych ofiar, zanim zwyciężyli. Pamiętam tam, jak z oburzeniem oglądałem te filmy, całą duszą błądząc ze sponsorami Jajbluszkami, i nawet odczuwałem wstyd z powodu tego, że urodziłem się w skórze człowieka.

Oglądałem w telewizji również filmy pejzażowe. Pokazywały przyrodę i zwierzęta. Kiedy ludzi było za dużo, przyroda znalazła się o krok od zguby. Teraz, kiedy ludzi było mniej, przyroda znowu była cudowna. Sponsorzy lubili oglądać długie, wieloodcinkowe pejzażowe filmy - "Dziwne Amazonki", "Pustynie Antarktydy" i inne, dlatego nie udało mi się na obyczajach i naturze pingwinów i anakond, chociaż nie miałem pojęcia, jak żyją ludzie w tych okolicach. I czy w ogóle żyją.

Widziałem te filmy o życiu w tych światach, skąd przylecieli sponsorzy. Ale, uczciwie mówiąc, niczego z tych filmów nie zrozumiałem, bo byłem głupi i niewykształcony. A gdy pytałem o to pani Jajbluszko, niezmiennie odpowiadała: "Ty, głuptasie, nie zrozumiesz".

Zresztą, wtedy gdy uciekałem z rodzinnego domu w niewiadome, nie myślałem o Ziemi czy Galaktyce, zastanawiałem się, gdzie mogłem się ukryć, gdzie mogłem przeczekać po sobie. Widziałem, że na

takich po cigów, i - s dz c po opowie ciach sponsorów i pupili, zbieraj cych si przy supersamie - takie łapanki zawsze ko czyły si uj ciem i surowym ukaraniem człowieka, który o mielil si nadu y zaufania sponsorów.

Z prawej od domu szeroka betonowa droga prowadziła do bazy sponsorów, gdzie pracował mój pan; ucieka w tamt stron to jakby samemu skierowa si do rakarni. W lewo, do centrum, sklepów i miejsc zbiorowego wypoczynku sponsorów, te nie wolno. Zostawała droga przez tyły domów, po pustkowiu, na miejski mietnik, miejsca tajemniczego, wstr tnego, które szefowie bazy wci zamierzaj zlikwidowa i zbudowa tam tor do wy cigów na transporterach opancerzonych, ale ci gle nie mog si zmobilizowa , co cz sto krytykował w trakcie domowych rozmów pan Jajbłuszko. Stamt d, od strony mietnika, cz sto dochodz fale ohydneho smrodu, wtedy wszyscy w mie cie zamykaj okna i wł czaj klimatyzacj . Na mietniku, jak słyszałem, ukrywaj si bandyci i włócz dzy. Czasem urz dza si na nich obławy a pojmanyh zawozi do rakarni, a gdy ucieknie pupil albo dojdzie do kradzie y, to na mietnik kieruje si sprawiedliwy gniew sponsorów.

Mimo to biegłem wła nie na mietnik - nie znałem innego miejsca, gdzie mógłbym si ukry . Tym bardziej, e za mietnikiem, jak mi opowiadali inni pupile, zaczyna si Wielki Las, który ci gnie si a do Australii, to znaczy strasznie daleko. A w lesie rosn jagody i owoce, wi c mo na zosta Robinsonem i nawet zbudowa chatk - jeden menel, który w ubiegłym roku przedostał si do sali relaksu pupili za chleb opowiadał nam takie stare historie. Wtedy si z niego miałem, a teraz, jak widzicie, przydało si !

Ju si zorientowali co do mnie: daleko st d zacz ła wy syrena, co oznaczało

“Człowiek uciekł!”, “Niebezpiecze stwo!”; potem przez wieczorne niebo przemkn ła i zgasł długi promień reflektora. Do moich uszu dotarł hałas silnika migłowca.

B d potrzebowali kilku minut, eby mnie uj , zaci gn z powrotem i przykładnie ukara . Najpewniej po l mnie “na mydło”, jak artowała pani Jajbłuszko, ale, mo e, moi pa stwo por cz za mnie - w ko cu nie jestem im obcy! Wtedy mnie wykastruj i wezm na ła cuch.

Tylko nie to!

“Co ta dziwny bunt wymy lilem?” - pytałem sam siebie, uciekaj coraz dalej od domu i k tem oka odnotowuj c jak zapalaj si wiatła w oknach sponsorów, jak zbieraj si na długie polowanie: uciekł człowiek!

Smietnik znajdował si na miejscu, niegdy istniej cego w tym miejsce ludzkiego miasta Tarusy, lez cego nad rzek . Miasto było brudne, rzeka przepelniona chemicznymi odpadami - wszystko to zagra ało planecie. Tak wi c po przybyciu kosmitów postanowiono miasto, jako ródło zarazy, zamkn , a ludzi przenie .

Smietnik wydezynfekowano, w pobliżu zbudowano bazę o miasteczko dla sponsorów, i stopniowo smietnik odył - przecie trzeba gdzie wyrzucić mieci sponsorów!

Smietnik zajmował ogromny płaski stok, który prowadził od bazy do rzeki.

Kiedy, zdyszany, dobiegłem do smietnika, jego bezkształtne wzgórza w mroku wydawały mi się nie mieć końca.

Zatrzymałem się .

Póki biegłem miałem cel: dobiec do smietnika, a na miejscu stanąć i zobaczyć, co robi dalej.

No więc dobiegłem do smietnika i nie wiedziałem, co dalej?

Wejście pomiędzy wzgórza, skąd dolatywał mdły i ciężki odór gnicia, znalazłem tam jak dziurę czy kryjówkę .. i umrze ?

A może, korzystając z ciemności, podję do niekończącego się lasu i zostawię jego mieszkanie?

Nie mogąc się zdecydować poszedłem na smietnik, starając się wpatrzeć jak cięka .

Wszedłem do wiata, w którym piętrzyły się hałdy puszek po konserwach, kości, połamanych przedmiotów, rozbitych naczyń, kart komputerowych, wyschniętych jakichś trocin - niewiele widziałem w ciemności, ale, rzecz jasna, moja fantazja pozwalała mi widzieć to wszystko jak w dzień .

Całe moje czyste, umyte jestestwo sprzeciwiało się konieczności zbliżenia do sterty śmieci - tym bardziej - nie mając obuwia - najpierw nadepnąłem na coś liskiego, potem wsadziłem piętę w ciepłą miękkość i niemal natychmiast potem trafiłem na brzeg puszek po konserwach.

Po co tu przyszedłem? Czy nie lepiej wrócić do domu i pokajać się? Zgodzi się na operację? Ale natychmiast zrozumiałem, że operacja już teraz nie wystarczy.

Pupil-uciekinię to źródło wirusów i infekcji, psychicznie niestabilny i niebezpieczny dzikus, i nie ma dla innej drogi - do rakarni!

Pokryty wzgórzami stok zamarł w ciszy i wyczekiwaniu - wydawało mi się, że nie jestem tu sam, chociaż ani dźwięków, ani poruszenia nie odnotowałem.

Zamarłem, zastanawiając się, co robi dalej, i nie wiadomo, ile jeszcze bym się zastanawiał, ale daleko się słysze zbliżający hurkot migłowca - jego reflektor już szperał po ziemi, i zrozumiałem, że za chwilę mnie wymaca.

Przerazony rzuciłem się w kierunku smietnika, nie zwracając uwagi na ból stóp. Dążyłem do sterty cegieł, z której wystawał fragment ciany - przytrzymałem do niego plecami, mając nadzieję, że odgrodzi mnie od reflektora.

Warkot migłowca rozległ si tu nad moj głow , niczym czarna ryba pojawił

si nade mn , a reflektor ustawił przede mn jaskraw cian . Jego promie skr cał ku mnie, zamierzaj c sprawdzi , czy nie ukrył si kto za fragmentem ciany; ju chciałem rzuci si na ziemi i spróbowa zakopa si w mieciach, gdy zobaczyłem, e przy samej cianie, o dwa kroki ode mnie znajduje si czarna dziura. Mo e bym i nie zobaczył tego, ale w tym momencie z dziury wysun ła si ludzka głowa i schowała si ponownie, ten wła nie ruch przyci gn ł moj uwag .

W takiej chwili trudno jest zapami ta szczegóły własnego zachowania. Nie pami tam swoich ruchów, ale znalazłem si w czarnym otworze, upadłem, uderzaj c o metalowe klamry, plusn łem w mierz c ciecz, wyprostowałem si , eby w niej nie uton i uderzyłem tyłem głowy o strop podziemnego korytarza.

Na kilka sekund straciłem przytomno , potem otworzyłem oczy - uderzyło w nie ostre wiatło - i krzykn łem:

- Zabierz, zabierz to wiatło! Oczy mi wypłyn !

Obok mnie kto roze miał si . Po chamsku, niekulturalnie.

- Niech wypłyn - powiedział głos.

Usiadłem i zwin łem si w kł bek gro c paznokciami - chocia Jajbłuszko przycinała mi pazury, nawet robiła manicure, bo dbała o swego pupila i zamierzała pój ze mn na wystaw . Mo e niektórzy mówi , e nie jestem rasowy, ale to si jeszcze oka e, kto rasowy, a kto z plebejskiego rodu!.

Pokazałem pazury i wyszczerzyłem z by - niech si mnie boj .

Roze miali si .

Wtedy cicho zawarzałem, eby wiedzieli z kim maj do czynienia.

- Sluchaj, daj mu w ucho - powiedzial kobiecy głos. - Niech si opami ta, szczyl mierdz cy!

Nie wytrzymałem i rzucilem si na te głosy, mimo e nie widzialem ich wła cicieli. Gotów byłem rozszarpa ich, cho pani Jajbluszeko zawsze uczyla mnie najpierw pomy le , a potem co robi , i nie raz dala klapsa i nawet zlała, kiedy robilem co bezmy lnego.

Teraz te post pilem bezmy lnie - bilem si z kim , i - o ile w pierwszej sekundzie uzyskalem jak przewag z powodu zaskoczenia - po chwili musialem z calych sil broni swego ycia, przed ostrymi z bami i pazurami, nawet nie wiedzialem - ludzkimi czy zwierz cymi.

- No, do ju ! - rozkazal niski kobiecy głos. Polecenie bylo wydane cichym głosem, ale slowa te wpadly do mojej glowy jak wkr cone rubokr tem. Na wpól

zaduszony, podrapany i zbity, wciskaj c si plecami w zimn mokr cian , nie przypominalem nawet pewnie czlowieka.

28

Swiatlo ju nie bilo mi w oczy - druga latarnia zapalila si z tylu - zobaczyłem wi c, e walczyłem z jednookim, pozbawionym ucha, brodatym włócz g . Jego owlosione, wstr tne ciało pokryte bylo mnóstwem siniaków i blizn. Włócz ga ci ko dyszal, z nosa ciekla mu krew.

- Ja ci .. - mamrotal t po - zaraz ci . . zjem z gównem. .

Zachcialo mi si mia . Wszystko. . i moja ucieczka, i mój strach na mietniku pod sto kiem reflektora, i straszna bójka w ciemno ci - wszystko to sko czylo si głupimi slowami jakiego b karta.

- Zd ysz - kontynuowal kobiecy głos.

Odwróciwszy si zobaczyłem dziwn istot .

Wyobra cie sobie kobiec glow - z wyrazistymi, jakby wyrze bionymi w marmurze rysami bialej, jakby mlecznej twarzy. Oczy tej kobiety byly ogromne i wydawaly si jasne, ale w tym wietle nie moglem okre li ich barwy. Natomiast włosy byly czarne - obfita grzywa ich otaczala twarz i ci kimi falami splywala do ramion.. ale moje oczy na pró no szukaly tych ramion: glowa tej kobiety istniala jakby sama, dlatego e ciało, które miało j podtrzymywa , nale alo do garbatej karlicy; nawet wyprostowawszy si kobieta nie si gn laby mi do pasa.

Ta zmiana uczu - od zachwytu do rozczarowania - niew tpliwie odbil si na mojej twarzy, i kobieta zobaczyła to. Jej oczy natychmiast zw zily si z nienawi ci do mnie, a malutkie szczuple

pi stki uniosły si do piersi, okrytej brudnym workowym płótnem.

- Nie spodobałam si ? - powiedziała, wła ciwie - wysyczała niczym mija.

Na jej głowie poruszyły si włosy, jak skupisko gadów.

- Powiedz - nie spodobałam ci si ?

- A co mi ta - powiedziałem. - Mnie tam wszystko jedno.

- Nie b dzie y! - wydała wyrok karlica.

- Nie b dzie y! - podchwycili jej przyjaciele, zebrani w podziemnym tunelu.

- Do studni z nim - krzykn ła bezz bna kobieta w łachmanach.

- Nie, do bagna, do bagna, niech go wci gnie! - krzyczał staruszek z długim nosem, na głowie miał wysoki czerwony kaptur.

- Sam go zanos do osadnika! - zajazgotał jednooki. - Niech mierdzi.

W tunelu rozległ si wielogłosy miech, jakby znajdowali si tam jacy ludzie albo inne straszne istoty, które podsłuchiwały nasz rozmow i rado nie witały wyrok, wydany przez garbusk .

29

- A ja to wezm ! - Nieoczekiwanie jednooki włócz ga wyci gn ł r k i szarpn ł

do siebie moj obro . Mój jedyny skarb, moj jedyn własno ! Pewnie - moja obro a nie jest taka cenna i potrójnie elektroniczna jak Wika czy innych bogatych pupili, ale mimo wszystko - jest wykonany z tytanowego stopu, a to powoduje, e na sło cu pi knie si mieni, do niego przymocowany jest mój Certyfikat: ple , wiek, imi , wła ciciel, no wszystko, jak si nale y!

Ryczałem sprzeciwiaj c si . Uwa ałem, e lepiej niech mnie zadusz , ale nie stan si bydłem bez imienia i pana!

Drogo bym oddał swe ycie, ale nagle kto mnie tak hukn ł w tył głowy, e wył czyłem si - jakbym umarł.

Ale nie umarłem, jak si okazało, tylko straciłem przytomno . Dlatego, e ockn łem si . . Było ciemno i pusto. Ani ywego ducha. Ale z oddali dochodziły głosy i hałas.

Obmacalem tył swojej głowy - był gor cy i mokry.

Skaleczyli mnie w głow !

Hałas i głosy zbliżyły się. Jacy ludzie szli po tunelu.

Puch! Puch! Puch! - pękły jak bańki mydlane odgłosy wystrzałów.

Na czworaka popęzłem aby dalej od strzałów, pod kolanami i dłońmi miałem szlam. . Żeby tak znalazł wyjście z tej dziury! Niech mnie złapi, niech zabije, ale nie mogę się dłużej tak męczyć!

Strzały i krzyki zbliżyły się.

Poczułem podmuch zimnego powietrza, dotknęło moją rozbitą głowę..

Podniosłem głowę - nade mną ział otwór, migotały w nim gwiazdy.

To był nieoczekiwany ratunek.

Zresztą, jeśli się zastanowi, nie było w tym nic nieoczekiwanego - przez tę dziurę wpadłem do podziemia.

Wymacałem w ciemnościach liskie elastyczne klamry i zacząłem wspinać się na górę - głowa bolała mnie tak, jakby miała z chwilą odpadnąć.

Powietrze wyraźnie stało się czystsze - mogłem już odetchnąć pełną piersią nie tracąc przytomności.

Z dołu, zupełnie blisko, dały się słyszeć krzyki i strzały. Zaczęłem się wspinać szybciej.

- Dawaj łap! - powiedział ktoś przyjeżdżający z góry.

Wyciągnęłam rękę i ten człowiek pomógł mi wyjść na powierzchnię.

30

Tyle czasu byłem na dole w zupełnych ciemnościach, a moje oczy przywykły do nich na tyle, że, stanąwszy obok człowieka, który mi pomógł, od razu zobaczyłem, że ma na sobie czarny mundur, w ręku trzyma krótki automat, a na głowie ma, podobny do muszli, hełm milicjanta.

Przeraził mnie zamierzając skoczyć z powrotem do dziury, ale milicjant odgadł

mój zamiar, krótkim ruchem uderzył mnie kantem dłoni w szyję. Ledwo utrzymałem się na nogach.

- Stój, młoty! - ryknął. - Chcesz żyć, stój, gnoju błoty!

Był zły, ale zrozumiałem, że nie zabije mnie. Nie słyszałem miernicy w jego głosie.

Przykucnąłem u jego stóp.

W pewnej odległości od nas pojawiły się wiatła dwóch latarek, zbliżyły się i połączyły.

To szli inni milicjanci w czarnych mundurach i pędzili przed sobą kilkoro mietnikowych parchawców - strach było patrzeć na te nieszczęśliwe, owrzodzone, pyski, na skołtunione kudły, te mętne oczy. Sierwa popiskiwała, jęczała i zachowywała się jak ałosne zwierzę, i z pewnym złośliwym triumfem pomyślałem: dobrze wam tak! - co innego napada na bezbronno i pozbawionego praw pupila, co innego - pogada sobie z prawdziwymi milicjantami, wiernymi druhami porządkiem, o których nawet Jajbuszko mówiła, że są godni lepszego losu, niż urodzenie się człowiekiem.

Popchni to mnie w plecy i nagle okazałem się w grupie tego bydła, ale moje próby zwrócenia na siebie uwagi, aby okazać swój przynależność do cywilizowanej części ludzkości, nie przyniosły skutku. Milicjanci nie mieli do mnie głowy - nadal przeczesywali mietnik. Czasem z daleka spod ziemi dochodziły nas krzyki albo serie wystrzałów. Czasem obok przemykały błyskawiczne cienie, domyślałem się na podstawie widzianych filmów, że to milicjanci z odrzutowymi plecakami. Nieopodal wylądował cięki migłowiec.

Właśnie do migłowca nas pognali.

Miał ogromne drzwi, mógłby przez nie wejść nieduży czołg, a wewnątrz było pomieszczenie wielkości supersamu - zapewne helikopter był zrobiony dla sponsorów, a oni przekazali go milicji.

Wewnątrz było bardzo jasno, musiałem zmrużyć oczy. Wygląd moich towarzyszy podróży w świetle był jeszcze bardziej obrzydliwy, więc cięgle się dziwiłem, dlaczego milicjanci nie zauważają, jak istotnie różni się od dzikiego cierwa. Byłem gotów wyskoczyć do przodu, aby wszystko wyjaśnić i powiedzieć prawdę, ale jednocześnie nie było jak ogromne przerażenie powstrzymywało mnie: -

przecież nie mogłem wykluczyć, że cała obława wszczepiła przeze mnie..

31

Milicjanci byli rzeczowi i milczący. Od czasu do czasu do wnętrza migłowca wpychano nową porcję włóczek - wkrótce było nas ponad trzydziestu, a ja okazałem się wcale nie pierwszym rzędem.

Nawet w tej sytuacji nie utraciłem zainteresowania wszystkim zachodzącym i kręcącym się głowami, mają nadzieję zobaczyć i zadziwiająco karlic, ale nie było jej -

może zginęła?

- Wzdłuż ciany, wzdłuż ciany! - krzyknął kapral. - W jednym szeregu!

W jednym szeregu stanąć nie było łatwo, ale milicjanci się tym nie przejmowali. Kopniaki i poszturchiwania rozproszyły nas wzdłuż ciany.

Wystraszone, spocone, mierzcie wywołki dr ały ze strachu. Ja nie dr ałem, chociaż te si bałem, ale wiedziałem, e w najgorszym przypadku przyznam si , e nie jestem zawszonym włócz g , a prawdziwym pupilem z dobrej rodziny.

Wysoki, barczysty milicjant, w nasuni tej niemal na nos pilotce zaczął

ogł dziny od pierwszego z brzegu włócz gi - podniósł mu głow tr cają c podbródek, nacisnął na kiki ust, eby otworzyć usta, popatrzył na z by.

- Zamknij! - powiedział. - mierzcie ca zgnilizna!

Podszedł do nast pnego, którym był staruszek w czerwonym kołpaku.

Obok niego nawet nie zatrzymał si , pchnął go pałk w pier i zrobił nast pny krok.. Zaczęła mnie bole głowa, nie zastanawiałem si ju kogo szuka pomocnik.

W ten sposób post puję minął pi ciu czy sze ciu włócz gów i zbliżył si do mnie, gdy od strony drzwi rozległ si krzyk:

- Hej! Znalazłem!

Milicjanci wci gnęli rozpaczliwie broni cego si jednookiego włócz g , zupełnie gołego, je li nie liczy mojej drogocennej obro y. Oto jest, mój grabie ca!

Runęłem w jego kierunku, eby odebrać podle skradzion rzecz, ale wyprzedził mnie milicjant, który sprawdzał wi niów.

On odwrócił si do przybyłych, zrobił dwa kroki do jednookiego i zaszczekał.

Słowo honoru, melodia jego mowy najbardziej na wiecie przypominała szczekanie:

- Ta gadzina okradła swoich pa stwa, dokonał podłego wyst pku i my lał, e może uniknąć sprawiedliwej kary!

Jednooki widocznie domyślił si , e przyczyn gniewu milicjanta jest odebrana mi obro a. Wczepił si w ni usiłując zerwać , chrząkał:

- To nie ja.. to nie moja!

32

- To moja! - krzychałem w my lach, ale - na szcz cie - tylko w my lach.

Nieuchwytnie szybkim ruchem milicjant uniósł pistolet i błkitny promień wyrysował czarn krech na piersi włócz gi.

Tamten zwał si na podłog jak bryła mi sa i ko ci. Nikt nawet si nie odezwał.

Na znak kaprala kto podszedł do martwego włócz gi, czubkiem buta odwrócił mu głow i brzydz c si odpi ł moj obro . Przekazał j kapralowi.

To si stanie z ka dym - powiedział ten - kto o mieli si złama zaufanie, które okazuj mu nasi sponsorzy.

Nast pnie odwrócił si do nas, a ja dopiero teraz mogłem przyjrze si jego twarzy, jak gdyby dot d emitowała ona jakie miertelne wiatło, które przeszkadzało przyjrze si jej.

To była zwykła twarz, powiedziałbym nawet, e m na - cofni ty podbródek, du y nos i pulchne, pokryte sieci czerwonych ylek, policzki. Twarz jak twarz.

Mo e tylko w sy, niezwykle, z długimi ko cami si gaj cymi ko ci policzkowych, wyró niały go z grona milicjantów.

- A wy, obszarpa cy, pojedziecie popracowa - wyszczał kapral. - Do tego leniuchowania.

W tłumie wi niów rozległo si wycie. Dawaly si słysze poszczególne j ki, składaj ce si na słowa, modlitwy, błagania. .

Staruszek w czerwonym kołpaku nieoczekiwanie rzucił si do drzwi. Nawet zd ył ich dopa , ale w progu si gn ł go promie pistoletu. Jeszcze biegn c staruszek poleciał gdzie w dół.

- S jeszcze ch tni?

Nikt, rzecz jasna, nie odpowiedział.

Wtedy kapral gestem nakazał sprz tn ciało jednookiego, który zgin ł, jak ju zrozumiałem, tylko dlatego, e wzi to go za mnie. Nast pnie wszystkim nam kazano usi

na podłodze, zbijaj c si w tłum.

Wydalo mi si , e strac przytomno z powodu smrodu, ale rozumiałem, e nie pozostało mi teraz nic innego, jak niczym nie wyró nia si z tłumu. Kiedy , w ko cu, to si sko czy i spłyn !

Zamkni to drzwi. migłowiec płynnie i szybko wzniósł si w powietrze. W

kabinie było cicho - szum silnika niemal tu nie docierał. Miałem wielk ochot wsta i popatrze na ziemi z góry, ale nie odwa yłem si .

Sied , sied - powiedział szeptem siedz cy obok mnie włócz ga z zadartym nosem, widocznie

wychwyciwszy moje pragnienie. - Sam zginiesz i innych narazisz, szczeniaku.

- Nie jestem szczeniakiem!

Włóczga odchylił się widząc to, czego ja nie zdążyłem zauważyć - koniec cienkiego bicia przeleciał przez kabinę i zostawił na moim ramieniu puchnący błyskawicznie ład.

- Za co? - krzyknąłem.

Milicjant rozejmiał się i zamierzył ponownie biczem. Schowałem głowę między kolana.

Obok mnie ktoś się rozejmiał. Tępotą tych włóczgów była a nienaturalna.

Rozmieszało ich nawet nieszczeniaki siedzący.

Podróż zajęła trochę czasu.

Bardzo mnie bolało ramie, jakby koniec bicia był naszczepiony trucizną.

Wszyscy w końcu milczeli, ja milczałem również, otępiały. Mogli mnie bić, a mnie było już wszystko jedno. Byłbym nie musiał patrzeć na pyski włóczgów.

Oczywiście, mogłem podnieść się i powiedzieć, że zaszła pomyłka. Ale zginął

człowiek, tylko dlatego że miał mój obrot. A gdyby mi nie odebrano obrotu?

Wtedy to mój trup walałby się na mietniku! Czy by nic nie można było zrobić?

Byłem przekonany, że jestem wiadomością nadużycia władzy przez milicjantów, których wcześniej nie uważałem za wiernych stróżów porządku. A jeśli to nie jest nadużycie, jeśli istnieje prawo, według którego pupil, który zawiedzie sponsorów, podlega likwidacji?

I nie mam kogo zapytać, komu się przyznać, nie mam na kogo się oprzeć.

Gdybym to wiedział wcześniej, to - przysięgam na wielkiego sponsora - nigdy bym nie uciekł. Niech mi odetną obie ręce i nogi, ale niech zostawi mnie przy misce ze smacznym jedzeniem, przy przytulnie mamroczącym telewizorze, na moim miłym posłaniu! O, gdzie jest moja pani? Nie chcę by odszczepić cę!

Czułem jak gorące łzy płyną po moich podrapanych policzkach, starałem się płakać tak, żeby nie cięgała na siebie uwagi. Zresztą - nikt nie zwracał na mnie uwagi.

Z głębi boku zamylenia wyrwała mnie mocna sówka w bok.

- Czego? - zapytałem.

- Jeste ładnym chłopcem - powiedziała chuda bezz bna kobieta w nieokre lonym wieku, brudna tak, e nie wiadomo było, czy jest ubrana czy nie.

Głos miała ochryply, jakby p kni ty, niewyra ny. - Jeste ładnym chłopcem -
powtórzyła i pu ciła do mnie oko.

34

Nie powiedziałbym, e jej słowa i czyny mnie ucieszyły. Nawet w takiej rozpaczliwej chwili wolałbym znajdowa si obok zwykłego czystego pupila.

Ale nawet nie mogłem si odsun .

- Zaraz nas b d dzieli , rozumiesz?

- Jak to - dzieli ?

- Gówniarz zasmarkany - powiedziała bez zło ci w głosie. - Po co robi obławy po lasach i
mietnikach? Potrzebuj robotników. Nikt nie chce zdycha na katordze. Je li b dziesz si m drze
zachowywał b dziesz ył i złapiesz lekk robot , mo e poci gniesz z rok-dwa, a potem dasz
drapak.

- Jak mam si m drze zachowywa ?

- Je li uznaj , e jeste silny - trafisz do kopalni uranu. Albo do w gla, koniec w dwa tygodnie.

- A jak pokaza , e nie jestem silny?

Mimo e widziałem t kobiet pierwszy raz w yciu - wierzyłem jej. Mo e dlatego, e nie miałem
innego wyj cia.- --

- Kulej, powłócz nogami, garb si , rób tiki - co ty, nic nie wymy lisz sam?

-A jak nie trafi do kopalni to gdzie?

-Mo e do sprz taczy czy do kanalizacji, albo i do magazynu, albo - to najlepsze

- do fabryki cukierniczej! -To lepiej! - Pomy lałem, e proponuj mi poni aj c prac . aden pupil nie
b dzie sprz tał pokoi czy mył nocniki - lepsza mier !

By mo e na mojej twarzy odbiło si oburzenie, kobieta u miechn ła si bezz bnie.

-Sk d si taki wzi le , zbiegły pupil czy co?

Wystarczyło mi sprytu, by przecz co pokr ci głow .

- yj jak chcesz - powiedziała kobieta. - Czy to mało ludzi włóczy si po wiecie?

Włóczy si .. To nie mogło odnosi si do mnie. Ja si nie włócz - ja jestem udomowiony!

migłowiec obni ył lot, wyp dzili nas z niego na ogrodzone drutem kolczastym pole, na którym siedzieli my do rana. Siedzieli my - to niedokładne okre lenie.

Ja, na przykład, niemal cały ten czas podskakiwałem usiluj c si ogrza , zgn biony przejmuj cym zimnem. Gdybym był inaczej wychowany, to odebrałbym szmat od którego ze starych ludzi - tak, widziałem, robili młodzi i bezczelni.

35

Kilka osób zbito si w gromad i grzali si swoimi ciałami - w tej grupie siedziała równie kobieta, która uczyła mnie udawa kalek . Zawołała mnie, i usiadłem obok - zrobiło mi si nieco cieplej.

- Miałam jednego znajomego - opowiadała mi jak przyjacielowi - mieszkali my w Moskwie. Byłe w Moskwie?

- Nie - powiedziałem.

Wiaterek, który dniem był chłodny, teraz przejmował zimnem.

- Ale słyszałe ?

- Słyszałem - powiedziałem. - Czasem w telewizorze pokazywali.

- A gdzie widziałe telewizor? - podejrzliwie zapytała kobieta. - Przecie nam nie wolno.

Za moimi plecami siedział człowiek, z głosu s dz c stary, ten miał nie le: grzali go ze wszystkich stron. I to on powiedział:

- Nie czepiaj si , Irka. Przecie to zbiegły pupil.

- Nie - powiedziała Irka. - Przecie pytałam.

- Pupil, na pewno pupil, miał przecie obro . Krzywy mu obro zabrał, pami tasz?

- Nie widziałam, spałam.

- A ja widziałem, pani Markiza chciała go postraszy , a tu milicja si zwała.

Moi s siedzi rozmawiali tak, jakby mnie nie było obok. Czulem si pokrzywdzony, ale milczałem. Jak człowiek milczy to si na niego tak nie złoszcz . Jak si zaczyna usprawiedliwianie, to na pewno zlej , to pierwsze prawo domowego pupila.

- No to dlaczego milczał? - zapytała kobieta. - Przecie przez niego Krzywego zabili, a nas wszystkich zgarni.

- Dobrze zrobił, e milczał - owiadczył głos. - Kto kazał Krzywemu zabiera obro? Ka dy chce y, ale y tak trzeba, eby innych nie krzywdzi. Krzywy skrzywdził i nie ma Krzywego - to prawo.

Kobieta nic nie powiedziała. A kto inny, te z tej gromadki, powiedział:

- Ty masz dobrze, Rak. Wierzysz w Boga.

- Tobie te nikt nie przeszkadza - powiedział staruch zwany Rakiem.

Potem zaczął leżąc, chociaż i w pier i w nogi było zimno, ale z boku i z tyłu grzali mnie inni ludzie, było zno.

36

Zbudziłem się z powodu wzmagać się zimna. Gromada zbijała się tak ciasno, e zdrtwiały mi przygniecione koźczy, i nie wiedziałem ju, gdzie s moje nogi, a gdzie cudze.

Na polu, które było naszym wieniem, po ziemi słała się zimna mgła, wic ludzie, którzy w ni wchodzili wydawali się nie mieć nóg. Wolno płynli w naszą stronę, o moją wyobraźnię, zmacerowana chłodem i tempem wydarzeń z ostatniej doby, podsuwała mi myśl, e dokoła mnie odbywa się czarno-białe czy te, dokładniej rzecz ujmując, szaro-białe telewizyjny taniec.

- Wstawa, wstawa, wstawa! - krzyczał gruby milicjant o ciemnej twarzy z hełmem-muszlą nasuniętym tak nisko, e odwijał mu uszy i zakrywał czoło. -

Ustawiajcie się pojedynczo!

Wydawało mi się, e teraz wszyscy się oburzymy, dlatego e post powanie z nami było nieludzkie, tak się nie postępuje nawet z komarami. Zaraz za damy jedzenia lub - przynajmniej - mo liwo ci umycia się i załatwienia potrzeb fizjologicznych. Ale, ku mojemu zdziwieniu, zobaczyłem, e wszyscy, łącznie ze mną, pokornie wstają, drąc, rozciągając skostniałe nogi, przeklinając przez siebie, ustawiając się w nierówny szereg.

Rozumiałem, e różni się od tych istot zarówno wzrostem jak i budową, jasną gładką skórą, mrymi rysami twarzy i czystościami ciała. Ale rozumiałem też ju, e nie wszystkimi radami mój twój należałoby gardzić. Co mi mówiło, e bezżona kobieta udzieliła mi mój rady, tak więc, stojąc w szeregu, od razu zgarbiłem się i zacząłem drzeć, co, zresztą, przychodziło mi z łatwością - zdrtwiały mi nogi i przemarzłem do szpiku kości.

Nastąpiło oczekiwanie. Ale gdy tylko ktokolwiek próbował coś powiedzieć od razu strażnicy krzyczeli. Jaki wólczga nie wytrzymał i zlał się po prostu w szereg. Milicjanci zobaczyli to i zaczęli się miać, potem kopniakami wypędzili go z szeregu i zaczęli okładać palami. To go bolało,

podskakiwał wi c, a milicjanci dali w nieprzyzwoitych słowach, eby zlewał si dalej, i, co najdziwniejsze, wielu w szeregu zaczął si mia , nawet rechota z nimi.

W tym momencie od strony wej cia do zagrody dały si słysze krzyki.

Niezauwa alnie dla nas nadjechało kilka samochodów, wyszli z nich ludzie i podeszli do nas. Wcze niej my lałem, e zakaz ubierania si obejmuje wszystkich ludzi poza milicjantami, przecie ubranie to prerogatywa rozumnych sponsorów, a my, nierozwini ci, jeszcze my nie doro li do odzienia. Ale ludzie, którzy przyjechali w samochodach, byli ubrani w ró ne ubrania, i na nogach mieli nawet wysokie buty jak milicjanci. Gło no rozmawiali i nawet mieli si - a ja byłem tak zdziwiony posiadaniem ubrania, e nawet nie mogłem przyjrze si ich twarzom.

CI ludzie wyszli na rodek wydeptanego placu, a jeden powiedziała do kaprała:

- Ale galeria!

37

Miał ten człowiek dziwny wygl d: broda le ała niczym wachlarz na niebieskim długim kitlu, a czarne z siwizn włosy były podstrzy one i nakr cone.

- Wiecznie ten samo z nimi kłopot - powiedział kaprał. - Prawdziwe bydło.

- Zrobimy z nich ludzi - powiedziała gruba kobieta, równie ciepło ubrana.

Miała rumiane policzki, jak od mrozu - pewnie ta kobieta du o jadła.

Wszyscy oni poszli wzdłu szeregu. Pierwszy kroczył m czyzna z du brod .

Zatrzymywał si przed lud mi, czasem kazał otworzy usta, odci gał powieki -

jak na wystawie pupili, na któr kiedy zabrali mnie pa stwo. Pierwsi dwaj czy trzej ludzie mu si nie spodobali, kolejnego, podobnego do małpy włochatego bruneta, wyci gn ł z szeregu i wskazał palcem, gdzie ma stan . Z jego ruchów przebijała taka pewno , e m czyzna pokornie zrobił krok w bok, a brodaty, nie ogl daj c si nawet, eby sprawdzi , czy wykonano jego polecenie, ju maszerował dalej. W ten sposób zbli aj c si do mnie wyci gn ł z dziesi osób, a ja nie wiedziałem, czy to dobrzy czy le trafi do niego, wi c odwróciłem si w poszukiwaniu bezz bnej kobiety, ale nie dojrzałem jej od razu - stała dobre pi osób ode mnie. Kobieta zauwa yła moje spojrzenie i domy liła si , co chc wiedzie . Pokr ciła przecz co głow i zgi ła si , jak kto chory. Natychmiast zrobiłem to samo - zgi łem si tak, e palce lewej r ki dotkn ły ziemi, zgarbiłem si i wykrzywilem twarz.

- Pronin, ty zabierzesz wszystkich - powiedziała gruba kobieta w futrzanym ubraniu. - A my te potrzebujemy robosily.

- Nie wezm za du o, Mario Kuzminiczno - powiedział głosem sytego człowieka Pronin.

Akurat doszedł do mnie i uwa nie mi si przyjrzał. Ze strachu, e mnie zdemaskuj a si zachwiałem.

- Ale g ba - powiedział Pronin, krzywi c si z odraz .

Powiniem w tym momencie si ucieszy , e mnie nie rozszyfrował, ale jego słowa, a zwłaszcza ton, jakim były rzucone, tak mnie oburzyły, e wyprostowałem si i przyj lem dumn postaw , ale, na moje szcz cie, Pronin ju mazerował

dalej. Natomiast mój ruch nie uszedł uwadze grubej Marii Kuzminiczny, która szybko powiedziała:

- Ten dla mnie.

Znowu si wykrzywiłem: kobieta poci gn ła mnie za lokie , a jeden z milicjantów, chc c okaza kobiecie pomoc, tak mnie szarpn ł za r k , e wyleciałem z szeregu i odbiegłem, ku tykaj c, na bok.

Proces selekcji ludzi odbył si tak szybko, e nie zd yłem si opami ta jak ju stali my w trzech grupkach. Najwi ksz , składaj c si z młodych ludzi i zdrowych ludzi w innym wieku, wybrał Pronin, do drugiej grupy trafil ja i bezz bna kobieta, stali my si własno ci Marii Kuzminiczny. Trzecia grupa, 38

składaj ca si z kalek i starców, została jakby niezapotrzebowana, ale wła nie ci ludzie opu cili zagrod pierwsi - czarny samochód zajechał do rodka, milicjanci pomagali kalekom i starcom wle do rodka, potem z tyłu podniosła si krata, i ostania rzecz, jak widziałem - białe palce, wczepione w pr ty i poszatowane kratami twarze.

- A oni dok d? - zapytałem bezz bn kobiet . Chciałem zapyta , co b dzie z nami, ale nie o miałem si , dlatego zapytałem o starców, jakby zbli aj c si do pytania z drugiej strony.

- Kaput - powiedziała bezz bna kobieta. Jej twarz, od powieki do podbródka, przecinała w ska blizna.

- Co to znaczy?

- A to znaczy, e na mydło.

Skr ciło mnie od takiego cynizmu, tym nie mniej rozumiałem, e los tych istot jest nie do pozazdroszczenia.

Maria Kuzminiczna podeszła do nas i obejrzała nasz oddział, a on nie wywołał

w niej rado ci.

- Gdzie si takich produkuje - powiedziała smutno. - Po ytku z was, co kot naplakał.

- Nie nadajemy si , nie trzeba było bra - odezwał si stoj cy obok niej beczelnie wygl daj cy, mimo e młody - łsy.

- Za friko dlaczego mam nie wzi .

Po chwili ciszy powiedziała do mnie:

- Mo esz si ju wyprostowa , jeste mój.

Zrozumiałem, e moje naiwne kłamstwo zostało zdemaskowane, ale kapral i brodach stali tak blisko, e nie odwa yłem si wyprostowa .

Poniewa si wahalem, łasy pomocnik Marii Kuzminiczny podkradł si do mnie i tak waln ł w zgi t nog , e podskoczyłem z bólu i - rzecz jasna - musiałem si wyprostowa .

Maria Kuzminiczna zarechotała, wzi wszy si pod boki, a za ni zacz li si mia i pozostali. Na dodatek, zamiast sta prosto ci gle stałem przygarbiony, jak kaleka, i Łsy, za aprobat widzów, ci gle mnie okładał. W ko cu stracilem nad sob ponownie i zamachn wszy si uderzyłem Łysego w rami . Ten poleciał do tyłu na dziesi metrów i z takim d wi kiem plasn ł na ziemi , e wszyscy, w tym i ja, uznali, e je li nawet jeszcze yje, to połamał sobie wszytkie r ce i nogi.

39

Na szcz cie Łsy był cały i zdrowy, ale ha ba, jakiej doznał z powodu uderzenia przez jakiego gnojka ze mietnika, była dla niego ciosem nie do zniesienia. Wyhodowałem sobie wroga.

- Słusznie - powiedziała Maria Kuzminiczna. - Nie na darmo od razu miałam na ciebie oko! Tylko - sobie my l - byle go Pronin go nie rozgryzł.

I roze miała si wesolo. Bo była wesol kobiet .

40

Rozdział 3

Pupilek w fabryce

Ci arówka wioz ca nowych robotników Marii Kuzminiczny była otwarta, starutka, a na podjazdach jej silnik cierpiał, parskał, odmawiał pracy. Łysy siedział na pace z włócz gami, chocia nikt nie zamierał ucieka - wszyscy byli głodni i przemarzni ci. W ludzkiej loterii, w której, jak zrozumiałem - niektórzy uczestniczyli ju nie raz, mieli my wszyscy szcz cie. I praca, do której nas wie li, była zno na, i dyrektorka, Maria Kuzminiczna, z opowie ci s dz c, nie był zło liwa. W jej fabryce te mo na był umrze z powodu choroby, a kto nie umierał - uciekał, ale eby umrze z głodu czy eby kogo zatłukli - to si nie zdarzało.

- Na Łysego uwa aj, na Łysego - ostrzegał mnie bezz bna kobieta, która jakby zaopiekowała si mn , a ja nie sprzeciwiałem si - przynajmniej póki mi pomagała. - Jest podły i zazdrosny.

- Dlaczego zazdrosny? - nie zrozumiałem co ma na my li.

- yje z madam , a ona ci gle wyszukuje sobie w ród robotników nowego przyjaciela. On przecie te był robotnikiem. Wychował si na mietniku, ale nie zamierza tam umiera .

- Irka, zamknij si ! - krzykn Łysy. - Poznałem ci , zarazo!

Kobieta ciszyła głos, ale mówi nie przestała.

- Odczmychamy si , od yjemy - i do lasu!

- Po co? - zapytałem.

- Po wolno - odpowiedziała Irka.

Przejechała koniuszkami palców po wierzchu mojej dłoni i dodała:

- Delikatny jaki.. Pupilek.

- Jestem zwyczajny.

Ci arówka trz sła i od czasu do czasu musieli my si trzyma siebie, eby nie upa .

- A co to za miejsce? - zapytałem, eby zmieni temat rozmowy. - Tam, gdzie nas wioz ?

- A nie mówiłam ci? Fabryka słodczy.

- Czy tym robi cukierki?

- Cukierków nie próbowałam nigdy w yciu - powiedziała Irka. - I je li to s cukierki to nie dla nas.

- A dla kogo?

- Ciemnota! Powiedz przynajmniej jak ci na imi ?

- Tim.

- Timoszka?

- Wol Tim.

- Jak chcesz.

- A dla kogo te cukierki?

- To nie s normalne cukierki - powiedziała Irka. - To cukierki dla ab.

- Dla sponsorów?

- Zachowujesz si jakby był z innej planety! To jest wła nie problem z tob !

Samochód jechał po niezbyt szerokiej drodze, od dawna nie remontowanej, dlatego ci arówka co i rusz musiała hamowa albo okr a dziury i p kni cia w asfalcie. Patrzyłem przez burt , a moje oczy szukały znajomych widoków: szarych budynków sponsorów; popielatych, zagł bionych w ziemi kopuł - ich baz.

Dwie wie e obserwacyjne przez cały czas widniały na horyzoncie, ale co si tyczy innych cech naszego wiata, to nie mogłem ich znale . Dokoła było pustkowie: gdzieniegdzie spod dywanu traw wznosiły si metalowe konstrukcje czy wały si betonowe płyty. Zrozumiałem, e s to lady po tej wielkiej i tragicznej epoce, kiedy sponsorzy, aby uratowa Ziemi , musieli zamkn i zlikwidowa wszystkie nasze szkodliwe fabryki i kombinaty, w wyniku czego ludzie mogli nareszcie swobodnie oddycha , a dzieci - rodzi si zdrowe.

Widziałem, e zgodnie z umow mi dzy sponsorami i tymi lud mi, którzy wybrali samodzielne, pełne niewygód i przypadków istnienie, była zawarta umowa, według której ludzie mieli wywie mieci i zakopa je. Ale ludzie, z wła ciw sobie lekkomy lno ci i brakiem umiej tno ci długotrwałej koncentracji na jednej my li, zapominali wykonywa swe obowi zki - natomiast teraz, kiedy czas upłyn ł i przyroda sama zaleczyła swoje rany, sprz tanie nie miało sensu. Zreszt

- dzikich ludzi pewnie ju nie było.

Fabryka, do której nas przywieziono, był otoczona płotem z wysokimi trzema szeregami drutów, a nad siatk ci gn ły si przewody - od razu zrozumiałem, e po przewodach płynie pr d, widziałem co podobnego w telewizorze - tam dywersanci włączili na przewody i zw glali si .

Nasza ci arówka zabuczał klaksonem, i po jakim czasie do bramy leniwie podszedł ubrany człowiek. Pani Maria Kuzminiczna wyskoczyła z szoferki i zaczę ła go obje d a . A ja patrzyłem

władza sponsorów nie była a tak bezgraniczna? Przecie tyle razy powtarzali i pokazywali w telewizorze - ludziom nie wolno nosi ubrania! Problem le y nie tyle w naszym duchowym i umysłowym poziomie, co w higienie. W ubraniach ludzi kryły si hordy paso ytów i zaka nych grzybów. Przed przylotem sponsorów niemal wszyscy ludzie chorowali i wymierali - przede wszystkim dlatego, e nosili ubrania. Gdy tylko sponsorzy polecili ludziom rozebra si i wyrzuci ubrania, wszystkie te choroby jak r k odj ł.

By człowiek mógł z powodzeniem posuwa si po drodze doskonalenia i przekształcenia si w istot rozum , powinien si hartowa , regularnie gimnastykowa i dba o czysto swojego ciała.

Min wszy bram ci arówka zatrzymała si na zakurzonym placu przed długimi budynkami z czerwonej cegły. Wzmocnione elaznymi sztabami drzwi otworzyły si i pojawił si jeszcze jeden ubrany człowiek! Wyobraziłem sobie jaka ilo mikrobow egzystuje na tych ludziach, i omal nie zwymiotowałem.

- To nowi? - zapytał człowiek.

- A co my lałe , e arbuzy? - odszczekn ł si Łysy.

- Wolalbym arbuzy. Przywozicie takie chuchra, e nie z nich adnego po ytku.

- Dure z ciebie, Henryku - powiedział Łysy. - Póki yj , zawsze mo na z nich wyci gn jaki po ytek.

- Chłopcy, chłopcy, bez klótni! - zawołał Maria Kuzminiczna. - Do jakiego baraku ich wsadzimy?

- Drugi jest prawie pusty - powiedział Henryk.

Póki rozmawiali ja si rozgl dalem. Z trzech stron podwórko było otoczone z czerwonymi budynkami, nad jednym z nich wznosił si wysoki komin, z którego walił dym - rwał w niebo jak słup, jakby w wewn trz pracowały miechy, które pchały go w gór .

Irka zauwa yła w ród robotników swojego znajomego, pomachała do niego i krzykn ła:

- yjesz jeszcze, diable kulawy?

- Pr dzej ciebie do rakarni wezm ! - rado nie odkrzykn ł człowiek z galerii.

- Co to za rozmówki! - rykn ł Łysy. - Idziemy!

Pop dził nas w kierunku niskich drzwi budynku, znajduj cego si na wprost przed nami. I nikt si z nim nie sprzeczał - wszyscy zmarzli my na wietrze i chcieli my jak najszybciej znale si w cieple.

Zeszli my do piwnicy po liskich schodach. Było w niej wilgotno, mierzdiało ludzkimi odchodami, jedna jedyna lampa, wisz ca pod sufitem, o wietlała to 43

schronienie. Po obu stronach przejeżdżały cięgnące się drewniane dwupiętrowe ławy, od biedy przykryte brudnymi szmatami. Już po chwili wiedziałem, że to się nazywa nary.

Na nasz widok z nary podniosła się jasna głowa - wszystkie pozostałe były puste.

- Czego się tu wylegujesz? - krzyknął Łysy.

- Chory jestem, starosta pozwolił - powiedział mężczyzna i zaniósł się kaszlem.

- Och, rozpuścił was jak dziadowski bicz bez mnie! - wrzasnął Łysy. - ebym ci jutro widział w pracy!

Potem Łysy popatrzył na nas, pokiwał głową pogardliwie i powiedział:

- A wy przed obiadem siedźcie tutaj, a po obiedzie - na posterunku pracy, bo zasiek.

- Bydlak - powiedziała Irka, stojąc obok mnie. - Prawdziwe bydlę, jeśli powiedział, że zasieczy, to zasieczy.

Wydawało mi się, że się uśmiechnęła.

Łysy wyszedł trzasnąwszy drzwiami, a ten mężczyzna, który był przeziębiony, zaczął, lecz na nary, wskazywała nam, które legowiska są wolne, a które zajęte, ebyśmy się nie kłócili z gospodarzami.

Okienka były zasłonięte kratami i cięgnęły się szeregiem wzdłuż sufitu - pewnie wczynie nie ta piwnica służyła do przechowywania czegoś, na pewno nikt nie zaplanował w tym pomieszczenia mieszkania. Chociaż, zresztą, ten budynek ma na pewno więcej niż sto lat, z epoki przedspensyjnej, a wtedy ludzie żyli w brudzie, brzydko i bez idei.

Irka wybrała sobie nary w samym kącie, jak najdalej od drzwi i mierzdzącego kubła, a mnie kazała rozlokować się nad nią - kierował mnie już jak dobra koleanka czy nawet ktoś z rodziny. Zresztą - tak wcale nie było - nie miałem teraz na widzenie nikogo bliżej tego od tej nary, która nie wiadomo dlaczego współczuła mi i zaopiekowała się mną. I chociaż nie miała przednich zębów i była straszliwie brudna, i miała bliznę na twarzy a zamiast włosów kołtuny - nie brzydziłem się jej i nie gardziłem nią. Podawała mi jakiegokolwiek pomocnego.

- re chcesz? - zapytała stojąc obok nary i sprawdzając czy wygodnie się rozlokowałem. - Tutaj daj jej. Gdzie indziej nie daj re, czekaj a wycigniemy kopyta, a tu nawet daj re. A wszystko dlatego, że Madamaszka nie jest zła. Nie pojmuj nawet w jaki sposób udaje jej się utrzymać na stolku dyrektora, przecie aby mieć plan taki - wytrzebiecie genetycznego wzorca.

Kapujesz?

Nie nie kapowałem, nie rozumiałem połowy z tego, co mówiła, ale kiwałem głową, nie sprzeczałem się. Wyci gnęłem się na narach jak długi - były dla mnie za krótkie i pi ty wystawały na zewnątrz. Irka stała obok, oparłszy się 44

podbródkiem o skraj legowiska. Dokoła rozbrzmiewał niezbyt głośny szum głosów i hałas, powodowany krzykiem ludzi, usiłując cicho urządzić swój dzień. Pomyślałem, że fajnie było opowiedzieć tej Irce, jak może być cywilizowany człowiek, opowiedzieć jej o moim czystym i miłym legowisku, o dywaniku, na którym leżałem gdy oglądałem telewizję, o tym, że miałem co najmniej trzy różne miski, i pani sama je myła, bo nie ufała mojej akuratkowości.

Ale nie zdecydowałem się wykonać pomysłu, dlatego Irka nagle pochyliła głowę i mrucnęła coś o wiadomościach:

- Powinieneś się wykpać!

- Ja?

- A kto! Jeszcze nie widziałam takiego brudnego faceta.

Najpierw nie zrozumiałem czy to żart czy kpina, ale cała moja sympatia do tej włóczęgi jak ręką odjął.

- Odejd stąd! - powiedziałem. - Bo ci powiem do kogo ty jesteś podobna.

- Do kogo jestem, do tego jestem - odpowiedziała marszcząc czoło Irka.

- Do bezwzględnej Baby Jagi ze mietnika! - powiedziałem.

- Ale z ciebie podle pierwio - powiedziała Irka.

Myślałem, że się wścieknie, ale ona miała taki smutny głos. .

Gdyby tylko na tym się skończyło, nie miałbym jej za złe. Ale ona nagle wyci gnęła wargi w ryjek i splunęła mi w twarz.

Nikt mi jeszcze nie splunął w twarz.

Poderwałem się, trzasnąłem z całej siły głową w sufit, zwałem jak wór z nara i pognąłem za nią, żeby zabić. Nie przesadzam - wiedziałem, że kałdę pupilek ma prawo zabić włóczęgę czy przestępcę i nic mu za to nie grozi, dlatego i w ten sposób okazuje wierność sponsorowi.

Biegłem za Irką zapomniawszy, że już od dawna nie jestem pupilkiem.

Wszyscy w sypialni wiedzieli co się stało, ale nikt nie współczuł i nie zamierzał pomóc. Niektórzy podstawiali mi nogi, popychali, klęli, nawet bili mnie.

Irka odwróciła się w biegu i - mogłaby przysięgnąć na Wszechmogącego sponsora! -

u miechn ła si !

Jej szczerbaty u miech dodał mi sił i rzuciłem si z całych sił za ni do drzwi.

Ale, jak na zło , wła nie w tej chwili wje d ał przez nie wózek, na którym stał kociołek z polewk dla wszystkich wi niów. M czyzna, który popychał przed 45 sob wózek, rzecz jasna, nie oczekiwał, e rzuci si na niego rozjuszony młodzieniec.

Na moje szcz cie polewka nie była zbyt gor ca, wi c kiedy kocioł wywrócił si my my si z kucharzem prawie nie oparzyli my, ale huk był niesamowity - cały kocioł turlał si mi dzy narami, chlustaj c na wszystkie strony polewk z kapust i burakami. W tym szerokim, ale płytkim strumieniu płyn łem, wła ciwie jechałem na tyłku ja sam, za mn turlał si kocioł, a na ko cu trzymaj c si za jego brzeg, w skazanej na niepowodzenie próbie powstrzymania przed wylaniem si jego zawarto ci, lizgał si kucharz.

Jestem przekonany, e z boku widok był prze mieszny, ale jako nikt si nie miał - najpierw wszyscy si przestraszyli, ale szybko dotarło do nich komu zawdzi czaj puste brzuchy zamiast obiadu. Wi c jeszcze nie zd yłem doko czy swojego lizgu w kału y polewki, jak ze wszystkich stron rzucili si na mnie rozjuszeni niewolnicy - drapali mnie, kopali, starali si udusi , rozdepta , oderwa mi r ce i wydrapa oczy! Chyba nigdy w yciu nie byłem tak bliski mierci, jak w tej chwili - starałem si uratowa - oczy i najbardziej czule miejsca na swoim ciele, ale nie starczało mi r k, eby uratowa wszystko, wi c tylko turlałem si po podłodze staraj c si unkn , ,, ,, ,, ,, Ile trwała ta katorga, nie wiem. Jak, zreszt , mogłem wiedzie - ile! W ko cu poprzez szum tej tortury dotarł do mnie krzyk:

- Do tego! Na prycze, ju mi! Do kogo mówi !

Uchwyt niewolników osłabł, pu cili mnie, mogłem otworzy oczy i zobaczyłem, e Łysy rozp dza biczem niewolników i e pomaga mu Irka, która tak e usiłuje mnie ratowa .

Łysy potrzebował niewiele czasu, eby zrozumie co si stało, a wtedy zrobił

co , co jeszcze bardziej poni yło moj ludzk dum , a moja nienawi do tego owocu Zła jeszcze wzrosła.

Łysy podszedł do mnie u miechaj c si wrednie i bardzo bole nie - nawet nie wyobra acie sobie. jak bole nie! - przyło ył mi swoim biczem. I jeszcze raz. I jeszcze! Bat wistał w powietrzu tak gro nie, e ka de uderzenie wydawało si by ostatnim w moim yciu, i wszyscy nagle przycichli, oczekuj c tego, co i ja.

Tylko Irka nagle rozdarła si :

- Nie trzeba! Ma ju do ! Przecie nie chciał.

Łysy jakby posłuchał jej i powiedział:

- Ale drugiego obiadu dla was nie ma. Kombinujcie ja umiecie.

Dokoła rozległ się głośny szum oburzonych głosów. Zwinęłam się w kłębek.

- A do pracy pójdziecie grzecznie jak kotki - dodał Łysy.

I poszedł sobie.

46

Podniosłam się i powlokłam do swojej pryczy. Ale nie zamierzałam wchodzić na swoje miejsce, byłam przecie cały wysmarowany. Niektórzy, ci najgłodniejsi, zaczęli pełzać po podłodze i zbierać polewkę, dla innych kucharz zdołał

wygrzebać trochę z dna kotła. Stałam w kciaku i czekałam, aż przyciągnie się do pryczy i starałam się niczego nie widzieć. Nienawidziłam tej przeklętej Irki, która była wszystkiemu winna, to przez nią uderzyłam się o kocioł. Niechby teraz podeszła, to bym ją zadusił.

Podeszła po nią. Dalej chciałam ją udusić, a moje ręce dygotały z bólu i nienawiści. Ale nie zadusiłam jej, dlatego przyniosła mi swoją miskę, a na dnie jej była polewka.

- ryj, palmusie - powiedziała.

Chciałam chlusnąć jej polewką w głowę i popatrzeć, jak będzie podskakiwała, i Irka, chyba domyśliła się tego z mojego spojrzenia, bo odsunęła się. Ale potem głód pokonał mnie. Wychleptałam polewkę i nawet wyliziałam miskę językiem.

Milczeliśmy. Potem Irka powiedziała:

- Dawaj miskę, palmusie, musisz ją oddać.

Oddałam jej miskę, chociaż wcale się nie najadłam. Ci głodni mieli ochotę stłuc tę paskudną, ale wiadomo - jeżeli jadłam jej z ręki, to musiałam uznać ją za panią, chociaż wcale nie miała nic wspólnego ze sponsorami.

- Gdzie by tu się umyła? - zapytałam.

- Myślę, że zaraz nas pogoni do łazienki - powiedziała Irka. - Tylko bądź ostrożny, ludzie są na ciebie źli, mogą ci udusić.

Rzeczywiście, wkrótce popędzili nas do łazienki, tylko Irka i jeszcze jedna kobieta zatrzymali się, aby umyły podłogę. Bardzo mnie to wzburzyło, bałam się samą iść do łazienki.

Moja własna fantazja podsuwała obrazy, w których ta banda rzuca się na mnie i dusi. Szedłam jako

ostatni i zwróciłem uwagę, a wszyscy skrajnie do drzwi łazienki zatrzymywali się na jak jedną czy dwie sekundy przed jakimi drzwiami. I dopiero kiedy podszedłem do nich zrozumiałem, że to nie są drzwi tylko lustro.

Kiedy do niego zajrzałem, to zamiast siebie zobaczyłem jakiego strasznego, brudnego, pokrzwionego potwora, owoc strasznego snu czy tej brudnej męskiej erekcji. Dopiero kiedy wystraszony odskoczyłem, a istota ta odskoczyła równie, domyśliłem się, że to jestem ja - najpiękniejszy pupilek na naszej ulicy!

Nic dziwnego, że mnie biją i nienawidzą. Tak maskaradą sam bym znienawidził!

Czy pomożesz mi łazienka?

Łazienka nie była mała i tak wypełniona parą, że na dwa kroki nie było widać człowieka. Na dodatek było gorąco i duszno. W domu myłem się w miedniczce, którą stawiano dla mnie w łazience, a poza tym pozwalano mi pływać w basenie.

Zawsze byłem czysty i nigdy nie miałem pcheł.

47

Na półce obok wejścia stały aluminiowe miedniczki. Nie wiedziałem wtedy, że to się nazywa szaflik, a do niego nalewa się wody, aby umyć ciało, dlatego stałem bezradny pod rodzkiem łazienki, nie mając pojęcia, czym nabrać wody z kotłówek wpuszczonych w podłogę - jednego z zimną, drugiego z gorącą wodą. Wszyscy inni mieszały wodę w szaflikach i dopiero wtedy się myli.

Zobaczyłem pusty szaflik - obok niego nie było nikogo, uznałem, że trzeba robić jak inni, i nagle poczułem niebezpieczeństwo. Uczucie było tak mocne -

takie przecucia zdarzają się tylko pupilom, zwyczajni ludzie ich nie miewają - a natychmiast odskoczyłem w bok, a w tej samej chwili, na miejsce, gdzie stałem, chlusnęła cała szaflikowa woda.

Krople rozleciały się na wszystkie strony, parzyły nie tylko mnie, ale i kilka blisko stojących osób. Ci zaczęli przeklinać, a któraś z kobiet zajazgotała:

- To znowu on!

- To nie ja! Kto chciał mnie zabić! Oparzy!

Dziwne, ale od razu mi uwierzyli i odwrócili się do swoich szaflików, jakby zgodzili się zostawić mnie sam na sam z miernicą.

Na moje szczęście przyszła Irka, od razu podciągnęła swój szaflik do mnie i zapytała ze zdziwieniem:

- yjesz?

U miechn ła si znowu przy tym bezczelnie. Z przyjemno ci wsadziłbym jej leb do wrz tku! Ale powstrzymałem si i tylko si od niej odwróciłem.

- Gładki jeste - powiedziała i przejechała dłoni po moich plecach.

- Odczep si - powiedziałem.

Tr ciła mnie pi stk w plecy i powiedziała:

- Bardzo mi jeste do szcz cia potrzebny!

Wszyscy byli głodni i li i, komu tylko si udało, usiłowali mnie tr ci albo skl , a ja przecie te byłem głodny i zły. Na szturcha ce nie odpowiadałem, eby znowu nie rzucili si na mnie wszyscy; przecie niewolnicy s jak zwierz ta, nie znaj regul i nie maj honoru. I w ko cu nie dowiedziałem si kto chciał mnie oparzy .

Kiedy wyszli my z ła ni do zimnego mokrego przedsionka stali tam dwaj niewolnicy, którzy byli ju w fabryce przed nami. Przed pierwszym le ała kupa spranych szmat - ka dy z nas dostał po jednej, drugi podawał ka demu jak zgrzebnin .

Ucieszyło to włócz gów, którzy zacz li wyciera si szmatami jak r cznikami, a zgrzebnina, jak si okazało, była uszyta na kształt spodni. Od razu stali my si 48

niezgrabni, ale kiedy przesłaniaj ca wszystko para osiadła. ze zdziwieniem zobaczyłem, e nie rozpoznaj współtowarzyszy ze mietnika i podziemi - gor ca woda i mydło cudownie przeobraziły ich i z trudem poznawalem tych, którzy mnie tłukli albo chcieli mnie zabi .

Wszedł jeszcze jeden niewolnik, przyniósł du y kosz z pajdami szarego, le upieczonego chleba. Wyjmował pajdy i rozdawał - ludzie rzucili si do niego.

- Macie, ryjcie! - powiedział niewolnik. - Łysy kazał, powiedział, e zdechniecie w pracy.

Wielu roze miało si . Ludzie cieszyli si .

Ale kiedy ja podszedłem po swój kromk , w pomieszczeniu zapanował cisza.

- A tobie, długasie - powiedział niewolnik - nie nale y si . Przez ciebie ludzie zostali bez szamania, a gospodarza naraziło na du e koszty. Spadaj st d!

Odszedłem wi c, chocia byłem od dwie głowy wy szy od niewolnika i mogłem go powali jednym uderzeniem.

Ubrani i wytarci wyszli my z ła ni i poszli my z powrotem do swojej sypialni.

Ludzie w marszu prze uwali chleb i zapomnieli ju o wszystkich nieprzyjemnych przypadkach. "Dziwne, jak lekkomy lni s ci osobnicy!" - my lalem. Nie na darmo sponsorzy nie raz zwracali mi uwag na to, e ludzie mog si buntowa , walczy , i na wojn , ale gdy tylko poka e im si kawalek chleba - zapomn o zasadach! Takim s dzone jest by niewolnikami! I zgadzałem si teraz z pa stwem sponsorami.

Młod kobieta w topornych portkach wyprzedziła mnie. Mokre włosy tej kobiety zwijały si w pier cienie, i wydawało si , e zamiast głowy ma promieniste sło ce - tak ol niewaj co rudego koloru były te włosy.

Jakby czuj c moje spojrzenie kobieta odwróciła si .

Pokazała swoj owalne sprytne oblicze, du e zielone oczy i mnóstwo piegów na białych policzkach. Prawy policzek przecinała blizna. Z przyjemno ci przygl dałem si tej kobiecie, a ona nagle powiedziała:

- Czego si gapisz, pi knisiu?

Dopiero wtedy uzmysłowilem sobie, e to tylko moja kole anka Irka.

- Trudno Ci pozna - powiedziałem.

- A ciebie, my lisz, łatwo?

Roze miała si , a ja zobaczyłem, e brakuje jej przednich z bów.

- A gdzie twoje z by?

- A wybili mi. Bili i wybili.

49

Doszli my do naszej izby, poło yli my r czniki prycze, i w tej samej chwil wszedł nadzorca Henryk i kazał wychodzi . Wyszorowani spodobali my si jemu.

- No, podobni do ludzi - powiedziała. - Ju stracilem nadziei , e zobacz ludzi!

- Roze miał si serdecznie, i wszyscy podchwycili my ten miech. Teraz, patrz c na siebie, zrozumieli my, co miał na my li.

- Kto z was ju tu był? - zapytał Henryk. - Nie bójcie si , wyst pujcie krok do przodu. Nie b d bił. I tak wiem, e wszyscy jeste cie uciekinierami.

Irka i jeszcze par osób wyst piły przed szereg.

- Wy si znacie na pracy - powiedział Henryk. - B dziecie brygadzystami. A potem si zobaczy.

Mamy du o roboty, nie mo emy si wyrobi . Kto wykona norm dostanie dodatkow racj , nie b dziemy wam ałowa . Kto b dzie si objiał - niech ma do siebie pretensje. B dzie głodny.. jak dzi ! - Roze miał si znowu, widocznie ju wiedział, co si wydarzyło.

Kiedy mijali my go lekko poruszył biczem, chłasn ł mnie w nog i zapytał:

- To ty, pi knisiu, kotły wywracasz?

W jego pytaniu nie było słyca zło ci, ja te ju ostygłem i odpowiedziałem:

- Niechc cy.

- B dziesz w mojej brygadzie - powiedziała ruda Irka. - Pewnie nas wezm na przeladunek. Na zabój si nie nadajemy - zbyt skomplikowana robota, rozumiesz?

- Nie.

- Tak wła nie my lałam.

Zeszli my pi tro ni ej. Pod sufitem palily si jaskrawe lampy, ale w tym wietle piwnica wygl dała jeszcze gorzej. ciany do polowy wysoko ci byly zapa kane br zowymi plamami i pasmami, podłog pokrywała bura breja. Przez cał

sklepion sal ci gn ł si szeroki transporter, brudny, stary, nawet podarty i niedbale zł czony w kilku miejscach. W chwili, kiedy nasz pi tka czy szóstka weszła do sali, na spotkanie nam wyszli ludzie z poprzedniej zmiany. Byli zabrudzeni, jak i wszystko w tej sali, zataczali si ze zm czenia, a jeden z nich, ubrany jak wszyscy w zgrzebnin , zwymiotował niemal nam pod nogi. Biedakiem rzucały konwulsje, opierał si o cian , a nikt nie zwracał na niego uwagi. Tylko jeden z naszych, gruby kałdun z opuchni t twarz , zacz ł kl , ale Irka krzykn ła do niego:

- Zamknij si , nie wiesz, to si nie pchaj.

W piwnicy panował ci ki zapach strachu i mierci - nie potrafilem obja ni co go wywoływało. .

50

Transporter chował si w s siednim, niewidocznym st d pomieszczeniu, oddzielona od naszej piwnicy gumow zasłon . Stamt d dochodziły do nas głuche odgłosy - uderzenia, piski, przekle stwa, krz tanina, znowu uderzenie. . jakby tam wrzała bitwa.

Z obu stron transportera stały dwa pot ne chłopcy, których jedynym ubraniem były wysmarowane czym brunatnym fartuchy, a w r kach trzymali metalowe lagi.

Cała ta sytuacja wprawila mnie w przygn bienie. Miałem tylko jedno yczenie

- zwia stamt d.

Z trudem przelknęłam linę i zapytałam Irka :

- Co to jest?

- Zobaczysz - odpowiedziała krótko, podchodząc do sterty gumowych fartuchów, leżących na stole przy transporterze. Wzięła jeden i zawiązała go z tyłu.

- Ja te ? Przecież są brudne.

- A myślisz , że co - będziesz ci głębiej taki czy ciutki?

Wydało mi się , że Irka te się boi, ale nie chce przyznać do swojej słabości.

Przecież jest brygadystką i ma do powiedzenia.

- Co mam robić ?

- Nałóż fartuch, bo sam siebie nie poznasz.

Podporządkowałam się , jak i wcześniej. Zawiązała mi fartuch na plecach - odór miernicy i mój stał się bliższy i mocniejszy, jakbym otulił się miernicą .

Po twarzach moich współtowarzyszy widziałem , że odczuwali to , co i ja - wstrętu i strach.

Nagle transporter szarpnął się i skrzypiąc ruszył w naszym kierunku.

Myśmy przy gumowej zasłonie unieśli nogi - byli gotowi..

I nagle. . niespodziewanie!..

Rozsunęłam swoim ciętym kurtyną , na tą chwilę transportera zobaczyłem widać ciego szarego metrowej długości robaka - niczego podobnego dotychczas nie widziałem. Był straszny i , zapewne , jadowity. Nie miałem pojęcia jak trafił do naszej piwnicy, szarpnąłem się , żeby uciec, ale zanim zdążyłem się ruszyć zobaczyłem że myśmy nie czekali na jego pojawienie się , dlatego że jeden, przyspieszył się i zresztą uderzył metalową łopatką robaka w głowę , a ten szarpnął

się i zamarł.

Robak wolno płynął na transporterze, a ja zdążyłem mu się w tym czasie przyjrzeć .

51

Zabita istota najbardziej przypominała ogromną metrowej długości grzybnicę , pokrytą szarą sierścią i wyposażoną w setki małych nóżek. Niektóre z nich jeszcze się poruszały. Grzybnica miała stosunkowo dużą , oczy miała wypukłe jak wążka. . Przyglądałbym się jej ze wstrętem dalej, ale gumowa kurtyna rozsunęła się ponownie, i znowu pojawiło się od razu kilka takich stworzeń , tym

razem ju martwych.

Gdy tylko g sienica dojechała do ko ca transportera, Irka powiedziała:

- Łap! Timka - za głow , Gruby - za ogon, razem!

Sama popchn ła szeroki płaski wózek na małych kołach tak, eby znalazł si przy ko cu transportera. I wtedy, cz ciowo po wpływem własnego ci aru, cz ciowo przy naszej z Grubym pomocy, ciało g sienicy jak wór zwało si na wózek.

Poniewa do ko ca transportera ju podjechało kilka jednocze nie, zwałonych na siebie ciał, to do pomocy musieli przyst pi równie inny członkowie brygady Irki. G sienice były strasznie ci kie, miały co najmniej po pi tna cie kilo. Po pół

godzinie miałem dosy .

Do naszych obowi zków nale ało ładowanie zabitych g sienic na wózki i wywo enie ich do bocznej sali, gdzie przy szerokich ocynkowanych stołach z odpływami prowadz cymi do emaliowanych wanien pod spodem, stali podobni do nas włócz dzy, którzy wci gali g sienice na stoły i patroszyli je.

Je li która z g sienic wykazywała jeszcze oznaki ycia, m czy ni na pocz tku transportera mieli j dobi . Prawie zawsze im si to udawało, ale jedna, któr ju chwyciłem, eby zwali na wózek, otworzyła oczy wa ki, otworzyła pysk i ukazała ostre, długie niczym u drapie nej ryby, z by. Wystraszyłem si i odskoczyłem na bok - a nu jest jadowita? Słysz c mój krzyk podskoczył m czyzna z lag i dobił

j .

Biegali my wi c tak, przekładali, ładowali, odwozili g sienice przez dwie godziny czy trzy, dokładnie nie wiem. Wiem tylko, e najpierw zm czyłem si mierzelnie, r ce omdlewały mi, i przez cały czas nudziło mnie z powodu zapachu krwi g sienic - wyciekalo jej z nich mnóstwo. Ale potem stopniowo wszedłem w ot piał cy rytm pracy i nawet nauczyłem si odpoczywa - przecie transporter cz sto psuł si , a i g sienice podawane były w nierównym tempie.

Raz transporter zepsuł si i po serii wrzasków i przekle stw przyszedł człowiek z walizeczk - wydobył z niej narz dzia i zaczą ł naprawia transporter. Mogli my odpocz .

- Lepiej ju umrze ni tak pracowa - powiedziałem opieraj c si plecami o transporter

Irka wyj ła z g stwiny włosów papierosa, Gruby pstrykn ł zapalk i powiedział:

52

- Dasz sztacha?

- Palicie? - zdziwilem si .

- Nie, pijemy - powiedziała Irka. - Masz jeszcze jakie pytania?

- Po co to wszystko robimy? - zapytałem.

- Przecie to pelzaczi!

- Oczywi cie, pelzaczi - zawtórował gruby, nie odrywaj wzroku od papierosa. -

A ty, Irka, cz ciejsi zaci gaj, eby nie palil si nadaremno.

- Sk d one si tu wzi ły?

- Sponsorzy ze sob przywie li, rozmna aj z ikry, karmi , a potem, kiedy nabior masy, zabijaj .

- Sponsorzy nie jedz mi sa!

- Och, ty sierotko! - u miechn ła si Irka.

- Sponsorzy s wegetarianami.

- Sponsorzy jedz prust. Jedz czy nie?

- Ale to s herbatniki.

- Jak nie kijem to palik - o wiadczyla Irka. - Przecie te herbatniki robi si z pelzaczów. Nie pocz

stawiali ci nigdy?

W tym momencie zwymiotowałem, pobiegłem więc do kłosa, a wszyscy się ze mnie miali. Pewnie e jadłem prust - takie okrągłe placuszki. Mogły być słodkie, mogły być sone.

Jeszcze nie doszedłem do siebie, jak pojawiła się Madamaszka w swojej włochatej sukni. Była zaniepokojona z powodu awarii transportera.

- Durnie! - wrzeszczała na mechanika. - Przecie zaraz sortownia stanie!

chcesz, ebym zamiast tych stworów wylądowała na transporterze? Po pieś się!

A wy czego siedzicie?

Nie siedzieliśmy już, staliśmy nie wiedząc, co robić, chociaż nie mieliśmy nic do roboty.

- Mijam do tamtej sali, pomagajcie patroszy!

Myślałem, że musiał ci te wstrętne gienice, była tak straszna, że wolałbym umrzeć, ale, na szczęście, transporter ruszył, i byłem rad, że zajmuję się tym trudnym, ale stosunkowo czystym pracem. A potem, z powodu zmęczenia, rado wyparowała..

53

Co się działo potem pamiętam wyrywkowo - zapomniałem nawet o głodzie, a potem Irka krzyknęła:

- Koniec arbatu, idziemy do koszar!

Przez chwilę nawet nie rozumiałem, że dotyczy to również i mnie. Nie miałem nawet czasu i siły, by przeanalizować zadziwiający fakt, z którym się zetknąłem: przecie Jajbluszka i telewizor uczyli mnie, że sponsorzy s wegetarianami i do tego samego nawoływali zawsze ludzi.

Z trudem zrzucili my nasi kłosa te krwi fartuchy i powlekli my się do schodów.

Każdy krok kosztował mnie wiele. Pamiętam jak myślałem się pod prysznicem, eby pozbyć się odoru. Ale jak mi się udało wpełzną na nary - zagadka. Od razu zasnęła Irka, jak mi potem powiedziała, nie dała rady mnie obudzić, kiedy przywieziono kolację i rozdawali chleb.

Budziłem się, wyobraziłem sobie, że rozkoszuję się jakimś posłaniem przy kuchennych drzwiach i pani Jajbluszko spokojnie krzyka przy kuchni, przygotowując posiłek z koncentratów dla siebie i dla sponsorów nie słysząc nasze powiewanie i oni z reguły odżywiali się konserwami.. Z takim właśnie niepoczuciem współczuciem do swojej pani obudziłem się i poczułem, że co jest nie tak - zapach! Dławił! Ziemia! Duchota!

W tym samym momencie cała potworność mojego położenia runęła na mnie, niczym lawina.

Przecie nie jestem ju pupilkiem - jestem niewolnikiem. . wyrzutkiem, któremu s dzone jest zgin w rze ni, podczas noszenia tusze mierz cych g sienic, wkrótce umr , i ywa dusza nie pomy li nawet o mnie. . Samotno , to jest najwi ksze nieszcz cie - dlaczego nie my lalem o tym wcze niej? Czy by moje ycie przy sponsorach uplywało w tak czulej atmosferze, e nie czulem samotno ci? Bzdura! Nigdy ich nie kochałem, ale przed spotkaniem s siedzkiej pupili nie podejrzewałem, e potrzebuj innych ludzi. Podstawowa cecha domowego zwierz cia, my lalem na poly pi c, to przyj cie za naturaln samotno , brak potrzeby innych. . Sam zdziwiłem si , jak ladnie układaj mi si my li - nigdy wcze niej tak nie my lalem.

- Posu si - usłyszałem szept. - Rozwalil si , m drala!

Nie wystraszyłem si i nie zdziwiłem - to Irka wlażila do mnie na nary.

- Mo na zdechn z zimna - wyszeptala.

Wtaszczyła ze sob na pi tro stary worek, którym si przykrywała. Razem z moim workiem zrobila si niema l prawdziwa koldra, a Irki ciało było gor ce, jak grzałka, któr w starym yciu napelniałem dla pani Jajbluszko.

- Tylko mnie nie zepchnij - powiedziala Irka.

54

- Nie, jak si nie wierz - powiedzialem przysuwaj c si do niej, eby nie spa z nar.

Chciałem pogada z ni i nawet wydawalo mi si , e mówi , ale tka naprawd to ju spałem - rozgrzany i z tego powodu niemal szcz liwy.

Rano odezwała si syrena - pora wstawa !

Zbudziło mnie jej wycie i hałas moich współmieszka ców - zacz li si rusza i przeklina , a Irka zsun la si na dół zabieraj c swój worek. Od razu zrobilo si zimno, po serii pró nych prób zwini cia si w taki kl bek, w którym utrzymałbym nocne ciepło, musiałem zeskoczy na podłog .

Irka ju biegła na korytarz i krzykn la mi po drodze:

- Szybciej, liczny! Ja zajm kolejk do kibla, a ty do umywalki!

Jak zwykle - miala racj , sp dzilem w tym wiecie dopiero dob , a ju wiedzialem, e bez Irki zgin .

Nie zd yła jeszcze znikn - za drzwiami, jak cała horda mieszka ców piwnicy rzucila si do wychodka i do umywalki. Oba pomieszczenia były małe, w jednym były trzy krany, w drugim - trzy oczka. A w piwnica pół setki ludzi. I ka dy chce.

Pobiegłem za Irk . Stała ju na pocz tku du ej kolejki - do kibla. Kolejka do umywalek była mniejsza, ale przypuszczalem, e si powi kszy, bo ludzie b d przechodzili do mojej kolejki. Za mn

, na szcz cie, znalazł si stary znajomy -

Gruby z naszej brygady. Kiedy kolejka doszła do Irki powiedziałem mu, e zaraz wrócimy tu z Irk . I pobiegłem do niej. W kolejce od razu zaczął się krzyki: “On tu nie stał! Sk d si tu wzi !” A Irka zaczął pisać : “Uprzedzałam przecie !

Gdzie miały uszy, capie stary?”

Zaczła się awantura, ale nie przeszkadzała mi w skorzystaniu z ubikacji, a potem szczęśliwie wróciłem do kolejki do umywalk. Irka była wesół, ja -

zdeenerwowany; có to, my lałem, mam doczekać co ca sowych dni w tym smrodzie i zimnie? Przecie urodziłem się jako rasowe i piękne zwierzę domowe!

Nie chc stać się brudnym niewolnikiem!

- Co ci? le się czujesz? - zapytała Irka. Miała współczujące spojrzenie.

Wyrwałem ręk - jak mam objaśnić temu prymitywnemu stworzeniu, które, zapewne, nigdy w życiu nie widziało telewizora czy młynka do kawy?

- Jak chcesz, ja ci się nie narzucam - powiedziała Irka. - Chciałam jak najlepiej.

- Wiem - powiedziałem. Już się na nią nie złościłem - złościł mnie mój los.

Znowu wyrażnie poczułem powiem mierni, i wszystko w moim wnętrzu ciśnęło się na myślenie, e dzisiaj znowu będzie zajmowała się tym, co wczoraj.

55

Po porannej toalecie wrócili my do piwnicy. gdzie dwaj niewolnicy wturlali kocioł z ółtaw wod , który nazywali herbat , i drugi kocioł - z kasz . Ka dy dostał misk i łyk , potem należało je zwrócić .

Irka wylizowała łyk , potem zwała do mojej miski porcję kaszy ze swojej miski.

- Co ty? Po co to?

- Dla mnie za du o, a ty się nie najesz!

Pewnie powinienem był odmówić , ale byłem głodny.

Irka patrzyła na mnie z zainteresowaniem, miała zielone oczy, przez policzek od powieki do brody biegła cienka szrama.

- Jedz - powiedziałem - bo ci ostygnie.

- Wol zimm - odpowiedziała.

Kasza nie miała smaku, była liska i niedosolona.

- A ty jak t trafiła ? - zapytałem Irk siorbi c ciepł herbat .

- Jak i ty - ze mietnika.

- A na mietnik?

- Jestem włócz g - wyja niła Irka. - Jak nasi poszli na rozkurz, ja wtedy byłam dziewczynk , ruszyłam po mietnikach.

- Jaki rozkurz? - zapytałem. - Kogo rozkurzyli i jak?

- Co za głupek - zdziwiła si Irka. - Jeszcze takiego nie widziałam! Nie rozumie najprostszycz rzeczy. yli my wtedy w agrowsi. A według programu wie poszła na dziewicz okolic - no to nas załatwili. M czynz zlikwidowali, a kobiety zabrali do rezerwy. Ja i siostra uciekły my do Moskwy. Słyszały my, e w Moskwie ycie jest klawe. Kłamstwo.. Byłe kiedy w Moskwie?

- Moskwa to te mietnik?

- Moskwa, to taki mietnik, e nikt nie widział jego ko ca ani pocz tku, ocipiejesz - taki to mietnik!

W drzwiach piwnicy pojawił si Łysy, wszedł do rodka i stał, uderzaj c nahaj w nog , - co za zło liwe bydl , w yciu nie widziałem nikogo gorszego od niego.

Milczał, a wszyscy siedz cy przy stole zamarli, nawet przestali je . A Łysy czekał. Nagle weszła Madamaszka. Wesoly u miech przez cał szerok twarz, trzydzie ci złotych z bów!

- No, jak tam, kurcz tka moje? - rykn ła od progu, 56

- Dzi kujemy. . dzi kujemy - odpowiedzieli robotnicy.

- le pracujecie - oznajmiła madam. - Chcecie pój na mydło? Migiem wam to zapłatwi . Normy nie wykonujecie - aby siedz głodne!

Przeszedł mnie dreszcz - nawet w my lach nie wolno było nazywa_ sponsorów abami. Co prawda, w my lach tak ich nazywali my.

- Dzisiaj ta ma pójdzie szybciej. Przygotujcie si na to, lajzy. A je li nie pozdychacie - na obiad b d kartofle. Jasne?

Wszyscy zacz li wyra a wdzi czno tej bezczelnej kwadratowej babie. Nie czulem do niej sympatii.

Maszka-madam poszła do nast pnej piwnicy - cz sto rano robiła takie obchody, patrzyła jak j jej niewolnicy, nawet rozmawiała z nimi. Irka odwróciła si do mnie:

- Zobacz, co wym dziłam u jednej kwoki za pół kawalka!

Pokazała mi kawalek grzebienia.

I natychmiast, przy stole zaczęła rozczesywać _ swoje wspaniałe rude włosy.

- Poka ci pelzacze. Hoduje si je z jaj, a sk d si jaja bior - nie wiem, pewnie jaki inkubator gdzie tu jest.

- One s wstr tne - powiedziałem. - Niedobrze mi si robi na ich widok.

- Ja si wychowałam w normalnych warunkach - powiedziała Irka. - Tam, gdzie s drzewa. Las i trawa. Co jest wstr tnego w du ej g sienicy?

Przeszedł mnie dreszcz. Te martwe oczy wa ki i krotka szara sier . . Dotarło do mnie nagle z czego uszyte było futro pani Jajbluszko, poj lem te , z jakiego materiału wykrojono sukni Madamaszki. . Poza tym dotarło do mnie, e wcze niej byłem zupełnie nie wiadomym niczego szczeniakiem, który, gdyby nie nieszcz cie, zostałby szczeniakiem a do staro ci. Jak wszyscy domowi pupilki.

Ale mo e to jaka pomyłka? Mo e moich kochanych sponsorów kto okłamał?

Oni, wytrwali wegetarianie, oni, ponad wszystko przekładaj cy ycie na naszej planecie, zostali obsmarowani błotem podejrzewania. . No dobrze, a kto zabił

jednookiego? Jednookiego zabili milicjanci, a to s zwyczajni ludzie. A kto morduje g sienice-pelzacze? Zabijaj je włócz dzy i gnojki, takie jak my. Kiedy w ko cu zrobi si z nich herbatniki, moi sponsorzy nawet nie podejrzewaj , co przychodzi im je . Trzeba pilnie powiadomi ich o tym, odkry _ cały spisek, musz ucieka do sponsorów. .

- Co ci? - zapytała Irka. - Oczy wytrzeszczone, g ba otwarta, lina cieknie. .

Zamachn lem si na ni - odskoczyła, niemal spadaj c na podłog . W ciekła si i powiedziała:

57

- Uwa aj, bo jak ci oddam!

W tym momencie zabuczała syrena, wi c poszli my nakłada brudne fartuchy.

Wszyscy szli pokornie, tylko ja - z nienawi ci i nadziej na wyrwanie si st d.

Drugi dzie pracy od pocz tku był ci szy od poprzedniego. Maszka-madamka spełniła swój gro b -

transporter przesuwała się szybciej niż wczoraj, ale, co prawda to prawda, niekorzystny różnic w prędkości ci niwelowały czyste awarie i zatrzymania transportera. Wzrosła liczba niedobitych gienic - chłopcy przy kurtynie musieli się dobrze napocić. Pamiętam tam jak żywotnym okazał się jeden pelzacz - ocknął się kiedy Gruby już miał go chwycić, żeby przerzucić na wózek.

Wtedy robał ocknął się i postanowił zwinąć się. Chłopcy omal nie pokliźnęli; miechu, póki Gruby go dobijał - ten za nim zlagował, a pelzacz pod transporter! Drugi facet też musiał wleźć pod transporter!

W końcu go dobili. Co by nie mówiły dwie istoty rozumne na jednego stworza bez rozumu.

Po godzinie czy coś koło tego ja też zacząłem wysiadać, a transporter, jak na złość, nie psuł się i nie psuł. Ręce mi zaczęły cierpnąć od tych ciarów. I wtedy weszli dwaj sponsorzy.

Kiedy się pojawili byłem tak zmęczony, że nie od razu zrozumiałem, że to właśnie sponsorzy. Zdziwiłem się tylko: skąd się tu wzięły te dwie ogromne tusze, zmuszone do pochylania się przy przechodzeniu przez wysokie i szerokie piwniczne drzwi. Obaj sponsorzy byli po cywilnemu, ale w kółkach z uniesionymi grzebieniami - znaczy się, że wykonywali obowiązki służbowe.

Pewnie nikt poza mną w piwnicy nie rozumiał wszystkich tych umownych znaków i zwyczajowych zachowań sponsorów - a mnie wcześniej sam Bóg kazał

je poznać, niech ci się zdarzy pomylić go z inspektorem lojalności - zbierzesz baty jak nic. Jeszcze kiedy byłem szczeniakiem, miałem jakie dziesięć lat, wleźłem na kolana pewnego sponsora, który wykonywał obowiązki - do tej pory pamiętam tam, jak mi przykopał! A jak zacząłem płakać dołżył jeszcze sam pan Jajbluszko!

Sponsorzy byli na służbie. Maszka-madamka rozumiała to - szła o krok z tyłu i była gotowa, żeby odpowiedzieć na każde pytanie. Była nieco bledsza niż zazwyczaj, ręce jej drżały.

Zatrzymali się w progu. Z przodu - dwaj sponsorzy w postawie uwagi i pogardy. O krok z tyłu - Madamaszka, a jeszcze dalej - Łysy i nadzorca Henryk.

Chłopcy z lagami stali na baczność, wpili się oczami w wysokiego ci. Po cholery tu przyleli - może chcę sprawdzić czy nie jesteś zbyt okrutny wobec gienic?

Gumowa kotara drgnęła i transporter ruszył, ukazując naszym oczom stertę martwych gienic.

Pierwszy sponsor zaczął wrzeszczeć w kiepskim rosyjskim: 58

- On żywy, on jest żywy! Bij go!

W jego głosie słychać było strach - jakby obawiał się, że gienica może się na niego rzucić.

Jeden z pelzaczy poruszył się - właśnie ciwie był już martwy, zdechłby i bez dodatkowych ciosów, ale chłopcy z lagami tak się wystraszyli, że zaczęli z obu stron grzmocić w gienicę, robiąc z niej krwawą

miazg .

- Idiota - powiedział gło no po rosyjsku drugi sponsor.

Sponsorzy zawsze mówili z lud mi po rosyjsku. Wynikało to nie tylko z gł bokiego przekonania, e my, tubylecy, nie mamy zdolno ci j zykowych, ale i ze wzgl dów bezpiecze stwa. Kto opanowuje obcy j zyk, kto wdziera si do wiata istot komunikuj cych si przy pomocy tego j zyka - atakuje. Domy lałem si tego od dawna, ale nawet w my lach nie chciało mi si analizowa tego spostrze enia.

Po co? Było mi ciepło, byłem syty i chroniony. Ludzie zaczynaj my le , kiedy jest im le i zimno.

- Bydl ta - powiedział pierwszy i obaj, odwróciwszy si wyszli z piwnicy. Ja natomiast, trac c na chwil zdolno jasnego my lenia, zapomniawszy gdzie si znajduj , wpadłem nagle w panik , e oto sponsorzy odejd , a ja na zawsze zostan w mierz cej piwnicy, we władzy brutalnych. Okrutnych ludzi. Odej cie sponsorów było niczym zerwanie ostatniej nici, l cz cej mnie z cywilizacj .

Wszyscy gapili si im w lad, i nikt nie zd ył mnie zatrzyma , chocia wszyscy w piwnicy widzieli dok d pobieglem.

Tylko Irka krzykn ła:

- Timoszka, Timek, przecie zginiesz! Co ty robisz, głupi?

Pozostali niewolnicy t po patrzyli, czekaj c, kiedy znowu ruszy transporter i zacznie si praca.

Gdy wybiegłem z piwnicy znalazłem si w szerokim i wysokim korytarzu.

Id cy z przodu sponsorzy niemal si gali głowami sufitu. Madamaszka dreptała obok nich, jak pupilka, a Łysy maszerował nieco z tyłu.

Nikt z nich nie odwrócił si i nie zobaczył mnie.

Nie wiedziałem co robi . Wydawało si , e to najlepszy moment, e zawoła i zwróci na siebie ich uwag . Ale co b dzie je li sponsorzy mi nie uwierz ? I pozostawi mnie tutaj, w r ku tych ludzi? Łysy mnie zatluce jak g sienie !

Orszak doszedł do drzwi. Po kolei schylaj c si , eby nie zawadzi głow o nadpro e, sponsorzy wyszli na podwórko fabryki słodocy. Przyłgn łem do o cie nicy. Dzie trafił si ciepły, słoneczny, wie y. Gładkie i takie jedwabiste -

pami tam jak w dzieci stwie mnie to fascynowało - mundury sponsorów, po kroju których i szczegółach tylko do wiadczone oko, takie jak moje, mogło rozró ni stopie i pozycj , błyszczwały na sło cu, odbijaj c jego promienie. Moje 59

wiczone przez wiele lat na gościach pana Jajbluszko oko bezbłędnie poinformowało mnie, a sponsorzy, którzy tak przestraszyli nasz wydział, należą do niskiego stopnia władzy - są zwykłymi wykonawcami. Nie byli nawet wojskowymi - pospolici zaopatrzeniowcy, to znaczy istoty nie cieszące się specjalnym zaufaniem i szacunkiem w garnizonach. Nikt i nigdy nie zaprosiłby ich do domu pana Jajbluszko.

Dla mieszkańców Ziemi wszyscy sponsorzy byli równi i dlatego niezwykli.

Kiedy z nich, niczym mrówka, pełni służbę; wszyscy jednakowi: bezlitośni i niezwykli. W rzeczywistości ci sprawa wygląda zupełnie inaczej, ale człowiek nie może się tego domyśleć - przecie człowiek się dowie po wyrazie twarzy, według norm zachowania, całkowicie w końcu odmiennych u ludzi i sponsorów. Bo co może na poradzić na to, a sponsorzy mają oblicza całkowicie pozbawione miłości i dlatego nie odzwierciedlają żadnych emocji, natomiast długie rodkowe palce poruszają się bez przerwy i są bardzo wyraziste. Często mówi o humorze, zamiarach i uczuciach (tak, tak, sponsorzy są zdolni do uczuć!) sponsora o wiele więcej niż słowa.

- Od kiedy pracuje u was ta partia? - zapytał Madamszka starszy sponsor.

- Dopiero drugi dzień.

- Ile pracuj, ile - powiedział drugi sponsor.

- A skąd mam wziąć lepszych? Byłam na rozdziale - poskarżyła się madamka.

Pronin zabrał wszystkich mocnych do kopalni.

- Ludzie są wszędzie potrzebni - oświadczył sponsor.

- To wy decydujecie - powiedziała madamka. Z jej tonu i słów wynikało, że nie odczuwa specjalnego strachu przed sponsorami. Gdybym nie wiedział, że ludzie są niczym innym jak zacofanymi dzikusami, których sponsorzy muszą uczyć i otaczać opieką, pomylalbym, że jestem świadkiem rozmowy o interesach między równorzędnymi partnerami.

- To jest lekka praca. A w kopalni ciężka. Tam szybko wymierają - wyjął

pierwszy sponsor.

- Tu jest tylko jedzenie - surowo powiedział drugi sponsor, a w jego głosie usłyszałem znajome tło - brzęczenie, co oznaczało, że zaczynał się złoć. Nie wiedziałem, czy madamka wychwyciła to niepokojące tło. - Jesteśmy gotowi poświęcić ci własne interesy i nawet ywno dla waszejszych spraw - produkcji potrzebnej całej społeczno ci, całej galaktyce. Ale to my jesteście my gotowi do poświęceń, a wy? Gdzie jest wasza ofiara?

- Ludzie pracuj bez wytchnienia - odważył się wtrącić Łysy.

- Pełzacie przez niego - powiedziała madamka. - Powinniśmy je zabić tydzień wcześniej, wtedy mi to jest delikatniejsze i koncentrat ma wysz jakoby .

Wicie to lepiej ode mnie. Ale ci głębiej naciskacie na ilość !

60

- Potrzebujemy dużych ilości. Garnizony rosną .

- Istnieje niebezpieczeństwo - zaczynają już krzyczeć .

- Do tego nie wolno dopuścić .

- No to co mam robić ? - zapytała Madamaszka.

- Jeśli będziesz robić, będziemy odrywać twój piekny główek . - Sponsor postukał kciukiem trzeciego palca po swojej szyi - to była oznaka radości. Nie wiem, czy madamka, pogroziła w swoich niewesołych myślach domyślała się tego.

- Jeśli oderwiecie mój piekny główek - powiedziała - będziecie musieli poszukać sobie innego dyrektora fabryki.

- Poszukamy - powiedział drugi sponsor.

- Szukajcie - powiedziała madamka.

- Nie kłóćcie się - zaproponował pierwszy sponsor. - Jesteśmy zadowoleni.

Dobrze pracujecie. Przyjmujemy nowych ludzi. Ci powinni pracować nie dłużej niż pięć tygodni. Potem proszę przygotować ich do likwidacji.

- Chyba zwariowaliście! - zawołała madamka. - To nie jest jakiś przejściowy przytułek. Dopiero co się człowiek nauczy pracować, jak wysyłacie go do rakarni.

To niem dre.

- Nie trzeba si sprzecza !
- Boicie si , e kto si wygada? Przed kim? Przed trzcunami?
- Nie nale y oponowa - uci ł sponsor. - Kto zna tajemnic ten nie yje.
- Przyj łam dzisiaj jaja - powiedziała madamka. - Siedem tysi cy skrzynek.
- Ciebie te zabijemy - powiedział sponsor. - Nieco pó niej. To art.
- Znamy takie arty - mrukn ła Madamaszka.

Sponsorzy miarowo kiwali si ze miechu.

Potem ruszyli od drzwi w kierunku oczekuj cego ich wojskowego migłowca.

Madamka z Łysym poszli za nimi. Ka dy krok oddalał ich ode mnie i coraz trudniej było mi slysze i coraz trudniej walczy z pragnieniem pój cia za nimi.

- . . Rozmawiam z wami szczerze - doszedł do mnie głos sponsora - jeste cie naszym człowiekiem. Zdarzył si przypadek ucieczki udomowionego pupilka od jednego z naszych specjalistów.

- Mówiono mi, e wczoraj rano został zabity.
- Rozpoznano go po obro y - wtr cił si Łysy.

61

- Wszyscy tak my l . Niech my l . Posłali my jego zdj cia do rozpoznania pa stwu. Pa stwo powiedzieli - nie ten. Tamten był młody, wysoki. Czysty, bez znamiona na ciele i zdrowy. Pochodzi z dobrej hodowli.

- Po co nam to mówicie?
- Gdyby trafił do was łatwiej go rozpoznać.
- Po co?
- Natychmiast nas zawiadomcie. On nie mo e y .
- Dlaczego? Co takiego zrobił?

Coraz trudniej było mi wychwytywa słowa. Podeszli pod migłowiec, po podwórku je dzily jakie

samochody ze skrzynkami i naczyniami, migło zaczął wolno się rozprzecz. Chciałem wysunąć się na zewnątrz.

- Powiadomcie nas, a jeśli będzie podejrzanie - zabijcie go od razu! - Zabijcie! -

Sponsor starał się przekrzywić warkot silnika. - My będziemy sprawdzać!

- Rozumiem! - krzywała do niego madamka. - Lepiej poszukajcie go w kopalni! Ja mam samych staruchów i inwalidów!

Dopiero w tej chwili, koszmarne wolno mi się dotarło do mnie, i rozmawiałem właśnie od mnie. Już wiedziałem, że przypadek, który mnie uratował dał

tylko chwilę wytchnienia! A tutaj, w fabryce, zaniechałem nawet udawania - nie kuląłem i nie garbiłem się.. Madamka i Łysy prawie na pewno są w stanie dodać dwa do dwóch i domyśleć się, kto z naszej partii jest zbiegłym pupilkiem.

Ale skąd taka nienawiść? Dlaczego muszę mnie zabić? żeby dać naukę innym pupilom?

Już wiedziałem, że nie pobiegłem za nimi. Powłokłem się z powrotem po korytarzu.

.. Nogi miałem jak z waty. Powiniennem się pieszyć, tymczasem wlokłem się wolno niczym skazaniec, na swój wydział, bo tam był jedyny bliski mi człowiek -

Irka. Ale co mam jej powiedzieć?

W progu powitał mnie nadzorca Henryk.

- Gdzie się szlajesz?

Gruby warknął na mnie:

- Co to - ja sam mam je przynosić?

Irka powiedziała:

- Wystraszyłam się, że zginę. Już chciałam biec ci szukać.

Podczas mojej nieobecności ci pomagała Grubemu za mnie.

62

Chwyciłem za ogon pelzacza - jego sierść była ciepła, ciało mi kłęk.

Wyliźgiwał mi się z ręki.

- Oni ju wiedz , e Krzywy nie był pupilkiem - powiedziałem do Irki.

Nie przyznałem si jej wcze niej, e jestem pupilkiem. Domy liła si tego i bez moich słów. Nie musiałem jej niczego wyja nia .

- Szukaj teraz ciebie?

- Powiedzieli madamce, e musz by tu, w fabryce.

- Znajd - powiedziała Irka. - Trzeba ucieka .

- Was te chc zabi .

- Kiedy?

- Za pi tygodni.

- Dlaczego?

- eby cie nie opowiadali gdzie byli cie, co jedli cie.

Chłopy z pałami znowu urz dzili polowanie na niedobit g sienic - pełzacz zwałił si na podłog i zaczął si taki rozgardiasz, e mogli my z Irk rozmawia spokojnie, bez obawy, e kto nas podsłucha.

- Uciekajmy - powiedziałem.

- Uciekniemy obowi zkowo! Ale bez po piechu. Mam tu sprawy do załatwienia.

- Sprawy?

- Co si dziwisz? Człowiek nie mo e mie spraw?

- Ale oni b d na mnie polowa !

- Niech poluj - powiedziała oboj tnie Irka. - Nie miotaj si , jak zaniepokojony ratlerek. Wa ne jest nie kiedy poluj , a kto poluje. Pomy l, lebasie, po co madamka ma ci oddawa . Pr dzej wymy li dla ciebie co innego.

- Nie b d jej przesłuchiwali?

- Nie masz poj cia o yciu. A o yciu Madamaszki tym bardziej.

Transporter ruszył wypluwaj c kolejne trupy g sienic i musiałem wł czy si do pracy.

Człowiek do wszystkiego si przyzwyczajaja. Do ycia w fabryce słodczy te mo na si przyzwyczai

. Pod koniec zmiany ju nie padałem na nos ze zmęczenia, a zachowałem nawet tyle sił, eby przej si po fabrycznych podwórkach i zaułkach wyszukuj c miejsce nadaj ce si do uciezki.

63

Za fabrycznymi budynkami ci gn ł si płot z drutu kolczastego. Za nim stały betonowe bloki, niskie, przysadziste; tam znajdowały si inkubatory i cieplarnie, w których z jaj hodowano g sienie, a nast pnie podziemnymi korytarzami podro ni te owady przywo ono do naszego wydziału, na ubój, potem były patroszone i przerabiane. Fabryka niemaa, co si zowie!

Poszedłem wzdłu płotu. Wsz dzie dominował zastarzały zapach padliny.

Płot ko czył si przy bramie. Z tamten strony ci gn ł si czerwony ceglany mur. Był stary, gdzieniedzie górne cegły wypadły, i gdybym zdobył gdzie drabin albo przynajmniej du skrzyni , to mógłbym przeskoczy go. Nie zastanawiałem si , co b d robił, gdy uciekn z fabryki - opanowało mnie przera enia. Wydawało mi si , e sponsorzy lada moment wróc , eby zabra mnie ze sob albo zastrzelili na miejscu.

Oddaj c si takim my lom i kr c c głów w poszukiwaniu drabiny, trafilem do w skiego przej cia mi dzy płotem i magazynem, i nagle usłyszałem przed sob głosy.

Zatrzymałem si .

- Rozmawiały z ni ? - rozległ si kobiecy głos.

Rozmówców ode mnie dzieliła wysoka sterta zardzewiałego złomu.

- Zgadza si , eby go wyprawi do Markizy. Co jej w zamian obiecała ?

- To moja sprawa.

- Nie wykiwa nas?

- Nie, obiecałam jej wystarczaj co du o.

W tym momencie poznałem, e to mówi Irka. Oczywi cie. To jej głos! Nie poznałem go od razu tylko dlatego, e wypowiedziała te słowa nie biedna łaz ga; rozmawiała z m czyzn pewna siebie osoba. Ale kim jest ten drugi?

Podszedłem bli ej i przyłgn łem okiem do szczeliny mi dzy stert elastwa i murem z cegły.

M czyzna stał do mnie tyłem. W r ku trzymał pejcz i postukiwał nim o nog .

Pejczy mieli nadzorcy i Łysy. Nie, to nie był Łysy. Jak na Łysego był za szczupły i za niski.

- Trzeba si pieszy - powiedziała Irka.

Widziałem j bardzo dobrze. Była powa na. Nie mogła usta w miejscu, chodziła wolno jak zwierz zap dzone do klatki - dwa kroki w prawo, dwa w lewo.

- Jutro rano - powiedział m czyzna z pejczem. Obejrzał si , a wtedy poznałem, e to był Henryk, nasz nadzorca.

64

- Kto go powiezie? - zapytała Irka.

- Łysy. Kto by jeszcze?

- A nie mo esz ty?

- Nie. Madamaszka si nie zgodzi. Ufa tylko Łysemu.

- No to nic na to nie poradzimy. Nie mo emy madamce rozkazywa . Mo emy j prosi , ale nie rozkazywa .

Przecie oni rozmawiaj o mnie! Dlaczego od razu si nie domy lilem!

Dogadali si z Madamaszk , eby mnie st d wywie .

Opanowały mnie wielka ulga i wdzi czno do Irki i Henryka. Nawet si nie bałem, e do nowego miejsca pobytu b dzie mnie wiózł Łysy. Jako przetrzymam..

Do Henryka i Irki zbli ał si przej ciem jaki du y facet, w którym po chwili rozpoznałem jednego z tych, którzy dobijali g sienice.

- Ile mamy na ciebie czeka ! - rzucił si na niego Henryk. Od razu wszyscy zapomnieli o mnie.

- Wszystko w porz dku. - M czyzna ci ko dyszał, jakby przebiegł du y kawał drogi.

- Mów.

- Skrzynki wyladowywali my przy pierwszym bloku. Najpierw liczyli dokładnie, a potem pa stwo sponsorstwo poszli na obiad. .

- Krótco - gdzie skrzynka.

- Jean j ju targa.

W odległym ko cu przej cia pojawił si drugi m czyzna, który niósł, przyciskaj c j do brzucha, du płask skrzynk .

Henryk wyszedł mu na spotkanie.

- Czy kto ci widział?

- Chyba nie.

- Nie b d przelicza ?

- Po co? Przecie to ma je układali my. Gdzie pieni dze?

- Irka, daj mu - powiedział Henryk.

Irka wyci gn ła do pierwszego m czyzny wcze niej odliczone, zwini te w opisany gumk rulon pieni dze.

65

- Nie musisz liczy - powiedziała.

W tej wła nie chwili zbroilem głupstwo. Chc c lepiej widzie niezr cznie oparłem si o zardzewiał rur i cała sterta metalu zaczą ła gro nie skrzypie .

- Uciekaj! - krzykn ł Henryk.

Próbowałem czego si chwyci , utrzyma si , i, oczywi cie, tylko pogarszałem swoje poło enie - zaczą ło mi si wydawa , e lec z góry w lawinie składaj cej si z gwo dzi i odwa ników.. Ile to trwało - nie wiem, ale zako czyłem całe to spadanie na ziemi. Przez chwil nie poruszałem, chc c sprawdzi co sobie połamałem.

Potem ostro nie poruszyłem praw r k , w gar ci zaciskałem co ostrego.

Otworzyłem oczy i zobaczyłem, e - jak bukiet kwiatów - zaciskam w dłoni p k kolczastego drutu.

Chciałem kontynuowa przegl d swoich strat, ale usłyszałem:

- No i jak, podoba nam si takie le enie?

Wystraszyłem si i chciałem usi

. Trafilem plecami na jaki elazny kant,

podskoczyłem i strasznie obolały, podrapany i upstrzony plamami s cz cej si z wielu ran krwi, wyrwałem si z zardzewiałego wi zienia.

Okazało si , e stoj przed nadzorc Henrykiem.

Miał szczupł twarz, rozległ łysin , krótkie w sy i bródk ; stoj c kiwał si na palcach i znowu stukał

pejczem o nog .

- Przepraszam - powiedziałem. - To niech ci.

- Łesz - spokojnie rzucił Henryk. - Podsluchiwałe . Sta pod cian !

- Boli mnie - poskar yłem si .

- Jak posłuchasz - b dzie jeszcze bardziej bolało.

Cofn lem si pod cian .

- No wi c co usłyszale ?

- Nic!

Oczy Henryka, małe, jasne i bezwzgl dne, dosłownie przewiercały mnie na wylot. Bałem si przyzna .

- A co widziałe ?

- Szedłem t dy przypadkowo - zacząłem j cze . Z własnego do wiadczenia wiedziałem, e przed sponsorem czy mocnym pupilkiem trzeba wygl da na słabego, nieszcz liwego, zupełnie niegro nego. - Przypadkowo szedłem .

66

- Po co? T dy nikt nie chodzi.

- Szedłem. . dlatego. e chciałem uciec!

- Chciałe uciec? Nie odsuwaj si od ciany! Dok d chciałe uciec?

- Przez płot.

- Dlaczego?

- Dlatego, e nikomu nie ufam. Panu te nie ufam!

- Słusznie. Nikomu nie nale y ufa . No, mów dalej. Mów. Znaczy - szedłe sobie i my lale : jak by tu uciec? A przed tob znalazła si sterta elaza i wałn le w ni nosem. .

- Zamy liłem si !

- Łesz! - Henryk zamachn ł si pejczem.

Nigdy nie zaatakowałbym przelo onego, ale bardzo si wystraszyłem, e mnie zaboli.

Wyszczерzyłem z by, skoczyłem do Henryka, wyrwałem mu pejcz i zламаłem rkoje o kolano. Henryk chciał mi przeszkodzi, ale odtrciłem go.

potem cisnłem pejcz mu w twarz.

Henryk złapał pejcz i powiedział co dziwnego:

- To był dobry pejcz. Głupi, pupilku.

Nagle zrozumiałem, jak głupio postąpiłem. Zaczęłem si cofać, ocierając plecami o mur z cegieł. Henryk nie atakował mnie. Oglądał pejcz.

A ja, widząc, że odszedłem od niego na bezpieczną odległość, rzuciłem się do ucieczki.

Kajęłem się, że nie wytrzymałem i skoczyłem na Henryka. Teraz pewnie się na mnie zemści. Brakowało mi tylko tego jeszcze jednego wroga.

Złamany wróciłem do naszej piwnicy. Ludzie już wracali ze zmiany. Było duszno, mierzdzało potem i innymi światłami. Niektórzy spali na narach, inni siedzieli przy długim stole na środku piwnicy - rozmawiali, grali w kości. Na mnie nikt nawet nie popatrzył.

Podszedłem do pryczy. Dolna - Irka - była pusta. Irka jeszcze nie wróciła. To dobrze. Musi już wiedzieć, że połamałem pejcz Henryka. Nie będą chcieli mi pomóc. I oddadzą w łapy sponsorów. A ci przerobią mnie na mydło..

Tak pogryłem się w niewesołych myślach, że nie zauważyłem kiedy resztki dziennego światła opuściły piwnicę, i tylko kaganek, stojący na stole, dziwnie i nierówno oświetlał twarze siedzących przy stole. Có, je wystarczy ciemniało. Trzeba się ruszyć i pójść do kibla, stamtąd wyskoczyć na podwórko i pobeżnąć do muru z cegieł.

67

Niebezpiecznie byłoby przegapić właściwy moment - wiedziałem już, że drzwi naszego bloku są zamykane na noc.

Podniosłem się i ruszyłem do drzwi.

Na spotkanie mi szła mała posta - nawet w ciemnościach poznałem Irkę. Te mnie poznała.

Cofnąłem się do pryczy. Jak nie chciałem, żeby było moim wrogiem!

- Tim? - zapytała szeptem.

- Dzień dobry - powiedziałem, jakbyśmy się jeszcze nie widzieli dzisiaj.

Irka wzięła mnie za rękę i pociągnęła w kierunku pryczy.

- Siadaj!

Usiadłem posłusznie. Chciałem si jako usprawiedliwi wiec powiedziałem:

- Mog naprawi ten pejcz. Potrafi . Pani Jajbluszko nauczyła mnie wyplatania skóry.

- Jaki pejcz?

- Nie powiedział ci?

- Jeste dzikus. .

- Wystraszyłem si . On tak surowo ze mn rozmawiał.

- Dok d szedle ? - zapytała szeptem Irka.

- Chciałem ucieka .

- Nie trzeba - powiedziała Irka. - Jutro zawioz ci do Markizy.

- My lałem, e teraz nie b dziecie chcieli mi pomaga .

- Wierz ci. A co widziało ?

- M czynn. Z pudłem.

- A co w pudle?

- Nie wiem. Było zamkni te.

- Nie bój si , pupilku - powiedziała Irka i zachichotała. - Nikt ci nie skrzywdzi.

Jutro ci wywioz , tak jak si umówiłam.

- A posłuchaj ciebie? Kim ty jeste ?

- Jestem nikim - powiedziała Irka. - Ale Henryka na pewno posłuchaj .

- Mo e jednak naprawi mu ten pejcz?

68

- Zd ysz. Teraz chod my spa .

Kiedy wszyscy zasn li Irka wspi ła si na moj prycz . Czekalem na ni -

samemu było mi zimno. Przywarła do mnie, najpierw dygotała, potem ogrzała si . Powiedziałem:

- Ju nie mog z tym pelzaczami. Jeden dzisiaj na mnie patrzył jak człowiek.

- Nie - powiedziała twardo Irka. - One nie maj wiadomo ci. Ty, po prostu, nie lubisz zabija i nie potrafisz. Wszyscy potrafi zabija , ycie takie jest, e nale y zabija , ale ty nie potrafisz - kto ci ukatrupi, a ty nawet nie zauwa ysz.

Jeszcze mocniej przywarła do mnie.

- Jeste ciepły - o wiadczyła szeptem.

Dokoła na pryczach spali albo i nie spali ludzie. Powietrze w piwnicy było ci kie - myli my si byle jak, bez mydła. Ale było ju zupełnie ciemno, i mogli my sobie wyobrazi , e jeste my sami albo w prawdziwym domu.

- Szkoda mi ich - powiedziałem.

- Mo e ciszej tam! - sykn ł człowiek z s siedniej pryczy, nawet nie znałem jego twarzy. - Cicho b d cie, przeszkadzacie ludziom spa . Róbcie, co macie robi . .

ale nie przeszkadzajcie ludziom.

Irka równie szeptem skłóła go słowami, jakich nawet nie znałem, ale domyśliłem się, że są nieprzyzwoite, a strach pomyśleć, co znaczą. Potem znowu zrobiło się cicho - tylko oddechy i chrapanie ludzi.

- Moje pójdź sobie? - zapytała Irka.

- Nie, nie odchod - powiedziałem. - Nie odchod, bo pojedynczo będzie nam zimno.

- Martwi się o ciebie - szepnęła Irka.

Jej małe ciepłe ciało spowodowało, że zacząłem odczuwać coś dziwnie słodkiego, jakie leniwie ogarniające uczucie, dziwnych objawów Irki rękoma -

ale nie z potrzeby ogrzania się, a po to, by całować i obejmować mocniej.

Odwróciłem się do niej i nie czułem już ani smrodu, ani dusznego powietrza.

Znalazłem wargami jej wargi, i zaczęliśmy się całować tak, że zupełnie traciliśmy oddech, ale nie mogliśmy się powstrzymać - czułem, że chcę jej aż do utraty wiadomości.

I nagle Irka mocno odtrąciła mnie kolanami i jednym ruchem zeskoczyła z pryczy w dół, usłyszałem tylko, jak mocno uderzyła piętami o betonową podłogę.

- Co się stało? - Omal nie skoczyłem za nią.

69

Ale obok ktoś głośno zaklął.

Irka podeszła do pryczy, wspięła się na palce, zobaczyłem jej twarz nad brzegiem pryczy.

- Nie trzeba - powiedziała. - Przecież jesteście ludźmi, prawda?

- Ludzie? Oczywiście, że ludzie - nie rozumiałem jej.

- A w takim razie, jeżeli coś mi dzieje nami będzie, to niech będzie po ludzku, dobrze, pupilku?

- Dobrze - zgodziłem się, chociaż tej nocy wcale nie rozumiałem, co chciała mi powiedzieć.

Milczeliśmy. Poglaskała mnie twardymi szczupłymi dłońmi po twarzy, pocałowałem ją w dłoń.

- Wezmi worek - powiedziałem. - Zmarzniesz.

Wzięła worek, a ja szybko zasnąłem. Było zimno. Mógłbym zejść na dół do niej, ale rozumiałem, że

Irka tego nie chce. Woli marzn .. Czy czulem si pokrzywdzony? Je li nawet to odrobin , dlatego e, nawet nie rozumiej c, co ma na my li, zgadzałem si z ni .

W nocy przy niła mi si czy ciutka, wyfiokowana pupilka z s siedniego domu.

Z ni te si całowałem, ale gdy tylko nasze pocałunki nabierały mocy, sk d pojawiał si s siedzki abczak i musiałem ucieka .

Rano, kiedy obudziła mnie syrena, Irki ju nie było na pryczy - pobiegła zajmowa dla nas kolejk do ubikacji i umywalni. Po pieszyłem jej na pomoc.

Rozumiałem teraz, jak to dobrze, e mam kogo takiego jak Irka. Cieszyłem si , e j zobacz .

Ale nie zobaczyłem jej - nie było jej ani w ubikacji, ani przy umywalkach, a kiedy wróciłem do piwnicy, czekał ju na mnie Henryk. Nie miał w r ku pejcza.

Chciałem omin go nie podnosz c wzroku, ale Henryk sam podszedł do mnie i wygl dało, e nie zło ci si na mnie.

- Chod - powiedział.

- Jestem głodny - zaoponowałem.

- Nie ma czasu na zwłok - powiedział Henryk.

Wzi ł ze stołu pi tk chleba i podał mi. Kto z siedz cych przy stole warkn ł, e niby taki kawałek chleba jest dla trzech, ale Henryk kazał mu si przymkn i wyprowadził mnie na zewn trz.

70

Bałem si , ale starałem si pocieszy tym, e Irka obiecała mi pomy lne zako czenie całej sprawy. A ona, w ko cu, była zorientowana. I rozmawia z Henrykiem jak równy z równym.

Na podwórzu stała starutka ci arówka. Przy kierownicy siedział ju Łysy.

- Ile mam czeka ! - wyszczerzył z by na nasz widok. - Zaraz patrole rusz .

- Wsiadaj! - polecił Henryk.

Pomógł mi wsi

na pak . Potem wskoczył tam sam.

- Pan te jedzie? - zapytałem.

- Przejad si troch - odpowiedział Henryk.

Madamaszka podeszła do otwartego okna biura na pi trze. Pomachała r k do Henryka. Pomachał do niej te .

- B d cie ostro ni! - krzykn ła madamka. - Czekam na was wieczorem!

Nie wiem do kogo skierowane były te słowa - do Łysego, czy do Henryka, ale na pewno nie do mnie.

Samochód podtoczył si pod bram . Stra nik stoj cy tam, najpierw sprawdził pak i szoferk , a dopiero potem przepu cił nas.

- Czego on szuka? - zapytałem Henryka.

- A diabli go wiedz - odpowiedział.

Ci arówka wyjechała z bramy i zacz ła podskakiwa na koleinach i dziurach drogi.

Po kilkunastu metrach droga skr ciła w bok, a z obu stron wyrósł szpilkowy las.

Jechali my po tej drodze do krótko - ponad szczytami drzew wci jeszcze widziałem komin naszej fabryki. Nagle Henryk pochylił si i postukał z dach szeroki. Ci arówka zatrzymała si .

Henryk podeszedł do burty i zaczą przygl da si krzakom.

Trzasn ły drzwi kabiny - Łysy wyszedł na drog .

W tym momencie gał zie krzaki rozchyliły si i na drog wyszedł m czyzna z kartonowym pudłem w r ku, ten sam m czyzna, którego wczoraj widziałem w fabryce.

Za m czyzn szła Irka. Miała na sobie m skie spodnie i wysokie buty. Rude włosy miała schowane pod chusteczk .

71

- Ostro nie! - zawołała do m czyzny, kiedy ten przekazywał pudło Henrykowi.

Henryk pochylił si , m czyzna przekazał mu pudło i karton, jak mi si wydawało, niezbyt ci ki, znalazł si w ci arówce.

Irka zr cznie wskoczyła na pak i uprzedziła Henryka:

- Nie stawiaj na podłodze. Usi d i trzymaj na r kach.

Henryk posłusznie usiadł, a Irka usiadła obok, eby przytrzymywa karton.

- No to pójd sobie? - zapytał m czyzna.

- Id - zezwolił Henryk.

Łysy ci gle stał na drodze.

- A ty na co czekasz - na oddzielne zaproszenie? - zapytał Henryk.

- Jed , prosz , ostro nie - poprosiła Łysego Irka.

Ci arówka potoczyła si dalej. Droga była w tak złym stanie, e nie w aden sposób nie dało si unikn kołysania i wstrz sów. Irka i Henryk starali si ustrzec pudło przed podskakiwaniem, pomagalem i ja. Z pocz tku op dzali si przede mn , potem przestali.

Ci arówka wolno toczyła si po drodze, ale nawet nie patrzyłam na okolic -

wolałem patrze na Irk i na pudło.

W ko cu nie wytrzymałem:

- Co tam jest? - zapytałem.

- Niewa ne - powiedział Henryk.

Od czasu do czasu Irka podnosiła si i patrzyła do przodu, jakby obawiała si jakiej przeszkody albo niebezpiecze stwa.

Ale droga, cho rozje d ona, była zupełnie pusta, a ciany lasu po obu jej stronach sprawiały, e czulem si jak w w skim ciemnym kanionie.

Jechali my tak do dlugo. Milczeli my. Mialem na ko cu j zyka wiele pyta , ale rozumialem, e raczej nie odpowiesz mi na nie.

Jechali my jakie pół godziny, mo e troch wi cej, i to ja pierwszy zauwa yłem, e daleko przed nami na drog wyszedł jaki człowiek i stan ł

po rodku drogi.

- Stój! - krzykn ła Irka.

Ale Łysy ju zwalniał i ci arówka, nie dojechawszy kilka metrów do nieznanomego, zatrzymała si .

M czyzna podszedł do ci arówki.

72

- Uciekasz? - zapytałem Irk .

Chyba dopiero teraz przypomniała sobie o moim istnieniu.

- Nie martw si . Pojutrze b d u Markizy - powiedziała. - Zobaczymy si tam.

- A co jest w pudle?

- Ale ty uparty!

- Zobaczymy, czy wszystko w porz dku - zaproponował Henryk.

Nie czekaj c na przyzwolenie podniósł pokryw k kartonu, odsun ł warstw mi kkiego materiału i zobaczyłem, e wewn trz pudła znajduj si jednakowe zagł bienia, a w ka dym z nich le y biała kula wielko ci pi ci.

Irka pochylila si nad kulami.

- Wszystko w porz dku - powiedziała.

M czyzna podszedł do ci arówki i ponaglił:

- Pr dziej! Ju dwa razy przelatywał t dy migłowiec.

- Co to jest? - Tym razem ciche pytanie skierowałem tylko do Irki.

Popatrzyła na mnie, w jej oczach czaił si smutek.

- Do widzenia, pupilku - powiedziała. - B d grzeczny. B d za tob t skni .

- Ja te .

- A w pudle s jaja - powiedziała Irka.

- Jakie znowu jaja?

- Milcz! - zganiał mnie Henryk, odwrócił się do Irki i powiedział: - Co się tak rozgadała? Im mniej wie, tym lepiej. I dla nas, i dla niego.

Moczyzna na drodze chwycił pudło z jajami - po co wiecie li my tu jaja? - i skierował się w stronę krzaków. Na drogę zeskoczył Henryk i pomógł zejść z paki Irce. Nie chciałem zostawać sam, te zeskoczyłem na drogę. Ale Irka powiedziała:

- Wsiadaj do szoferki, do Łysego.

Łysy otworzył przede mną drzwi.

- Nie smuć się - dodała Irka.

Łysy wychylił się, sięgnął obok mnie do klamki i zatrzasnął drzwi.

- Zatrzymaj się, żebyś nie smucił - obiecał ponuro.

73

Patrzyliśmy jak cała trójka skryła się w krzakach unosząc ze sobą pudło z jajami.

Dzień był pochmurny, chociaż nie padał deszcz i nie czuło się wiatru. Po obu stronach drogi ciągnął się rzadki sosnowy las. Czasem przy drodze pojawiała się bagno, a wtedy z burek wody sterczały cienkie pnie osik i brzoza. Ziemia jeszcze nie obeschła.

Ze dwa razy widziałem przy drodze budynki. Jeden duży, kilkupiętrowy.

Ludzie je rzucili - puste. Powybijane szyby w oknach, schody pozarastały pokrzywami. Raz od naszej drogi odeszła asfaltowa cieka i ginęła zaraz w zaroślach, ale zdążyłem zauważyć zardzewiałe i chyba spalony szkielet jakiego samochodu.

- Ci głębiej nie dbamy o swoją ojczyznę - powiedziałem do Łysego.

Nie zrozumiał mnie i zapytał:

- Co macie na myśli?

- Ile czasu sponsorzy uczą nas, że trzeba utrzymywać porządek na planecie, żebyśmy wszystko posprzątaли i unieszkodliwili - już sił nie mamy!

- A na co mamy?

Zrozumiałem nagle, że nie znam odpowiedzi na to pytanie, i że sam nie wpadłem na to, by je zadać. Przynajmniej dla siebie.

- Na karmienie nas i ochranianie - powiedziałem niepewnie.

Las zmienił si w niski zagajnik, cz ciej trafiały si ruiny domów, a nawet sterczał w niebo jaki betonowy komin. Zobaczyłem nagle, e w ruinach u podstawy komina co si poruszyło.

- Patrz!

Łysy odwrócił si i w tej samej chwili pochylił si nad kierownic i wdusił gaz do dechy. Ci arówka dosłownie skoczyła do przodu. Zd yłem zauwa y , e w ruinach stał człowiek, który strzelił do nas z łuku. Odwróciłem si - strzała uderzyła w asfalt.

- Widziałe ? Strzelił do nas! - krzykn łem czuj c niespodziewane podniecenie.

- Milcz!

Potem musieli my na chwil wyj z samochodu - most ponad rzek był

rozwalony, z wody sterczały tylko filary i kanty zanurzonych w niej betonowych płyt. Na szcz cie z prawej był bród, do którego prowadziły koleiny. Pojechali my tam; kiedy znale li my si nad wod Łysy nagle krzykn ł:

- Teraz ani słowa! - i sam wychylił si tak, e niemal oparł brod na kierownicy i wyl czył silnik.

74

Zamarłem w bezruchu. Okazało si , e słuch nie zawiódł Łysego - niewysoko nad ziemi , wolno leciał wielki migłowiec sponsorów. Nie zauwa yli nas albo nie uznali za cel godzien uwagi.

- Dobrze, e nas nie zauwa yli - powiedział Łysy uruchamiaj c silnik. - Bo normalnie strzelaj bez ostrze enia.

Pojechali my dalej. Szcz liwie pokonali my bród i wyjechali my na drugi brzeg. Tam mi dzy dwoma betonowymi słupami rozci gni ty był pas spłowiej czerwonej tkaniny z wykonanym du ymi białymi literami napisem: "Dla was sponsorzy nasze osi gni cia w pracy i wypoczynku!"

Nieoczekiwanie zobaczyli my, e na spotkanie nam jedzie jaki zaprz ony w konie powóz. Nie chowali my si , a i ludzie w powozie - furmanka z wysokimi burtami - nie zamierzali nas skrzywdzi .

Potem spotykali my pieszych - ci na d wi k naszego pyrkaj cego silnika najpierw skoczyli do rowu, ale Łysy zawołał co w dziwnym j zyku, i ludzie, jedni goli, inni ubrani. Zacz li wylazi z rowu.

- Zaraz b dziemy na miejscu. Tam zostaniesz. B dziesz czekał na człowieka od Markizy - powiedział Łysy i u miechn ł si nieprzyjemnie. Jego słowa brzmiały fałszywie. Jakby człowiek - to nie człowiek, a "rzekomy człowiek", a Markiza -

tylko "tak zwana Markiza".

Na wyblakłym i pochyłym ci arem niezliczonych lat metalowym drogowskazie przeczytałem dziwne i niezrozumiałe słowo "Mytiszcz". Tam si skierowali my. Droga prowadziła lasem, w którym widziałem pojedyncze domy, najcz ciej zrujnowane. Potem skr cili my na jeszcze w sz i jeszcze bardziej zapuszczon dró k , ci arówka podskakiwała na niej tak, jakby chciała wyrzuci nas z kabiny. W ko cu zatrzymali my si pod sklepieniem wysokich rozło ystych drzew.

- Udało si - powiedział Łusy. - Mówilem madamce, e trzeba wyje d a po nocy, ale co j obchodz ludzie? Tylko wozów ałuje - po ciemku mo na hukn w dziur i po samochodzie!

Przedrze niał swój szefow . Dokładnie tak, jak my, pupilki, przedrze niamy swoich sponsorów.

Zbli ał si ju do nas człowiek w skórzanych spodniach, z gumow palk u pasa. Barczysty, kr py i garbaty.

- Czolem - przywitał si .

- I tobie - powiedział Łusy.

- Przywiozle ? - zapytał człowiek z palk .

- Wsiadaj - rozkazał Łusy. - Widzisz? - zapytał garbatego. - Mo e by ?

75

- W porz siu - powiedział garbus, ogl daj c mnie, jak prosiaka na rynku.

Podeszli my razem do domu zbudowanego z grubych bierwion. A okna były malutkie i w ziutkie. W rodku, za przedpokojem, w którym stały puste beczki i skrzynki i pachniało zgniłymi kartoflami, była du a izba z niskim sufitem. Pod cian znajdował si kominek. Takie same, tylko wi ksze, były w domach sponsorów. Przy kominku na podłodze le ały skóry zwierz t i pelzaczy. Siedzieli na nich ludzie - chyba pi ciu. Na nasz widok wymruczeli niezrozumiałe powitania. Łusy był tu swoim człowiekiem.

- Przywiozle ? - zapytał człowiek z g st czupryn i bardzo ciemnymi oczami, osadzonymi blisko szczupłego garbatego nosa.

- Przecie widzisz. - Łusy wskazał na mnie.

K dzierzawy podszedł do mnie, a ja, jak zauroczony wpatrywałem si nie w niego, a w jego ubranie. Ten człowiek nie tylko o mielł si zakry swój nago , ale na dodatek uszył sobie ubranie, na widok którego osłupiałem. Tkanina, z której uszyty był strój, błyszcziała i mieniła si t cz , na dodatek pokryta wzorami haftowanymi złotymi i srebrnymi ni mi, a w skie obcisłe spodnie wpuszczone były do dziwnych butów, takich wysokich i niewygodnych, e nie wytrzymałem i bez sensu zapytałem:

- Jak si to nazywa?

- To si nazywa botforty, takie buty z cholewami - powiedzial k dzierzawy. -

Nie widziale takich?

- Nie, nie widzialem.

- W lesie mieszkale ?

- Nie, nie w lesie.

Nie podobal mi si ten czlowiek, to byl zly czlowiek. Jak ka de domowe zwierz , zale ne od laski silniejszego, mialem wyczulony niuch na ludzi i sponsorow. Sponsorzy, w ko cu, te ro ni bywaj .

- C6 , gratulujemy szcz liwego przyjazdu - powiedzial k dzierzawy. Nagle mocno chwycil mnie za przedrami , a ja odruchowo odtr cilem jego r k .

- Bardzo dobrze - powiedzial k dzierzawy odsuwaj c si ode mnie. - Odruchy wspaniale. Mi nie w porz dku. Nie to co te parchy, co nam si ostatnio trafiaj .

Mutanty pochromolone!

Nie rozumialem, co go obchodz moje odruchy.

- Pocz stujcie faceta - polecil k dzierzawy.

Na niewysokim podwy szeniu przed lud mi staly jakie gliniane naczynia i le alo jedzenie. Przypomnialem sobie, e wla ciwie nie zd ylem zje niadania.

76

- Co chcesz? - zapytal k dzierzawy.

- Jestem glodny - odpowiedzialem.

- Wiem, e jeste glodny. U Madamaszki nie napasiesz brzucha.

Pozostali roze miali si , Łysy te . K dzierzawy odlamal nó k gotowanej kury (co takiego jadlem ju raz w tajemnicy - udalo mi si gwizdn z s siedzkiej kuchni), a ja wbilem w ni z by. Garbus wzi ł ze stolu kartofla i rzucil mi. Z

wdzi czno ci chwycilem bulw i zacz lem j je .

- A on co - jest baptyst ? - zapytal nagle k dzierzawy Łysego.

- Nie, trochę wir, dziki, ale tak to normalny, nie baptysta. Jak wytrenujesz -

bdziesz wdzi czny. Przecie oddaj go za grosze.

Odeszli nieco dalej i rozmawiali dalej. Sprzecza li si . Nawet rozumia em, e mowa jest o mnie i e Łysy chce otrzyma za mnie pieni dze. Pewnie, my la em, za to , e stracił tyle czasu wioz c mnie tutaj. K dzierzawy wyj ł portmonetk , zacz ł wyci ga _ monety, potem przechwycił moje ciekawe spojrzenie i powiedzia ł

do jednego z siedz cych:

- Nalej mu - droga niełatwa.

Tamten - ponury drab, nieprzyjemny, o wygl dzie zbója, czoło zaro ni te, oczu nie wida w oczodołach - nalał mi do glinianego kubka prze roczystej cieczy z dzbana, a ja byłem mu wdzi czny, bo po kartoflu chciało mi si pi .

- Dzi kuj - powiedzia em i lykn łem łapczywie. . .I zrozumia em, e umieram!

Wiedzia em, e co takiego jak wódka istnieje, i wiedzia em od sponsorów, jakie przera aj cy wpływ na organizm ma na ludzi, ale nie podejrzewa em, e w naszych cywilizowanych czasach kto o mielił si produkowa wódk .

Zreszt - w tamtej chwili wcale tak nie my la em - po prostu kaszla em, chrypia em, traci em oddech zgi ty w pół.

- Daj mu wody popi ! - zawoła ł k dzierzawy.

Podano mi drugi kubek z wod , lykn łem i zrobiło mi si nieco lepiej.

- Teraz dopij - poleciał k dzierzawy.

Nie wiedzia em co mam dopija - wod czy wódk , ale nie odwa yłem si zapyta . Gardło zapłon ło ywym ogniem i chcia em umrze z obrzydzenia do samego siebie. .

Usiadłem w k cie, podkurczy em kolana i postanowile m w tej pozycji doczeka si mierci.

Jak przez mgł slyszalem, jak egnaj si ze wszystkimi i odchodzi Łysy.

77

- egnaj pupilku-popapra cu - powiedzia ł do mnie. - Mam nadziej , e szybko ci tu przytr rogów.

Zrozumia em, e jest przepelniony nienawi ci do mnie.

Nieoczekiwanie Łysy mocno d gn ł mnie czubkiem buta w bok, chcia em mu odda , ale w głowie

mi si kr ciło, wi c postanowilem, e pó niej - je li b d ył, to te go uderz . Łysy wyszedł, jacy ludzie wchodzili i wychodzili. Stopniowo humor mi si poprawił, nawet mogłem stan na nogach, chocia od razu zanosło mnie w bok i musialem szuka ciany, e si jej przytrzyma .

Wszedł k dzierzawy, wła ciwie - pojawil si w polu mojego widzenia. Jego oczy znajdowały si blisko moich,

- yjesz? - zapytał.

- Bardzo yj . - U miechn lem si głupio.

- No to wietnie - powiedział. - Chod my, urz dz ci .

- A kiedy ona przyjdzie?

- Kto?

- Pani Markiza, a któ by jeszcze? Moja pani-madamka mnie do niej skierowała.

- Wkrótce. wkrótce - powiedział k dzierzawy, fałszywym tonem, jakim przemawia si do dzieci, eby si odczepily.

Poszedłem za k dzierzawym na zewn trz, a nogi mi si pl tały. Był miesznie.

Ci arówka Łysego odjechała. W krzakach zobaczyłem czarny kryty powóz.

- Wła - polecil k dzierzawy - i pij.

- Przepraszam - zaoponowałem. - Nie przedstawiłem si jeszcze.

Wyci gn lem do niego dło i przedstawiłem si :

- Timofiej. Zuch, e hej!

- A ja jestem a do mierci twoim panem - powiedział k dzierzawy. - Mo esz mówi do mnie panie Achmecie.

Co robil z moimi r kami - szcz kn l zamek, moje przeguby znalazły si w metalowych obr czkach, poł czonych krótkim ła cuchem.

- Co pan? - zapytałem. - Czy wszyscy tu powariowali?

- To eby mie pewno , e nie uciekniesz. No - id kład si !

Ci gle chichocz c spróbowałem wle do powozu, ale r ce mi przeszkadzały.

Pan Achmet podsadził mnie. W rodku było siano. Poło yłem si i powiedziałem, e b d spał.

79

Rozdział 4

Pupilek w ród gladiatorów

Ockn łem si w ciemnym pokoju z niewielkim okratowanym oknem. Poczulem si , jakbym znowu trafił do fabryki słodyczy. Tyle e le ałem nie na pryczy, a na kamiennej podłodze - podłoga było zimna, bok mi cierpł, r ce zgrabiała. Pami natychmiast podsun ły ostatni scen z pokoju z kominkiem. Zrozumiałem, e napojono mnie oszalamiaj cym napojem, eby przewie do innego miejsca.

Usiadłem. S dz c po barwie powietrza za oknem, zmierzchało. Spróbowałem si podnie , ale udało mi si to wcale nie za pierwszym podej ciem. Rozcierałem bok i r ce i zobaczyłem na przegubach dwa siniaki - nie od razu domy liłem si , e to lady po bransoletkach, w których mnie wieziono. Wołałbym ju zosta na fabryce słodyczy, wołałbym przerzUCA trupy g sienic.. Dziwne, jakie wszystko jest wzgl dne na tym wiecie! Teraz, przemarzni ty i głodny, uwa ałem ycie na fabryce za raj. A jeszcze, jak na zło , wyobra nie podsun ła obraz Irki, gor cej, ruchliwej jak rt , jak wspina si do mnie na prycz . .

Ponaglany zło ci wstałem w ko cu i - eby nie upa - podbiegłem do ciany i oparłem si o ni . Zrobiłem kilka ruchów r kami - gimnastyk , jak to okre lała pani Jajbluszko. Co rano wykonywali my z ni takie wiczenia. Wyci gali my do przodu r ce i unosili nogi - kształty i wielko były ró ne, ale ruchy - takie same.

Potem biegali my po trawniku w koło - oczywi cie, biegła wolniej ni jak, ale ja te si nie pieszyłem. Chocia ka dy jej krok - ze dwa metry, co najmniej..

Po dwóch-trzech minutach krew zacz ła kr y szybciej po moich biednych naczyniach krwiono nych, i ju si przymierzałem, eby podej do drzwi i wyłama kraty, kiedy moj uwag przyci gn ł widok za oknem.

Okno mojej celi znajdowało si na pi trze i wychodziło na mały zakurzony placyk, otoczony niskimi komórkami i składzikami, gdzieniegdzie poł czonymi murem z cegły. Na placyku znajdowało si kilka osób, zajmuj cych si dziwnym, na pierwszy rzut oka, zaj ciem. Ludzie ci byli uzbrojeni w miecze i topory na długich r koje ciach, walczyli ze sob , a kr py garbus z głów wroni t w szerokie ramiona, trzymaj c w r ku długi kij, okrzykami i tym wła nie kijem kierował pojedynekami. Nieopodal stał pan Achmet w przera liwie jaskrawym ubraniu, jakby udawadniaj cy wszystkim, e ma prawo czy te odwag łamana wszystkich prawideł sponsorów.

Chciałem go zawoła , ale walka trwała i gło ne okrzyki spoconych wojowników i tak

zagłuszyłyby moje krzyki.

Kiedy podszedłem do drzwi u wiadomilem sobie, e trafilem do studia filmowego, gdzie kr c filmy dla telewizji, a walcz cy - to aktorzy, wicz cy sceny ze starych wojen.

Pchn łem drzwi. Nie otworzyły si .

80

Zdziwiłem si - po co kto miałby mnie zamyka ? Przecie nie planuj niczego złego.

Drzwi były jednak zamkni te.

Zastukałem w nie. Ale to te nie pomogło.

Zacz łem wali w drzwi pi ciami, a wtedy z zewn trz kto krzykn ł co , a potem, kln c przera liwie w drzwiach pojawił si podobny do rozzłoszczonej małpy człowiek z pistoletem w r ku.

- Czego chcesz?

- Chc wyj - powiedziałem. - Ju si obudziłem!

- Obudził si ? - szczerze zdziwiła si małpa. - Obudził?

Stranik nijak nie mógł zrozumie o co mi chodzi. Wydaje mi si , e chyba zamierzał mnie zastrzeli , dlatego e gdy w jego oczach pojawiło si co jak zrozumienie, to jednocze nie towarzyszył temu ruch lufy pistoletu. Lufa unosiła si , póki nie d gn ła mnie w pier .

Na moje szcz cie na korytarzu rozległy si szybkie kroki.

- Co si tu dzieje? - zapytał pan Achmet.

- Hałasuje mi tu - poskar ył si stranik.

- Wytrzymasz - powiedział Achmet. - A pan, sir, czego potrzebuje?

- Chc wyj - powiedziałem.

- Jak si czujesz? - zapytał Achmet.

- Mo na wytrzyma .

Postanowiłem si nie skar y . Achmet miał takie kluj ce czarne oczy, e nie było sensu si przed nim u ala . Nawet moje mizerne do wiadczenie yciowe podpowiadało mi, e ten człowiek nie potrafi nikogo ałowa . W naszej kapciorze dla pupili był jeden z takimi oczami. Pogryzł pana, zadusił abczaka, a potem go pochwycili po nagonce z helikopterów. .

- Jestem zadowolony.

- Bałem się, e bdziesz się mazał - powiedział pan.

- Nie jestem mazgajem. Po co mnie pan tu przywiózł? Gdzie pani Markiza?

- Nie znam żadnych markiz, baronowych i hrabin!

- Ale Łysy obiecał..

- Jaki Łysy?

81

- Ten co mnie przywiózł!

- I sprzedał ci mi za sto dwadzieścia marek.

- Mnie? Sprzedał? Po co?

- Widocznie potrzebował pieniędzy.

- Ale czy człowieka można sprzedać?

- Jeśli znajdzie się kupiec..

Achmet nie artował, mówił serio. Stał w progu celi i spokojnie, cierpliwie wyjął. Zresztą Achmet. nigdy się nie gorczył - w jego niebezpiecznym fachu nie wolno się podniecać. Ale tego dowiedziałem się znacznie później.

Miał twarz w skórkę, jakby ci nie było z boków, tak się nos wystawał zbyt daleko do przodu, a skóra twarzy miała tak opaloną, była ciemniejsza od włosów i białek oczu. Poza tym miał w sobie - nigdy wcześniej nie widziałem, aby człowiek miał

takie w sobie. Czarne, ze zwisały cymy kości. Przypominał czarnego sumy. Ale bardzo ruchliwego, liskiego i złoźnego.

- Po co mnie pan kupił? - zapytałem.

- aby był taki, jak oni. - Wskazał brodzik, nie w tym celu, e już przez nie wcześniej wyglądałem. - Odważny i silny. Idź z nim. - Wskazał strażnika. -

Pokażę ci, gdzie się umywalnie i tak dalej. Potem przyjdiesz na podwórze. Jasne?

- Jasne - powiedziałem. - Ale Łysy nie powinien był mnie panu sprzedawać?

- Nie wiem, co powinien, a czego nie. Ja go widziałem dopiero drugi raz w życiu.

- On jest nieuczciwy! Kazano mu zawie mnie do Markizy!

- A co to znaczy - uczciwo? - Zdziwił się Achmet, a strażnik rozejm się, zahuczał niskim głosem. Myślałem, że zaraz zaczną bębnić owłosionymi pięściami po swojej klatce piersiowej.

Achmet objął mnie za ramię i poprowadził do wyjścia z celi.

- Nie zwracaj uwagi na takie drobiazgi - mówił, a jego złote włosy odbijały światło lamp z korytarza. - Masz szczęście, że znalazłeś się u mnie. Czy wolisz harów w fabryce słodczy?

- Nie, nie wolę - przyznałem.

- No widzisz, jak się dobrze składa! Ja, na przykład, nie znoszę zapachu sprawianych pelzaczy.

- Zupełnie się z panem zgadzam - powiedziałem. - Nie ma tam czym oddychać.

Wczoraj nawet mnie wiedziałem, że sponsorzy jedzą mięso.

82

- To wszystko jest proste - aby jedzą sobie podobnych, a nam kitujcie, że jesteśmy wegetarianami.

Odruchowo obejrzałem się - czy ktoś nie słyszy. Achmet zauważył ten odruch, uśmiechnął się, przepuścił mnie pierwszego przez drzwi.

Zapadał zmierzch. Zmrok powoli zalewał podwórze podobne do podwórza twierdzy; co prawda ciany jej nie były wysokie, a wrota miały kraty i widać przez nie było i las, nad którym widniał kawałek seledynowego zmierzchu tego nieba.

Ludzie, których umownie nazwałem aktorami, przestali się bawić i stali wpatrując się w nas.

- Chłopcy - powiedział Achmet - przedstawiam wam nowego. Chcecie się go, chcecie - bijcie, byle żeby nie pogruchoła, słyszyście, gadziny? On - to moja forsa. I żeby mi nie było tak, jak was znam: budzimy się rano, a facja nie ma. A gdzie jest?

Wojownicy zarechotali głośno, zginali się w pół ze śmiechu, a Achmet krzychał

- wyrażajcie się jak role :

- A facja, odpowiadaj moi chłopcy, zjadły myszki!

Prostacki rechot ołnierzy spowodował, że poczułem się bardzo niewyraźnie. W

końcu, rozumiałem to dobrze, wszystko to, co się tu teraz dzieje, odnosi się do mnie.

Moje najgorsze obawy zacz ły si sprawdza ju po kilku minutach.

Klown Achmet w milczeniu obserwował, jak wojownicy oddawali bro kwadratowemu garbusowi, w olbrzymich paluchach którego miecze i kopie wydawały si by szpilkami, Garbus ogl dał bro i przekazywał dwóm nagim niewolnikom, którzy stali za jego plecami. ołnierze ju zapomnieli o mnie, rozmawiali mi dzy sob , niektórzy poszli pod prysznic, inni najpierw oczyszczali swoj skór z potu i pyłu specjalnymi skrobaczkami.

- Prupis - powiedział Achmet. - Zajmiesz si nowym?

- A gdzie go da ? - zapytał garbus.

- Poló na prycz Ormianina - powiedział klown Achmet. Dopiero teraz, w resztkach słonecznego wiatła zobaczyłem, e ma pomalowan twarz - oczy podkre lone tuszem, podczernione brwi, na policzki nało one rumie ce. czy by wszystko mu było wolno?

- Nie warto - powiedział kwadratowy Prupis - chłopaki nie b d zadowolone.

Jeszcze nie min ł tydzie od mierci Ormianina.

- Wyja nij, e nie mamy innej wolnej pryczy.

83

- A oni go zatłuk .

- Jak da si zatłuc, to znaczy, e do niczego by mi si nie przydał.

Rozumiałem, e mowa idzie o mnie, i jednocze nie nie mogłem tego poj . Czy ja zrobiłem co złego tym ludziom?

Stałem ze spuszczoymi r kami i oczekiwałem rozwoju wypadków.,

- Pójdiesz si my ? - zapytał Prupis.

- A mog ?

- Je li tylko nie jeste zara ony.

- Sk d! Przecie ogl dał mnie lekarz!

- Lekarz? - zdziwił si Prupis. - Gdzie ty znalazł lekarza?

- W domu - powiedziałem.

- Cuda-wianki - powiedział Prupis. - Co to za dom taki?

- Uciekłem - powiedziałem. - A potem mnie tu przywieziono.

- Aha, słyszałem - zgodził się Prupis.

Kiwaj się na pal kowatych nogach, niemal dotykaj się koniuszkami palców ziemi, skierował się pod prysznic. Poszedłem za nim.

Chciałem wierzyć w dobro i poczucie sprawiedliwości ci Prupisa. Człowiek powinien zawsze mieć nadzieję. Ostatnio tak często traciłem nadzieję, a byłem już tym miernie zmęczony i gotów byłem pójść na skraj świata za dowolnym człowiekiem, który obieca przynajmniej: "Nie będzie ci bił!".

Prysznic był podzielony na kabinki bez drzwi - Prupis wskazał mi pierwszy z brzegu. Woda była gorąca, na drewnianej półeczce przybitej do ściany leżał

kawałek mydła - dawno już nie widziałem mydła. Wykąpałem się starannie.

Prupis czekał na mnie. Kiedy wyszedłem powiedział:

- Ale długo.

Podał mi czystą ściereczkę, abym się wytarł.

- Byłem brudny, po tej fabryce słodczy.

Ale Prupis nie wiedział, co to fabryka słodczy.

- Opowiesz mi potem - machnął niebacznie ręką.

Poprowadził mnie do parterowego budynku - w jaki sposób budynek był

podobny do piwnicy, w której spędziliśmy dwa dni, ale tutaj nie było prądu, tylko łóżka. Były zaćmione szarymi kocami, przy każdym łóżku - szafka, a 84

ściany przy węzłach były pokryte rysunkami. Albo przedstawiały wojowników, albo gołe kobiety - to zależało od gustu moich współmieszkańców.

Wiedziałem, że ucieknę stąd, i to możliwie szybko. Chciałem zobaczyć Irka, a poza tym niepokoiła mnie ta nowa "piwnica" - panował w niej zapach okrucieństwa. Czulem to wyraźnie: budynek i podwórko były przesiąknięte złością i gwałtem.

Prupis przeprowadził mnie przez długie sale, między łóżkami. Niektórzy z wojowników już wrócili do sali - jeden co chwila, siedział na łóżku, kilka osób siedziało przy długim stole, stojącymi między rzędami łóżek.

Prupis doprowadził mnie do łóżka przy ścianie i powiedział:

- Tu b dziesz spał.

Potem popatrzył na mnie, obmacał moje spodnie ze zgrzebniny, i zapytał:

- Nosile kiedy prawdziwe ubranie?

ylasty chudy i smagły człowiek, siedz cy na ló ku obok, powiedział:

- Przecie to le ny, dzikus. Po co mu spodnie w lesie?

Roze miał si ze swojego dowcipu, co poniektórzy przy stole zawtórowali mu.

Zza stołu podniósł si ci ki w saty m czyzna z czolem zeszpeconym wypukł

szram i powiedział:

- Master, nie chcemy, eby on spał na pryczy Ormianina.

- Pan Achmet kazał - powiedział Prupis, w widoczny sposób skonfundowany słowami w sacza. - Mówilem mu - nie min ł tydzie , a on kazał poło y go tu.

- Pi dni - powiedział ylasty smagły s siad. Zobaczyłem teraz. e ma sko ne czarne oczy.

- Ja tam nie mam nic do gadania - powiedział Prupis. - A wy sobie róbcie, co chcecie.

Potem odwrócił si do mnie:

- Przypomnij mi jutro, dam ci prawdziwe spodnie. str.103 ksi ki Odszedł, a ja popatrzyłem na pozostałych mieszka ców pokoju. Po prysznicu wszyscy przebrali si - i, co dziwne, okazało si , e maj nie tylko spodnie, niektórzy szerokie, lu ne, a inni w skie, skórzane, ale jeszcze i koszule albo kurtki, - tu nikt nie zwracał uwagi na zakazy sponsorów. Oczywi cie trzeba b dzie spyta o to s siadów, ale rozumiałem, e teraz im mniej zwracam na siebie ich uwag , tym lepiej.

85

Podszedłem do pryczy, była teraz moja. "Jaki Ormianin? - my lałem - Dok d wyjechał? Mo e umarł?"

Na pryczy le ał szary koc, w głowach - poduszka nabita sianem. Spodobało mi si - nigdy w yciu nie miałem własnej pryczy. Usiadłem, eby wypróbowa czy mi kka.

- A ty, co si tak rozsiadł? - rozległ si głos.

Podniosłem głow : w sacz ze szram wisiał nade mn .

- A no, spadaj z ló ka!

Podniosłem si .

- Przepraszam - powiedziałem, - ale pan Prupis powiedział, e tu b d spa .

- Ach , pan Prupis mu powiedział ! - z ironi w głosie powtórzył w sacz.

Szrama na jego czole poczerwieniała. Jednym szybkim ruchem uderzył mnie pi ci w szcz k , a ja, zaskoczony napa ci , upadłem na prycz .

Nikt nie powstrzymał w sacza, wszyscy zacz li si mia , jakby ogl dali zabawne widowisko.

- Za co? - krzykn łem.

- A za to! - w sacz wzi ł rozmach i kopn ł mnie w nog czubkiem buciora.

Zawylem z bólu.

- No, na podłog ! - rykn ł w sacz, doprowadzony ju do takiego stanu, e mógł

mnie zabi .

Spelzłem z łó ka na podłog , starałem si wczolga pod nie, ale czarny but dosi gał mnie, zap dzał gł biej. W pył, w ciemno , - bolało, było strasznie. Ale nie byłem niczemu winien! Kiedy wymierza si pupilowi kar , zawsze wiadomo za co! Albo zbile fili ank , albo ukradłe jedzenie. Ale tutaj! Za co?

- Zostaw go, Dobrynia - powiedział mój smagły s siad, który siedział na s siednim łó ku i nie brał udziału w biciu. - On przecie nie wiedział, e Ormianin był twoim druhem. To dziki.

- Dobra - powiedział w sacz - nie b d na niego tracił czasu. - Ale ty, mózgowiec, uwa aj! Spróbujesz poło y si na pryczy Ormianina - zabij !

- To co mam robi ! - spytałem, wyla c spod łó ka zakurzony, pokryty paj czynami. Wygl dałem rzeczywi cie ało nie. Rycerze, którzy wstali od stołu i podeszli bli ej, eby nacieszy si bójk , mieli si ze mnie. A ja byłem bliski płaczu!

- B dziesz spa na podłodze - u miechn ł si krzywo w sacz Dobrynia.

86

Podniosłem si i dopiero wtedy zobaczyłem, e jeste my tego samego wzrostu.

Ale on był przera aj cy, a ja - ja w nikim nie budziłem strachu.

- A teraz - powiedział Dobrynia, u mieszek nie schodził z jego chamskiego pyska - pocałujesz mnie w r k . Masz!

Wyci gn ł do mnie nadgarstek, i eby roz mieszy wszystkich wygi ł go do góry jak kobieta. R ka podpełzła do mojej twarzy; paznokcie były połamane, pod nimi czarny brud.

- No!

I wtedy ugryzłem go w doln cz dłoni. Zrobiłem to odruchowo. Sam si wystraszyłem - wiedziałem, e teraz nie b dzie dla mnie zmiłowania.

Rozległ si rozpaczliwy lament Dobryni.

- Przegryzł mi r k ! Jadowity jest, tak? Ach ty, draniu!

Rzucił si na mnie jak huragan, teraz ju wiedziałem, e nikt mnie nie uratuje -

ukry si przed nim pod prycz nie zdołam. I zacz łem oddawa .

Z pocz tku oddawałem bezmy lnie, na o lep, staraj c si tylko unikn ciosów, ale ból i poczucie

krzywdy zmusiły mnie do odskoku i stopniowo zacząłem kojarzyć co do czego. Co więcej, udało mi się uniknąć prostego sierpowego i uniknąć wsty, strzelił go w podbródek tak, że zawył i na moment przestał mnie bić, bo złapał się za szczęk.

A ja zupełnie się rozbestwiłem - przeszedłem do ataku. Oczywiście, nie miałem takiego doświadczenia, a wszystkie moje dotychczasowe bójki były bójkami z innymi pupilami, i zazwyczaj rozdzielali nas właściciele, ale mimo wszystko zupełnie nowicjuszem w bójkach nie byłem. A oprócz tego, byłem sporo młodszy i bardziej zwinny niż Dobrynia.

Bąłem się, że pozostali rycerze rzucą się na mnie i zaduszą, ale oni otoczyli nas szerokim kręgiem i obserwowali nasz bój, jak walkę dwóch kogutów, z krzykami, dopingującymi odgłosami. Wkrótce okazało się, że mam swoich zwolenników, czego dowiadywałem się z okrzyków, nastąpiły po chwili moje udane ciosy.

Doszedłem do siebie i przekonałem się, że nadal z odskokiem lub unikami, do czego Dobrynia okazał się zupełnie niezdolny. Kilka razy w ten sposób udało mi się odczuwalnie go trafić, podczas gdy jego młoty nie trafiały celu.

Miał rozbity nos, z wargi ścieła się krew. Trafiłem go w oko i, nie bez złośliwości, pomyślałem, że mu spuchnie.

87

Dobrynia coraz bardziej tracił rozeznanie. Przywykł, widząc, do słabych przeciwników, albo uznał mnie za niegodnego uwagi i dlatego nie zmobilizował

swoich sił na czas. A teraz nacierałem na niego cały czas i wiedziałem, że za chwilę będzie go miał u swoich stóp.

Zgiełk tłumu widzów, zdziwionych i, jak mi się wydawało zagrających, mówił mi, że muszę się spieszyć, zanim ktoś rzuci mi się z pomocą.

Ale nagle zdarzenia przybrały nieoczekiwany dla mnie obrót; Dobrynia odskoczył ode mnie i pobił wzdłuż szeregu przecz. Stałem, niczego nie rozumiejąc, starając się złapać oddech i wycierałem zalewając mi oko krew z rozcięcia brwi.

- Ej! - ktoś krzyknął.

I zobaczyłem, że Dobrynia sunie ku mnie, trzymając nad głową niewielki bojowy toporek. Twarz miał zalany krwią i podejrzewam, że załepiony nie wiedział dokąd biegnie.

Od miernicy dzieliły mnie sekundy, błyskawicznie przeskoczyłem łokcie, a widzowie rozstąpiły się, przepuszczając mnie.

Dobrynia przeskoczył przez łokcie nie zdołał, zaczepił butem, upadł w poprzek i zachrypiął,

przebieraj c nogami, jakby biegł dalej.

W tym wła nie momencie do sypialni wszedł Achmed w towarzystwie kwadratowego Prupisa.

Od razu zauwa yli bałagan i Achmed, potrafi cy sprawia wra enie, e nic specjalnego nie zaszło, nawet gdyby miało miejsce trz sienie ziemi, spytał

pólglosem:

- Co to za bardak?

Zaległa cisza.

- On. .podst pnie.. na mnie napadł.. - wydusił Dobrynia, próbuj c si podnie , ale nogi nie mogły go utrzyma . Toporek wypadł mu z r ki i gło no stukn ł o podłog .

- A ty co powiesz? - Pytanie nie było skierowane do mnie - ze mn nikt nie miał zamiaru rozmawia . Pytanie było do mojego smagłego s siada.

- Dobrynia go szkolił - powiedział smagły.

- Ja tego skurczybyka. . ja go. . on tu nie po yje. . - chrypiał Dobrynia.

- Szkolił toporem? - spytał Achmed.

Smagły u miechn ł si , doceniwszy art gospodarza.

88

- On by i czolgiem szkolił. . najpierw óltodzioba wym czył, - powiedział, - a potem kazał si po r kach całowa .

- A óltodziób r czek nie całuje? - z zainteresowaniem spytał Achmed.

- Nie lubi jako .

Kto si roze miał.

Byłem tak zm czony, jakbym cały dzie podnosił ci ary - jeszcze chwila i padn .

- A ty siadaj na prycz - powiedział Prupis. - Niczego nie wystoisz.

Usiadłem z wdzi czno ci . Smagły rzucił mi szmat . Chwyciłem j - była wilgotna.

- Wytrzymaj si - powiedział.

Kto pomógł si podnie Dobryni i ten, mamroc c pod nosem gro by, odszedł

w drugi koniec pomieszczenia, gdzie nad jego łó kiem wisiało kilka plakatów z nagimi kobietami w wyzywaj cych pozach.

Wytarłem twarz.

- Nie działał podst pnie? - spytał Prupis smagłego.

- Nie, tylko ugryzł Dobryni w r k .

- Dobra, ujdzie.

Pan Achmed wyszedł na rodek pokoju, podszedł do stołu, oparł si opuszkami palców o jego brzeg i powiedział znacz co:

- Do tej pory milczałem - my lałem, niech si nowy sam poka e. Je li kto go zatłucze - to b dzie sobie sam winien.

- Słusznie - krzykn ł kto . Wesolo, pokpiwaj c.

- Ja Dobryni na niego nie napuszczałem. I nikt inny te nie napuszczał.

- To przez to łó ko - powiedział smagły. - Spał na nim Ormianin. Jego kumpel.

- Wiem o tym lepiej od ciebie - powiedział Achmed. - Ale ja Dobryni nie napuszczałem. Nikt nie napuszczał. Sam polazł. My l , e nowy pasuje do nas, co?

Odgłosy były bardziej popieraj ce, ni niech tne.

- Tak wi c przedstawiam, Tymoteusz.. A twoje nazwisko?

- Wła cicielami byli Jajbluszek - powiedziałem.

89

- Dure - powiedział Achmed. - Wła nie wszystkim powiedziałe , e byle pupilkiem u ab, teraz wszyscy b d si z ciebie mia , ycia mie nie b dziesz.

Ale ja te ju byłem inny ni godzin temu.

- Niech no tylko spróbuj - powiedziałem.

- Nie zaperzaj si . Nawet nie jeste sobie w stanie wyobrazi , ile jest sposobów na to, eby człowieka rozumu nauczy .

Pan Achmed podrapał si po potylicy.

- To jakie nazwisko mu nadamy? - spytał.

- Czapajew - krzykn ł kto z tyłu. - Zabili nam Czapajewa.

- Nie. Na Czapajewa trzeba sobie zasłu y , to wielki bohater. .

- Niech b dzie Lancelot - powiedział smagły. - Lancelota zabili nam ju dawno.

- Dobra, - powiedział Achmed. - Tak i zapiszemy. Tymoteusz Lancelot.

Wspaniały rycerz, obro ca słabszych, człowiek odwa ny. Takie nazwisko to odpowiedzialno . Ud wigniesz?

- Dam rad - powiedziałem, cho nigdy wcze niej nie slyszalem o Lancelocie. I nie marzyłem nawet, e kiedy b d miał nazwisko. Mówiła mi kiedy Jajbłoczko, e niektórzy, najbardziej szacowni, ludzie maj nazwiska, ale, prawd mówi c, nawet nie bardzo wiedzialem co to jest nazwisko. A teraz mam własne. I jakie ładne.

Powtarzałem sobie: Lancelot, Lancelot, Lancelot. .. jakbym obracał w ustach cukierek. Tymoteusz Lancelot.

- I na afiszu te b dzie nie le wygl dało. - Tymoteusz Lancelot.

Pierwszej nocy spałem fatalnie. Bałem si , e Dobrania, zabanda owany i oklejony plastrami, wstanie i zar nie mnie.

Kiedy który z moich s siadów - a było ich w pokoju ponad dwudziestu - budził

si i wychodził za potrzeb , zaczynałem wpatrywa si w ciemno , oczyma wyobra ni widz c zbli aj cego si zabójc . W r ce ciskałem zabrany, przed snem, z podwórza du y metalowy hak. Ale kroki oddalały si , skrzypiały drzwi -

udało si ! Dopiero o wicie dotarło do mnie, e Dobrynia postanowił mnie nie zabija .

Pozostali nic do mnie nie mieli.

Rano obudził nas gong. Wszystko wygl dało podobnie jak w fabryce słodyczy, tylko zupełnie inna była zr czno i energia w ruchach, rozmowach, przy myciu, przy niadaniu - tu, w odró nieniu od fabryki, zebrani byli młodzi, silni ludzie, którym chciało si rusza .

Przeci gaj c si na pryczy, która okazała si o wiele bardziej mi kka, ni mo na było oczekiwa , nagle zdałem sobie spraw , e nadal nie wiem, czym zajmuj si ci młodzi rycerze, jednym z

których, oczywi cie, powinienem si sta .

I nie wiadomo było, czy lepiej uciec, czy pokornie oczekiwa na to co przyniesie los.

- Obudziłe si ? - spytał smagły, czarniawy s siad, który był po mojej stronie w czasie bójki z Dobryni . - Jak si spało?

- Swietnie - powiedziałem.

S siad zgrabnie wyskoczył z łó ka i zacz ł robi pompki.

- Byłe pupilkiem, tak? - spytał.

Na wszelki wypadek nie odpowiedziałem. K tem oka obserwowałem jak podnosi si , cały w plastrach, Dobrynia. Unikał mojego wzroku.

- Nie chcesz to nie mów - to zupełnie wszystko jedno pod jak legend si umiera, prawda, Lancelot?

- Na imi mam Tymoteusz - powiedziałem. - Tym.

- Dziwne imi . Nigdy nie słyszałem.

- Tak nazwała mnie maszyna w inkubatorze. Jej wszystko jedno. A pani Jajbłoczko powiedziała, e tak nazywano chrze cija skie dzieci.

- Chrze cija skie dzieci? - nie wiedział co to znaczy. Ja te nie wiedziałem.

- Znaczy si , z inkubatora - powiedział s siad. - Znaczy si , pupilek. A mo e ----

-----? No, przyznaj si .

Zobaczyłem, e na kraw dzi mojego łó ka wisz nowe spodnie i kurtka.

Wiedziałem, e w ród ubranych lepiej te by ubranym, dlatego wło yłem je na siebie. Ubranie było ciasne.

Czarniawy patrzył na mnie z u miechem.

A ja nazywam si Batu-chan. Był taki zdobywca. Pól wiata podbił i cał Rosj .

Rosj podbili sponsorzy - powiedziałem.

- Nazywaj mnie Batu-chan - powiedział mój s siad. - A w ogóle to jestem Wowa. Wowa Batu-chan, dobra?

- Dlaczego macie jakie takie dziwaczne imiona?

- Dlatego, e jeste my rycerzami, a rycerze musz mie rycerskie imiona.

To znaczy, e jeste my rycerzami? Ale co to oznacza?

Wowa Batu-chan zaprowadził mnie do lazienki - nie było tu kolejki.

91

W jadalni był nakryty białym obrusem stół, na którym stały naczynia z kasz i mi sem. Niektórzy witali si ze mn , ale nikt nie stroił sobie ze mnie artów.

Usiadłem obok Batu-chana. Dobrynia z daleka pokazał mi swój pot ny kulał, a mnie zdziwiło jakim cudem udało mi si go wczoraj pokona . Potem dotarło do mnie, e on nie oczekiwał oporu od takiego szczeniaka, jak ja.

Dopiero co zacz li my je , kiedy wszedł pan Achmed, za nim kwadratowy Prupis z pejczem w r ce. Obaj byli w obcisłych skórzanych strojach. Usiedli na szczycie stołu. Jedli t sam straw co my.

Po niadaniu pan Achmed odszedł, a my poszli my za Prupisem na podwórze.

Sło ce stało niewysoko, podwórze krył bł kitny cie , było chłodno.

Niewolnicy przynie li bro - sterty mieczy i kopii. Ka dy z nas podchodził po kolei do stosu broni i Prupis wydawał ka demu - miecz lub kopi . I ja te dostałem, jakbym tu był od zawsze. Miecz był bardzo ci ki, ci szy ni kopia.

Usiedli my na długiej ławce, ja w pobli u smagłego Batu-chana - ju go sobie wybrałem na przyjaciela. Nie wiadomo tylko, czy on zgodzi si by moim przyjacielem?

Ale Batu-chan nie zaprotestował, gdy usiadłem obok. Kamieniem ostrzył swój miecz.

- Co my tu robimy! - spytałem.

- Nic, odpoczywamy - powiedział Batu-chan.

- A co b dziemy musieli robi ?

- Dzi ?

- Dzi i pó niej.

- Dzi b dziemy trenowa . A potem - walczy .

Rozmawiał ze mn cicho, spokojnie, ale wci zerkal na rozja niony slo cem rodek podwórza, gdzie stal Achmed z Prupisem.

- Chłopcy - krzykn l Prupis. - Dawajcie, bli ej do mnie.

Rycerze bez po piechu okr ali Prupisa. Nie bylo tu strachu, do którego przywyklem. Przecie czlowiek zawsze powinien si ba - tresera, sponsora, silnego. A tu - nie. I to budzilo we mnie szczególny wewn trzny niepokój, wi kszy ni zazwyczaj. Je li tam, gdzie panuje zwykly strach, boisz si bólu, to tu - czujesz mier ! Z pewno ci tak wła nie czuj si , pomy lalem, g sienice-pelzacze, gdy przywo je do fabryki slodyczy. One, nierozumne, nie wiedz co z nimi zrobi , a mimo to dr ka dym włoskiem.

92

- Dzi - powiedzial Prupis, widz c, e wszyscy go sluchaj , - dzi wiczymy walki indywidualne. Nowicjuszom i juniorom niezbdny jest trening. Weterani -

wedle yczenia.

Dobrynia roze miał si . Przerą enie mnie ogarniało, gdy patrzyłem na jego poklejon twarz. Tacy jak on nie przebaczą krzywd.

- Przepustki b d ? - spytał.

- Dla ciebie nie - powiedział Prupis. - Posied w koszarach.

- Za co taka niełaska, panie?

- A za to, e le uczyłe nowicjusza.

Tu wszyscy popatrzyli na mnie.

- Prawd mówi c, ten dra zaskoczył mnie - Dobrynia u miechn ł si krzywo. -

Ale obiecuj wam panie, e rozetr go razem z błotem po podłodze. A kiedy - to tajemnica, chc , eby czekał. Czekanie na chłost jest gorsze ni sama chłosta.

Ta sentencja rozbawiła rycerzy.

- A ja my l - powiedział Batu-chan, - e po prostu boisz si , e przyb dzie ci kilka nowych plastrów.

Dobrynia obrócił si do mnie i pu cił oko:

- Ja - cho by zaraz!

Spi lem si wewn trznie, ale wiedziałem, e je li oka l k, to nigdy ju nie b d miał spokoju. Niech mnie bije, niech boli, ale najwa niejsze - to nie ba si .

Dziwne, e tak wtedy pomy lałem - przecie przyzwyczajony byłem do ci głego ulegania wła cicielom.

- A ja jestem zadowolony - powiedział, milcz cy do tej pory, kwadratowy Prupis. - Ten ółtodziób mi si spodobał. Je liby pozwolił sobie nało y -

wyp dziłbym go, albo zrobił z niego niewolnika. Ale ten chłopak ma charakter.

To znaczy, e pan Achmed nie na darmo za niego zapłacił. Teraz ty, Dobrynia i Tym jeste cie towarzyszami broni. B dziecie obok siebie walczy . Rusz troch szarymi komórkami i pojmi j - lepiej y normalnie, ni urz dza klótnie. Wielu ju zalazłe za skór - chcesz si przypadkiem nadzia plecami na kopi ?

Dobrynia u miechał si cały czas, a u miech miał wredny. Nic nie odpowiedział, cho wargi jego prawie niezauwa alnie poruszały si , jak u człowieka, który klnie pod nosem.

- No to wspaniale - powiedział Prupis. - Zaczynamy!

Weterani - a było ich w ród nas siedmiu, czy o miu - powoli odeszli, a pozostali, w tym równie ja, wzi li ci kie miecze i ustawili si w dwuszeregu, twarzami do siebie.

93

Nie zadawałem pyta . Ju zrozumiałem - im mniej pytasz, tym dłu ej po yjesz.

R koje miecza była wygodna, wida kto nie raz trzymał j w r kach, - nawet owini ta była ta m izolacyjn , eby pewniej le ała w dłoni.

Na przeciw mnie stał krpy długowłose brunet. Nogi rozstawił szeroko, a miecz skierował szpicem ku ziemi. Był o wiele niższy ode mnie i nie musiał się przy tym schyla .

Prupis podszedł do mnie i stanął obok.

- Jurgen - powiedział do bruneta, - uważaj, nie skalecz nowego.

- Niech się broni - powiedział ten, bez cienia uśmiechu.

- Przypomnij sobie, jaki ty byłeś pierwszego dnia.

- Dobra, artur - powiedział Jurgen.

- Kiedy już miecz w rękach miałeś? - spytał Prupis.

Oczywiście miałeś, kocię, z pewnością ci były straszne, jeśli miałeś w tym człowieku wroga.

- Tylko drewniany - powiedziałem, uśmiechając się nieznacznie, jakbym był

winien, że w dobie komputerów i statków kosmicznych nie trzymałem w rękach miecza. - Kiedy byłem w stadninie.

- Nauczysz się - powiedział Prupis. - Na razie powtarzaj ruchy Jurgena.

- Widziałem na filmie - przypomniałem sobie.

- W pierwszej kolejności ci przypomnij o wszystkim co widziałeś w kinie -

powiedział Prupis.

Przeszedł mi dźwieszeregiem, stanął na kolanach i podniósł potnij ręką bez dwóch palców, podobnie do chwytaka przemysłowego robota.

Jurgen uniósł miecz. Ja też uniosłem miecz.

Jurgen machnął mieczem, próbując mnie uderzyć, ja oddałem cios - ostrze mojego miecza z nieprzyjemnym zgrzytem uderzyło o miecz Jurgena.

- Co ty? - spytał Jurgen. - Miecz chcesz rozwalić?

- Bronię się - powiedziałem.

- Hej, Lancelot - krzyknął Prupis. - Przestań się bić. Patrz, jak robi to inni!

Jurgen, poczekaj!

Dopiero teraz dotarło do mnie, że moi sąsiedzi nie walczyli na miecze, a wykonywali nimi jakie

wystudiowane, okręgle, prawie taneczne ruchy, zaledwie 94

muskał się siłami; ci się zamieniali się rolami: najpierw atakował jeden, a drugi bronił się, potem drugi..

Przyglądałem się ich ruchom kilka minut, potem posłuchałem jak Prupis instruuje uczniów, którzy byli niewystarczająco staranni i precyzyjni w ruchach i zwołałem do Prupisa:

- Mogłobyś spróbować ?

- No, dawaj, tylko się nie spiesz.

Rozumiałem już o co chodzi w tym wszystkim. Najważniejsze - nauczy się zatrzymywania ręki kilka milimetrów przed celem, a to jest trudniejsze niż ci przeciwnika.

Udało mi się trochę opanować te ruchy, ale po chwili poczułem, że moja nienawyklona do wysiłku ręka omdlała i za sekundę upuściłem miecz. Opuściłem dłoń z bronią i Jürgen, zaskoczony tym, niemal nie rozcił mi piersi.

- Co z tobą ? - spytał.

- Zmęczyłem się .

Prupis usłyszał moją odpowiedź i to go rozjuszyciło.

Nie zważając na miecze, rzucił się przez stojących w szyku uczniów, podniósł

r k z biczem.

- Kto pozwolił ci przerwa ? - wrzeszczał. - Ja ci poka co to znaczy przerywa bez rozkazu!

Cofn łem si ze strachu i kiedy on, dopadłszy mnie, chciał smagn biczem, odruchowo odparłem cios mieczem. Ostrze niechc cy zahaczyło bicz, odcinaj c jego koniec, który, jak przeci ta mija, upadł w pył.

Wszyscy zamarli zaskoczeni i czekali co on ze mn zrobi.

Prupis milczał długo - mo e z minut . I wszyscy milczeli.

Potem powiedział:

- Dure ! Za taki bicz ze trzech takich jak ty mo na dosta .

- Wybacz panie - powiedziałem - Nie lubi , kiedy mnie bij .

- Dure do kwadratu - powiedział Prupis, - w yciu adnego człowieka nie uderzyłem biczem. Zamachn si - mog , skl - te . Ale człowieka, prawdziwego, nigdy..

- Przecie nie mogłem wiedzie - powiedziałem.

95

Wszystko powtarzało si jak w zaczarowanym nie: przecie dopiero wczoraj zniszczyłem bicz Henrykowi, który był wa niejszy ode mnie. I teraz - znowu to samo przewinienie!

Prupis schylił si , podniósł odci ty koniec bicza i zaczął przykłada go do pozostałej cz ci, jakby miał nadzieję , e si zrosn . Był zupełnie roztrz siony.

- Naprawi go - powiedziałem.

Prupis popatrzył na mnie, jakby w mojej intonacji było co , co go zdziwiło i zainteresowało. Był ni szy ode mnie o głow , dło lewej , pozbawionej palców r ki była rozplątana tak, e powstały szczypcy.

- I jak ty masz zamiar to zrobi ? - spytał.

- Je li dostan skór , natn pasków - powiedziałem, - wcze niej umiałem ple ze skóry.

Nie kłamałem. I cho pupilkom było surowo zabronione wytwarzanie czegokolwiek, by w ten sposób nie upodabniały si do sponsorów, to pani Jajbłoczko sama mnie nauczyła - ona ubóstwiała ple . W domu mieli my du o plecionych rzeczy, lubiła ona szczególnie utylizowa w ten sposób przedmioty ju nie potrzebne - buty pana Jajbłoczko, własn torb , stare czapki (teraz ju

wiedziałem, e zostały uszyte ze skór g sienic).

- Dobra, zorientujemy si - powiedział Prupis. - No, wszyscy na miejsca! Do roboty, chłopcy, do roboty.

Rozeszli my si parami, i najpierw fechtowałem z Jurgenem, staraj c si nie zahaczy o jego miecz, a potem nas przestawiono i moim przeciwnikiem został

Wowa Batu-chan. Batu-chan, w odró nieniu od Jurgena, podpowiadał mi niektóre chwytty i nie kpił z mojej niezr czno ci i braku umiej tno ci. Jurgen wprowadzie te nie kpił, ale milczał z takim jakim niemym pot pieniem.

Kilka razy ze zm czenia opuszczałem miecz, ale zauwa yłem, e inni te byli zm czeni. Po około dwóch godzinach Prupis kazał wszystkim rozej si i odpoczywa . Usiedli my w cieniu ciany, bo zacz ło przegrzewa . I tu po raz pierwszy zobaczyłem, jak ludzie otwarcie pal . Opowiadano mi o tym w pokoju wypoczynkowym dla pupilków, a Wik nawet twierdził, e sam próbował, ale co innego slysze , a co innego zobaczy , jak człowiekowi z ust wali mierz cy dym, a on zupełnie spokojnie kontynuuje rozmow i nie umiera, i nikt nie krzyczy ze strachu i oburzenia, e człowiek ten naruszył najstraszniejszy zakaz ekologiczny.

- Co tak wybałuszył oczy? - spytał Batu-chan, który siedział obok mnie, wyci gn wszy nogi. - Sam nigdy nie palił ?

- Nie - powiedziałem i, wida , na mojej twarzy było tyle obrzydzenia, e Batu-chan chrz kn ł i powiedział:

- No i słusznie - tylko swoje zdrowie niszczy .

96

Tak jakby chodziło tylko o zdrowie! Naruszano główn zasad : najwi ksze przest pstwo - to przest pstwo wobec przyrody. Jest ono straszniejsze nawet ni przest pstwo wobec sponsora. Palenie zaliczane jest do strasznych przest pstw. A Batu-chan sprawiał wra enie, jakby o tym nie wiedział.

Było mi ci ko. We mnie kumulowały si wiadomo ci, obserwacje i zdarzenia, które były nie do pomy lenia w moim starym yciu. A wszystko to zdarzyło si w ci gu zaledwie trzech dni. To tak, jakbym prze ył całe swoje ycie nigdy nie widz c wody, a nagle, nieoczekiwanie, musiałbym zanurkowa i pozosta w gł binach na zawsze.

Dowiedziałem si , e niektórzy ludzie chodz w ubraniu, i wi cej - sam te zacz łem je nosi . Widziałem ludzi umiej cych czyta i pisa , widziałem ludzi uzbrojonych, widziałem jak ludzie pracuj w fabrykach, pal papierosy a nawet okłamuj sponsorów. . Swiat zacz ł wirowa z tak pr dko ci , jakby wszystko co było wcze niej, było jedynie snem. A mo e zaraz obudz si na swojej pod ciółce.

- Ja sam te nie pal - powiedział Batu-chan. - Musz by w formie.

- Po co? - spytałem.

- Zeby po y dłu ej - powiedział Batu-chan. - Mo e, zostan mistrzem, jak Prupis, a mo e nawet gospodarzem, jak pan Achmed, - chc y , taki mam kaprys.

Ja te chciałem y i dlatego wykorzystałem okazj , by popyta le cego obok mnie Baru-chana.

- Po co tu trenujemy? - spytałem.

Batu-chan leniwie zerkn ł na mnie czarnym okiem i odpowiedział pytaniem:

- A jak my lisz?

- Nie wiem, powiedziałe - rycerze, ale nie powiedziałe , co oni robi .

- Rzeczywi cie tak my lisz?

- A co ty by pomy lał na moim miejscu?

- Sk d ty si taki wzi le ! - w uniesieniu wykrzykn ł Batu-chan.

Siedz cy niedaleko Jurgen, obrócił si w naszym kierunku i u miechn ł si .

Napotkawszy moje spojrzenie, odwrócił si i zacz ł, powoli, nie spiesz c si zmienia ta m izolacyjn na r koje ci miecza.

- St d, sk d wszyscy - powiedziałem - ze stajni.

- Nie rozumiesz mnie, Tym - powiedział Batu-chan. - Nie chc ci obrazi . Chc ci zrozumie . Jeste dobry chłopak, i Dobryni si nie wystraszyłe . Ale jeste 97

jaki taki dziwny. Niektórzy chłopcy podejrzewaj nawet, e mo e nie jeste człowiekiem?

- A niby kim?

- Zaby tyle ró nych eksperymentów robiły na ludziach - to dokładnie wiadomo.

Mówi nawet, e wyhodowali specjalny rodzaj ludzi, posłusznych, czystych, bez adnych usterek.

- Ale po co? - spytałem. - Co, nas im mało?

- A nas, zacofanych, wtedy zlikwiduj . Byli - i nie ma.

- Ale po co, po co? - naciskałem, jakbym rzeczywi cie był sztucznym człowiekiem i starał si zrozumie po co jestem potrzebny.

- Zeby nie musieli si ju niepokoï , eby my im nie przeszkadzali, eby , w ko cu, mogli odetchn spokojnie.!

Nie rozumialem, czy al mu sponsorów, czy z nich szydzi.

- Ale przecie widzialem , krew mi leciala, kiedy walczyłem z Dobryni .

- I, wiedz, e wla nie to ci uratowalo - bo inaczej by my ci z pewno ci noc rozkr cili, eby zobaczy jak cykasz.

Nie od razu mu odpowiedzialem - to o czym mowil bylo dla mnie niepoj te, ale ta niepoj to byla przera aj ca i wielowarstwowa, jak cebula: zdejmujesz jedn warstw , a pod ni nast pna, podobna, ale kolejna.

- Wybacz - powiedzialem, uznawszy, e lepiej wyj na glupka, ni ryzykowa ycie. - Ale nie wszystko rozumiem. Przecie sponsorzy przylecieli do nas, eby zaprowadzi porz dek. Wcze niej yli my odra aj co: niszczyli my nasze rodowisko, nie bylo czystej wody, ani powietrza, ludzie walczyli ze sob , glodowali, chorowali na aids i cholera . Byli my skazani na zaglad , ale wtedy, na nasze szcz cie, przylecieli do nas sponsorzy, ktorzy nas uratowali.

- Przed czym? - spytal Batu-chan.

- Przed zaglad .

- Ju to slyszalem - powiedzial Batu-chan. - Wiesz gdzie? W kolonii, do ktorej trafilem jako szczeniak. Tam mieli my takiego Przewodnika, on nas uczyl o sponsorach. Tylko nikt mu nie wierzy! - wszyscy zd yli my ju po y i znali my cen tych ab.

- W kolonii? A co to takiego?

- To wi zienie, trzymaj ci tam dopoki nie podro niesz, a potem rozdzielaj -

kogo do fabryki, kogo do rakarni, a mnie jak raz - do kopalni.

- Zawsze my lalem, e to o rakarni - to dowcip? To dowcip?

98

Batu-chan roze mial si , ukazuj c nierowne z by.

- Trafisz tam - zobaczysz jaki to dowcip.

- Opowiadaj dalej - poprosilem. - O kolonii.

- O kolonii zapomnialem - powiedzial Batu-chan. - O kolonii nie ma co opowiada

- Opowiedz o panach sponsorach. Przecie to prawda, e to nasi bracia w rozumie?

- Tego te si nauczyle ?

- Nie, ty mi powiedz! Musz to koniecznie wiedzie !

- To tylko pusty frazes! Bracia klasowi, bracia duchowi, bracia w rozumie.

My l, e u siebie im ciasno, to i przyle li do nas.

- Powiedz, po co tu przylecieli?

- Jak na sztucznego czlowieka, jeste zbyt namolny - powiedzial Batu-chan i podniosl si .

Na plac wyszedl Prupis i powiedzial:

- Na pozycje! Teraz b dziemy wiczy wypad z pchni ciem w w trob .

Postawa! Lancelot, czego si spó niasz? Nie lubi tego.

Wieczorem Prupis przyszedl do nas do pokoju, usiadl na skraju ló ka, na którym le ałem zmordowany treningiem tak, e mogłem rusza tylko j zykiem, a i to z trudem.

Podal mi kilka, ró nego kształtu, kawalków skóry.

- Takie b d dobre? - spytal.

Zrozumialem co to znaczy i zacz lem ogl da kawalki. Dwa z nich oddalem mu z powrotem, a o pozostalych powiedzialem:

- Mog by . B dzie mi potrzebny jeszcze ostry nó .

- Sam zaostrzysz - powiedzial Prupis i dodal, zwracaj c si do le cego na s siedniej pryczy Batu-chana: - Poka esz mu, sk d wzi nó .

Glo no tupi c i rozmawiaj c, do pokoju weszlo pi ciu weteranów, którzy dok d chodzili, w czasie gdy my trenowali my.

- Nie tak glo no - powiedzial Prupis. - I piwy nie potrzebne.

Weterani pokornie zamilkli i zacz li glo no szeptali mi dzy sob . Jeden z nich upadl, pozostali psykali jeden na drugiego.

- Spili si jak bydlo - powiedzial Prupis. - Ale ja ich nie wini - takie ju to nasze parszywe ycie.

Nigdy nie wiesz ile ci jeszcze zostało.

Batu-chan zamknął oczy i udawał, że pi. Ale czułem, że nie pi, był ciekaw, o czym będziemy rozmawiać. Wiedziałem, że będziemy rozmawiać, inaczej Prupis nie przysiadłby na łóżku - dałby mi skórę i na tym koniec.

- Łysy mi napomknął - powiedział Prupis półgłosem, - że jesteś pupilkiem.

Na dźwięk tego słowa Batu-chan otworzył oczy.

- Co w tym takiego strasznego? - spytałem. - To mi zarzucaj, że jestem sztuczny i groźnym rozebraniem na rubki, To pan mówi, że jestem pupilkiem. Nic z tego nie rozumiem.

- Zadałem ci proste pytanie i oczekuj na nie prostej odpowiedzi. Jesteś pupilkiem?

- Tak - odpowiedziałem, nie bez wahania. A co w tym złego? Czy to moja wina?

- Nikt nie jest winien temu, co z nim robi aby - powiedział cicho Prupis. - Ale mimo wszystko lepiej, żeby ludzie nie wiedzieli, że jesteś pupilkiem. Pupilków mało kto widział, o pupilkach myślałem, że wszyscy oni - to abie psy. Ze nie można na im wierzyć, oni są... no, jak zwierzęta. Nie ludzie, a zwierzęta, tylko domowe.

Zaby wytruły psy, a zamiast nich trzymaj pupilki.

- To wszystko kłamstwa! - powiedziałem głośno, nie powinienem, - kto jeszcze obrócił się w naszym kierunku. Pupilki te bywają różne.

- A kto to wie? - powiedział Prupis. - Wszyscy jesteśmy, kiedy w swoim kierunku i nie wiemy. Teraz patrz na siebie i widzisz, że jesteś - jak człowiek? Dlaczego uciekłeś?

- Znużyło mi się - skłamałem. - Znużyło mi się być pupilkiem-ulubieciem.

Chcę, żeby mnie nie lubiono.

- Zartujesz - powiedział Prupis. - No, artuj, artuj. Mnie się podobasz, ale mimo wszystko bądź ostrożny.

On wstał i wyszedł. Wówczas Batu-chan odwrócił się do mnie i powiedział:

- A mnie mówiono, że pupilki hoduje się w specjalnych laboratoriach i usuwa się im mózgi.

- Zaraz ja tobie mózg wyjmę - powiedziałem poważnie. Nawet nie chciało mi się kłócić.

- Myślałem, że pupilki są dobrze - powiedział Batu-chan, nie zwróciwszy uwagi na moje ostrzeżenie, - że arcymają - do syta! I są przy ci.

- Zarcia do syta - powiedziałem. - Ile ci gospodyni da, tyle i zjesz.

100

- I dom, i czysto - powiedział Batu-chan, z niepojętą dla mnie zawiścią.

- A ty co, chciałbyś?

- Kto nie zechce? - spytał Batu-chan. - Każdego człowieka chce jeść i spać.

- A ja bym za nic tam nie wrócił.

- Dlaczego?

- Dlatego, że arcie nie jest najwłaściwsze. Lubi cię - jesteś syty, przestan lubić - to obij cię batogiem, albo i odeślę do rakarni.

- I mieszkaliście z nimi w jednym domu? - spytał Batu-chan, patrząc w sufit.

- Oczywiście. W jednym pokoju.

- A prawda, że oni mają jadowite pazury?

- Ale ty głupi, Batu-chan! Przecież gospodyni mnie głaskała! I spacerowali my razem.

- A w jakim języku rozmawialiście? - spytał Batu-chan, a ja tu zrozumiałem, że on nie uwierzył w ani jedno moje słowo. Widać to, co było dla mnie zwyczajne, po prostu nie miało siły w jego niebogatej wyobraźni.

- W naszym, po rosyjsku.

- I ona ci nie przydusiła? Spytał Batu-chan na ostatku.

- Dlaczego miała mnie dusić, jeśli mnie lubiła?

- Lu-bi-ła! - powtórzył jeszcze raz: - Lu-bi-ła. . Nie, chyba przez niego!

Najlepszy przyjaciel aby.

Odszedłem do stołu i zacząłem ci skór na cienkie paski. Pracowałem do późna. Niektórzy podchodzili do mnie, przyglądali się, ale nie przeszkadzali.

Myślałem, że Batu-chan nigdy nie widział sponsorów z bliska - to dziwne, ale, z pewnością ci, moi przyjaciele - panowie sponsorzy nie mogą przecież być wszędzie i pilnować wszystkich ludzi. A człowiekowi, nigdy z bliska nie widząc twarzą sponsora, wydaje się on zimnym dziwolągiem. Trudno o wiarygodny pomysł !

Przez kolejne dwa dni trwały nieustannie treningi, byłem zmęczony, a pod koniec każdego dnia wydawało mi się, że uszło ze mnie całe powietrze. Ale czego się nauczyłem. Łatwo to wyjaśnić : byłem przecież wyszyty w wielu rycerzy naszej szkoły, szybciej niż inni ruszałem się i myślałem. Dobrze karmiono mnie w dzieciństwie.

Pan Achmed dwa razy pochwalił mnie przy wszystkich. A Prupis, chociaż nie chwalił, powiedział mi dziękuję, gdy oddałem mu dokładnie i mocno upleciony pejsz. Zaczęli się do mnie zwracać inni rycerze, nie odmawiałem - lubi majsterkować : szyć, wycinać, pleść . .

101

Gdyby nie to nieustanne zmęczenie, byłbym szczęśliwy. Żyłoby mi się nie gorzej, niż u Jajłoczków. Karmiono nas dobrze, spałem na prawdziwej, miękkiej pryczy.

No, prawda, że bałem się trochę Dobryni, który pamiętał o naszym spotkaniu i nie pozwalał zapomnieć o przyszłej zemście.

Nie próbowałem więcej wyjaśnić, do czego nas tak starannie przygotowują .

Poczekam - dowiem się .

Wybrałem Prupisa na swojego gospodarza. Byłem przecież wczorajszym pupilem. A pupilek od dzieciństwa nauczony jest przy gospodarzu. Być może, inni mieszkańcy naszej szkoły nie mają potrzeby posiadania gospodarza, ale mnie to było bez istotności, której mógłbym się podporządkować . Rozumiesz to, myślałem wtedy, że jestem wyjątkiem wśród ludzi, ale potem domyśliłem się, że podporządkowanie się - to właściwość ludzkiej natury. Wszyscy ludzie szukają sobie sponsora, i jeżeli nie ma prawdziwego, znajdują jego namiastkę . Wtedy jeszcze nie bywałem w innych krajach i na innych kontynentach, ale jeżeli chodzi o Rosję, to ona, jak się okazało, była zawsze posłuszna - to naczelnikowi, to rewolucjonistom, który zabił tego naczelnika, to kolejnemu naczelnikowi.

Moja cierpliwość została do szybko wynagrodzona. Po około pięciu dniach, kiedy odpoczywaliśmy po kosztownym wiczeniu - długim biegu wokół szkoły z workiem piasku na ramionach, - powiedział Jurgen:

- Komu to potrzebne? Los i tak sam zdecyduje.

- Trzeba mu pomaga - powiedział Batu-chan.

Patrzyli my, jak Dobrynia wyrównuje ośki brzegi swojego miecza.

- Głaszczcie, jak dziewczyn - powiedział Jurgen.

- Ile razy on mu życie uratował - zauważył Batu-chan.

Nastawiłem ucha.

- Wszystko to na pokaz - powiedział Jurgen. - przecież wiesz skąd bierze się krew.

- Milcz - powiedział Batu-chan. - Jeste tu dopiero trzeci miesiąc, a ja już prawie rok. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, za dwa miesiące przejdę do weteranów. A ile razy zaczęli ze mną i pohukiwali?

- Nic to, jutro spotkanie towarzyskie - powiedział Jurgen.

Rozmówcy umilkli i wtedy, pomyślałem, że jest okazja, żeby się czego dowiedzieć.

- Co to takiego towarzyskie spotkanie? - spytałem Jurgena.

- Kiedy umawiamy się - odpowiedział za niego Batu-chan. - Bywają towarzyskie spotkania, od nich nic nie zależy. Na nich wymyśla się wszelkie triki -

102

jak w cyrku. Tam naprawdę zazwyczaj nie zabijają. Mamy jutro towarzyskie spotkanie z "Czarnymi Tygrysami". Popro, Prupis ci we mnie - musisz obserwować.

Raz już zacząłem te rozmowy i nikt na mnie nie krzyknął, mogłem pytać dalej:

- A jak spotkanie jest nietowarzystkie?

- Kiedy zgodnie z kalendarium? Albo o mistrzostwo? Wtedy się patrzy surowo - jest o wiele trudniej. Tam się ginie. Tylko kto? , tacy jak ty. Weterani zdecydują kto ma umrzeć, - bez wątpienia umrzesz.

- Jak to umrzesz?

- Lancelot niezupełnie rozumie, po co on tu jest - powiedział Jurgen. - On wyraża niechęć, a jesteśmy drużyną sportową. A my - gladiatorzy.

Przypomniałem sobie stary film, który pokazywali w telewizji, i sponsorzy pozwolili mi go obejrzeć, ponieważ nie było zbyt późno. Rzecz dzieła się w starożytnym imperium, które, o ile dobrze pamiętam, nazywali rzymskim. Tam na stadionie walczyli ludzie. Jeden z nich był potężnie uzbrojony i

wyposa ony w sie , któr próbował zarzuci na golego młodzie ca z krótkim mieczem. Ten kr cił si , skakał wokół i w ko cu zwyci ył nieruchawego ci kiego wojownika

- pani Jajbłoczko tak zdenerwowała si tym, e pokazali mi takie okrutne widowisko, a sam Jajbłoczko zaczą ł si mia i mówił, e to takie samo wykopalisko, jak mamut. Pami tam, jak mówił, e takie krwawe widowiska odeszły w niesław n przeszło .

- Przecie to zakazane - powiedziałem. - Przecie to odeszło w niesław n przeszło , jak mamuty i Imperium rzymskie.

Kiedy moi s siedzi sko czyli si mia , Batu-chan zapytał:

- A kto ci to powiedział? Mo e w szkole si o tym uczyłe ?

- Sponsor - powiedziałem.

- Taak, akurat jego trzeba ci było słucha - powiedział Batu-chan, a w głosie jego zad wi czala ironia. - Oni doskonale rozumiej ten problem.

- A ja niczego nie rozumiem! - u alilem si . - Słowo honoru - jestem jak dziecko we mgle! Je li s gladiatorzy, to znaczy, e kto musi ich ogl da , a nawet czerpa przyjemno z takiego prymitywnego widowiska. No przecie nie w piwnicy organizujecie te, tak zwane, spotkania towarzyskie.

- Nie . - Jurgen u miechał si rzadko, ale tego dnia on wykonał sw trzyletni norm miechu. - Robimy to na wielkich stadionach. W Moskwie, w Libercu, w Serpuchowie. ..., gdzie jeszcze byli my , Wowa?

- Byli my wsz dzie tam, gdzie stacjonuje abi garnizon - odpowiedział Batu-chan.

103

- I oni nie aresztowali was? Nie rozp dzili? Jak si wam udaje przed nimi ukry ?

- Zrozumiesz ty, w ko cu, czy nie, ty kopalny człowieku, e twoi ukochani sponsorzy y po prostu nie mog bez naszych widowisk, dlatego e na nich mog si odpr y .

- Co?

- A to, e rz dzenie nasz planet sprawia im wiele trudno ci i po era nerwy.

S wyko czeni i potrzeba im rozrywki. A, eby ka dy z nich w pojedynk nie pał tał si po ulicach i nie rozszarpywał przechodniów, dla nich wymy lono miły, inteligentny wypoczynek.

- To jest amoralne! - powiedziałem - I z cał pewno ci rzucacie oszczerstwa na sponsorów.

- Nikomu nie s potrzebne te twoje ukochane aby! - Batu-chan w ciekl si na mnie. - Je li zabior si z powrotem, b dziemy tylko szcz liwi..

Odwróciłem si nawet, eby nie słysze , ale słuchałem dalej.

Oburzałem si , ale ju wiedziałem, e nie mam racji. Ich słowa układały si we wzór otaczaj cego mnie wiata. I, chocia trudno jest zaakceptowa co ohydneho, naruszaj cego zasady, na których si wychowale , czasami przychodzi pogodzi si nawet z najgorszym!

I ju pokornie słuchałem moich nowych towarzyszy.

Oczywi cie, zostawiałem sobie prawo do w tpliwo ci - nie jestem jakim włócz g czy mieciarzem - jestem z dobrego domu! Batu-chan, opowiadaj c mi, cały czas powtarzał “ mo esz sprawdzi ”, i miałem zamiar to sprawdzi . Ale to nie przeszkodziło mi wysłucha nieprawdopodobnej wersji naszego istnienia.

Je li wierzy Batu-chanowi i, przytakuj cemu mu, Jurgenowi, w Rosji istnieje co najmniej ze dwadzie cia gladiatorских szkół, podobnych do naszej. Przy czym, nasza wcale nie jest ani najwi ksza, ani najbogatsza.

Powstały te szkoły z bardzo prostej przyczyny - wi kszo sponsorów, osiadłych na Ziemi, - to wojskowi. Trudno ich nazwa ólnierzami dlatego, e nie u ywali broni i nikogo nigdy nie zabijali, ale pełnili dy ury w bazach rakietowych i siedzieli przed ekranami sieci powszechnego nadzoru - strzegli porz dku.

Sponsorzy maj słabo do okrutnych, nawet krwawych widowisk. Moi rozmówcy nie wiedzieli ,kiedy i komu przyszło do głowy by pasj t skni cych w dalekim garnizonie sponsorów, zaspokoi walkami ludzi..

- Tak sobie my l - powiedział Batu-chan, - wszystko to wymy lił kto z ludzi.

My l, e wszystkie te ludzkie podło ci za sponsorów wymy laj ludzie.

- Po co? - spytałem. - Komu to potrzebne?

104

- A temu potrzebne, komu na r k - m tnie wyja nił Batu-chan, a Jurgen potakuj co kiwn l głow , jak człowiek, słuchaj cy dobrze znanej lekcji.

Jest zbyt - pojawi si i poda . Sponsorzy pozwolili przygotowywa specjalnych wojowników, walki gladiatorów przekształciły si w regularne współzawodnictwo, bo nie ma lepiej zorganizowanych i lubi cych porz dek istot, ni sponsorzy.

Powstała warstwa społeczna, tak czy inaczej, zwi zana z gladiatorami. To byli rusznikarze i

wytwórcy różnych przyrzódów dla wojowników, garbarze i krawcy, masa y ci i trenerzy. .

Przynależność do wiata gladiatorów dawała mas przywilejów, na przykład najsilniejsi wojownicy mieli zezwolenie na rozmnażanie, by wyhodować ras bojowych gladiatorów. Oni mogli być pewni, że przy kolejnej kampanii likwidacji ich zostawi przy życiu.

Tu musiałem przerwać Batu-chanowi i poprosić o wyjaśnienie.

- Jak tu ci powiesz . . - Batu-chan nie od razu znalazł właściwe słowa. - Na Ziemi żyje sto milionów ludzi. Może więcej, może trochę mniej. A kiedy było dziesięć, albo sto razy tyle. Wtedy przyszli "dobrzy" sponsorzy i zaczęli zbijać ludzi po trochu likwidować ..

I tu nasz odpoczynek skończył się, z cienia wyszedł Prupis i dopijając z kufła piwo, krzyknął:

- Chłopcy, na trening!

Następnego dnia nasi jechali na towarzyskie spotkanie, i Prupis zapytał mnie:

- Pojedziesz z nami?

Jakbym miał wybór.

Byłem zadowolony, że w końcu zobaczę, czym tak naprawdę się zajmujemy.

Jechałem razem ze wszystkimi w ogólnym autobusie. Z tyłu zło one były miecze, kopie, zbroje - prawdziwe rycerskie zbroje. Widziałem, jak weterani w czasie treningów walczyli w tych zbrojach, - wydawali mi się tacy niezdarzy.

Siedziałem na dostawianej ławeczce, naprzeciwko mnie - felczer i niewolnik, który miał naszym sportowcom pomagać przy ubieraniu. Trzęsło okropnie, dlatego, że i droga dawno nie widziała remontu, i autobus ledwie zipsał.

- Żeby dostać nowy autobus - trzeba wygrać mistrzostwo Rosji! - powiedział

felczer, kiedy podrzuciło nas pod sufit. Był to starszy, dobry człowiek stale mrugał oczami - był krótkowidzem.

Gladiatorzy siedzieli z przodu w fotelach z oparciami i całą drogę drzemali, albo omawiali codzienne problemy.

105

W ostatnim czasie udało mi się wiele dowiedzieć o ich życiu i o naglej śmierci, byłem nawet w najdalszym miejscu naszego gospodarstwa, w lazarecie, który w tym czasie, na szczęście, wiecił pustkami, ale w pewnym momencie mógł się zapalić. Stało tam sześć przyczółków, za celonych białymi przez czeradłami, i był

jeszcze pokój, w którym stał stół obity ocynkowanym metalem, - domy liłem się, a na nim robi operacje.

To czego się dowiedziałem zmusiło mnie do zajęcia się, że zdwojonej energii, fechtunkiem i miotaniem kamieni z procy - pojąłem, a tylko własna siła i zręczność mogły mnie uratować. Weterani w szkołach gladiatorów troszczyli o siebie wzajemnie, chroniono ich i w niebezpiecznych momentach starano się ich nie powiścać. Ale czasami miernie oszczędzali ich. W wijszości jednak przypadków ginęli nowicjusze.

Nasłuchawszy się lekceważących, a nawet wulgarnych opowieści o sponsorach, uznałem, a moi drodzy państwo Jajbłoczko nie mieli pojęcia o tym co się wytwarza w niektórych dalszych garnizonach. Przecież w mojej obecności niejednokrotnie podkreślali swój humanitaryzm, i nie mógłbym podejrzewać ich o tak obłudę.

Byłoby dalej oddawałbym się gorzkim rozmyśleniom, ale widok za oknem -

zupełnie nieprawdopodobny - sprawił, a zapomniałem, na jaki czas, o sponsorach.

Zbliżali się do Moskwy!

Miasto objawiało się stopniowo, w miarę naszego zagrożenia się wewnątrz. Kiedy było metropoli, to znaczy centrum wszelkiej rozpusty i łajdactwa Rosyjskiego mocarstwa. Właśnie stąd pochodziły straszne nakazy o truciu rzek i wyrębieniu lasów. Właśnie w tym mieście znajdowały się straszne monopole, nazwy niektórych z nich pamiętałem jeszcze z dzieciństwa: 12345. Moskwa - to siedlisko sił, których celem było zniszczenie życia na Ziemi. Właśnie w Moskwie i w bunkrach, otaczających miasto, kryli się i walczyli do ostatniej kropli krwi zawzięci wrogowie ludzkości. To były tragiczne dni dla całej planety - sponsorzy musieli podjąć trudną decyzję: podnieść ręk na rozumne istoty, które okazały się nie wystarczająco rozumne i stały się wrogami własnej planety.

Z wielkim bólem serca sponsorzy, kierując się troską o ludzi, zdecydowali -

nie należy niszczyć tych wrogów, jak szczury, bezlitośnie, do ostatniego - jakie to charakterystyczne dla istot o wielkim i szczodrym sercu. Sponsorzy rozumieli, a ludzkość nie znajdzie drogi do szczęścia dopóty, dopóki na drodze do niego będzie istniała taka przeszkoda.

Ile to razy, w dzieciństwie, zwinęły się w kłębek na krętych kolanach pani Jajbłoczko, słuchałem zadziwiających historii o bohaterach-sponsorach, wychodzących samotnie na spotkanie setek podstępnych wrogów, o tym jak najlepsi z nich składali siebie w ofierze, by zapewnić ludziom w przyszłości godne istnienie. Z jakiego powodu na moją dziecięcą wyobraźnię szczególnie podziałał

obrazek ze starej wideokasety - zielony, w błyszczącym bojowym stroju 106

sponsor ostatkiem sił, wsparty na kolanie, bronił się laserowym bagnetem przed hordą ludzików. Oni - wszyscy jak jeden szczerzyli się, złowrodzy i długonosi.

Pami tam nawet imi tego sponsora - Wyjczuko. Padł mierci bohatera oswabadzaj c Moskw od jej mieszka ców. Fakt, e mieszka cy Moskwy, te wrogie siły, które szkodziły wietlanej przyszło ci, byli tak, jak i ja, lud mi nie m cilo mojego spokoju. I pi knym wydawał mi si umieraj cy za sluszn spraw sponsor Wyjczuko, i wstr tne były nosate, z czarnymi oczkami, szponiaste ludziki.

Pami talem, e kiedy sponsorom, pomimo całej ich odwagi, nie udało si całkowicie zlikwidowa ludno ci Moskwy, musieli zastosowa gaz usypiaj cy -

szlachetny i humanitarny rodek, u miercaj cy bezbole nie i błyskawicznie. Ale, mówi , e nawet po tym, korzystaj c z tajnego poparcia sił zagranicznych i mi dzynarodowych organizacji, w piwnicach Moskwy zostały niedobitki. I od tej pory, eby nie zara a okolicznych terenów, Moskwa stała si czym w rodzaju rezerwatu, dok d nie chodz ludzie, nad którym nie przelatuj ptaki i owady, -

przygn biaj ca cisza króluje nad tym pomnikiem ludzkiego barbarzy stwa. .

Wszystko to pami talem i dlatego, gdy siedz cy naprzeciwko mnie niewolnik powiedział zwyczajnie: "Min li my Mitiszczi, zaraz Moskwa", - wszystko cisló mi si wewn trz. Dlaczego jedziemy przez Moskw ? Jak mo emy si na to wa y ? Nie mamy przecie nawet strojów przeciwradiacyjnych.

- Nie wolno! - krzykn łem.

Wszyscy w autobusie obrócili si w moj stron .

- Do Moskwy nie wolno! Tam promieniowanie! Wst p zabroniony! Nawet pojedynczy ptak nie przeleci nad centrum Moskwy!

Kto si roze miał. W szkole gladiatorów ju przywykli do moich dziwactw.

- Zamilcz! - krzykn ł Ptupis. - Mam ci wysadzi , czy co?

- Jak samotn kur ! - dodał Dobrynia.

- Mniej by słuchał tych abich bredni - powiedział Batu-chan, siedz cy na jednym z ostatnich miejsc, obok Jurgena.

Zmusilem si do patrzenia w okno. Jeszcze jeden bastion, zbudowany wychowaniem i yciem u sponsorów, run ł. Mam wystarczaj co du o w głowie, by wiedzie , e gladiatorzy nie pojechali by tak spokojnie przez radioaktywne miasto. Znaczy, e Jajbłoczkowie lgali. Z pewno ci , kłamali bezwiednie, sami wprowadzeni w bł d przez złych sponsorów.

Z lasu i zaro li krzewów , wznosz cych si po obu stronach zniszczonej drogi, coraz cz ciej wylaniały si domy, niektóre całkiem rozwalone - po prostu pot ne zwały cegieł, albo betonowych płyt. Inne stały, wznosz c si na kilka pi ter.

Poraził mnie widok mostu, pod którym nie było rzeki, a przebiegały jakieś na wpół zarośnięte drogi, następnie z prawej strony ukazała się, górując nad lasem, 107

Jaka dziwna metalowa, porzewiała, lecz tym nie mniej majestatyczna rzeźba, przedstawiała kobiety i mężczyzn w dziwnych strojach, którzy jednocześnie nie wykonywali kroku do przodu i podnosili do góry jakieś przedmioty. Przedmiot w ręce mężczyzny przypominał wielki młotek, ale co trzymała kobieta - pozostało dla mnie zagadką. Dalej droga prowadziła nas obok zawałonego łuku, za którym widać było jakieś wielkie budynki.

Obracałem tylko głowę, starając się zobaczyć jak można na najwcześniej.

Zadziwiająco, przeżyłem dwadzieścia lat w dostatku i błogim spokoju, słońce, cały wiatr sprowadza się do naszego miasteczka, supersamochodów, przystanku, pokoju wypoczynkowego dla pupilków, kilku wybetonowanych ulic i szarych kopuł bazy obserwacyjnej sponsorów na horyzoncie.

Już od kilku dni wszystko we wnętrzu mnie wrzało, głowa mi pokała od ciągłego dziwienia się. Ale najważniejsze kryło się nawet nie w ilości i różnorodności pytań, a w tym, że prawie każdy następny krok poddawał pod wątpliwą moją bezgraniczną wiarę w sponsorów, uwielbienie dla nich - cech charakterystyczny dla wszystkich, bez względu na domowych pupilków.

Ulice Moskwy były prawie puste, w szczelinach asfaltu rosły trawa i krzaczki, miejscami głębią koleina omijała drzewo, wyrosłe na jezdni, miejscami nie było asfaltu - przed nami ukazywała się jama, którą należało pokonać, przejeżdżając po niepewnym drewnianym mostku. Ale mosty istniały - to oznaczało, że ktoś po nich jeździ.

Ale zarówno pieszych, jak i samochody spotykało się bardzo rzadko. Raz, przy łuku, zobaczyłem poskładany z części starych samochodów kolas, w której siedział koczowniczy goły człowiek i głono piewał. Kolasa obłożona była deskami i polanami. Potem, już w tej części miasta, gdzie las był rzadszy, a domy wyższe, zobaczyłem zwykły samochód sponsorów. Ten widok był mi znajomy -

dokładnie takie lustrzane samochody jeździły wieczorem i nocą po naszym miasteczku. Pamiętam, jak w dzieciństwie porażało mnie w nich to, że błyszczały jak lustro. Kiedy taki samochód jedzie przez miasto, to w jego zaokrąglonych bokach odbija się wszystko: i niebo, i otaczające drzewa, i domy. Ale wszystko w nim wydaje się zniekształcone, krzywe; tylko dlatego można na przykład spojrzeć na samochód i zgadnąć jego kształt. Kiedy, na moje dziecięce pytanie, po co oni tak robią, pani Jajbłoczko odpowiedziała, że kiedyś ludzie chcą strzelać do takiego samochodu, to z pewnością ci spudłują.

Na spotkanie nam, lekko unosząc się nad dziurami w asfalcie i dlatego nie kołysząc się i nie trzęsąc, wolno a nawet uroczyście nadlatywał patrolowy mobil sponsorów. Boczne okna mieli opuszczone, robi tak zawsze w miejscach, gdzie nie oczekują niebezpieczeństwa, a za nimi widać było obojętne, wcale nie straszne z tej odległości pyski sponsorów. Sponsor zobaczył nasz stary

autobus, ale niczym nie okazał, e jest zdziwiony czy te zainteresowany naszym pojawieniem si -
jakby dwa koty spotkały si na ulicy - i rozeszły si .

108

I tu je w moim umy le wybuchł kolejny zakaz: ludziom, dla ich dobra, zakazuje si u ywania
wszelkich rodków transportu, dlatego, e mog mie awari i ucierpie , a tak e stanowi niebezpiecze
stwo dla innych rodków transportu..

- To oni pozwalaj ? - spytałem.

- A dlaczego maj nie pozwala ? - zdziwił si niewolnik.

- Ale my jedziemy!

- Piesz do stadionu długo by my szli.

Autobus nasz skr cił w prawo i znale li my si na placu, oczyszczonym z krzaków i drzew, gdzie
niegdzie asfalt był naprawiony - do dziur nasypano ziemi.

Za placem tym znajdował si budynek, który przypominał rzymskie koloseum

- tak nazywał si staro ytny teatr we Włoszech, gdzie kiedy odbywały si przedstawienia i walki
gladiatorów. Był on zbudowany tak wietnie, e nie rozpadł si w ci gu dwóch tysi cy lat, które min
ły mi dzy Imperium Rzymskim a szcz liwym przylotem sponsorów.

Pot ny budynek, do którego podjechał nasz autobus, był w oplakany stanie: dach zawalił si ju
dawno, tak samo jak górna cz cian, ale i tak robił

imponuj ce wra enie.

Na placu przed nim panował nieoczekiwane du y ruch. Poruszały si po nim nie tylko powoziki ze sponsorami, piesi sponsorzy, ale równie ludzie, którzy czekali na obrze ach placu, ale zachowywali si spokojnie, jakby mieli prawo znajdowa si tutaj.

Sponsorzy ubrani byli pokojowo - wypoczywali. By mo e, dla niewprawnego oka wszyscy sponsorzy wydaj si identyczni i ich ubrania wygl daj tak samo -

nic podobnego! Sponsorzy przykładaj ogromn wag do ubioru, do tego, jak podmalowa pysk, jak porusza ko czynami - to zło ony i zrozumiały tylko dla swoich j zyk, który wyra a wi cej i bardziej otwarcie, ni słowa, które wypowiadaj na głos. Wiedzialem ju , e prawie nikt z ludzi tego wewn trznego tajemnego j zyka nie rozumiał - nawet nie wszystkie pupilki go rozumiały. Ale te z nich, które chciały ci ga korzy ci z wiedzy gospodarzy, znakomicie wyczuwały najdrobniejsze detale zachowania i nastroju swojego sponsora.

Obserwuj c sponsorów na placu, widzialem, e byli troch pobudzeni, ale nie rozdra nieni, dlatego, e szykowali si do obejrzenia ciekawego widowiska.

Ludzie, których zobaczyłem, w wi kszo ci mieli na sobie ró norodne, czasami nawet wyzywaj co jaskrawe stroje, i, co było zadziwiaj ce, sponsorzy na to nie reagowali. Wida było w ród ludzi i nagich, ale byli to niewolnicy niskiego rz du -

tragarze palankinów, powo cy bryczkami, sprz tacze, zamiatacze i sprzedawcy wody. Ale zobaczyłem te kilka postaci, przypominaj cych swym wyzywaj cym klaunowskim odzieniem mojego pana Achmeda.

109

Jak wiele jeszcze nie wiedzialem i nie rozumialem! “Ile jeszcze musz si dowiedzie ! - my lalem. - I jak ostro nie powinienem si porusza po tej drodze, by nie zosta ukaranym.”

Na widok sponsorów miałem ochot schowa si w autobusie, ale przenikliwy Prupis, zauwa ywszy moje wahanie, powiedział:

- Je li si boisz, e ci rozpoznaj , to zapomnij o tym! Zaby je li w ogóle rozró niaj ludzi, to tylko po kolorze ubrania. Dlatego nasze władze tak si stroj . A ty - pupilek, niewolnik, zwierz . Jak tylko si ubrałe , od razu przestałe dsla nich istnie . Zrozumiałe ?

- Zrozumialem - odpowiedzialem z niedowierzaniem.

Prupis u miechn ł si i klepn ł mnie po ramieniu - to klepni cie wyrzuciło mnie na jezdni . Złapawszy oddech, zacz lem bra od niewolnika bro i zbroje, zanosili my je do, wydzielonego dla naszej szkoły, pomieszczenia pod stadionem.

Potem przeszli tam nasi weterani, za nimi - ciś grup - pierwszorocznicy.

Batu-chan mrugn ł do mnie, Jurgen tylko rzucił czarnym spojrzeniem.

- Mamy czas - powiedział Prupis. - Ubierajcie si bez po piechu. Zaraz przyjdzie pan Achmed i wyda dyspozycje.

Ze zdenerwowania zachciało mi si sika i spytałem niewolnika czy nie wie, gdzie tu jest wychodek. Ten wyja nił, e musz pój korytarzem do skr tu w lewo i tam zej do podpiwniczenia.

W wychodku było brudno i cuchn ło.

Wszedłem z niej, poszedłem korytarzem i wtedy usłyszałem głosy.

Zatrzymałem si . Nie dlatego, e chciałem podsłuchiwa , na odwrót - nie miałem ochoty rzuca si w oczy nie wiadomo komu.

- Dlaczego musz oddawa ci dziesi procent? - spytał głos ni szy, bardziej basowy. - Niech ci si nawet nie marzy! Kto wygra?

- Posłuchaj, Jean - odpowiedział wysoki, znajomy mi głos, - moi ludzie, gdyby zechcieli, zrobili by z twoich kotlety. Ale umowa jest umowa: musisz zbiera punkty, a ja i bez tego mam wysok pozycj . Tak, e zapomnij o rozdzielniku - po połowie! Inaczej ka zaj si tob na serio.

- Ale mnie przestraszył! Widzieli my takiego jednego straszaka - obraził si wła ciciel basu. - Id ci na r k tylko przez szacunek dla naszej starej przyja ni.

- No i szanuj - odpowiedział głos Achmeda.

Nie przerywaj c rozmowy, odeszli, a ja ostro nie wyjrzałem zza w gła, a potem pu ciłem si p dem do naszego pokoju.

To znaczy, e oni uzgadniali cen ? Cen czego?

110

Odpowied na to pytanie otrzymałem do szybko.

Kiedy wszedłem do pokoju, pan Achmed stał po rodku w swoim stroju klauna, otoczony weteranami w zbrojach i paroma juniorami w zielonych skórach z obci gni tymi grub skór owalnymi tarczami w r kach.

W ród juniorów zobaczyłem Batu-chana z Jurgenem. Batu-chan podniósł

r k , w powitaniu, pan Achmed zauwa ył ten gest i krzykn ł:

- Tim, nie rozpraszaaj ludzi, le b urw !

Cofn lem si .

- Znaczy, tak - ci gn ł Achmed mow , przerwan moim pojawieniem si , -

**w ród weteranów b dzie dóch rannych i jeden zabity. Muromiec, ty poniesiesz dzisiaj zaszczytn
mier .**

Na przód po krótkij chwili wyst pił Ilja Muromiec. Znałem go tylko z twarzy.

- Tak jest, panie - pos pnie powiedział.

Krew zastygła mi w yłach.

- Tobie, Dobrynia - Achmed był rzeczowy i zwi zły, - przyjdzie przela krew.

**- Mnie ju poprzednio ranili - powiedział Dobrynia, na którym zatrzymało si spojrzenie
Achmeda, - jeszcze si dobrze nie zagoiło.**

Wszyscy dlaczego si roze miali.

- To nic, wytrzymasz - odpowiedział Achmed. - Jeszcze zrani Sołowja.

Rycerz imieniem Sołowiej w milczeniu skłonił głow . Wszyscy trzej byli przygn bieni , a ja doskonale rozumiałem ich smutek. Ze szczególn uwag obserwowałem Muromca. Chciałem zobaczy na jego twarzy odbłysk zbli aj cej si mierci, ale trudno to było zobaczy , bo rycerz nieoczekiwanie mocno, z brz kiem opu cil przyłbic .

Sk d mógł to wszystko wiedzie pan Achmed? Umiej tno zagl dania w przyszło , czy zmowa z przeciwnikiem?

W niskim pomieszczeniu, cian którego, wida , ju ze sto lat nikt nie próbował

pomalowa , zapanowała przygniataj ca cisza. Słycha tylko było ci ki oddech dwóch dziesi tków, którzy, jak ju teraz wiedziałem, przygotowywali si do pój cia w miertelny bój. Wiedziałem, jeszcze Batu-chan mi mówił, e w gladiatorskim wiecie wiele jest podst pu i zmowy. Ale gdzie jest granica mi dzy teatrem, a autentyczn tragedi ? Swiat, w którym si znalazłem, był okrutny i ci, którzy prze yli w nim wiele lat nawet tego nie zauwa ali. Dla mnie jednak, w istocie go ciowi, okrucie stwo i absurdalno tego wiata, były oczywiste.

Nad naszymi głowami, gdzie w czelu ciach pot nego gmachu rozległ si gong.

111

- No chłopcy, zbierajcie si - powiedział Achmed. - Zycz szcz cia.

Razem z niewolnikiem, imienia którego tak i nie udało mi si pozna , wzi li my po wiadrze z wod , a felczer - stert cierek i długi rulon perkalu, eby wojownicy mogli si umy , napi i, je li b dzie trzeba, mieli czym przewi za rany.

Nast pnie niewolnik, ju znaj cy drog , poprowadził mnie długim korytarzem do wyj cia na aren .

Arena była wielka, szeroko ci nie mniej ni sta kroków i długo ci ze dwa razy wi kszej, poro ni ta traw . Ale trawa w wielu miejscach była wydeptana.

Oczywi cie, moją uwag przyci gn ło nie tyle pole, co trybuny stadionu.

Otaczały go amfiteatrem. Wprawdzie jedna z trybun zawałiła si i nikt na niej nie siedział, za to t , pod któr wyszli my i przeciwległ wypełniały tłumy.

Widowisko, które jawiło si przed moimi oczami było do tego stopnia niezwykle, e zapami tałem go ze wszystkimi szczegółami.

Pierwszy rz d trybun wypełniony był lud mi w jednakowych ciemno-niebieskich ubraniach. Na

głowach mieli dziwne czapki z miedzian pozłacan ozdób z przodu, w r kach - gumowe palki. Byli to milicjanci oddziałów specjalnych w galowych mundurach - to powiedział mi felczer. Za nimi dwa, albo trzy rz dy zajmowali ludzie ubrani jaskrawo, wyzywaj co, podobnie do pana Achmeda. Dalej, za szerokim przej ciem, po którym spacerowali milicjanci z palkami, zaczynały si lo e. Lo e obliczone były na istoty o wiele wi ksze ni ludzie. W lo ach tych, jednakowi dla ludzkiego oka, zieloni, w zielonych opi tych strojach, w okularach, chroni cych oczy przed zbyt jaskrawym dla sponsorów wiatłem dziennym, siedzieli nasi zdobywcy - władcy Ziemi.

Musz si przyzna , e pierwszym moim odruchem było uciec w gł b stadionu, schowa si , przyczai - wydawało mi si , e swym ostrym spojrzeniem, pokonawszy zielone pole, który ze sponsorów dojrzy mnie, rozpozna i rozka e pojma mnie i przekaza wła cicielom dla przykładnego ukarania.

Jednocze nie mój umysł próbował walczy ze strachem. Wiedziałem przecie , e niemo liwe by kto na tym stadionie zobaczył i rozpoznał mnie w ród niewolników i pomocników gladiatorów ubranych, tak jak i ja , byle jak ostrzy onych i nie ogolonych.

Sponsorzy siedzieli w dwóch rz dach - dwa rz dy ló , dwa rz dy zielonych straszycel. Wcze niej nigdy nie zastanawiałem si nad tym, czy sponsorzy wygl daj jak monstra, czy te s pi kni.

Dzi spojrzałem na nich innymi oczami. Rzeczywi cie, najbardziej przypominali zielone aby wielko ci hipopotama. G by miały w skie i du e - jak otworzy, mo esz tam wło y arbuzy, jak wisienki - sam widziałem. Oczy za male kie, schowane w mi kkich fałdach powiek. Prawie wszyscy sponsorzy byli w ciemnych okularach - niemal niewidocznych na twarzy, ale nadaj cych jej jeszcze wi ksz oci ało .

112

Powy ej ló nikt ju nie siedział - tylko u samej góry majaczyli si , stoj cy na szeroko rozstawionych nogach, milicjanci z oddziału specjalnego.

W centrum trybuny, tej z naszej strony, znajdowała si orkiestra, składaj ca si z ludzi. Akurat kiedy wyszli my, orkiestra zaczę ła gra . Grała gło no, ale niezbyt czysto, staraj c si wykona popularn w ostatnich miesi cach w ród sponsorów pie “ Podwoimy szeregi!”, która zawsze nuciła w kuchni pani Jajbłoczko, przygotowuj c nam z m em obiad. Na to wspomnienie drgn ło mi serce i w oku zakr cila si łza. Gdzie jeste cie, ciche spokojne czasy ogólnej miło ci, a co najwa niejsze - czasy daj ce poczucie bezpiecze stwa! Powiedzcie, po co człowiekowi wolno , je li w zamian traci on kawałek domowej kielbasy?

Sponsorzy poruszyli si w swoich lo ach, niektórzy próbowali nuci z orkiestr , inni rozmawiali, a poniewa głosy sponsorzy maj o wiele bardziej przenikliwe i gło niejsze ni ludzie, do mnie dobiegały ich słowa, chocia nie wszystko mogłem zrozumie .

-Co oni tak zwlekaj ?

- Je li nie zaczn , to samego doradc wygnam na pole!

- Zawsze ta ich t pota!

-A co dzisiaj b dzie na wieczornej odprawie?

- Odpowiedzialem mu: nie le w moje sprawy, ja dla ciebie nie jaki mlodszy patrolowy..

- Dlaczego do nas nie wpadasz? T skni . .

Byly to zwykle slowa, a ja chlon lem glosy z dziwn mieszanin nienawi ci i milo ci - j zyk sponsorow, moj rodzimy, wydawal si tak harmonijny i melodyjny, chocia spotykalem ludzi, gotowych zakrywa uszy na jego d wi k.

Na rodek pola wyjechal niewielki otwarty autobus, na platformie ktorego stal

czlowiek z mikrofonem. Ubrany byl w pasiasty, przylegaj cy do ciala stroj, na nim - metaliczn kamizel , na glowie za kolczugow czapeczk .

- Zaczynamy! - zawolal czlowiek, podnosz c mikrofon do ust. - Zaczynamy towarzyskie spotkanie pomi dzy "Czarnymi Tygrysami" z Sokolnikow i

"Bohaterami" z Mytiszcz!

Widzowie w pierwszych rz dach zac li krzycze i bi brawo, jakby oznajmiono im jak niezwykl nowin , a sponsorzy umilkli i znieruchomieli.

W przeji na prawo od nas otwarto drewniane wrota, i stamt d wyjechali moi nowi towarzysze - rycerze na czele z Muromcem. Ich zbroje blyszczaly w jasnym slo cu, kopie byly podniesione ku niebu.

W lad za rycerzami na aren wyszli piesi wojownicy z mieczami i tarczami.

Rozpoznalem w rod nich Batu-chana i Jurgena.

113

Kim s ich przeciwnicy?

I jakby w odpowiedzi na moje nieme pytanie, otworzily si wrota z drugiej strony stadionu, i stamt d pojawili si zupełnie inni rycerze.

Jak alowalem w tym momencie, e nie chcialem czyta starej ksi ki z obrazkami, ktor znale li my z Wikiem razem z innymi skarbami w piwnicy zburzonego domu na skraju naszego miasteczka! Doskonale pamitalam obrazki w tej ksi ce. Przedstawialy one rycerzy troch podobnych do tych , z ktorych skladalo si wojsko pana Achmeda. Tamci za , ci drudzy, byli ubrani zupełnie

dziwacznie. Na ich głowach pyszniły si wiadra z rogami. To znaczy, przedmioty, zast puj ce im helmy, najbardziej przypominały wiadra. Z przodu w wiadrach były zrobione otwory dla oczu. Ich kolczugi były przykryte płaszczami, białymi i długimi, na których były naszyte krzy e, ale spod płaszczy wida było nogi, odziane w metalowe po czochy. Te oto monstra wyszły na spotkanie z moimi towarzyszami, którzy podobali mi si o wiele bardziej - ich helmy były sto kowate, i tylko pionowy elazny pas, chroni cy nos, zasłaniał cz twarzy, ciało okrywała kolczuga, a do niej, na piersiach przymocowane były niewielkie tarcze. Płaszcz nas mieli krótkie, ładne - gotów byłem zachwyca si naszymi rycerzami.

Dwie male kie armie zatrzymały si , nie dochodz c jedna do drugiej, jakby ucz c si przeciwnika.

Z trybun rozległy si krzyki - ludzie, zgromadzeni tam, witali rycerzy.

S dzia pewnie stał na swojej platformie, a jej kierowca, wida do wiadczonej, doprowadził samochód do centrum pola. S dzia uniósł r k , dał sygnał i jego autokar szybko odjechał.

Ale nikt z przeciwników nie zrobił kroku naprzód.

Zacz li obsypywa si na wzajem przekle stwami i pogró kami.

- Czego tu przylazł? - krzyczał do kogo Dobrynia. - Spadaj st d, póki cały!

- Id pojedz psiego gówna, zamiast si wydziera ! - krzyczał w odpowiedzi człowiek w wiadrze z rogami.

Spod wiadra glucho dobiegał jego głos. Jego s siad, który te miał na głowie wiadro, ale w miejscu byczych rogów widniał jeden - losi, walił elaznymi nogami w boki ci kiego konia i monotonnie wyl:

- Zabij , zakłuj , zادةcz !

Do wymy la /POŁAJANKI doł czyli piesi wojownicy.

- Strze cie si , sokolnicze kanalie! - krzyczał Batu-chan.

114

- Milcz, óltodziobie! - odgryzł si wrogi rycerz, ubrany gorzej od innych, któremu na wiadro zabrakło rogów i dlatego ozdobił hełm grabiami. - Bo zatkam ci t twój g b .

- Co? óltodziobie? - wzburzony Batu-chan rzucił si na tego, który go obraził, chocia miał tylko tarcz i kopi , podczas gdy przeciwnik był uzbrojony w miecz i zakuty w pancerz.

Pozostali, póki co nie wł czali si , czekali, wida , na wynik pojedynku i zagrzewali do walki jego uczestników, doł czaj c swoje okrzyki do wycia, dobiegaj cego z trybun. Nawet sponsorzy, których znałem jako istoty pow ci gliwe a do przesady, zacz li wali szorstkimi słoniowatymi

łapami w stalowe ogrodzenia swoich łó .

Batu-chan robił krótkie wypadki włóczy i błyskawicznie odskakiwał do tyłu; jego przeciwnik, ci szy, kroczył za nim, staraj c si trafi mieczem, ale nawet je li mu si to udawało, Batu-chan zawsze zd ył podstawi tarcz . Ju mi si wydawało, e nasz Batu-chan teraz zatopi włóczy w ciele wroga - i, co dziwniejsze, bardzo tego chciałem, kiedy z grupy wrogów wybiegł jeszcze jeden wojownik w okr głym, przypominaj cym nocnik, helmie i uderzył Batu-chana z tyłu. Byłby to koniec Batu-chana, gdyby Jurgen nie zauwa ył tego wypadu, - on, jak wiem, spodziewał si od wrogów takiej perfidii.

Jurgen odparł uderzenie, i stadion zaryczał - jedni z rado ci, drudzy z rozpacz.

Wtedy jeszcze nie wiedziałem, e pod trybunami s kasy totalizatora i widzowie robili zakłady, b d obstawiali cał dru yn , b d poszczególnych jej wojowników. Ludzie chodzili tam sami, albo posyłali swoich sług, a sponsorzy, którzy, jak si okazało, te brali udział w grze, ale nie mogli z powodu swojego poło enia oraz z powodu swoich rozmiarów, uda si do kas, byli obsługiwani przez specjalnych go ców, którzy dy urowali za ich lo ami i na znak tego czy innego sponsora rzucali si do niego po typowania. Widziałem cały czas tych ludzi, ale nie mogłem poj jak pełni punkcj - wzi lem ich za konsultantów, którzy wyja niaj ufnym i naiwnym sponsorom sens tego, co dzieje si na polu.

Teraz ju na pomoc wrogiemu wojownikowi rzucili si wszyscy jego towarzysze. Tylko ro li, ci ko uzbrojeni je d cy pozostali na miejscu, bacz c na to co si dzieje i czekaj c na ten moment, gdy do boju przyst pi nasi weterani.

Nagle zobaczyłem, jak koniec miecza dotkn ł nagiej r ki Batu-chana, i w tym samym momencie, jak powietrze z balonika, z r ki polała si krew. Batu-chan upu cił miecz i zachwiał si . Jeden z rycerzy w wiadrze i orlim pazurem rzucił si ku niemu, eby uderzy , ale wtedy w walk wdał si Dobrynia, odparł uderzenie i sam zacz ł walczy z rycerzem. Obaj oddychali ci ko, a szcz k ich mieczy dolatywał do naszej kryjówki.

- Tutaj! - krzykn ł felczer, wybiegaj c na skraj pola i wymachuj c cierk , eby przyci gn uwag Batu-chana. Ten zauwa ył i zacz ł biec w naszym 115

kierunku do nas. Za nim rzucił si obcy wojownik, ale Batu-chan był szybszy, a Jurgen, zobaczywszy to, te wyrwał si z potyczki i dogonił wojownika, który musiał si zatrzyma i zacz si broni .

Z trudem łapi c oddech, Batu-chan dobiegł do nas i skrył si za drewnian tarcz .

Przedrami było we krwi, Batu-chan krzywił si .

- Niech to diabli - powtarzał, - boli!

Felczer kazał mi nala wody do miski, a sam namoczył czyst ciereczk i zacz ł wyciera krew - na

szczęście rana była długa, ale niegłęboka, niewolnik posmarował ją alunem i polewał jodyną - Batu-chan zawył i omal nie pobił nas zdrowo rękami. Felczer założył opatrunek.

- Teraz miecza nie utrzymam! - Batu-chan wściekał się, felczer siłą posadził go na ławce, skąd pojawił się Prupis i spytał:

- Co z tobą?

Odpowiedział niewolnik:

- Nic nie uszkodzone. Za tydzień się wygoi.

Prupis nie powiedział nic więcej i pospieszył wokół pola, w miejsce, w które przeniosło się centrum walki.

Zajrzył na rannego Batu-chana, nie zauważyłem momentu kiedy wszyscy wojownicy stłoczyli się, a następnie każdy znalazł sobie partnera, zaczął z nim walczyć. Stadion ryczał, sponsorzy walili w bariery, agenci od zakładów szwendali się to tu, to tam, a jeśli dodać do tego głosy sprzedawców lodów i piwa, którzy snuli się po stadionie - czy stawali ludzi piwem, wyobraźcie sobie, piwem!

- to może na sobie wyobrazi jaki dom wariatów panował na stadionie.

Rozległ się gwizdek sędziego.

Niechciecie, trudno ci złapać oddech, wojownicy przerwali walkę. Okazało się, że szepiwszy się mieczami, ranili się wzajemnie Dobrynia i rycerz z nogi orła na hełmie. Zalani krwią, upadli na siebie, jakby złęczeni w miłosnym ucisku.

Sędzia, po przerwaniu walki, pozwolił felczerowi i Prupisowi obejrzeć rany. Z

drugiej strony do rycerza z nogi orła, który zgubił hełm i okazał się jaskrawo rudym człowiekiem, spieszył lekarz czy trener.

Prupis wyprostował się i krzyknął, aby przynieśli nosze. Byłem wolny, więc złapałem nosze i pobiegłem przez pole.

Nad polem unosił się drobny jasny pył. Przebiegałem tu obok wrogów i słyszałem, jak dyszą cię. Nie rozmawiali - ani o zwycięstwie, ani o ranach.

Czekali kiedy będzie można kontynuować walkę i mieli nadzieję, że przerwa będzie na tyle długa, że

Dobrynia, wida , stracił przytomno - le ał w kału y krwi, a krew ciekła nadal. S dzia w swoim autokarze podjechał blisko i patrzył na nas z góry. Prupis podniósł głow i powiedział do s dziego:

- Trzy wierci do mierci!

Dobrynia dziwnie, cienko, jako po dziecinnemu zaj czał.

Patrzyłem na jego biał twarz i my lałem: przecie tobie była przeznaczona rana. Co to - zdolno zajrzenia w przyszło czy zło enie ofiary?

- Czego stoisz? - zakrzykn ł na mnie Prupis. - liczy si ka da sekunda!

Natychmiast rozło yłem nosze i postawiłem na ziemi.

- Po mojemu, jego rana nie jest miertelna - powiedział s dzia.

- Te tak my l - zgodził si Prupis.

- No to zabierajcie szybciej swojego rycerza - powiedział s dzia. - Pora kontynuowa . Czas ucieka.

- To nic, przedłu ycie czas.

- Publiczno si denerwuje.

Dopiero teraz znów usłyszałem wrzaw stadionu - była jaka inna, rozdra niona, niecierpliwa.

Kwadratowy, nieprawdopodobnie silny Prupis chwycił Dobryni pod pachy.

Głowa rannego opadła bezsilnie. Ja wzi łem Dobryni za nogi. Nogi były zimne.

Poło yli my go na nosze.

Było je ci ko nie .

Widziałem, jak rycerza, zranionego przez Dobryni , te wynie li na noszach.

Nie zd yli my jeszcze ukry si za drewnian cian , kiedy na polu znowu rozgorzała walka. Zadr ała ziemia pod ci kim krokiem rycerzy, zawył stadion.

Dobrynia uniósł jedn powiek .

- Jak nasi? - spytał słabym głosem.

- Nie wier si - powiedział Prupis. - I tak nam ci ko ciebie nie .

- Tobie ci ko! - warkn ł Dobrynia, ale zamkn ł oczy i zamilkł.

Zatargali my Dobryni za drewnian przegrod . Tam, na ziemi, siedział Batu-chan, oparty o betonow cian i pił z dzbana, który niewolnik trzymał przy jego ustach.

117

Poło ywszy nosze na ziemi, Prupis natychmiast odwrócił si w kierunku pola, jego o wiele bardziej interesowały losy walki, ni ycie Dobryni i Batu-chana, i mnie zrobiło si przykro, e okazał si taki bezduszny.

Ale id c za jego spojrzeniem, mimowolnie te zapatrzyłem si w obraz bitwy -

nie mo na inaczej, gdy widzisz, e twoich towarzyszy przycisn li do skraju pola i gniot ich ci n dzni rycerze w wiadrach.

Prupis wybiegł na skraj pola i pobiegł wzdlu jego brzegu, nie miej c st pn na muraw dlatego, e s dzia natychmiast wyłapywał takie naruszenie przepisów.

Prupis krzyczał, dawał rady, i nie wiadomo jak zako czyłaby si ta walka, najpewniej zawstydzaj c pora k i pełnym pobiciem naszych przez czarne tygrysy, gdyby Ilja Muromiec nie usłyszał Prupisa i nie rzucił si na przód w najwi kszy g szcz wrogich rycerzy.

Straszliwe ciosy posypały si na niego z obu stron - próbował uchyla si przed nimi, ale niektóre mimo wszystko osi gały cel. Zalany był krwi , ale cały czas w zapami taniu walił mieczem, i, pobudzeni jego przykładem, pozostali rycerze te ruszyli do przodu, i szybko bitwa znowu kipiała w centrum pola.

Ale Muromiec nie zobaczył ko ca tej potyczki. Ugodzony niezliczon ilo ci ciosów, upadł w ko cu i pozostał nieruchomy.

- Jak tam? - słabym głosem spytał z tyłu Dobrynia.

- Zranili Muromca - nie byłem w stanie ukry smutku.

- Nie zranili - zabili - powiedział Dobrynia.

W tym momencie rozległ si długi przerywany wist.

Podporz dkowuj c si mu, zm czeni, bez tchu, rycerze obu stron rozchodzili si , jakby od razu zapominali o istnieniu przeciwnika, a s dzia wyjechał w centrum pola i do mikrofonu ogłosił remis.

Ogłoszenie s dziego, nie budz ce mojego sprzeciwu, wywołało z jakiego powodu dodatkowe zamieszanie w ród po redników i slug, którzy biegali do kas i roznosili wygrane.

- A co oni tak? - spytałem Batu-chana, który ju podszedł do mnie i razem ze mn ogl dał zakończenie walki. R k miał opatrzon , ale rana za bardzo mu nie dokuczala.

- Wygrane i przegrane. Ludzie i aby stawiaj nie tylko na zwyci stwo - nasze, albo ich. Tu wa ne ile zabitych i rannych, Wszystko si liczy.

- R ka nie boli? - spytałem.

- Dopiero noc zacznie bole - powiedzial Batu-chan.

Z pola krzyczal Prupis, eby przynie nosze i zabra Muromca.

118

Razem z niewolnikiem zanie li my je tam. Wojownicy ju si rozchodzili, ci gn li za sob bro , jak kosiarze niepotrzebne ju kosy. Nosze byly ubabrane krwi Dobryni, i nagle wydalo mi si , e znów jestem w fabryce cukierków, i, e to nie ludzie, a g sienice, a nosze - to transporter, który wypluwa pelzaczy.

Z trudem odp dzilem od siebie wspomnienie zapachu ich krwi.

Prupis pomogl nam polo y Muromca. Ten byl bezwladny. Gdy szli my, jego r ka wlokla si po ziemi. Prupis obszedl nosze, podniosl r k i polo yl j na piersi zabitego wojownika.

Z trybun dochodzily krzyki.

- Nasi s niezadowoleni - powiedzial Prupis, - kto przegral. . - I po chwili, dodal: - A kto wygal.

- Mo e by jego do szpitala? - spytałem.

- A sk d tu we miesz szpital, nie jeste my abami - powiedzial Prupis.

Nasz powrot do autobusu byl powolny i smutny. Dobryni pomogli dosta si do niego towarzysze. Chocia wydawalo mi si okrutnym kaza mu i po otrzymaniu takich ran. Muromca odnie li my na noszach.

Obserwowal nas tlum widzow, ktorzy nie rozchodzili si - chcieli zobaczy rannych i zabitych. Kto z tlumu krzykn l:

- Rzu cie ich, po co to padlin taszczy !

- Stul pysk! - rykn l Prupis.

Donie li my Muromca do autobusu.

Zdziwiło mnie, e w ród pijanych od zapachu krwi widzów, zobaczyłem te dwóch czy trzech sponsorów - stali troszk z tyłu i po erali oczami nasz smutn procesj .

W autobusie z tyłu otwierały si drzwi, domy lilem si , e specjalnie na takie wła nie okazje. Postawili my nosze, sami te weszli my do rodka.

Widzowie zacz li si rozchodzi .

- Wszyscy na miejscach? - spytał Prupis.

- Pana Achmeda nie ma - powiedziałem.

- I nie b dzie - odpowiedział Prupis, - on dzieli szmal.

Rozległ si miech - prosto z pod moich nóg.

Wzdrygn lem si i omal nie spadłem ze stolka - martwy Muromiec podniósł si i usiadł na noszach.

119

- Ma kto co zapali ? - spytał. - My lałem, e zdechn bez fajek.

Wszyscy zacz li si mia , ale raczej nie ze słów Muromca, tylko patrz c na moj zdumion fizjonomi .

Dobrynia wyci gn ł srebrn papiero nic i otworzył j .

Muromiec wyrwał kawałek papieru ze starej ksi ki, le cej na podłodze, i zwin ł skr ta. Potem przypalił od benzynowej zapalniczki.

Dotarło do mnie, e wszyscy, oprócz Batu-chana, s zdrowi i cali.

- Jak to tak? - spytałem.

- Przecie spotkanie było towarzyskie - miał si Prupis.

- Najwa niejsze - powiedział Dobrynia, - to eby widz widział, e nie ma adnego oszustwa.

- Zawsze bij si ludzi - powiedział Prupis. - Zaby s łatwowieerne. Dla nich walka - to zawsze prawdziwa walka. I mier - to zawsze mier . Oni jak staro ytni wikingowie - ze mierci si nie miej , z ni nie artuj . Nawet im do głowy nie przyjdzie, e ludzie tak potrafi oszukiwa .

Wszyscy roze miali si . Przyjemnie było pomy le , e umiemy oszukiwa . Nie, nie tak na ka dym kroku, ale tak specjalnie, eby wywie w pole te aby.

- Ile zarobili my? - spytał, patrz c w sufit, Muromiec.

- Ile dadz , tyle dostaniesz.

- Mistrzu, ty ju od dawna nie wychodzisz na boisko - powiedział Muromiec, -
my lisz po staremu. Pewnie twój mieczyk si st pił.

Znów si wszyscy roze miali. I znowu poczułem, jaki jestem tu obcy.

- Nie st pił si - powiedział Prupis. Te si u miechał.

Okazało si , e weterani dostawali swoj dol z pieni dzy, zapracowanych przez szkoł . Szkoły uzgadniały mi dzy sob wcze niej - jaka b dzie walka, ilu b dzie rannych i zabitych. Przy czym, do tych ról wybierali zawsze weteranów, profesjonalistów --ich walka i ich mier musiały by przekonywaj ce. Zdarzały si przypadki, kiedy szalbierstwo wychodziło na jaw, ale ko czyło si to fatalnie i dla szkoły i dla gladiatorów. W autobusie dowiedziałem si , e skazane na zgub ofiary przywi zywały sobie termofory z farb , i umiej tno atakuj cego polegała na tym, eby rozpru kopi lub mieczem ten termofor, nie poraniwszy przy tym przeciwnika, ale i ten powinien podstawi wla ciwe miejsce - a w gor czce walki nie było to wcale takie proste. A juniorzy - tacy , jak Batu-chan czy Jurgen, którym na razie nie nale ało si prawdziwe uzbrojenie i, którzy pierwsi zaczynali walk - o wiele bardziej ryzykowali. Tu ju niczego nie dało si przewidzie -

120

mo na było oberwa guza, albo dosta kopi pod ebro. Droga do tytułu mistrza nie była prosta, i nikt nie zamierzał ci niczego ułatwia .

Wieczorem Batu-chana zacz ła bole rana - podniosła mu si temperatura.

J czął, weterani spali, nie zwracaj c na niego uwagi, ale Prupis przyszedł, przyprowadził ze sob felczera. Batu-chan dostał aspiryn , zastrzyk uspokajaj cy i wkrótce zasn ł. Felczer i Prupis cicho rozmawiali. Prupis powiedział, eby felczer wzi ł jakie lekarstwa, ale nie znałem tych nazw, u nas w domu lekarstwa były inne.

Szybko przyzwyczailem si do ycia w szkole gladiatorów, dlatego, e zawsze byłem zaj ty. Zbiegły pupilek sponsorów, domowe zwierz tko przybyszów - czy mogłem uciec? Oczywiście cie, e mogłem. Ale ju zdawałem sobie spraw , e zbyt mało wiem o otaczaj cym wiecie, no i czy mogłem mie jaki cel? Nawet je li i miałem, to nie u wiadamałem go sobie. Powiniennem był trafi do Markizy. Po co? Mo e miałem szcz cie, e Łysy sprzedał mnie do szkoły gladiatorów? Czy tu b d ył dalej i stan si tak samo silnym i zr cznym wojownikiem, jak Muromiec? Albo Dobrynia?

Chciałbym naprawi moje stosunki z Dobryni , by mo e nawet zaprzyja ni si z nim, ale Dobrynia trzymał mnie na dystans. Z pewno ci nie mógł

przebaczy mi niespodziewanego poniżenia, a może, po prostu mi się nie spodobałem.

Za to z innymi wojownikami, nawet weteranami zbliżyli się do siebie. Nie od razu, oczywiście, ale nikomu nie robiłem wstyd, nie kradłem, nie podlizywałem się Prupisowi, zawsze byłem gotowy pomóc, jeśli trzeba było coś zaszyć, albo naprawić. Do tego okazałem się dobry w fechtunku - mogłem wytracić miecz prawdziwemu mistrzowi, mogłem też obronić towarzysza, jeśli temu poszło.

Dowiodłem tego w pierwszej walce, kiedy razem z innymi juniorami wszedłem w skład zasadniczej drużyny. Spotkanie było dogadane, ludzi na malekim stadionie w Libercach było niewiele, sponsorów tylko trzech - tam w pobliżu nie ma baz, a sponsorzy nie lubią daleko odjeżdżać od swoich miasteczek.

Przeciw nam wystąpili Tatarzy - "Pantery Persji", drużyna słaba, ale groźna, ponieważ posiadali ostre kopyta i zakrzywione szable, którymi można pociąć człowieka na plasterki.

W gorączce walki z pięciu ludzi zważyło się na Jurgena, zarówno jeśli z pewnością, gdyby nie przeszkadzali sobie wzajemnie i nie spieszyli się - dzicy ludzie!

Pierwszy zdążyłem z pomocą. Walędem ich płazem szerokim ostrzem miecza i starałem się wytracić im szable z rąk.

Trzech, zdaje się, pozbawiłem broni. Ale pamiętałem cały czas, że nie wolno zabijać, ani nawet zranić w umówionym meczu - inaczej będziesz miał

nieprzyjemno ci i ty, i szkoła.

121

Ale Tatarzy, widząc, że w walce zapomnieli, że walczyć nie na prawdę.

Jeden z nich zdążył mimo wszystko przeciwni policzek, nawet nie od razu poczułem ból - taki ostry był jego kopyta, a drugi wbił kopyta Jurgenowi pod łopatkę.

Tu z pomocą przyszli nasi weterani - kopiami zapędzili Tatarów na skraj areny i bili ich kopytami.

Felczer wybiegł prawie na boisko i rzucił mi białą chustkę.

- Przyciń! - krzyknął. - Przyciń i wytrzymaj.

A sam rzucił się ku leżącemu na ziemi Jurgenowi.

Jeszcze nie czułem bólu i tępo pospieszyłem do Jurgena, by pomóc wyciągnąć go z areny - przecieczas meczu jeszcze się nie skończył i tatarska kawaleria, która broniła piechurów, jeszcze walczyła z naszymi jeźdźcami.

Jurgen le ał, skurczywszy si , jakby zmarł. Oczy miał leciutko uchylone.

Felczer zacz ł przewraca go na pier .

Plecy były zalane krwi , krew lała si obficie z przeci cia na skórzanej kurtce.

Patrzyłem na niego, przyciskaj c do policzka chustk , i nie denerwowałem si zbyt, poniewa s dzilem, e Jurgen ma na plecach termofor, albo p chertz z kurz krwi . Ale ciało Jurgena obróciło si tak posłusznie i bezwładnie, e do serca zakradła mi si trwoga.

- Koniec - powiedział felczer.

Niewolnik z Prupisem przynie li nosze.

Prupis chciał spyta , ale felczer sam powtórzył:

- Koniec.

Prupis zakł ł, i wszyscy razem Jurgena na nosze.

Cały czas jeszcze nie docierało do mnie, e Jurgen umarł, - nigdy jeszcze nie widziałem martwego człowieka, a tym bardziej takiego, którego znałem i, z którym dopiero co rozmawiałem.

Kiedy odnie li my ci kie nosze do szatni pod trybun i Jurgena poło ono na szerokiej ławie, felczer kazał mi go rozebra .

Posłuchałem, ale zapomniałem si i odj łem chustk od policzka. Moja krew zacz ła szybko kapa na Jurgena, i Prupis, widz c to, krzykn ł:

- Jeszcze tego brakowało! Co, oprócz Lancelota, nie ma komu rozebra nieboszczyka?

122

Słowo “nieboszczyk” zabrzmiało obrzydliwie i obra liwie. Jaki nieboszczyk?

Jurgen? Prupis artuje? Przecie to na pewno była umowa, Jurgen, taki rozwa ny, spokojny, zaraz otworzy oczy i mrugnie do mnie. . Ale jednocze nie ju wiedziałem, e Jurgen nie yje i nigdy ju oczu nie otworzy.

Zacz łem płaka i odszedłem do ciany. Krew lała si z rozci tego policzka, i cała prawa strona kurtki była mokra i lepka. Prupis podszedł do mnie, wzi ł za ramiona, obrócił twarz do siebie i powiedział:

- Trzeba szy . Felczer, chod no tu. Jurgenowi teraz nigdzie si nie spieszy.

Szczka bolała, bolała głowa, było mi niedobrze.. Niewolnik przyniósł mi szklankę wódki. Prupis kazał wypić do dna.

- No, przelkaj resztki ! Bo przez ranę wyleje się na zewnątrz.

Kto za mną miał się głupio. Pospiesznie przełknęłam palący napój, bo rzeczywiście cie wystraszyłem się, a wyleje się ze mnie.

Potem kazali położyć mi się na ławie i felczer, przemywszy policzek wódką, zaczął go zszywać.

Dobrynia podszedł do mnie - mścił mi się w oczach i nie od razu go poznałem.

- Dobrze ci tak - powiedział. - Nie trzeba się było pchać, ółtodziobie

- Ratowałem Jurgena - powiedział Batu-chan, który stał obok, i, kiedy chciałem się wyrwać, trzymał mnie za rękę.

- Lepiej by zrobili, gdyby poczekali, póki my nie przyjdziemy.

Dobrynia omal nie pękł od poczucia własnej wyjątkowości. Prawie wszyscy weterani byli tacy.

- Póki wyszli cię - powiedział Prupis, - tamci wybili by mi wszystkich juniorów. Jesteś cię dobry, kiedy macie ileś przewag, a tak -

przeczekujecie.

- My? Przeczekujemy?

- Wynosi się stąd - powiedział Prupis, i Dobrania, mamroczył, odszedł.

Następnego dnia policzek mi spuchł, felczer nawet bał się, że umrę z powodu zakrzepienia krwi, ale do zakrzepienia nie doszło, chociaż dostałem gorączki, nie spałem całą noc i czułem się koszmarne. I na pogrzeb Jurgena nie poszedłem. Co to zresztą jest - pogrzeb juniora? Zakopi do ziemi, naczelnik szkoły, albo trener powie, żeby mu ziemia lekka była, a potem całą szkołę napij się wódki nad jego grobem. I po sprawie.

Kiedy dzielono rzeczy Jurgena, weterani się nie wtrącali - wszystko dostali nowicjusze i juniorzy. Mnie dali jego nóż. Niewielki nóż, pochwa skórzana, wytarta, klinga przez czyste ostrzenie zrobiła się mała, długa na dwie dłonie.

123

Nosiłem go pod kurtkę, za pasem, na wszelki wypadek, i byłem wdzięczny Jurgenowi za taki dobry podarek.

Nóż Jurgena przydał mi się w walce, prawdziwej, zgodnej z kalendarzem walce, która okazała się dla mnie walką w naszej szkole.

Było to jesienią, zaczęły się oficjalne mistrzostwa Moskwy, a nasza szkoła znalazła się w fatalnej sytuacji - padły nam trzy konie, w tym ulubiony bojowy ko Dobryni. Konie ktoś otruli, i nie wiadomo - czy to któryś z rywali, czy bukmacherzy, stawiający cudze pieniądze na drugą stronę.

Bojowego konia od razu mnie nie bierziesz. Takie konie wybiera się w rodzinie. Specjalnie się karmi, trenuje. Kiedy nasze konie padły, spotkanie było za pasem. Pan Achmed, nie mówiąc już o weteranach, byli w podłym nastroju.

Przeigrana - oznaczała spadek w tabeli, a może nawet, wypadnięcie z pierwszej ligi. A z drugiej ligi rzadko kto wracał do pierwszej - chętnych było wielu, a zdobyć pieniądze i ludzi do dobrej drużyny w drugiej lidze bez sponsorów było niemożliwe. A sponsorzy nie stawiają na pechowców.

Dobrynia był nie swój, lepiej było do niego nie podchodzić. Był przekonany, że konie otruli nasi przeciwnicy "Biali Murzyni" z Puszczyńskiej. Wszystkie te słowa nic dla mnie nie znaczyły - nie wiedziałem, kto to są Murzyni, i dlaczego są biali, nie wiedziałem, co oznacza słowo Puszczyńska. Kiedy spytałem Prupisa, tylko wzruszył ramionami - nawet się nad tym nie zastanawiał. Dopiero felczer powiedział mi, że Puszczyński był poetą, że żył dawno i pisał wiersze. Sponsorzy też mają poetów i wiersze, chociaż trudno w to uwierzyć. Poeci siedzą na jakiejś górze, nie na naszej planecie, i chórem wyśpiewują o pogodzie i kłószczawych obłoczkach. Pan Jajbłoczko w takich razach zamierza się do łez, a pani Jajbłoczko lubi ich słuchać i wyciszać, kiedy mąż onka nie ma w domu.

Tego dnia wyst powalem razem z juniorami. Tak jak oni, bylem w kurtce z grubej byczej skóry, w okr głym elaznym kasku, mialem miecz i nó Jurgena.

Batu-chan i inni juniorzy ubrani byli podobnie. Dobryni, Sołowiowi i Mikule, pozbawionych koni, znale li inne - tylko, e nowe konie, wzi te ze złych stajni, do niczego si nie nadawały.

Ale stawka była ogromna, je li wygramy - b dziemy mogli kupi cał stajni , przegramy - to koniec dla szkoły. Tak wi c w autobusie, który wiózł nas na stadion, poło ony w drugim, zupełnie, ko cu miasta, w zakolu szerokiej rzeki, wszyscy milczeli, ka dy jak mógl przygotowywał si do walki.

Do szatni pan Achmed przyprowadził czarownika, eby nad nami odczynił

czary. Bitwa miała by prawdziwa, bez umawiania si : je li s dziowie lub bukmacherzy dowiedz si o znowie, wyrzuc nas z pierwszej ligi.

Czarownik był w czarnym stroju, pomara czowej kamizelce i niebieskim cylindrze.

124

Nie spodobał mi si jego ubiór - z pewno ci , tak ubierali si ludzie przed nadej ciem sponsorów, ale nie lubi zbyt jaskrawych barw i barbarzy skiego ł czenia kolorów, cho inni gladiatorzy nie przywi zuj do tego wagi. Czarownik wyj ł z, przewi zanej sznurkiem teczki karafk i kilka szklaneczek. W karafce był jaki ró owy płyn. Czarownik z pocz tku skakał wokół karafki, wykrzykuj c czarodziejskie słowa, a potem, gdy pan Achmed kazał mu si streszcza , bo pora ju była wychodzi , on rozlał ró owy płyn do szklaneczek i weterani wypili, a nie dopite resztki zostawili nam. To był spirytus, ale co do niego dodano.

- Mam nadziej , e to nie doping? - spytał Prupis, skosztowawszy.

- Przecie wiem, czym ryzykuj - powiedział czarownik.

Twarz miał podłu n , ółt i, wyskubane do cienutkiej niteczki, brwi.

Zebrał szklaneczki do teczki, Achmed dał mu dwana cie rubli, i czarownik, przeliczywszy je, powiedział, e na pewno zwyci ymy.

Kiedy wyszedłem, przed rozpocz ciem walki, na korytarz, zobaczyłem czarownika znowu - szedł obok drugiego czarownika. Spokojnie rozmawiali.

Felczer, który był obok mnie, powiedział:

- A ten drugi był u murzynów. To bracia.

- Ciekawe, co on powiedział murzynom - powiedziałem.

- Dlaczego pytasz?

- Przecie ten nasz nam powiedział, e zwyci ymy. Czy to znaczy, e drugi powiedział murzynom, e oni nie zwyci

?

Moje rozwa ania rozbawiły felczera.

- Z czego si miejesz? - spytałem.

- Ciekawe, kto by mu zapłacił za zł wró b ?

Pomy lałem chwil i stwierdziłem, e felczer ma racj , i to mnie zdenerwowało.

- A ja mu uwierzylem - powiedziałem.

- No i wierz dalej - powiedział felczer.

Tu rozstali my si - on poszedł z trenerami i niewolnikami na skraj boiska, by obserwowa walk zza drewnianej bariery, a ja pospieszyłem za gladiatorami.

Ustawili my si przy szerokim przej ciu pod trybunami. Z przodu, jak zwykle przy uroczystym wymarszu, stali konni weterani - w pancerzach, kolczugach z czerwonymi tarczami i kopiami, za nimi my - piechurzy, maluczcy.

Szum stadionu cisl na błony b benkowe. Nigdy jeszcze nie widzialem tyle ludzi naraz. By mo e, było ich tu z pi dziesi t tysi cy. Jak i wsz dzie, sponsorzy 125

zajmowali dwa rz dy ló , otaczaj cych stadion. Ni ej siedzieli milicjanci, wy ej, za szerokim przej ciem, po którym pał tali si bukmacherzy i agenci, szumiała ró nokolorowa ludzka publika.

Dotarło do mnie, e przez ostatnie miesi ce przywykłem ju do podobnych, pewnie, e nie do takich ogromnych, widowisk. Powiem wi cej, s dz c po zachowaniu i pewno ci siebie niektórych bogatych i wa nych ludzi, zacz lem nawet podejrzewa , e rzeczywi cie planet nasz rz dz nie sponsorzy, jak uwa aj wszystkie pupilki, ale wła nie ci ró nokolorowi panowie.

Zreszt , wła nie tego dnia miał mnie gł boko rozczarowa mój własny zmysł

obserwatorski i , miałem podda w w tpliwo wszystkie opowie ci, którymi cz stowali mnie w szkole i gladiatorzy, i pan Prupis.

S dzia wyjechał autokarem na rodek boiska i nad stadionem rozległo si uderzenie gongu.

- Z Bogiem! - krzykn ł Prupis, uniesion r k odprowadzaj c nas na bój.

Pierwsi ruszyli ci cy je d cy, omal si nie spó niłem, przytłamszony jeszcze szumem stadionu, ale Batu-chan szarpn ł mnie za r kaw. Pomaszerowali my w lad za je d cami.

Wyszedszy na boisko, nasza mała armia zatrzymała się na jego skraju, czekając na przeciwnika.

Kiedy się pojawili, omal nie uciekłem ze strachu - czego takiego w życiu nie widziałem.

To nazywało się słowo.

Słowo pokryte było czerwonym czaprakiem, do jego grzbietu była przymocowana niewielka platforma, na której siedziało trzech czy czterech łuczników.

Jeszcze jeden człowiek siedział z przodu, zaraz za uszami słonia i kierował nim, poklepując trzcinką po głowie.

Za słoniem i po obu jego stronach wyjeżdżali jeźdźcy w elastycznych naramiennikach i otwartych hełmach. Sami jeźdźcy i ich konie wysmarowani byli białą farbą, a ich purpurowe wargi i czarne kółeczka renic rzuciły się w oczy i wyglądały, jak namalowane na białym papierze. Całym ubraniem jeźdźców były czarne opaski na biodrach. Potrzebali krótkimi kopiami o płaskich szerokich ostrzach, podobnymi do ości, i nieskładnie zawodzili.

W odpowiedzi na ich zawołanie stadion tętnił - ta drużyna była bardzo popularna, i to jej kibicowało wielu sponsorów. A gdzie sponsorzy, tam i bogacze

- o tym nie raz mówiono mi w szkole. Niektórzy ludzie stali się na tyle przydatni sponsorom, a ci nie mogli się bez nich obejść. Wykorzystywali oni fakt, że sponsorzy nie mieli się w szczelinach, czy że nie mogli wejść do domu i musieli polegać na wiernych ludziach. I było nieważne czy sponsorzy wiedzieli o tym, czy nie

domy łali się prawdy, czy że byli na tyle tępici i naiwni, że wierzyli w bezinteresowność ludzi. Ale właśnie tym ludziom pozwalano ubierać się i mieszkać w mieście, a nawet mieć własne samochody lub konie. Oficjalnie, tacy ludzie byli określani jako nieszkodliwi ekologicznie, propagatorzy zdrowego sposobu życia, ochrony przyrody i miłośnicy do sponsorów.

Słowo wystraszył mnie. Arena nie była taka znów wielka, i jeżeli ten potwór szybko biegnie, to może zdeptać nas.

- A czym tego zabi! - spytałem.

Stojąc obok Batu-chan odpowiedział:

- Jego nikt nie rusza. To - talizman, ma straszyć takich, jak ty, głupków.

- A ci, którzy na nim siedzą?

- Nie martw się, zejdziesz kiedy będzie trzeba - powiedział Batu-chan. - Słowo im nie pozwoli stamtąd strzelać.

Mimo wszystko czułem strach. Mo e Batu-chan si myli, mo e go okłamano i ten potwór zaraz rzuci si na nas i wbije we mnie swoje gigantyczne kły?

Sło stał na arenie niedługo. Nasi wojownicy krzyczeli na niego, nazywaj c obra liwie rogat wini , biali murzyni kl li w odpowiedzi, ale, kiedy rozległ si gwizdek s dziego, lucznicy, wstrzeliwszy strzały w niebo, zeskoczyli ze słonia, a ten, przest piwszy z nogi na nog , opadł na kolana i zwrócił leb w kierunku lo y, w której siedzieli dwaj pot ni sponsorzy w kosztownych szatach naczelników baz. Ci zachwyceni, załomotali wielkimi kulakami w elazn balustrad , i cały stadion zac ł tupa , krzycze , wali pi ciami i bi brawo. Wszyscy chcieli naszej pora ki. Sło opu cił aren i przeszedł na bie ni .

Potem rozpoc ł si bój.

Zacz ł si zwyczajnie. My, juniorzy, wychodzili my na czoło i l yli my przeciwnika, wy miewali my go, nasze kpiny i obelgi były wychwytywane przez wisz ce nad boiskiem mikrofony i wielokrotnie wzmacniane, ku uciesze widzów. I czym spro niejsze i wulgarne były nasze obelgi, tym gło niej cieszył si stadion.

Za wyj tkiem, oczywi cie sponsorów, którzy w tym czasie robili zakłady i dogadywali si z bukmacherami - robili interesy.

Starli my si z piechot białych murzynów, mnie w utarczce dostał si słaby przeciwnik: był młody, mo e nawet młodszy ode mnie, mi nie miał jeszcze nie wyrobione, nogi, jak patyki, a ramiona w skie, jak u dziewczyny. W

zapami taniu machał szabl , starał si przeszy mnie swoj włóczni , ale wystarczyły mi dwie minuty, eby przeci mieczem drzewce jego włóczni, a nast pnie wybi mu z dłoni kind ał, który wyrwał zza pasa.

Biały murzyn wystraszył si . Wydało mi si nawet, e wapno na jego policzkach i czole stało si jeszcze bielsze, renice jego latały po orbitach, jakby 127

chciał przeskoczy przeze mnie. Ale ucieka nie miał dok d. A ja uniosłem miecz nad jego głow .

Mój przeciwnik zobaczył swoj mier w moich oczach i wybrał jedyne rozs dne wyj cie - padł na kolana i oddał mi si w niewol .

Nie nale y my le , e kalendarzowe spotkania gladiatorów to same zabójstwa.

To, krwawa wprawdzie, ale jednak gra, maj ca swoje reguły. Po to i s s dziowie na boisku. Je li przegrał w pojedynku, cho nawet nie jeste ranny, zawsze masz prawo si podda - rzu tylko bro i padnij na kolana. I ciebie nie wolno ruszy tak, jak nie wolno ruszy rannego. To prawda, e dla twojej dru yny to strata punktów, a dla tych, którzy postawili na ciebie lub na dru yn - strata pieni dzy. Ale nie nale y narusza reguł - za to mog zdyskwalifikowa cał

szkoł . W ród gladiatorów o wiele bardziej ceniona jest umiejętność rozpoznania przeciwnika i wzięcie go do niewoli, niż zranienie go. a zabija mało kto lubi, śmierć zazwyczaj bywa przypadkowa.

Zabójca nie był, tak więc odprowadziłem je cała za boisko, tam do niego podbiegł pomocnik sędziego, a ja wróciłem do walki, byłem dumny, i pomogłem mojemu drużynie, i cieszy się, i dostanie półsetki premii.

Wprawdzie, więc nie walczyłem, bo potyczka juniorów już się zakończyła, i do roboty wzięli się jeźdźcy. Uniósł się kurz, słychać było krzyki, rękawice koni i jęki, szczyki mieczy, uderzały o tarcze kopie. Wiedziałem już, że zacięcie walki szybko ruchów to wiadectwo jedynie doskonałego wyszkolenia drużyny. Prawie na pewno, w pierwszej rundzie nikt nie zostanie zabity. A w rundzie drugiej zadecyduje, albo okaleczy któregoś z nas, juniorów. Tak, więc ja nawet cicho rzuciłem zawzięte spojrzenie na pojmanego przez mnie białego murzyna -

siedział teraz w kucki na bieżni i wyglądał na przybitego. Będziesz ty miał, pomyślałem, w szkole ukarzą ci surowo - nie zawodzi się drużynie!

Dla niego ta walka zakończyła się.

Wtedy nagle pojąłem to, nad czym wcześniej nie zastanawiałem, - okazuje się, że nie lubi walczyć, macha mieczem i zabija innych ludzi. Głupie, zajmujesz dla zwierząt! Nigdy nie będziesz prawdziwym gladiatorem i weteranem - jak bym się nie starał. Z każdym dniem coraz ohydniejsze staje się odrabianie na wiczeniach mieczem słomianych głów strachom na wróble czy cięgnięcie si godzinami fechtowanie z "cieniem".

Rozmowy moje nie trwały długo, bo przybiegł felczer z wiadrzem wody, trzeba było napoić wojowników, - ja miałem za zadanie osłaniać bezbronnych felczera przed przypadkowym ciosem.

Widzą nas, wojownicy przerywali walkę, wyciągali, nie schodzili z siodeł, ręce

- felczer nalewał do kubka wody z solą, jeźdźcy pili, ja zaś patrzyłem, aby ktoś ich nieoczekiwanie nie zaatakował.

128

Udało się. Białemu murzynom, zresztą, tego chciało się pić, i zdarzył się, jak to często bywa w trudnym boju, niezaplanowany time-out. Nikt z widzów nie miał

tego za złe - tam, na trybunach, tego roznosili kwas, oraz napoje dla sponsorów.

Do przerwy walka toczyła się ze zmiennym szczęściem. Dobrymi udało się zranić murzyna skiego wodza, którego wynieśli na noszach, ale, niestety, do niewoli dostał się Sołowiej. Dwaj przeciwnicy zwalili go z konia i przyłożyli do gardła kopie. Nikt nie zdążył mu pomóc, i Sołowiej się poddał. To był cięgi cios dla szkoły. Przeciejeniec musiał miesiąc odpracować w stajni u

przeciwnika, i dopiero pó niej mo na go było wykupi . Zdarza si czasami, e szkoła nie chce wykupi je ca - wtedy zostaje on niewolnikiem. Ale Sołowia wykupimy, wiedziałem to na pewno. Sołowiej to jeden z wa niejszych weteranów szkoły.

Zasadnicze wydarzenia powinny były rozegra si w drugiej rundzie. Na razie niewielk przewag miał przeciwnik, ale, jak rozumiałem, on te był wyko czony, i gdyby nie słabe konie u naszych weteranów - złamaliby my opór przeciwnika ju wcze niej. A tak wynik spotkania był niejasny.

Zacz ł pada deszcz. Trybuny zakwitły ró nokolorowymi parasolami, rozwin ły si brezentowe płachty równie nad lo ami sponsorów. My musieli my mokn i walczy na liskiej trawie, po kolana w błocie. Zmagania wyszkolonych wojowników mogły przekształci si w zwykł , obrzydliw bijatyk .

Sło stał niedaleko ode mnie, te było mu zimno i nieprzyjemnie. Miarowo kołysał głow , jakby nucił co sobie, unosił i opuszczał tr b .. Jego poganiacz zlął na ziemi i przykucn ł, chowaj c si przed deszczem, pod brzuchem słońa.

Nie poszedłem do szatni, bo wiedziałem, e tam Prupis zaproponuje nam po czarce rozwodnionego spirytusu. Nie lubilem tego wi stwa, nie zd yłem polubi . Woląłem ju mokn na deszczu, ni pi ten płyn - zreszt , samopoczucia po nim te nie lubilem. Woląłem marzn , ale zachowa wie y umysł.

By mo e, kiedy indziej znów zacz to by si ze mnie mia , jak miano si zawsze, ale dzi nie ja byłem wszystkim w głowie, no i je ca, przecie , te wzi łem ja, a nie Muromiec, czy Dobrynia.

Spojrzenie moje padło na trybuny po tej stronie, gdzie stał sło .

Tak czasami bywa - jeszcze nie dotarło do ciebie, co zobaczyłe , a cały ju jeste spi ty.

By mo e, i nie zauwa ylbym madamki z fabryki słodyczy, gdyby nie to, e wła nie w tym momencie, podniosła si i poszła do wyj cia w towarzystwie Łysego.

Oboje ubrani byli jaskrawo, w złocistych płaszczach z wyhaftowanymi na nich czarnymi i czerwonymi kwiatami. Taki płaszcz musiał kosztowa maj tek - co ju wiedziałem na temat ubra .

129

Madamka zatrzymała si przy wej ciu i odwróciła si . Napotkała moje spojrzenie. Cho dzielilo nas ponad sto metrów, byłem przekonany, e mnie poznała. Rozpoznawszy - odwróciła si oboj tnie. Wtedy dotarło do mnie, e Łysy, lami c umow z Henrykiem, sprzedał mnie do gladiatorów za zgod swojej gospodyni, by mo e, forsa te si jej dostała.

Podszedł nasz dobry felczer i przyniósł mi kubek gor cej mi towej herbaty. Nie zd yłem jej dopi , gdy rozległa si syrena i trzeba było znów wychodzi na mokre boisko. Nagle, wydało mi si dziwaczne, e ludzie przygotowuj si do tego, by zabija si wzajemnie. Ubrali si do tego specjalnie,

naostrzyli bro i wyszli na boisko, by zabija . To była prawie wojna - ale wojna, na którą przychodzi popatrz sobie. A przecie pani Jajbłoczko tyle razy mówiła mi, e ka da wojna - to klaska ekologiczna, i dlatego pierwsze co zrobili sponsorzy po przybyciu na Ziemi , to zakazali wszelkich wojen. Pewnie, e wojna, którą my prowadzimy, nie jest zupełnie prawdziwa, i, z pewno ci nie mo na jej porówna co kl ski ekologicznej. A jednak, w naszej grze było co złego, naruszenie jaki zasad. My zabijamy si wzajemnie, a pozostali ludzie i sponsorzy robi zakłady na nasze ycie. A przecie nad trybunami rozwieszono s dobrze znane hasła:

“Czystym zamierzeniem - czyste rzeki!”, “Kryształowe powietrze - lekkim!”,

“Pami taj - Ziemia jest jedna, wi c strze jej, nie pij do dna!”.

Te hasła towarzyszyły mi od dzieci stwa. Były rozci gni te w poprzek ulic, na dachach domów, litery ich były wykonane z płótna, metalu, albo holograficznie; znałem je na pami i nie zauwa ałem ich.

W takim pos pnym nastroju wyszedłem na mokr aren . Teraz, powinna rozpocz si potyczka weteranów, i dopiero po jej zako czeniu, do ogólnej walki powinni wł czy si juniorzy.

Długo nie mogłem si skupi na przebiegu walki - my li rozbiegały si , oczy wyszukiwały sponsorów, którzy prze ywali wydarzenia na arenie, odra aj ce wydały mi si ich łapy, b d ce w ci głym ruchu. Żółte pazury to chowały si pod skór , to wylażyły na wierzch, wczepiaj c si w barierki. Wiedziałem ju , e gdyby nawet pani Jajbłoczko zeskoczyła, zobaczywszy mnie, z trybuny i przybiegła, wymachuj c smycz lub misk z mi sem, do mnie przez cał aren , eby odprowadzi mnie na kuchenn pod ciólk , ja si ju na to nie zgodz .

Miesi ce sp dzone poza domem, w znacznym stopniu rozwiały aureol , którą mieli w moich oczach sponsorzy.

D wi czały, uderzaj c o siebie miecze, tarcze glucho j czały w odpowiedzi na ciosy, do tych d wi ków ju przywykłem.

I nagle co si popsulo w tej symfonii - wł czył si okrzyk przekle stwa. .

Cudzy ko , przydzielony Dobryni, niezdarnie uskoczył w bok, upadł na kolana i biały murzyn, walcz cy z Dobryni , natychmiast wbił kopi w plecy rycerza.

To uderzenie było jakby sygnałem naszej pora ki - nasi je d cy próbowali osłania Dobryni , dopóki Prupis z felczerem, ryzykuj c mier pod kopytami, biegli do niego; s dzia gwizdał, staraj c si wbi klinem swoim autokarem mi dzy 130

walcz cych, ale biali murzyni, czuj c nadchodz ce zwyci stwo, niczego nie słyszeli i rwali si do le go na ziemi Dobryni.

Ale nie zd yli - Dobryni nie tak łatwo było zabi . Podniósł si , ciskaj c w r ce miecz. Na sekund

stan ł plecami do mnie, i wtedy zobaczyłem, e plecy jego były czerwone - krew lała si z gł bokiej dziury w kolczudze.

Z radosnym wrzaskiem zwyci scy, biały murzyn znów uniósł kopi - wydawało si , e poło enie Dobryni było beznadziejne. Na stadionie zapanowała nieoczekiwana cisza. To była ju najprawdziwsza walka!

Dobrynia, cho ogłuszony uderzeniem, zdołał uchyli si od ciosu i, chwyciwszy kopi za drzewce, szarpn ł j do siebie tak, e biały murzyn, który nie pomy lał, by wypu ci kopi z r k, wyleciał z siodła i ci ko upadł na ziemi , zahaczywszy jedn nog o strzemi .

Inni biali murzyni rzuci si z pomoc swojemu rycerzowi, sło , uniósłszy tr b , gło no zatr bił, ale na ich drodze stan ł Ilia Muromiec, który wzi ł na siebie napór półtuzina je d ców i zatrzymał ich na sekund , mo e dwie - to wystarczyło Dobryni, eby wzi zamach mieczem i opu ci go na kark białego murzyna.

I wtedy zobaczyłem - a zobaczywszy, nie uwierzyłem - jak odpada od ciała ludzka głowa, odpada i toczy si po trawie, staj c si ciemn i bezkształtn .

Dobrynia, bez sił, opadł na ziemi obok bezgłowego wroga, s dzia te ju był na miejscu - próbował autokarem rozdzieli wojowników. Nasi starali si osłoni rannego Dobryni , póki nie nadejd nosze. Udawało si im to z trudem, bo biali murzyni byli rozw cieczeni mierci - i to tak straszn - swojego towarzysza.

I wtedy dopiero co przycichły stadion zaniósł si jednym krzykiem.

Spojrzawszy na trybuny, zobaczyłem, jak jeden ze sponsorów przelazi przez barier . Sponsor ryczał tak, e przekrzyczał pozostałych widzów. Ale nikt z ludzi, oprócz mnie, nie rozumiał co on wrzeszczy.

- Zrujnował - krzyczał sponsor. - Zha bił! Wszystkie moje pieni dze! Takiego rycerza zabił! Ju jeste martwy!

Nie mog r czy , e dosłownie przetłumaczyłem wszystkie jego słowa, tym bardziej, e on tak strasznie dyszał i chrypiał, wykrzykiwał swoje gro by w do prymitywnym i wulgarnym dialekcie, ale było jasne: ten sponsor postawił swoje pieni dze wła nie na zabitego murzyna i teraz miał zamiar wymierzy sprawiedliwo po swojemu.

Nikt z ludzi nie zrozumiał zamiaru sponsora, wszyscy stali jak wmurowani i patrzyli na gigantyczn poczw ar . Inni sponsorzy nawet nie starali si go zatrzyma - na odwrót, niezale nie od tego na jak dru yn stawiali, sponsorzy walili w bariery pi ciami, wysuwali pazury i wydawali z siebie radosne ryki, jakby wszystko co si działo sprawiało im przyjemno .

Krzykn łem:

- Dobrynia, uciekaj!

Nie my lałem nawet, e mój krzyk doleci do weterana i, dlatego zrobiłem krok w jego stron , potem jeszcze jeden. Co powstrzymało mnie od tego, by rzuci si do przodu. Zreszt , i tak nie mógłbym tego zrobi tak szybko, bo oddzielali mnie od Dobryni biali murzyni, którzy te zatrzymali si , patrz c na oszalałego sponsora i, nie rozumiej c czego on chce.

Dobrynia był jedynym, który usłyszał mój krzyk. Mo e, i nie sam krzyk, on uchwycił moje przera enie i strach o niego.

Zmusił si do wstania i nawet zd ył zrobi par kroków w kierunku noszy, które nie li Prupis i felczer, ale w tym samym czasie sponsor ju wdarł si na boisko i, rozrzucaj c we wszystkie strony mocarnymi łapami napotykanymi na drodze ludzi, rzucił si ku Dobryni.

Dobrynia próbował uchyli si , ale nie odwa ył si podnie miecz na sponsora

- ich absolutna wy szo została wyssana przez ludzi z mlekiem matki. Dobrynia mógł tylko cofa si , trzymaj c miecz przed sob .

W zachwyconym ryku stadionu sponsor dopadł Dobryni i walczyli kilka sekund, bo sponsor próbował wykr ci r k Dobryni, eby zabra mu miecz, ale rycerz rozpaczliwie wczepił si w jego rkoje .

Nikt z naszych nie odwa ył si przyj mu z pomoc - jakby wszyscy zamienili si w kamienie.

Jeszcze sekunda - i Dobrynia musiał rozsta si z mieczem; odrzuciwszy go na bok, sponsor wczepił si pazurami w szyj Dobryni.

Nie wiem, dlaczego znalazłem si obok - wida , biegłem do nich cały czas, kiedy trwał krótki pojedynek o miecz, nie zauwa aj c, e biegn . Tylko w ten sposób mogłem si znale obok nich. . I mimo wszystko spó nilem si - Dobrynia mocno odchylił si do tyłu, jakby staraj c si oderwa pazury od gardła, ale pazury weszły gł boko, i z szyi ju chlustała krew, a sponsor rzucił Dobryni na ziemi , ten upadł na plecy, i wtedy sponsor zwałił si na niego całkowicie przykrywaj c swoim cielskim ciałem rycerza. Widziałem tylko, jak palce r k Dobryni konwulsyjnie i bezsilnie zaciskaj si i prostuj .. .

I wtedy wbilem swój miecz w plecy sponsora.

By mo e chciałem odr ba mu głów , a mo e tylko go odepchn - sam nie wiem, czego chciałem, nie miałem poj cia co robi - inaczej nigdy bym tego nie zrobił. Przecie Dobryni ju uratowa nie mogłem..

Sponsor poczuł moje uderzenie - cho nie było tak silne, jak bym chciał. Mój miecz wnkn ł gł

boko w jego spadziste rami , i , zalany, tak samo czerwony , jak u ludzi, krwi , sponsor podniósł się , nie pojmując co się stało.

132

Zdążyłem zobaczyć , że Dobrynia leży płackiem, z niezgrabnie jako , nienaturalnie odchyłony zmiadł on głową , - był martwy i przypominał dziecięcą lalkę , która wpadła pod samochód.

Nie słyszałem odgłosów stadionu, ale myślałem , że jeszcze nigdy on tak nie krzychał . ale tylko, do momentu, kiedy uderzyłem mieczem sponsora.

A po tym nastąpiła złowieszcza, do bólu w uszach, cisza, jakby ludzie zobaczyli , że niebo spada na Ziemi .

Widziałem, jak łapa sponsora skierowała się do pasa (przy pasie sponsor ma zawsze pistolet - pan Jajbłoczko zdejmował go tylko w domu). Zobaczyłem, jak sponsor wyjmuje pistolet - i w tym momencie nikt na stadionie nie miał

w tliwo ci , że za chwilę będzie martwy, i , chyba byłoby to dla wszystkich, oprócz mnie, najlepsze wyjście. Zdarzył się oprych, który odważył się podnieść rękę na szacownego sponsora, był oprych, ale pan sponsor unicestwił go własną ręką .

Ale wśród wielu tysięcy, pragnących takiego zakończenia tej historii i, przekonanych, że i nie może być inne, był wyjątek - ja.

I dlatego, widząc, jak sponsor wrywa pistolet i jak pistolet unosi się , bym zdążył przed śmiercią zajrzeć mu w lufę , wziąłem krótki zamach i szybkim, wypracowanym na treningach ruchem, cięłem sponsora po szyi - wiedziałem, że pierś, osłoniętej pancerną kamizelką , nie przebiję , ale miejsce, gdzie głowa sponsora przechodzi w ramię - jest najsłabsze. Tylko tak można zabić sponsora.

A w tym momencie chciałem tylko jednego - chciałem zabić sponsora, dlatego, że w innym wypadku on zabije mnie.

Sponsor czkniął, wolno osunął się do tyłu i upadł na nieszczęsnego Dobryni .

Stałem i patrzyłem na niego, a po głowie pałała się myśl: jak by tu cięgnąć z Dobryni i zobaczyć - a może jeszcze żyje? Stałem tak kilka sekund, i nagle, rozległ się krzyk, który uratował mi życie:

- Uciekaj! Uciekaj, Lancelot!

Później już , przypominając sobie ten moment, uzmysłowilem sobie, że krzychał

nasz trener Prupis - razem z felczerem byli blisko mnie, przybiegli z noszami, ale, niestety spórnili się .

Krzyk Prupisa przywrócił mnie do rzeczywistości i, w jednej sekundzie przekształcił znowu w

zwierz - domowego pupilka, który ucieka przed goniącymi go takimi samymi zabijakami!

Rzuciłem się do przodu, tam, gdzie stał, zagradzając mi drogę, słowo.

Moja ucieczka jakby obudziła cały stadion.

Falami, coraz bardziej narastał jazgot i popędzał mnie.

133

Zeskoczyłem z boiska, kierując się ku ciemnemu kwadratowi wyjścia, kiedy zobaczyłem, biegnących z naprzeciwka, milicjantów, z pałkami w rękach. Na moje szczęście, szeregowi milicjanci na stadionie nie byli uzbrojeni w nic bardziej konkretnego, niż gumowe pałki.

Nie opuszczajcie miecza, przedarłem się przez ławki milicjantów, a oni rozpięchli się na boki.

Słowo stał nieruchomo, minąłem go i na moment skryłem za jego ciałem przed spojrzeniami sponsorów - a kiedy już byłem w przelocie pod trybunami, obejrzałem się i zobaczyłem, jak słowo, osłaniając mnie, powoli wali się na bok, a z przeciwległej trybuny cisnęło się w moją stronę zielone smugę - sponsorzy zaczęli strzelać.

Wyskoczywszy spod trybun, znalazłem się w zaroślach, obrastających stadion.

Były to krzewy leszczyny, dojrzałymi już, orzechami. Gałęzie smagły mnie po twarzy i rękach, nie wypuszczałem miecza i wiedziałem, że pójdę, oczywiście, rzuci się w krzaki i milicjanci, których bezładne krzyki gonili za mną, szybko mnie znajdą.

Przedarłem się przez krzewy leszczyny i znalazłem się na otwartej przestrzeni - z prawej i z lewej wznosiły się ruiny, obok nich biegła szeroka droga, prowadząca do stadionu.

Zatrzymałem się. Było mi wszystko jedno, dokąd pobiegę - niebezpieczeństwo czyhało na mnie wszędzie.

I nagle, z prawej strony, w ruinach zobaczyłem figurkę człowieka. Figurka stała w szczelinie i przywoływała mnie gestem ręki.

Przywykłem wierzyć gestom. Zresztą, nie miałem wyboru.

Pobiegłem w ruiny, do których miałem ze sto metrów, nie widząc.

Wbiegłem w szczelinę. Po jasnym świetle dnia oczy nic nie widziały.

Zamarłem. Znajomy głos powiedział:

- Id za mną, tylko ostro nie - pełno tu kamieni. Daj rękę.

- Gdzie jeste ?

- Tutaj, tutaj, chod !

Za plecami, przytłumione przez cian , nawoływały si głosy.

Wyci gn łem przed siebie r k i napotkałem delikatne palce.

Irka ci gn ła mnie w gł b odbijaj cego głos pomieszczenia.

- Zaraz b d schody - powiedziała Irka. - Chod , nie bój si .

134

- Poczekaj - powiedziałem. - tylko miecz przypn , bo przeszkadza.

- Rzu rzesz go!

- Nie mo na - powiedziałem. - To dobry miecz.

Irka nie sprzeczała si ze mn .

Nie wypuszczała mojej r ki, zeszli my po schodach. Nie pami tam szczegółów tej długiej drogi z jakimi tunelami, rurami, elaznymi schodami. Grz li my w błocie, wpadali my w dziury z cuchn c brej , i straszili my szczury.

Irka urodziła si w takich podziemiach. Niczego si tam nie bała i mogła porusza si w całkowitych ciemno ciach.

Wtedy, gdy szli my szerokimi tunelami i Irka była pewna, e nie waln głow w jak belk , ona mówiła. Monolog jej był zagmatwany, ale bardzo ciekawy.

- Pod Moskw znam ka dy tunel - mówiła. D wi k jej głosu był mi tak miły, e gotów byłem ucałowa t male k dziewczyn . Ale byłem gladiatorem, zabiłem sponsora i pom cilem mier Dobryni.

Wtedy jeszcze nie zdawałem sobie sprawy, co narobiłem, i my lałem, e mój post pek ujdzie mi na sucho - chocia , to było oczywiste, na sponsora nie wolno podnie r ki. Miałem usprawiedliwienie - przekonywuj ce, przynajmniej dla mnie: tylko si bronilem. I je libym zawahał si jeszcze sekund , sponsor unicestwilby mnie. By mo e dlatego, e nie zdawałem sobie sprawy z rozmiarów mojego przest pstwa, Irce o walce nic nie powiedziałem. Nie miałem w tpliwo ci, e ona wie o wszystkim. W rzeczywisto ci, zobaczyła mnie dopiero wtedy, kiedy wybiegłem z krzaków. Nie była na stadionie i nie widziała moich wyczynów.

- Tu, przecie , wyrosłam - czy jaka oblawa czy likwidacja, zawsze uciekali my tunelami. Nawet jak nas gazami truli, ratowali my si w metrze.

- Gdzie?

- Zaraz zobaczysz - powiedziała Irka.

- Niczego nie zobacz .

- Mam latark - powiedziała Irka.

- To zapal j !

- Strach - a wiadomo, kto to mo e by pod ziemi ?

- Ale sponsor tutaj nie przelezie.

- W ród sponsorów s przyjaciele.

135

Poczułem, e weszli my do du ej sali. Głos Irki zabrzmiał inaczej, jakby rozpłyn ł si w pustej przestrzeni. W twarz powiało wie ym, chłodnym powietrzem.

- Nie od razu zorientowali my si , e znikn łe - mówiła Irka. - my leli my, e jeste ju u Markizy. Tak, jak było umówione. Przyjechałam do niej po dwóch dniach - gdzie mój pupilek? Nie ma pupilka. Posłali my człowieka do Maszki-madamki, a ta mówi: “Według raportu Łysego, pupilek uciekł po drodze, w lesie”.

- I uwierzyli cie?

- Oczywi cie, e nie, ale gdzie ci było szuka ?

- Zgin mogłem, póki szukali cie!

- Ale przecie nie zgin łe ? - Irka za miała si , a echo podchwyciło jej miech.

- A teraz mo na ju zapali latark ? - spytałem.

- Chcesz popatrze ? - Irka za wieciła latark i przejechała jej wiatłem po cianach i suficie sali, do której trafili my. By mo e, na innym człowieku, który widział wiele pałaców, ta sala nie wywarłaby adnego wra enia, ale ja ze zdziwienia otworzyłem usta - długa sala podziemnego pałacu wyłó ona była połyskuj cym białym marmurem, stały tam kolumny, a ciany i sufit zdobiły bogate sztukaterie.

- Dlaczego tu mieszkało? - spytałem. - Przed kim si chowano?

- Głupi - powiedziała Irka, - to stacja metra. Tutaj przyje d ł poci g, ludzie wsiadali do niego i jechali do nast pnej stacji.

- Podziemny pociąg?

- Czy by twoje aby ci nie opowiadały? - Irka włączyła latarkę i wtedy zorientowałem się, że nie zdążyłem spojrzeć na nią.

- Nic mi nie opowiadali! A dlaczego pod ziemią?

- Dlatego, że na ziemi było dużo samochodów, a te je działy wolno.

W głosie Irki uchwyciłem rozdrażnienie nauczyciela - reakcję na głupie pytania tego ucznia. Dlatego umilkłem.

Irka znów włączyła latarkę. Włączyła. Jakby dawała sygnały.

- Zła tutaj - powiedziała. - Ostro nie, nie złamał nogi. Czeka, znowu ci po wiec.

W dole, wzdłuż platformy ciągnęły się szyny. Skoczyłem, upuściłem miecz, a on z brzośkiem uderzył o szynę.

136

- Ciszej trochę - powiedziała Irka.

Skierowała promień latarki w ciemny otwór tunelu.

Błysnęła - raz, drugi. Zgasła latarka.

- Nie ma ich na razie - powiedziała.

- Kogo?

- Naszych. Mają po nas przyjechać.

Nagle nastawiła uszu. Poderwała się. Gdzieś, na górze, dał się słyszeć zgrzytliwy dźwięk. Daleko co trzasnęło, jakby wiatr zamknął drzwi.

- Zjedź - powiedziała Irka.

- Kto?

- Gliny. Widać, że założyli im za skórę? Założyli, no nie?

- A może to przypadek? - spytałem. - Może ktoś przypadkowo tu idzie.

Dziwne, ale w tym momencie zupełnie nie pamiętałem o zabitym sponsorze.

Szum z góry zbliżał się.

- Maj łatwiej - powiedziała Irka. - Id przez główne wejście.

Odblask latarki uderzył w cian nad nami. Słycha było głosy.

- Biegniemy - powiedziała Irka.

Nasi przeładowcy pojawili si na przeciwległym końcu peronu. Pochyleni, zaczęli my uciekać .

- Stój! - rozniósł się po tunelu krzyk. - Stój, bo ktoś strzela !

Irka biegła teraz, oświetlając drogę latarką . Trudno się biegło po podkładach -

jeśli ich nie widzisz, może się połamać noga. Mój długi miecz chwilami padał si pod nogami, próbujcie mnie powalić . Z tyłu słychało wrzaw pogoni: głosy, jakie metaliczne uderzenia, postukiwania.

- Niedobrze - powiedziała Irka, zatrzymawszy się , aby złapać oddech. -

Uruchamiaj drezyn - w dwie minuty nas dogoni ! A naszych wci nie ma!

Biegli my po podkładach. Tunel ciągnął się bez końca. Brakowało mi tchu. Z

tyłu słychało jednostajny szum pracującej maszyny.

W cianie tunelu Irka dostrzegła niszę .

- Tutaj! - zarządziła.

137

Nisza nie bała się boka, miała około metra, prowadziły do niej stopnie, w głębi były zamknięte drzwi.

- Teraz milcz.

Wcisnęli my się w nią , mając nadzieję , że nas nie zauważy .

Drezyna z przeładowcami nadjeżdżała. Nie wiedziałem co to jest drezyna, ale mogłem się domyśleć , że to jakiś samochód do jazdy pod ziemią .

Jaskrawe światło reflektora stopniowo wiecilo do przodu, oświetlając tunel, zardzewiałe szyny, pokryte wodą podkłady, liskie ciany, zacieki, cienkie strumyki wody, lejki gdzieś i nigdzie z góry.

- Zauważ , niech to diabli! - szepnęła Irka. - Znajdź te tunele nie gorzej od nas. I nasi się spólni!

Jakby w odpowiedzi na jej skargę z przeciwległej strony tunelu dał się słyszeć stukot kół , i zbliżył

cy si z przeciwka reflektor, nie taki, co prawda, jaskrawy, powi kszył ilo wiatła w tunelu. Snopy wiatła reflektorów zderzyły si i obydwie drezyny zaczęły hamowa - zgrzyt hamulców był tak przera liwy, e starałem si wcisn w nisz jeszcze gł biej. Irka wysun ła nos na zewn trz i cicho kl ła. Nawet nie podejrzewałem, e dziewczyna mo e zna takie słowa.

Zdawałem sobie spraw , e pasażerowie obu drezyn byli o lepieni reflektorami i , adna ze stron nie była gotowa do potyczki.

Drezyny zderzyły si , nie zd ywszy wyhamowa .

Praktycznie przed nasz nisz .

Rozległy si krzyki, przekle stwa, zad wi czały miecze, rozległ si wystrzał, jeszcze jeden - błyski wystrzałów na sekundy o wietlali tunel, rozbite platformy, które, jak si okazało, nazywano drezynami, i ludzi, chowaj cych si za drezynami przed kulami.

- Ech, nie ma armaty! - powiedziała Irka.

- Mo e pomog ? - spytałem. Chocia , nie miałem poj cia co mógłbym zrobi w mokrym tunelu

- Dure - powiedziała Irka. - Zastrzel ci od razu. To nie walka gladiatorów.

Poradz sobie bez ciebie.

**Walka u naszych stóp trwała - czasami kula trafiła w skraj niszy i, wtedy, starałem si wci gn Irk
gł biej. Miała racj - człowiek z mieczem, wzi ty w dwa ognie kul, zostanie zastrzelony jak pies.**

Wystrzały glucho d wi czały w tunelu. Kogo zraniono - i zacz ł zawodzi .

Kto j kn ł. Słyca było, jak rozpluskuj c wod , zgromadzon mi dzy 138

podkładami, zwałilo si ciało. Wszystko to trwało sekundy - kule stukwały w metal drezyn..

I nagle, nieoczekiwanie od strony drezyny z glinami rozległ si głos:

- Wystarczy! Rozchodzimy si .

- Dobra - odpowiedział człowiek z drugiej drezyny. - Wycofuj si .

- Ale strzela nie b dziecie?

- A wy nie b dziecie?

- My nie b dziemy.

- No, uwa ajcie!

- Dawaj, dawaj, szybciej.

**Strzelanina zako czyła si . W wietle reflektorów wida było, jak obie wrogie grupy wła na swoje
drezyny.**

**Rykn ły silniki drezyn i, obydwie, jeszcze zł czone wiatłami reflektorów, potoczyły si z
powrotem. Wydawało si , e staraj si rozdzieli , zerwa wietln ni .**

- No, i upiekło si - powiedziała Irka. - A my lałam, e si nie upiecze.

Szcz ciarz z ciebie, Tim.

Zdziwiłem si - ju dawno nikt nie nazywał mnie Timem. Byłem Lancelotem.

**- W szkole nazywaj mnie Lancelotem - powiedziałem. - Pod tym imieniem wyst powałem w
walkach.**

- Lancelot?

**- To był staro ytny odwa ny rycerz - wyja nilem. - Bronił pokrzywdzonych i walczył ze złymi
czarownikami.**

- Dobrze, niech b dzie Lancelot - zgodziła si Irka.

Stukot kół obu drezyn cichł w gł bi.

- Poczekamy - powiedziała Irka. - Nasi zaraz wróc . Dlaczego gliny ci szukały?

- Pewnie dlatego, e zabiłem sponsora.

Irka odpowiedziała nie od razu. Pewnie uznała, e si przesłyszała.

- Ty? Zab zabiłe ?

- On rozgniółł mojego towarzysza - usprawiedliwiłem si .

139

- A o innych pomy lałe ?

- Przecie to ja jestem winie, a nie inni.

- nie wiem - powiedziała Irka, zeskakuj c na szyny - sponsorzy s straszliwie li. Mog wzi zakładników. Był taki wypadek, jeszcze zanim si pojawile , jednego sponsora znaleziono martwego. To nie było w Moskwie, a w Twerze.

Nabrali wtedy zakładników - ze dwie cie ludzi - i wszystkich rozstrzelali.

- On chciał mnie zabi - powiedziałem. - Co miałem zrobi ?

- Ucieka - powiedziała Irka. - My mamy ucieka i chowa si . Na razie jeste my słabi i jest nas mało.

- Nie lubi ucieka - odpowiedziałem.

- Ale, póki co tylko to robisz! - Irka za miała si bezlito nie.

Stukot kół przybli ał si .

Wracała po nas drezyna.

140

Rozdział 5

Pupilek pod ziemi

Podróż drezyn wydała mi się bardzo długi. Może dlatego, że przyszybiała mi i przyszybiał brak widocznego końca tych tuneli, straszna, dziwna ciemność z rzadko spotykanych, ledwie oświetlonych marmurowych stacji i wiadomo tego, że wszystko, co tu widzisz - to tylko mała część podziemnego miasta, czy ciowo zatopionego, czy ciowo zrujnowanego, ale w większej części zachowanego.

Nie wiedziałem, rzecz jasna, wtedy tego, ale skały podziemnego miasta mogłem oszacować, nie podejrzewajcie nawet, że podziemie da mi jeszcze nie raz schronienie.

Drezyna miała benzynowy silnik, ale ponieważ z paliwem było krótko, większą część drogi przejechaliśmy na napędzonym, pompującym drutami, które były połączone z kołami - trochę jakbyśmy ciągnęli sami siebie za uszy.

W zasadzie w tej części podziemnego świata szyny zachowały się przyzwoicie -

tylko w jednym miejscu musieliśmy zatrzymać się przed znajdującym się na wprost jeziorem, na brzegu którego szyny urywały się. Dwaj ludzie zeskoczyli z dreźny i wyciągnęli z wody kawałek szyny - okazało się, że były ukryte, aby zatrzymać milicjantów gonionych za mieszkańcami podziemia.

Nie rozmawialiśmy na dreźnie do siebie, aby dostarczyć rannego do swoich. Irka w pośpiechu w ciemnościach obandaowała go w biegu, ale rana widocznie, była poważna i ranny jęczał.

Ciemność i monotonna wstrząsająca na szynach ukołysała mnie.

Obudziła mnie Irka.

- Już czas - powiedziała. - Przyjechaliśmy.

Zwalniając drezyna wyjechała z tunelu na niewiarogodnych rozmiarów dworzec, oświetlony słabo i tajemniczo. Zupełnie nie rozumiałem, jak to się stało, że napływa tam prąd elektryczny.

Drezyna wyhamowała przy peronie, rannego wyniesiono na rękach w kierunku niskich drzwi na końcu peronu, a ja poszedłem do sali, oświetlonej ciemnością, którą mógł chyba tylko marzyć jakiś starożytny król. Potem, ale lekkie kolumny, rozszerzając się wlewały w sklepienia sufitu, na podobieństwo potężnych dębów w lesie - tylko że zamiast nieba widziałem mozaikowe obrazy, najwidoczniej przedstawiające sceny historyczne.

W jednym końcu sali zaczynały się i prowadziły na górę szerokie pałacowe schody - po nich właśnie nie prowadziła mnie Irka. Po trzydziestu stopniach 141

znaleźliśmy się w innej sali. nieco mniejszej. Tu Irka zostawiła mnie przykazawszy czekać.

Przykuć leż pod cian i położyć swój miecz na kamienną wyszlifowaną podłogę, staraj się nie hałasować - taka uroczysta cisza panowała w tym pałacu.

Czekałem niedługo. Nie mogła na powiedzieć, żeby pałac był zupełnie opustoszały. Słyszałem jak podjechała jeszcze jedna dreżyna, i po schodach wbiegła trójka ciepło ubranych ludzi, którzy nie zwrócili na mnie zupełnie uwagi.

Potem na krętych trójczłonowych schodach zbiegł milicjant bez czapki, przyciskając do czoła zakrwawioną chusteczkę.

Chciało mi się spać, ale, jak na złość, wystarczyło bym przytknął powieki, gdy od razu przed oczami pojawiała się ogromna tusza sponsora, wydobywającego pistolet, żeby mnie zabić. Ponownie rzucałem się na: z mieczem i budziłem się..

Nie wiem ile czasu minęło, zanim obudziła mnie potrzaskająca za ramię wystraszona Irka.

- Obud się! - krzyczała. - Czy ty zwariowałeś? Co ty narobiłeś?

- Ja? Co ja..

- Tylu ludzi podstawili!

- Powiedz sensownie!

- Zaraz powiem, zaraz powiem, zaraz się dowiesz! - W jej głosie usłyszałem grob.

Wcisnęła mnie przez drzwi w biały korytarz. Na jego końcu stał człowiek z automatem w skórzanym ubraniu. Irka nie odpowiedziała na jego pytanie, odepchnęła go i znalazła się w pokoju.

W fotelach dookoła niskiego owalnego stołu, na którym znajdowały się butelki i szklanki, rozlokowała się Markiza, nadzorca Henryk i nieznany mi kłown, podobny do Achmeta. Irka zatrzymała się w progu, nie wypuszczając mojej ręki.

- On niczego nie rozumie - powiedziała zdecydowanie. - To jest zupełnie i skończony idiota.

- Poczekaj, nie wszystko na raz. - Nie ruszaj się z fotela - w fotelu była o wiele bardziej podobna do pięknej kobiety - Markiza wycisnęła w moim kierunku dłoń o długich szczupłych palcach. - Połóż swój miecz. Siadaj, pupilku. I opowiedz, co nawyrabiałeś na stadionie.

- Przecież wszyscy widzieli - powiedziałem. - To była uczciwa walka. On zgniół!

Dobryni

i chciał mnie zabić. A ja nie lubi, kiedy mnie zabijają.

142

- Jaki pewny siebie - ucieknęła się Markiza. - Jeszcze niedawno niczym szczeni.

- Minęło prawie pół roku, pani - powiedziałem. - Pół roku jestem gladiatorem.

- I zabiłem sponsora?

- Broniłem się.

- A potem?

- Uciekłem, a ja go spotkałam - powiedziała Irka.

- To znaczy, że nie wiesz, co było dalej na stadionie? - zapytała Markiza.

- A co?

- Całe szczęście, że siedziałem przy wyjściu - powiedział Henryk. - Nie uratowałbym się inaczej. Sponsorzy kazali milicji otoczyć stadion, żeby nikt nie uciekł.

- To znaczy, że pan widział, jak do mnie strzelali! I słonia zabili!

- Gliniarza opatrzyli cię? - zapytała Markiza.

Henryk wstał i zerknął przez uchylone drzwi do jakiego pomieszczenia.

Wszedł widziany już przez mnie milicjant, miał obanda owan głowy.

- Gdzie jest kasetka? - zapytała Markiza.

- Tutaj.

Wyjął spod bluzy kasetki i podał stojącemu Henrykowi.

- Głowa boli? - zapytała Markiza.

- Nie le.

- Nie przywykliście do tego?

- Mieli coś innego na głowie.

Henryk podszedł do wielkoekranowego telewizora stojącego w rogu. Włożył kasetę do odtwarzacza.

Wszyscy milczeli.

Nikt tego nie powiedział, ale zrozumiałem, e ci ludzie w jaki sposób nagrali to. co si wydarzyło na stadionie.

Henryk wł czył telewizor.

Patrzyli my na stadion z góry.

143

- Wł czyli my dopiero pod koniec, wcze niej nie było potrzeby - powiedział

milicjant.

- Widz - odpowiedziała Markiza.

Obraz z obiektywu przybliżył się szybko. Zobaczyłem lewego na ziemi martwego sponsora. I siebie - malutkiego. I słonia przy krawędzi stadionu.

Obrazowi nie towarzyszył dźwięk, tylko cicho szeleściła ta ma.

Zobaczyłem siebie: oto uciekam z pola; sponsorzy rwą się na płyt stadionu, wyciągają pistolety. Zobaczyłem, jak zielone nici zaczynają łączyć pistolety i uciekających z areny gladiatorów.

Niektórzy padali. Wydawało mi się, że zobaczyłem jak upadł Batu-chan.

Kilka promieni wgrzyzło się w słonia. Zwierz kiwnęło się i upadło na kolana, słono starał się unieść trybunę, ale ta już się go nie słuchała. Wolno zwałił się na bok i zmarł.

W pokoju wszyscy milczeli nie odrywając oczu od ekranu.

Widziałem jak widzowie - przestrobrani ludzie, zgięci w pół, biegną do wyjścia, kłóbi się tam. Ale milicjanci ich nie wypuszczają ze stadionu. Wrota areny i wyjścia wolno zamykają się grubymi kratami.

- O co im chodzi? - zapytała Markiza.

Nikt jej nie odpowiedział.

Ludzie na stadionie rzucili się do krat; widziałem jak wymachują jakimiś legitymacjami i przepustkami, najwyraźniej wiadczyli o ich szczególnym statusie czy wysokim stanowisku. Milicjanci również znaleźli się wewnątrz stadionu i niektórzy z nich, widząc, że znaleźli się w pułapce, przygotowanej dla widzów, również zaczęli szarpać za kraty.

Wyjścia zostały otwarte tylko na pięć, gdzie siedzieli sponsorzy.

Na sygnał wszyscy oni podnieśli się i skierowali do wyjścia. Niektórzy co sprytniejsi z ludzi, przeskakiwali przez barierki i pognali w kierunku wyjścia, ale sponsorzy byli na to przygotowani. Przy każdym wyjściu do ostatniej chwili zostawał jeden, który z zimną krwią rozstrzeliwał tych, którzy zbliżali się do balustrady. Tych, co mimo to przedostawali się do wyjścia, sponsorzy dobijali pięściami.

Towarzysząca obrazowi cisza w żadnym sposób nie pomniejszała grozy, jaka nas opanowała, gdy patrzyliśmy jak ludzie gniot jeden drugiego o kraty.

- Ale po co, po co? - wykrzyknęła Irka.

- Zamilcz - powiedział Henryk.

144

Jedna po drugiej opadły wszystkie kraty na pi trze ló . Teraz na stadionie pozostali tylko ludzie.

Ci gle starali si jako wydosta - kto wspil si na ostatni poziom, ale skok stamt d oznaczał pewn mier - pi dziesi t metrów do asfaltu.

Wtedy zobaczyłem niewielki migłowiec pomalowany na dziwny liliowy kolor z jaskrawym pasem wzdłu korpusu.

Zawisł nad stadionem.

Spod kadłuba w dół pociekły sto ki jakiej pary czy gazu, para była bezbarwna, ale niezupełnie przezroczysta, i po minucie cała czasza stadionu wypełniła si białawym kisiem.

Kisiel osiadał wolno, jakby przechodził w stan ciekły, w - w miar jak odkrywały si poziomy stadionu - odsłaniały si ciała nieruchomych ludzi - jakie ró nokolorowe ubrania!

Potem gaz osiadł w kału ach na zielonej murawie areny. Tam le ał sło , obok -

jego poganiacz, dalej wszyscy moi towarzysze ze szkoły gladiatorów: i dobry felczer, i Prupis, i niewolnik, który przynosił zimn wod . Tam te le ały ciała białych Murzynów. Na całym stadionie nie było wida ywej duszy. .

Milczeli my.

Potem Henryk powiedział do mnie:

- Ile zgubił ludzi!

- Nikogo nie zabiłem!

- Wystarczył jeden sponsor.

- Oni mi cili si za niego? - Dopiero w tej chwili dojrzałem zwi zek mojego czynu z tragedi na stadionie. Jakkolwiek dziwne by si to wydawało - wcze niej o tym nie my lałem.

- Nie, głuptasie - powiedziała Markiza. - Oni si nigdy nie mszcz .

- No to nie rozumiem!

- Ani jeden ywy wiadek nie powinien wiedzie , ani nawet si domy la , e człowiek mo e, ma prawo i mo liwo zabicia sponsora. Oni si nie m cili. Bez specjalnego zaanga owania, bez nienawi ci i zło ci, z wyrachowaniem i spokojnie zlikwidowali wszystkich wiadków - co do jednego - powiedziała Irka.

- Teraz b d szukali ci , póki nie przeryj całej Ziemi - dodał Henryk.

- Ta m trzeba powieli - powiedziała Markiza. - I rozesła do wszystkich komórek.

145

- Nie piesz si - odezwał si Irka. - Pomy lmy, jak post pi najlepiej. Pu jeszcze raz ta m . Boj si , e mieli my tam znajomych.

- Ju , tylko przewin z powrotem - powiedział milicjant.

- Co za bydl ta! - warkn ła Irka. - Rozszarpałabym ich wszystkich własnymi r kami.

- Zd ysz - powiedział Henryk. - Na wszystko przyjdzie czas i pora.

- Pu ta m dwa razy wolniej - poprosiła Markiza.

Na ekranie pojawił si stadion.

- Tim - poprosiła Markiza - przysu mój fotel do ekranu.

Podporz dkowałem si . Fotel był ci ki, ale na kólkach. Gdy tylko go tr cilem miotn ł si w bok. Markiza chwyciła mnie za r k długimi zimnymi palcami.

- Nie tak ostro!

Patrzyła na mnie roze mianymi oczami, a ja starałem si nie widzie jej małego tułowia i wyschni tych nóg.

Markiza odwróciła si ode mnie i jakby o mnie zapomniała.

Znowu patrzyli my jak ludzie staraj si uciec ze stadionu, jak tłuk si o kraty.

- Stój! - polecił Henryk. - Zatrzymaj odtwarzanie.

Obraz na ekranie zamarł.

- Widzisz? - zapytał.

- To s Szeptyccy - powiedziała Markiza. - Wzi li ze sob na stadion córki .

Markiza dotkn ła długim palcem ekranu.

- A tu z prawej? To nie Wanda Li?

- Nie mo e by !

- Oczywi cie, e Wanda, ma lub w grudniu.

- Miała mie w grudniu.

- Bydlaki! - powtórzyła Irka. Stała obok mnie. A ja byłem tak zm czony, e patrzyłem niby na migocz cy obraz na ekranie, ale nie za bardzo ju rozumiałem.

co si tam dzieje. Kleiły mi si oczy. Gdyby nie głód, usiadłbym w k ciku i zasnął.

Nagle Markiza odwróciła si do mnie.

146

- Odprowad go - poleciała Irce. - Sama te si wy pij, Irka. Wygl dasz jak zmora.

- Chod my - powiedziała Irka.

Byłem Markizie wdzi czny. Powiedziałem:

- Dzi kuj .

Ale nikt mnie nie słuchał, dlatego e Henryk nagle wykrzykn ł:

- Patrzcie, patrzcie!

- To niemo liwe! - j kn ła Markiza.

Stłoczyli si przy ekranie, widz c kogo znajomego.

Irka poci gn ła mnie za r k .

Wyszli my na korytarz. Irka pchn ła drzwi po lewej, za nimi znajdował si mały pokój, w którym stało kilka łó ek przykrytych szarymi kocami.

- Tutaj odpoczywa warta - powiedziała Irka. - Ale teraz ich nie ma. Wycieraj jakie chcesz łó ko.

Nie wybierałem, Poło yłem miecz na podłodze przy najbli szym wyrku, run łem na nie zamkn łem oczy i zamiast tego, eby zasn zacz łem na nowo w my lach przegl da scen walki ze sponsorami. Słyszałem, jak Irka przysiadła na łó ku obok.

- pij - powiedziała. - Nie kr si . Policz do stu. Umiesz liczy ? Jak nie, to ja za ciebie policz .

- Umiem.

- No to licz.

- Nie chc .

- Koniecznie musisz si wyspa . Nie wiadomo, kiedy b dziemy mogli pospa nast pnym razem.

- Jak mnie znalazła ?

- Szukałam, to znalazłam! pij!

- A co robiła w fabryce słodczy?

- Kradłam.

- Co kradła ?

- Jak b dziesz za du o wiedział, to si szybko starzejesz.

147

- Daj r k - poprosilem.

Nie otwieraj oczu wyci gn łem do niej r k dłoni do góry, a ona poło yła swój dło na mojej. Wiedziałem, e Irka ma pooblamywane krótkie paznokcie, a r ce pokryte siniakami, a na lewej r ce brakuje małego palca.

- pij - powiedziała kolejny raz Irka.

- Szkoda czasu na sen.

- Pocałuj ci ? - zapytała Irka.

- Pocałuj.

Otworzyłem oczy. Jej twarz znajdowała si bardzo blisko mojej. Pochyliła si , a ja, drug r k poło yłem na jej głowie, eby mocniej j pocałowa .

Irka wyrwała si , udala, e si zło ci.

- Chciałe mnie rozgnie , tak? Nie wolno tak mocno - powiedziała. - To nie miło , a cierpienie. Te mi pupilek!

- Co do tego ma pupilek?

- My lałam, e wszyscy pupilki s tacy delikatni, wyfiokowani, umyeci; miałam kole ank , nie znasz jej, ona miała przyjaciela jednego pupilka, nie tutaj, tylko na bolszewskiej bazie sponsorów. I ona si z im spotykała. Mówiła, e jest taki delikatny.. Bardzo prze ywała, kiedy pa stwo go wywie li.

Sen skradal si do mnie. Było mi ciepło i przytulnie. Irka była taka głupia, ale dobra. Poglaskała mnie po głowie.

- A ty nie jeste wyfiokowany.

Chciałem zapyta czy miała kogo przede mn , nawet wydało mi si , e pytam.

Ale tak naprawd to ju spałem. Co prawda domy liłem si tego, dopiero kiedy Irka zacz ła mnie poszturchiwa , tarnosi .

- Obud si , trzeba i . Słyszysz - trzeba i ?

Markiza czekała na nas w długiej wspaniałej sali podziemnego dworca - stacji metra. Ludzie kiedy chadzali po tej stacji nie zauwa aj c jej wspaniało ci. "Któ to kierował naszym krajem, skoro tylko dla podró y kolej , budowano takie pałace?" - pytałem siebie.

Markiza siedziała w fotelu na kólkach.

Póki schodzili my na dół zd yłem zapyta Irk :

- Dlaczego ona nie chodzi?

- Nogi ma za słabe.

- A dlaczego jest taka?

- A kto nie ma jakich felerów? - odpowiedziała pytaniem na pytanie.

- Ja! - Zabrzmiało to hardo, po szczeniacku.

Irka roze miała si .

Podeszli my do Markizy. Obok fotela stali dwaj ochroniarze w skórzanych ubraniach.

- Co was tak roz mieszyło? - zapytała Markiza.

- Tim uwa a, e jest pi kny! - powiedziała Irka.

- Naprawd tak my lisz? - zapytała Markiza miej c si oczami. Ale - nie wiadomo dlaczego - czulem, e ta sytuacja jej si nie podoba. Nawet po chwili zrozumiałem dlaczego: niełatwo jest kobiecie ocenia cudz urod , podczas gdy sama jest garbuskiem z bezwładnymi ko czynami.

- Nie my l tak, tylko uwa am, e nie jestem potwor .

- To to samo - powiedziała Markiza i odwróciła si do zbli aj cego si szybkim krokiem Henryka. Jego obcasy wybijały precyzyjny rytm.

- Ju - powiedział podchodz c. - B dzie czekał przy wej ciu do stacji

"Sokolniki".

- Sam?

- Tak obiecał.

- Nie chc ryzykowa .

- S dz , e nie ryzykujemy - powiedział Henryk. - My l , e on jest w ciekły i wystraszony.

- W ci gu jednego dnia straciłam tuzin przyjaciół. Nie wybacz mu tego.

- Posłuchamy, co on powie. Ju czas!

Henryk zerkn ł na zegarek. Nigdy wcze niej nie widziałem takiego zegarka.

Na jego znak ochroniarze powie li fotel Markizy do dreżyny. Kiedy wturlali go na ni ustawili si po bokach, a kierowca dreżyny wł czył silnik. Zaj li my miejsca z tyłu. Wybijał c wesoly rytm na zł czach szyn, dreżyna potoczyła si do przodu.

Przez jaki czas wszyscy milczeli. A kiedy Markiza zaczęła mówić to jej pierwsze słowa były dla mnie zaskoczeniem:

- Gdy wyjdziemy, zostawisz miecz tutaj. Daj ci potem lepszy brój niż ten kawałek metalu.

149

- To nie kawałek metalu - odparłem. - To bojowy miecz. Zabiłem nim sponsora.

- Lepiej na ten temat milcz - powiedziała rozdrażniona Markiza. - Przez twoją głupotę straciliśmy ludzi o wiele bardziej przydatnych niż ty.

Zmilczałem. Nie chciałem się sprzeczać. Wiedziałem, że gdyby wszystko się powtórzyło postąpiłbym dokładnie tak samo.

- Niech sobie chodzi z mieczem - powiedział Henryk. - Prędzej wpadnie.

- Nie chciałabym go stracić - powiedziała Irka.

Drezyna stopniowo rozpędzała się, tunele rozgałęziały się, przecinały, że dwa razy musieliśmy stawać, a kierowca przestawiał zwrotnice. Po drugiej zwrotnicy drezyna zaczęła gwałtownie przyspieszać, stukot kół przekształcił się w miarowy huk. Wiatr uderzał w twarz. Trudno było mówić.

- Trzeba zrobić osłon! - krzyknęła Markiza.

- Nijak nie możemy zdobyć takiego kawałka szkła - odkrzyknął kierowca.

- Dokąd jedziemy? - zapytałem. - Wieciecie mnie dokąd, a objaśnić nikomu się nie chce.

Markiza roześmiała się.

Potem krzyknęła:

- Jak będziesz za duży o wiedział, to się szybko starzejesz!

Henryk pochylił się do mnie i powiedział wprost do ucha:

- Powinniśmy się spotkać z tym, kto wie o wydarzeniach na stadionie o wiele więcej niż ty i my.

Drezyna zwolniła odrobinę. Minęli my jeszcze jeden pałac, co prawda nieco skromniejszy niż pierwszy i oświetlony ledwo-ledwo - jedną czy dwoma arówkami.

Jeszcze jeden przejazd po czarnym tunelu - wydał mi się nieskończenie długim

- i drezyna zatrzymała się przy peronie następnej stacji. Ta była skromnie oświetlona, jak

poprzednia. Nie pamiętam tam jak wyglądała - w każdym razie skromniejszy i mniejsza niż pierwsze z widzianych przeze mnie pałace, zapamiętałem natomiast jej nazwę - po wyjściu z tunelu naprzeciwko peronu wyklejone były litery, składające się na słowo "Sokolniki". Pewnie stąd pochodziła drużyna gladiatorów, z którą walczyli moi bohaterzy! I nagle zrobiło mi się smutno, ale tak, a nie zakłócało mnie w piersi: nigdy więcej nie zobacz swoich towarzyszy, nie bądź siłą brutalnego Dobryni, nie pogadam ze skromnym cichym Batu-chanem, nie zrobię nowego pejsa Prupisowi. .

- Nie zatrzymujcie się - zwróciła się do mnie i Irka Markiza. Jej wózek już wytaczał się na peron, podjechał do schodów, ochroniarze chwycili za fotel z numerem 150

stron i zaczęli szybko wspinać się po schodach. Nie miałem prócz miecza nic do niesienia, ale ledwo dogoniłem tych dwóch olbrzymów.

Kiedy już zupełnie się zasnęło przede mną pojawiło się dzienne światło.

Szybko przemierzeliśmy jeszcze jeden korytarz, potem dwa marsze schodów i wyszliśmy na górę. Przez ostatnie godziny tak odwykłem od dziennego światła, że musiałem zamknąć oczy.

Potem otworzyłem je i rozejrzałem się.

Staliśmy na szerokim placu, po bokach którego wznosiły się ruiny zapewne niegdyś wysokich budowli. Z lewej widoczna była niemal cała cerkiew, w przedniej części stało wiele drzew. W tamtą stronę prowadziła czysto oczyszczona droga.

Dokoła wyczuwałem duszy.

Ochroniarze poturlali fotel z Markizą po ciele w kierunku drzew. My szliśmy z tyłu. Nie zadawałem więcej pytań. Przyjdzie czas - dostanę odpowiedzi. Irka wyczuwała rękę i pocięła mnie, nie rozumiała dlaczego zostaj z tyłu. A mnie po prostu wszystko interesowało.

W końcu nigdy w życiu nie chodziłem po Moskwie. Prupis juniorów nie puszczal do miasta, a na zawody jeździli autobusem.

Rozumiałem, że Moskwa była kiedyś olbrzymim miastem - jechało się przez nią godzinami czy więcej, a z każdej strony wylaniały się wieżowce domów.

W krzakach naprzeciwko nas coś zaszeleło.

Ochroniarze natychmiast postawili fotel i chwycili za pistolety. Ciemna masa przebiegała przez krzaki.

- Nie strzela! - rozkazała Markiza. - Nie możemy cię na siebie uwagi.

- Ucieknie - powiedział Henryk.

- A co to jest?

Nikt minie zdjął odpowiedzie , poniewa z krzaków na otwart przestrze wylazł wyliniały, wcale nie wygl daj cy gro nie niewielki nied wied brunatny.

Wygl dał na roze lonego, dlatego nie uciekał, a zatrzymał si na naszej drodze i zaczął mruzcze wolno kiwaj c głow .

Wszyscy zamarli my - zwierz stał na naszej drodze, a ochroniarze nie odwa ali si strzela .

- Diabli nadali - powiedział Henryk stoj c obok mnie. - Gdybym był młodszy. .

- Tim! - j kn ła Irka. - Gdzie? Stój!

151

Ale ju szedłem, dlatego e tylko ja mogłem odp dzi nied wiedzia. I tylko ja miałem prawdziwy miecz bojowy, którym powaliłem sponsora. Nie bałem si i nie czułem si bohaterem - nied wied nie był specjalnie du y, a ja nie le władam mieczem.

Zwierz jakby czekał na bój - wywołał mnie na pojedynek. Gdy zbli yłem si do niego wstał na tylnych palach i straszliwie rykn ła.

Posuwałem si wolno do przodu z uniesionym mieczem i szukałem wzorkiem miejsca na piersi nied wiedzia, w które nale ało trafi mieczem - w serce. Moje serce biło równo i spokojnie - odczuwałem chłodne szcz cie my liwego, który idzie na godnego siebie przeciwnika.

Czułem, e wszyscy zamarli, staraj si nie oddycha .

Jest to miejsce - pod lew łap !

Zbli ali my si do siebie - zaraz b d musiał zrobi wypad, nie czekaj c póki nied wied zrobi to pierwszym. .

Ale w tym momencie nied wied zachował si zupełnie nie tak, jak si powinien zachowa_ pot ny drapie nik: opadł na cztery łapy i trz s c wychudłym wyliniałym zadem rzucił si w g stwin .

Z pewnym alem opu ciłem miecz. Czułem si troch , jakbym to ja stchórzył, a nie nied wied . Pomy lałem, e pewnie wygl dam miesźnie.

Z tyłu ludzie poruszyli si , zaczął mówić .

- Dzi kuj , Lancelocie - powiedziała Markiza.

Odwróciłem si i poszedłem w kierunku fotela.

- Nie le go postraszył - powiedział Henryk.

W dziennym wietle zobaczyłem, jak ma blad , niezdrow cer , twarz pobrud on cieniutkimi zmarszczkami. I rzadkie szare włosy. Tutaj, w bezlitosnym blasku dnia, wszystko wygl dało inaczej ni w podziemiu w m tnym wietle lamp. Tylko Irka si nie zmieniła - widziałem j przecie ju i w dzie i w nocy. Była blada, przez powiek i policzek biegła blizna, wargi rozchylone i wida , e my wybite przednie z by. . Ale Irka podobala mi si wła nie tak i nie widziałem w niej adnych zmian. Natomiast Markiza, królowa półmroku, wiele straciła w wietle dnia. Jej cera miała ziemisty odcie , wargi sp kane, jakby nieustannie je podskubywał z bami, pod oczami ciemne plamy, a na skroniach -

bl kitne ylki.

Tylko jej oczy si nie zmieniły - dalej miały si , cho dałbym sobie głow uci , e wyczytała w moich oczach rozczarowanie i e jest jej z tego powodu nieprzyjemnie.

- Podejd do mnie! - poleciała Markiza.

152

Podszedłem włok c za sob miecz.

- Jeste moim bohaterem - powiedziała Markiza. - Jestem ci wdzi czna. Pochyl si .

Pochyliłem si .

- Ni ej! - W jej głosie zad wi czał metal. - Na kolano!

Uj ła moj głow szczupłymi palcami, przyci gn ła i pocałowała w czoło.

- Zuch jeste - powiedział Henryk, gdy wstałem z kolan. - Gdybym był młodszy te bym si wykazał.

- Nie kombinuj! Ucieklby - powiedziała Markiza.

- Miałem bojowy miecz - przypomniałem, eby obroni Henryka. Lubilem go, a Markiza niesprawiedliwie go krzywdziła.

Irka milczała.

- A teraz szybko do przodu! - rozkazała Markiza. - Spó niamy si .

Bez przygód dotarli my do du ych drzew.

- To jest park "Sokolniki" - powiedział Henryk jakbym go zapytał dok d przyszli my.

- Park? - zapytałem.

- Miejsce, gdzie chodziło si na spacerzy.

Z trudem powstrzymałem si od u miechu - wyobra cie sobie człowieka, który dobrowolnie idzie spacerowa po ciemnym lesie, gdzie czaj si zwierz ta, rusalki, wampiry i cała ta siła nieczysta!

Z prawej mieli my otwarty placyk. Zobaczyłem na nim mały sponsorki migłowiec, takich maszyn u ywaj sponsorzy, gdy załatwiaj sprawy słu bowe.

Omin li my helikopter i weszli my pod wysoki, w kilku miejscach uszkodzony dach. Ze wszystkich stron otaczały go drzewa, dlatego pod dachem panował

półmrok i nie od razu zobaczyłem, e czeka na nas sponsor.

Zamarłem owładni ty przemo nym strachem. Wydarzenie, które miało miejsce na stadionie, ju całkowicie wywietrzało z mojej głowy - przecie działałem tam w gor czce bitwy, przepelniony strachem o siebie i gniewem za Dobryni . Teraz wszystko wróciło na swoje miejsce, i od razu poczułem si jak pupilek, którego mo na ukara albo pozbawi obiadu. Zatrzymałem si wcze niej ni fotel Markizy. I marzyłem o tym, eby sponsor mnie nie zobaczył, o zobaczywszy - nie rozpoznał. Chciałem wyrzuci miecz, strasz n poszlak .

153

"Zaraz mnie wydadz ! - zrozumiałem nagle. - Jestem w pułapce! Wydadz mnie, sponsor mnie rozszarpie, a oni zostan nagrodzeni".

Stałem obok Irki. Uginały si pode mn kolana.

Henryk wyst pił do przodu.

- Nikt nas nie ledził - powiedział.

- Wierz - powiedział sponsor. - Dzisiaj jest niedobry dzie .

- Gorszy ju by nie mo e - zgodziła si Markiza.

Sponsor wolno przesuwał spojrzeniem po naszej grupce. Jak wszyscy sponsorzy poza domem nosił małe czarne okulary, wygl dało to komicznie.

To był wysokopostawiony sponsor. Z trzema paskami na czole i pomara czowym kr giem na piersi. Z dwoma paskami widziałem jednego -

przyjechał w go cin do s siada, i wszyscy sponsorzy gadali o tym wydarzeniu przez kilka dni. Ale z trzema paskami - takich nie ma! To jakby zobaczy niemowl z dwoma głowami. Pomara czowy okr g wskazywał, e sponsor nale y do Zarz du Ekologicznej Obrony. Pani Jajblusko

wiele razy marzyła na głos, a pana Jajbluszko przynosz do Zarz du. Tam s zupełnie inne warunki!

- Sijniko, kto kazał wymordowa ludzi? - zapytała Markiza gwałtownie, jakby miała prawo do zadawania pyta . Malutki człowiek, rozmawiaj cy takim tonem ze sponsorem, wydawał mi si szczeniakiem ujadaj cym na tygrysa. Szczeniak jest głupi, a Markiza m dra. Ale pytanie jej było bezczelne, niezno ne, niedopuszczalne, dlatego e wszyscy wiedzieli my - ludzi kazali wymordowa sponsorzy. Przy tym zapytano o to sponsora. Odruchowo chwycilem r koje miecza, oczekuj c e sponsor rozszarpie Markiz . Ale sponsor był zupełnie spokojny. Nawet wi cej - zanim odpowiedział wolno usiadł na ziemi, tak e jego głowa była teraz na poziomie mojej i Markiza nie musiała teraz zadziera głowy rozmawiaj c z nim. Je li nigdy nie spotkali cie sponsora, to mo ecie si zdziwi widz c takie zachowanie, ale ja wiem, e dla sponsorów nie istniej takie poj cia, jak "wstyd", "niezr czno ". Sponsor nie mo e powiedzie : "To nie wypada".

Wypada wszystko, co jest wygodne.

- Domy lasz si - powiedział sponsor.

- Nie mo na było powstrzyma tego morderstwa?

- Nie było mnie tam. I nie było te nikogo z moich ludzi. Uderzenie było zaskakuj ce. Formalnie oni s w porz dku: prawo ponad wszystko. Sponsora nie wolno zabi . Je li kto to widział - musi umrze . Dla dobra innych. Dlatego e je li ludzie zobacz , jak zabito sponsora, to ze chc zabija innych.

- I ty w to wierzysz?

154

- Oczywi cie. Dowolne pa stwo mo e si utrzyma tylko dzi ki prawu. Z

drugiej strony, znakomicie rozumiem, e doszło do fatalnej pomyłki. Zgin li nie ci ludzie. Dlatego miejmy nadziej , e nikt si tego nie dowie.

- A jak to sobie wyobra asz? Ludzie poszli z domów na stadion. Natomiast ze stadionu przynosz ich zwłoki. Jak to sobie wyobra asz?

- Nieszcz liwy przypadek - powiedział sponsor. - Nikt nie zna przyczyny.

- Czy ty jeste tak naiwny?

- Ani jeden wiadek napa ci na sponsora nie uszedł z yciem.

- Wierzysz w to?

- Tak - twardo o wiadczył sponsor, ale jego okulary wpiły si we mnie, a po dr eniu jego szyi

zrozumiałem, e jest bardzo zdenerwowany i bezradny.

Ciekawe, czy moi współtowarzysze te to wiedzą ?

Na znak Markizy Henryk zrobił dwa kroki do przodu i podał sponsorowi wideokaset .

- Co to jest? - zapytał tamten.

- Na tej kasecie jest nagrane wszystko - od pierwszej chwili do ostatniej.

- Uruchomili ci latajce oko? Po co? I nikt go nie zauważył?

- Twoi przyjaciele mieli inne zmartwienia. Wiesz, e przy okazji zlikwidowano połowę moskiewskiej milicji?

- To straszne - powiedział sponsor. Otworzył pi i popatrzył na kaset .

- Zdajesz sobie sprawę, e to nie ostatnia kopia.

- Rozumiem - powiedział sponsor. Był załamany.

Pod dachem zapanował cisza.

- Jak sama rozumiesz - powiedział w końcu sponsor zwracając się do Markizy -

ci, co zrobili to, zrobili - wiadomie. Dlatego, e s przeciwnikami naszego zbliżenia z ludźmi.

- Wiem - powiedziała Markiza. - Dlatego byłam zdziwiona, e ich bronisz.

**- Jestem jednym z nich. - Sponsor Sijniko uśmiechnął się - skóra na czole zebrała się w gruch . -
Moje intelektualne opinie, mój rozum, moje przekonanie, e możemy utrzymać Ziemię tylko je li b
dziemy współpracować z lojalnymi ludźmi - wszystko to usuwa się na dalszy plan, gdy powstaje
zagrożenie dla mojej rasy.**

Pod zadaszeniem znowu zapanowała cisza. Zakłóciła ją Markiza.

155

**- Dla mnie ważne jest wiedzieć - powiedziała - czy to było działanie wściekłego idioty czy
pozbawionego humanitarnych odruchów formalisty? A może za tym stoi Ajletiko, a wtedy to
jest wiadoma akcja i od dzisiaj wasza polityka się zmieni?**

- Nie mogę odpowiedzieć na to pytanie - powiedział sponsor Sijniko. - Nie mam dowodów.

- Powinno wiedzieć . Od rozwinięcia tego problemu zależy nasze przyszłe postępowanie.

- Nie pieszcie si .

- Mamy atuty.

- Jeste pewna, e to atuty?

- Chcieli cie, eby zgin li wszyscy, którzy widzieli mier sponsora. Posun li cie si nawet do wytrucia połowy moskiewskiej milicji. .

- Przecie wiesz, e nie mam z tym nic wspólnego!

- Ale jeste odpowiedzialny!

- Mamy odmienne zasady moralno ci - o wiadczył sponsor - dlatego trudno jest nam ze sob dyskutowa .

- To co si stało jest dla was niewygodne, niezale nie od waszych zasad. Istnieje ta ma z zapisem przest pstwa.

- Mów dalej. - Sijniko zaniepokoił si .

- Mamy te inny argument.

- Wiem. - Sponsor Sijniko pogłaskał r k grzebie , oznaczało to, e jest zadowolony ze swojej przenikliwo ci. - Wiem, e za twoimi plecami stoi gladiator, wła nie ten, który popelnił zbrodni . Ku mojemu zdziwieniu udało ci si go przej . Dlatego podejrzewam, e wszystko, co si stało na stanie zostało zaplanowane i zrealizowane przez ciebie, Markizo!

- Nie gadaj bzdur, Sijniko.

Byłem zszokowany tonem, w jaki prowadzona była to rozmowa. Rozmówcy zwracali si do siebie jak starzy znajomi. Nie mogłem zrozumie , jakie, w ko cu, stosunki panuj pomi dzy słab Markiz i pot nym sponsorem. W ka dym razie wygl dało na to, e Markiza si go nie boi albo dobrze udaje, e si nie boi.

- Gladiatorze, podejd do mnie - powiedział pan Sijniko.

Zerkn lem na Markiz .

- Id , nie bój si .

156

- Ja si nie boj - powiedziałem, ale bałem si , poniewa byłem pupilkiem i wiedziałem, e kiedy pan lub pani ci wołaj , musisz grzecznie i , nawet je li w perspektywie jest lanie.

- Powiedz mi - powiedział sponsor wpijaj c si w moje oczy czarnymi okularami - czy znale Markiz wcze niej, przed zostaniem gladiatorem?

- Widzialem j - przyznalem si .

- Czy zrobile wszystko na jej polecenie? - Czarne okulary skrywal oczy. Bylo to malo przyjemne. Nie moglem powstrzymac si od udzielania odpowiedzi, chocia nie chcialem mu odpowiada .

- Nie mialem adnych rozkazow. Bronilem Dobryni.

- Przesta go przesluchiwa , Sijniko - uslyszalem glos Markizy. - Niczego przed tob nie ukrywamy. Lancelot mo e by glownym atutem w grze.

- Rozumiem - zgodzil si sponsor. - Ale na twoim miejscu nie ukrywalbym go.

- Dlaczego?

- Bo on jest teraz niczym gor cy kartofel - chwycisz go to si poparzysz. Szuka go teraz cala milicja.

- Jej resztki?

- Nie trzeba ich niedocenia . Jego zdj cia ma ka dy milicjant i tajny agent.

Podejrzewaj , e ukryl si w metrze.

- Zd yli!

- Radz ci - rozsta si z Lancelotem.

- A jak my lisz - po co go wzi lam ze sob ?

- eby mi pokaza . Mo e eby szanta owa mnie.

- Glupi jeste . - Markiza u miechn la si . - Chc , eby zabral Lancelota ze sob i ukryl go. Na razie.

- Zwariowala ! To przest pstwo!

- Nie pierwsze i nie ostatnie przest pstwo. Za przyja ze mn trzeba placi .

Siedzimy w jednej lodce, sponsorze.

- Ale ja nie mam gdzie go schowa !

- Wla nie ty mo esz go schowa . Wiesz, kim byl Lancelot, zanim trafil do gladiatorow?

- Skąd mog wiedzie , skoro nie jest z dobrej rodziny?

157

- Wcale nie jest z rodziny.

- Ze stadniny? - Sponsor od razu si nastroszył.

- To jest zbiegły pupilek.

- Pół roku temu? - Sponsor zwrócił na mnie swoje czarne okulary. - Był pupilkiem pana Jajbluszko?

- Tak - odpowiedziałem. - W Puskino.

- Dziwny młody człowiek - powiedział sponsor przekrzywiając na bok głowę . -

Chciałbym rozkręcić ci na drobne rubki i sprawdzić czym się różnisz od pozostałych ludzi. Czy ty wiesz, że jesteś pierwszym w historii naszej przyjaźni pupilkiem, któremu udało się uciec z powodzeniem?

- To nieważne.

- A potem został gladiatorem i.. nawet zabił pana! Koniecznie musisz przejrzeć twój kart genetyczny .

- No właśnie - powiedziała Markiza. - W swojej stadninie.

- To niebezpieczne!

- To jest najbezpieczniejsze miejsce!

- Nie mogą tak ryzykować .

- Komu przyjdzie do głowy szukać pupila w stadninie pupili? - wtrącił się milczący od dłuższej chwili Henryk.

- A kiedy cała ta wrzawa ucichnie weźm go do siebie - powiedziała Markiza. -

Mnie te si przyda.

- Mo e co i jest w tej propozycji. . - zawahał si sponsor.

- To nie propozycja. To pro ba, której nie mo esz odmówi .. Do roboty.

- Sam na sam!

- Zgoda - powiedziała Markiza. - Henryku, dopilnuj, eby moi chłopcy i Lancelot odeszli troch dalej od zadaszania. Potem wrócisz tu.

Henryk skin ł na nas. Wyszli my z Irk spod dachu. Za nami szli ochroniarze w skórzanych ubraniach.

- Zawołam was - powiedział Henryk. - Nie odchod cie nigdzie.

Ostatni słowa skierowane były do ochrony.

158

Byłem zdenerwowany, bałem si . Obawiałem si podst pu, pułapki. Je li wydam im si niebezpieczny, to zabij mnie, to było jasne. Ale nie wiadomo, na ile jestem im potrzebny dzisiaj.

- Stadnina? To mieszne - rzekła Irka. - Pochodzisz stamt d. I tam wrócisz.

Pami tasz, pupilku, stadnin ?

- Nie. Byłem mały, miałem dwa lata, kiedy mnie stamt d zabrali. A co ja tam b d robi ?

- Znowu b d ci przygotowywali do roli pupilka - roze miała si Irka.

- A kim jest ten sponsor? Wiem, e jest z Zarz du Obrony Ekologicznej. To wysoki urz dnik.

- Ja te tyle wiem. Prócz tego wiem, e jest mocno zwi zany z Markiz .

Prowadz wspólne interesy.

- Jakie interesy?

- O tym nie b dziemy rozmawia .

- A na jak długo. . wpakuj mnie do stadniny?

- Póki nie ustanie ten zam t.

- Nie chc tam i .

- Przyjad do ciebie, chcesz?
- A mo esz?
- No, nie jestem w podziemiu nic nie znacz cym człowiekiem - oznajmiła Irka z pewn dum .
- Gdyby tak było, to nie harowałaby w fabryce słodyczy - powiedziałem.
- Robi to, co trzeba zrobi . My lisz, e jest nam lekko?
- Komu nam?
- Tym, którzy nie chc , eby sponsorzy tu byli.
- Czy to w ogóle jest mo liwe?
- Nie dzi , mo e nie jutro, ale na pewno kiedy ich przep dzimy.
- To mieszne!
- Markiza targuje si z Sijniko. S sponsorzy, którzy rozumiej , e bez ludzi nie dadz sobie rady na Ziemi.
- A inni te s ?

159

- Zadajesz pytanie, na które znasz odpowied . Oczywi cie, e s . Ci chc , eby ludzi w ogóle na Ziemi nie było. Tyle tylko, e boj si Centrum Galaktycznego.

Wtedy pierwszy raz usłyszałem te dwa słowa. Od razu poj łem, e istnieje siła, przed któr korz si sponsorzy.

Irka zerkła w stron zadaszenia. Rozmowy tam prowadzone przeci gały si .

Ochroniarze siedzieli na trawie. Irka były blada. Popatrzyłem na ni .

- Rzadko bywamy na górze - powiedziała Irka. - Zupełnie sło ca nie ogl damy.

- Dlaczego?

- Jak złapi wywioz do kopalni.

Ju wiedziałem, e nie zawsze ma sens wypytywanie. Je li czego nie rozumiem, to i wytłumaczenia s niezrozumiałe. Musz sam kombinowa .

Promienie Sło ca przebijały si przez g stwin ółkn cego ju listowia starych drzew.

- A co sponsorzy tu robi ?

- Ratuj - odpowiedziała Irka.

- Co ratuj ?

- Ratuj przyrod . To ich sztandarowe przesłanie.

- I zabijaj ludzi?

- Dla nich przyroda jest wa niejsza ni wrogowie przyrody. Nie zrozumiesz tego.

- Słyszałem o tym codziennie. Sponsorzy przemieszczaj si z planety na planet , ratuj przyrod przed barbarzy cami!

- No wła nie. - Irka u miechn ła si krzywo. - Ratuj przed nami.

Poło yła si na trawie i patrz w bł kitne, jasne wrze niowe niebo.

- Mo e ja i Markiza polecimy do sponsorów - powiedziała nagle. - Sijniko obiecał.

- Po co?

- Markiza dostanie tam owe ciało. . Mnie te tam podreperuj .

- Po co ci to? - zapytałem.

- Nie poznasz mnie wtedy. Opadnie ci szczena, jak zobaczysz moj urod .

Irka roze miała si . Te wybite przednie z by sprawiały, e była podobna do młodej staruszki.

160

- Hej! - krzykn ła spod dachu Markiza. - Chłopcy, we cie mnie!

Ochroniarze poderwali si i pobiegli pod dach.

Pierwszy wyszedł sponsor, za nim ochroniarze popychali fotel, obok którego szedł Henryk, błady, wyprostowany i uparty.

- Tim, podejd do mnie - powiedziała Markiza.

Podszedłem. Chwyciła mnie za r k .

- Pokładam w tobie du e nadzieje - powiedziała. - I b d czeka . Jak tylko niebezpiecze stwo si sko czy, wrócisz do mnie. Dobrze.

- Dobrze - odpowiedziałem.

- Nie będzie ci łatwo - będziesz sam. Ale pamiętaj, e czekamy na ciebie.

- Przywykłem by sam - powiedziałem.

Henryk uciśniętymi rękami. Irka nagle pocięła nosem.

- Nie zakochaj się w Lancelocie - powiedziała Markiza między innymi tylko oczami.

- Tego mi tylko brakowało! - Irka machnęła rękami.

Sponsor leciutko trącił mnie wskazując palcem w szubek głowy. Pokazał w ten sposób, e rozmowy skończyły się i pora i.

Poszedłem do jego migłowca.

Nieoczekiwanie sponsor wyrwał z mojej ręki miecz i ciśniętym go ochroniarzom.

- Jak to?

- Przechowajcie go do powrotu waszego pupilka - powiedział Sijniko.

Pierwszy wszedł do kabiny migłowca i odsunął grube kolana, eby mógł

ulożąc się u jego stóp. Wystartowali my.

161

Rozdział 6

Pupilek w stadninie

Po raz pierwszy latałem osobistym migłowcem sponsora. Widziałem to nie raz z boku, ale nie latałem. Przycupn łem w w skiej przestrzeni mi dzy nog pana Sijniko i drzwiami. Noga co i rusz poruszała si , przyciskaj c pedał, a ja musiałem przyciska si do drzwi, eby mnie rozgniotła. Na dodatek przez cały czas bałem si , e drzwi otworz si i gruchn w dół jak kawałek betonu.

Dolny brzeg dolnego okna znajdował si na poziomie moich oczu, tak wi c nieco unosz c si mogłem patrze w dół. Zreszt , nic tam ciekawego nie było -

pod nami ci gn ł si g sty las, z którego gdzieniegdzie wylaniały si ruiny budynków. Potem las sko czył si i na obszernej otwartej przestrzeni zobaczyłem szare kopuły bazy przybyszy. Dalej widniało ich osiedle, zbudowany logicznie, według przymiaru i wylany betonem. Wydawało mi si , e poznaj swój dom, ale

- rzecz jasna - przelatywali my nad inn baz i zupełnie innym osiedlem. Wszak niemało ich na Ziemi?

Ciało sponsora emitowało szczegól n , wła ciw tylko sponsorom, ostr wo , wywołuj c u niektórych ludzi wstr t, ale dla mnie zwyczajna i zwykła, jak zapach cytryny czy pieprzu.

- Jak ci zw , pupilu? - zapytał sponsor. Jego głos rozległ si nad moj głow jak grzmot nadci gaj cej burzy.

- Kiedy byłem pupilkiem nazywano mnie Tim - powiedziałem. - Gdy stałem si gladiatorem, nazwali mnie Lancelotem.

- Lancelot to jaka hostroyzna posta ? - zainteresował si Sijniko.

- Lancelot to odwa ny rycerz - powiedziałem. - Bronił słabych i zabijał nikczemników.

- Bardzo si zmieniłe w szkole gladiatorów.

Było to raczej stwierdzenie, a nie pytanie. Nie mogłem wi c odpowiedzie .

- Ciekawe - kontynuował sponsor nie patrz c na mnie - skulon u jego stóp istot w podartej koszuli i krótkich skórzanych spodniach. - Nale y ci dokładnie zbada , jako fenomen. Przecie tyle sił i rodków stracono no, eby powstała z ciebie godna i cywilizowana istota, przedstawiciel najbardziej zbli onej do nas odmiany ludzi - pupili. I wszystko - #gra nie warta wieczki. Dobrze u yłem przysłowia?

- Dobrze - powiedziałem. - Mo na jeszcze powiedzie - psu pod ogon!

Sponsor przemyślał moje słowa, potem zrobił "hu-hu" - roze miał si i zakomunikował:

162

- Tak nie powinno si mówi , to nieprzyzwoite.

Sponsor pochylił migłowiec, zobaczyłem w oknie du otwart przestrze na brzegu rzeki. Po rodku wznosił si stary kamienny dom z kolumnami, dookoła ci gn ły si szeregi współczesnych betonowych kostek mieszkalnych.

- Tu b dziesz mieszkał - powiedział sponsor. - Nikomu ni mów, e jeste gladiatorem.

- A kim jestem?

- Je li b d wypytywa - jeste pupilkiem, który na pro b pa stwa został

przywieziony do sprawdzenia. Nale y ci leczy , ale najpierw b dziesz badany. Ja b d osobi cie si tob zajmował.

- A pan kim jest?

- Oprócz wielu innych rzecz - dowodz tym kompleksem - stadnin pupili. To bardzo interesuj ce miejsce. Wcze niej uwa ałem, e wła nie tu b dzie stworzona rasa przyszłych mieszka ców Ziemi, ale teraz zaczynam w to w tpi .

- Ludzie nie chc ? - zapytałem.

- Ludzi, młodzie cze, to my nie pytamy.

Odnutowałem, e sponsor pan Sijniko posługuje si o wiele bogatszym j zykiem rosyjskim, bardziej obrazowym, ni nieznani mi sponsorzy. I w ogóle -

podobał mi si . Pewnie dlatego, e w tej chwili całkowicie od niego zale ałem.

Mógł mnie zabi , mógł wysła do rakarni i, zapewne, nikt by nie mógł mnie obroni . Przecie je li Markiza zapyta, on mo e powiedzie , e zmarłem z powodu przezi bienia. Jak mo na udowodni , e zostałem zabity? Znowu od ył

we mnie pupilek, i miał tak ochot przytuli si policzkiem do szorstkiej, pokrytej łuskami nogi sponsora, i niechby mnie podrapał za uszami!

Przylapałem si na takiej my li i postarałem si j zdusi - wydawało mmi si , e wystarczy przypomnie sobie, jak patrzył na mnie w ciekły sponsor na stadionie. Którego zabiłem.

Zabiłem i dlatego nigdy nie b d ju pupilkiem.

Sponsor Sijniko jakby czytał w moich myślach.

- Pupilkim ju nie bdziesz - powiedział. - Dlatego, e jeste zabójca . I umrzesz jak zabójca.

Nie zrozumiałem co miał na myśli, ale milczałem, bo bałem się, e otworzy drzwi i nie wywalił mnie z helikoptera. CO to dla niego?

Ze migłowca mnie nie wyrzucił, ale kiedy l dowali mi tak mocno przycisnął

mnie nog do drzwi, e mi lałem, e mnie rozdusi. Nie wiem. Czy to było niechcący, czy z rozmysłem.

163

migłowiec wylądował na betonowym placu między szarymi budynkami.

- Wsiadaj - polecił Sijniko - i od razu id do budynku z prawej. Drzwi są otwarte. Nie zatrzymuj się.

Wykonałem polecenie. Gdy tylko drzwi otworzyły się. Wskoczyłem z helikoptera i szybko poszedłem do otwartych drzwi w szarym szcianie sponsorowego mieszkania.

Wszedłem do wnętrza. Wiedziałem, jak są rozplanowane pomieszczenia w takim sponsorskim domu - wszystkie te domy są do siebie podobne.

Muszę przyznać, e w pewnych szczegółach dom sponsora Sijniko różnił się od domu sponsorów Jajbluszko. W naszym domu był tylko duży ekran telewizyjny i dywany, które tknęła pani. I najprzeróżniejsze drobiazgi - pamiątki z wyjazdów czy poprzednich stanowisk, drobiazgi, które sponsorzy urzędniczywo ze sobą z miasta, do miasta. Natomiast w domu Sijniko dominowały księgi: małe - ludzkie i olbrzymie, czasem nie do uniesienia - sponsorowe. Zresztą, nie były to księgi w naszym rozumieniu - to były księgi harmonijki. Wiedziałem z poprzedniego życia, e takich księgek sponsorzy już teraz nie produkują - wystarczą im kasety.

Sijniko odgadł o czym myślałem.

- Lubi takie starocie - powiedział. - Specjalnie przywołam ci stare księgi z domu.

Zamyśloni wzięliśmy jeden z księgek, rozciągnęliśmy w długie pasmo. Była to wid-wolumen - obrazki poruszały się: fale uderzały w brzeg, porośnięte podobnymi do dzbanów drzewami. Wszystko to przemknęło i znikło. Sijniko złożył wolumen i zatrząsnął okładką.

- Zostawiłbym ci, ebyś mieszkał w moim domu - oświadczył. - Interesujesz mnie. Ale mogą powstać plotki i podejrzenia, nikt nie jest ubezpieczony od nich.

Szczególnie tutaj.

Czekałem.

- Odprowadz ci do pomieszczenia, gdzie b dziesz sam. Jako szczególnie cenna istota. Ale je li zdradzisz siebie i staniesz si dla mnie niebezpieczny, b d zmuszony ci zlikwidowa .

Sponsor podszedł do komunikatora. Na ekranie pojawiła si twarz kobiety.

Miała na głowie biały czapeczk .

- Ludmiło - powiedział sponsor. - Przyjd do mnie, zabierz tego młodzie ca.

- Młodzie ca?

- Potem ci wyja ni . - Sponsor rozł czył si i zwrócił do mnie: - Rozbieraj si , rycerzu Lancelocie.

164

- Nie rozumiem.

- Zdejmuj ubranie. Wróciłe do sytuacji poprzedniej i znowu jeste pupilkiem.

A pupilki, jak ci wiadomo, nie nosz ubra .

- To niemo liwe!

- Nie masz wyboru. Zaraz przyjdzie pracownica stadniny, a ja nie chc , eby zobaczyła gladiatora Lancelota w stadninie pupili.

Sijniko zdj ł czarne okulary. Jego czarne oczka, jak mi si wydawało, szydziły ze mnie.

Rozebrałem si . Ale czulem si krety sko - okazało si , e tak przywykłem do ubrania, e bez niego czulem si bezbronny. Poza tym szkoda mi było mojego no yka.

Weszła młoda kobieta w białym fartuchu.

- To niesprawiedliwe! - wyrwało mi si .

Sponsor nawet nie popatrzył na mnie.

- Prosz umie ci obiekt w ósmym boksie i nie dodawa mu nikogo. Sam b d si nim zajmował.

Dziewczyna miała m sk twarz z wystaj cymi ko mi policzkowymi, bardzo jasne oczy i cienkie wargi. Włosy miała uczesane z przedziałkiem i ci gni te do tyłu. Pomy lałem, e pewnie nie wie, co to u miech.

- Czy on gryzie? - zapytała Ludmiła.

Zadane powa nym tonem pytanie rozweseliło sponsora.

- B dziesz gryzł. Tim? - zapytał, a jego głos dr ał z tłumionego miechu. Małe nied wiedzie oczka błysn ły.

- Jestem gwałcicielem - o wiadczyłem dziewczynie.

Zauwa yłem, e sponsor, jakby dopiero teraz przypomniawszy sobie, co powinien był zrobi wcze niej, chowa moje ubranie za swoimi plecami.

- Nawet nie marz o tym - zakomunikował dziewczyna. - Jestem uzbrojona.

- A poczucie humoru masz?

Dziewczyna popatrzyła na mnie jak na wariata. Poczucie humoru, obecne nawet u sponsorów, w niej nie było odnotowane.

Ludmiła poprowadziła mnie przez szerokie wyasfaltowane podwórko, na którym w porz dku, tak lubianym przez sponsorów, były porozstawiane hu tawki, drabinki i inne przyrz dy, przeznaczone dla wzmocnienia ciał

przyszłych pupili. Szedłem obok niej, staraj c si odrobin zostawa z tyłu, 165

dlatego e kr powała mnie własna nago , której Ludmiła w ogóle nie zauwa ała.

Moja przewodniczka od czasu do czasu szybko si ogl dała, sprawdzaj c czy nie zamierzam na ni napa . Szczęrzyłem wtedy z by, a w jej oczach błyskał l k.

Z widoczn ulg wprowadziła mnie do betonowego budynku, otworzyła drzwi do pokoju i nie spuszcza c ze mnie uwa nego spojrzenia, zapaliła pod sufitem m tn arówk . Na podłodze le ał cienki materac.

- Tu b dziesz mieszkał - powiedziała.

- A gdzie po cieli? - zapytałem, chocia wietnie wiedziałem, e pupilki, do których znowu nale ałem, nie dostawali po cieli.

- Obejdiesz si smakiem - powiedziała Ludmiła cofaj c si .

- Przywykłem przed snem czyta .

- Wchod do rodka! Nie mam czasu! - Jej r ka si gn ła do pasa. Wiedziałem, e jej pistolet nie zabija, ale parali uje. Nie pragn łem tego. Podporz dkowałem si wi c. Drzwi za mn zamkn ły si z gło nym trzaskiem, szcz kn l zamek.

Widocznie tak mówiło si tu dobranoc.

Noc sp dzilem niespokojnie. Materac byl twardy i czulem przez jego warstw betonowy chlod podlogi. W skie okno bylo uchylone, a przed witem zrobilo si tak zimno, e usilowalem si owin materacem, ale nic z tego nie wyszlo.

Reszt nocy sp dzilem skulony na materacu.

O osmej stadnina budzila si ze snu - uslyszalem z zewn trz dziecinne glosy, placz, kto przebiegl po korytarzu. Podeszedlem do drzwi i spróbowalem je otworzy . Byly zamkni te. Nikt nie zamierzal mnie wypu ci . Zacz lem podskakiwa , eby si ogrza , potem zrobilem sto pompek. W trakcie tych wicze weszla do pokoju Ludmila.

- Chod my - powiedziala zamiast si przywita . - Poka ci. Gdzie b dziesz jadl.

- Przy psiej budzie, jak s dz .

Ludmila wzruszyla ramionami. Zrozumialem, e uwa a mnie za niestabilne psychicznie zwierz i nie rozumie, dlaczego trafilem tutaj, a nie do rakarni.

Pokonawszy kolejny raz wstyd z powodu wlasnej nago ci, pod ylem za Ludmil .

Przemierzyli my ponownie podwórze i znale li my si u stóp szerokich schodów, które prowadziły do willi z kolumnami nad wej ciem. Weszli my po schodach i przez szeroki drzwi wkroczyli my do hallu, z którego dwie pary schodów prowadziły na pi tro, ale nie tam poszli my. Skr cili my w prawo, do drzwi, zza których donosily si harmider wywoływany przez wiele głosów i brz czenie naczy .

166

Weszli my tam. Znale li my si w stolówce - obszernym pomieszczeniu, obitym ciemnymi drewnianymi płytami, o wietlnym porannym slo cem, wpadaj cym przez liczne wysokie okna. Stało tam ze trzy dziesi tki stolów i stolików, przy których siedzieli mieszka cy stadniny.

Pod oknami siedzialy maluchy. Kilka kobiet, podobnie jak Ludmila, w bialych fartuchach krz talo si mi dzy stolikami i w razie konieczno ci pomagalo malcom radzi sobie z ły kami i chlebem. W miar oddalania si od okien stoly i krzesla stawaly si wy sze - nieopodal drzwi siedzialy ju pupilki w wieku o miu-dziesi ciu lat, wyra ne przero la. Jak si potem okazalo byli to niezapotrzebowani pupilki. Je li jeszcze przez jaki czas nie b dzie na nich wniosków, skieruj ich do jakiej pracy.

Ale wi kszo stolików zajmowaly pupilki w wieku od trzech do pi ciu lat; wla nie takie zazwyczaj szly do rodzin.

Nie zd ylem dobrze obejrze tego rozgadanego tlumu, poniewa Ludmila poci gn la mnie do k ta, obok okienka wydawki, do doroslego stolu, przy którym siedzial ponury w saty brunet, pewnie jaki miejscowy pracownik. Ludmila kazala mi si

, a sama przyniosła z za barierki dwie miski z kasz , a ponury facet wskazał na pokrojony chleb w misce na rodku stołu, jakby w tpił, czy wiem jakie jest wła ciwe przeznaczenie chleba.

W milczeniu wzi łem ły k i zabrałem si do kaszy. Kasza były niedosolona.

Zapytałem Ludmił :

- Gdzie jest sól?

Ludmiła zerkn ła na ponurego typa w fartuchu. Ten powiedział:

- Sól w kaszy ju jest.

- Wła nie - dodała Ludmiła. - Mi smakuje.

- Nie pytałem o wasze zdanie - rzuciłem.

Wstałem i poszedłem za barierk . Znajdowała si tam kuchnia. Przy wydawce stała kobieta w niegdy białym, teraz zatłuszczonym fartuchu.

- Prosz o sól - powiedziałem.

- A ty co za jeden?

- Kontroler - powiedziałem.

- O Bo e! - j kn ły kobieta. - A mnie nikt nie ostrzegł!

- Prosz , wreszcie, o sól! - rozzło cilem si .

Gruba kuchara przyniosła talerze z sol i podała mi.

167

Wróciłem do stołu z sol , co wywołało pełne niedowierzania spojrzenia moich s siadów, którzy, widocznie, s dzili, e zaczn czerpa sól ły k . Oboje przestali je i wpili si we mnie spojrzeniami.

Posoliłem kasz i zacz łem je j tak szybko, e w mgnieniu oka znikła z miski.

- Co jeszcze b dzie? - zapytałem.

- Herbata - powiedziała Ludmiła posłusznie. Troch jakby ubyło w niej pogardy.

Jakby słysz c to słowo z za barierki pojawiła si zasmalcowana kuchara, która przyniosła dla mnie du y kubek z herbat . S siedzi musieli po herbat uda si sami.

- Pan to w jakim celu? - zapytał ponury w sacz, siorbi c herbat , która wcale nie była herbat , a

napojem, o nazwie przejdź od herbaty.

- Przejazdem - powiedziałem beczelnie. - Najpierw wszystko obejrzyj, a potem pojedź dalej.

- Moje pan liczy na moją pomoc - zakomunikował ponury w sącz i przedstawił mi: - Awtandil Cereteli.

Chciał widocznie wywrzeć na mnie pozytywne wrażenie kontynuował:

- Kieruj laboratorium.

- A ja jestem genetykiem-wychowcą - wtrąciła się Ludmiła. - Przygotowuj dzieciaczki do przyszłego życia.

- Rozumiem - powiedziałem. Jeszcze kilka godzin temu niczego nie pamiętałem ze swojego pobytu w stadninie, w której spędziłem pierwsze dwa lata życia. Teraz pamiętałem stopniowo do mnie wraca. Nie czekajcie a moi siedzą skończyli wiadanie i Ludmiła powie mi, dokąd mam się uda, wstałem od stołu i poszedłem na piętro domu - wydało mi się, że musi tam znajdować się długi pokój z dwoma rzędami dzieciennych łóżeczek, a ostatnie w dalszym szeregu - moje.

Schody, korytarz i sama sypialnia były puste - wszyscy jeszcze jedli wiadanie.

Pod nogami miałem wytarty tysiącami stóp chodnik; pchnąłem wysokie drzwi.

Zaskrzypiały znajomo. Oto i pokój - natychmiast poznałem go i skierowałem się do swojego łóżeczka.

Stałem nad nim i nie mogłem go poznać - włączyłem niczego nie mogłem poznać. Moje łóżeczko rozpadło się i stało tam już inne, ale mogłem sobie wyobrazić, że leżałem tam i patrzyłem, jak przesuwają się cienie listowia potężnego drzewa, rosnącego za wysokim oknem.

- Dzień dobry - rozległ się dziecienny głos.

168

Obok mojej nogi stał malec mniej więcej trzy-czteroletni, kłaczka, ryczące stworzenie o wesołym psotnym spojrzeniu.

Malec wyciągnął do mnie rękę.

Ucisnąłem ją. Moje palce wyczuły coś dziwnego, przyjrzałem się jego dłoni: palce chłopczyka były złoczone błonami, na bosych stopach - to samo. Zresztą palce stóp były o wiele dłuższe niż moje.

- Ja tu jestem - zakomunikował malec.

- A ja tu spałem kiedyś - powiedziałem. - Tyle, że to była bardzo dawno.

- Wystraszyłem si - o wiadczył malec. - Powiedzieli mi, e przyjechał niedobry wujek, który sprawdza, jak s po cielone łó eczka. A moje nie jest dobrze po cielone.

- Nie bój si - powiedziałem. - Masz wietnie za cielone łó eczko.

Ale maluch nie słuchał mnie - starannie wyglądał fałdki na swoim kocu.

Kiedy pochylił si nad łó kiem zobaczyłem na jego plecach dwa gł bokie szczeliny, w których pulsowała ciemna tkanka.

Chciałem zapyta malucha, co to jest, ale bałem si , e go przestrasz .

- A teraz? - zapytał mały.

- Teraz to ju w ogóle jest wspaniale.

- Ale jest pan niedobrym wujkiem?

- Jestem dobrym wujkiem - powiedziałem. - Je li chcesz b d twoim przyjacielem.

- Chc - powiedział. Znowu wyci gn ł do mnie dło i przedstawił si : -

Arseniusz! Mo na po prostu mówi Senia.

Poszedłem na dół, Senia za mn . Wyprzedził mnie na schodach, w biegu szczeliny na plecach rozszerzyły si .

Ludmiła czekała na mnie na dole.

- Nie wiedziałam dok d pan poszedł - powiedziała.

- Chciałem zapozna si z domem - odpowiedziałem.

- To unikatowe przedsi wzi cie - powiedziała Ludmiła, wpatruj c si uwa nie we mnie jasnymi oczami, jakby chciała przenikn do mojego serca i pozna moje my li. - Dostarczamy pupili na teren całej Rosji. Mamy setki poda .

Malec odsun ł si o krok - bał si jej.

169

- A ty tu czego si szwendasz? - zdziwiła si Ludmiła. - Natychmiast p d na wiczenia!

Arseniusz nie mógł ukry rozczarowanego westchnienia, ale posłusznie pomaszerował do drzwi. Najpierw chciałem go zatrzyma , ale natychmiast przypomniałem sobie, e mam pytanie, którego nie mogłem zada przy malcu.

- Dlaczego on ma błony? - zapytałem.

- Arseniusz? - No, przynajmniej zna ich imiona. - Takie zamówienie.

- Przepraszam. Nie zrozumiałem. Jakie zamówienie?

- Hodujemy w naszej stadninie pupili różnego rodzaju - powiedziała Ludmiła.

Stali my już nieopodal wejścia do willi, a obok nas przebiegały maluchy, które już zjadły niadanie. Niektórzy przysiadli do przyrzędów gimnastycznych, stojąc na obszernej ławce, inni malcy maszerowali do betonowych domów. - Zazwyczaj nie wymaga się od nas niczego szczególnego - powinniśmy gwarantować, że maluch jest zdrowy, pozbawiony genetycznych wad, że wie, jak się należało zachowywać w domu sponsora, że nie brudził czy szkodził. Tak więc, kiedy przyjeżdża zamawiający, to bierze sobie dzieciaka z grupy podstawowej.

- A błony?

- To spec-zamówienie. Rodziny, która zamówiła pupilka pracuje w morskiej stacji nad morzem Czarnym. Mieszka ona. Przede wszystkim zajmuje się podwodnymi badaniami. Wygodniej jest im, jeśli pupilka może oddychać dwójako. Zauważył pan, mam nadzieję, że ma na plecach skrzela?

- Biedny chłopiec - powiedziałem.

- Nic podobnego. To bardzo perspektywiczny kierunek badań. Pod kierunkiem sponsora pana Sijniko pracujemy aktualnie nad programem "Potrzebne dzieci".

Pan, być może, tego nie wie, ale w związku z problemami o charakterze finansowym zapotrzebowanie na zwykłych pupili spadło. Powinniśmy skusić zamawiającego czymś szczególnym. Powinniśmy wyjść naprzeciw gustom - klient decyduje o wszystkim!

To, co mówiła Ludmiła było nieprzyjemne, ponieważ wyglądało to, jakby w jej wnętrzu leżała strona sprawozdania, z której szczytywała akapit za akapitem. W

szkole gladiatorów Prupis opowiadał mi, że wczynie ludzkie dzieci uczyły się w szkołach. Wtedy wszyscy umieli czytać. Niewiarygodne, trudne do uwierzenia, ale nie miałem podstaw, by nie wierzyć Prupisowi. Idź dalej - skoro były szkoły, musieli być prymusi. Tacy, jak Ludmiła.

- Umie pani czytać? - zapytałem.

- Co?

- Czy umie pani czytać litery i słowa?

przyzna .

- Mam dobr pami - wykrztusiła w ko cu po chwili milczenia.

Zacz łem uwa niej przygl da si malcom. Ludmiła przechwyciła moje sonduj ce spojrzenie i powiedziała u miechaj c, ale u miech obj ł tylko usta:

- Specdzieci mamy tu niewiele, w wi kszo ci s w laboratoriach. Pod obserwacj . Ale s zabawne. .
Ksiusza, Ksiusze ko. Podejd do nas!

Malutka dziewczynka, chyba trzylatka, podbiegła do nas.

Dopiero teraz dotarło do mnie, e zamiast włosów na głowie dziecko ma mi kk sier , której warstwa przechodzi na plecy.

- Prosz j pogłaska - zaproponowała Ludmiła.

- Pogłaska ?

- To przyjemno , któr trudno zapomnie - powiedziała Ludmiła. - Musz przyzna , e gdybym miała tak mo liwo , sama wzi łabym sobie takiego pupilka.

Nie chciało mi si głaska puszystej dziewczynki, cho mała nie odczuwała adnego skr powania z powodu swojego wynaturzenia, zreszt nie uwa ała siebie za wynaturzon .

- Teraz, kiedy sponsorzy wiedz , e mo emy ukształtowa pupilka według indywidualnego zamówienia, dostajemy takie zabawne zapotrzebowania, u mieje si pan! Ale, rzecz jasna, kosztuje to mas pieni dzy, i tylko najzamo niejsi sponsorzy mog sobie pozwoli na to pozwoli .

Ludmiła skierowała si do grupy dzieci, bawi cych si trawie i powiedziała podchodz c do nich:

- A oto nasze ostatnie osi gni cie. Jeste my z panem Sijniko niemal przekonani, e ten model podbije rynek.

Kiedy podeszli my do hu tawek i malec, hu taj cy si na nich odwrócił si do nas, ledwo powstrzymałem si od okrzyku zdziwienia. Rzeczywi cie, eksperymentarzy wymy lili niezwykl istot : było to zwykle ziemskie dziecko, jednak e jego głowa i r ce nale ały do malutkiego sponsora, jakby do sponsorowej lalki.

Nie mogłem oderwa wzroku od małego potworka - patrzył na mnie zielony abi pysk z malutkimi nied wiedzimi oczkami, ale pier istoty była ró owa, a pulchne nó ki niczym nie ró niły si od nó ek innych dzieci.

- Du o ich.. stworzyli cie?

- Tajemnica firmy. - Cienkie wargi Ludmiły rozci gn ły si w u miechu. -

Mo e pan zapyta pana Sijniko. Zapewne udzieli wyczerpuj cej odpowiedzi.

Potwór podszedł do nas i sepleni c poprzez abie usta powiedział:

- Cukierek jest?

- Nie - opowiedziałem.

- Jest strasznie rozpieszczony - powiedziała Ludmiła. - Gdy przyje d a do nas jaka grupa albo kontrola, wszyscy sponsorzy biegn popatrze na nasze kreol tka. Dosłownie zapychaj je cukierkami. . I wie pan - nawet zdarzył si taki incydent: dwa zwyczajne pupilki rzuciły si na kreolczyka - ledwie go uratowali my.

- A napastnicy? Odstrzelili cie ich?

- Ach, jak okrutnie pan mówi! - zdenerwowała si Ludmiła. - Wysiekli my ich tylko jak nale y.

Stali my na trawniku, przez cały czas rozgl dałem si na wszystkie strony, maj c nadziej , e odgadn , w jakie kształty oblekły si genetyczne i plastyczne wiczenia, wykonywane od kierunkiem mojego protektora Sijniko. Jakby w odpowiedzi na moje niezadane pytania Ludmiła zapytała:

- Chce pan zajrze do sali projektów?

Nie miałem pretekstu do odmowy.

Zeszli my z trawnika i po długiej cie ce dotarli my do betonowego sze cianu.

Wro ni ty w ziemi szary kloc laboratorium był wewn trz o wiele przestronniejszy ni wydawał si z zewn trz. Wysoki korytarz, w którym mógł si zmie ci sponsor, dzielił laboratorium na dwie połowy. Z lewej, jak zauwa yłem, znajdowały si eksperymentalne inkubatory - podstawowe znajdowały si w innym budynku - z prawej - wła ciwe laboratorium, w którym na zamówienie i yczenie sponsorów, albo i z inicjatywy samych uczonych konstruowano rokuj ce nadzieje warianty pupili. Znajdowali si tu stale dwaj sponsorzy - sam pan Sijniko, który był ogólnym szefem stadniny, i nieznana mi sponsorka o imieniu Fujke, która jakim cudem akurat w tym czasie zachorowała i trafiła do lazaretu.

Sponsorka zajmował si zaopatrzeniem stadniny, sprawami finansowymi i kontaktami z klientami, poniewa dla sponsorów z wojskowej ekologicznej bazy kontakt z lud mi był niemal niewyobra alny, a przynajmniej, nieprzyjemny.

Cał reszt zajmowali si ludzie przy pomocy urz dze , które opracowali, przywie li ze sob i zamontowali sponsorzy. Ludzie wszak nie powinni niczego wymy la .

Przyzwyczajaiwszy si do my li, e nie jestem w stadninie przelotnym go ciem, a wykonuj tu jakie utajnione zadanie, Ludmiła zmieniła swój stosunek do mnie i zrobiła si szczerą. Pomy lałem nawet, e nie ma z kim tu pogada , e, pomimo 172

surowego oblicza, jest osob wra liw i samotn , targan w tpliwo ciami.

Przecie nie wolno jej było pod adnym pozorem opuszcza terytorium stadniny, i, najprawdopodobniej, była to wi niem do ko ca swoich dni. Nigdy nie stanie przed ni otworem brama stadniny i nigdy nie zobaczy innych miast i innych ludzi.

- Kiedy pana zobaczyłam - przyznała - pomy lałam, e jest pan reproduktorem. Czasem przywo do nas reproduktorów w celu poprawienia zasobów nasienia.

- Dlaczego pani tak pomy lała?

- Dlatego, e jest pan. . e jest pan nagi.

Teraz, uznawszy, e jestem równym jej, albo nawet przewy szaj cym j w randze m czyzn , zaczę la odczuwa znajduj c si moim towarzystwie wstyd -

reproduktorzy czy pupilki nie byli w jej oczach m czyznami.

- Niestety - powiedziałem - musiałem zostawi ubranie w domu pana Sijniko.

Inaczej zacz lbym zwraca na siebie uwag .

- Oczywi cie - zgodziła si z ulg Ludmiła.

Posiadanie przeze mnie ubrania, nawet je li było gdzie obok, pozwalało jej pogodzi si z moj obecno ci . .

W du ym jasnym pokoju na lewo od korytarza zastali my Awtandila Cereteli z jeszcze jednym lekarzem.

Na cianach laboratorium projektowego wisiały dwu- i trzywymiarowe wizerunki niemowl t - po dane wyniki eksperymentów. Drog do nich opracowywały stoj ce w laboratorium komputery, nast pnie genetyczni in ynierowie, umieszczeni w s siednich pokojach po drugiej stronie korytarza, tworzyli na zamówienie ciała.

Obrazki przyszłych wyrafinowanych pupili robiły wra enie, ale były pozbawione ycia, i dlatego o wiele mniej przera ały, ni mniej zniekształcone, ale ywe maluchy.

Awtandil z zadowoleniem wyja niał mi specyfik zarodków i ich przeznaczenie.

Okazało si , e tworzone tu nie tylko pupili, ale w tajemnicy - ludzi przyszło ci, potrzebnych w tej czy innej dziedzinie gospodarki. Dlatego na ilustracjach zobaczyłem skrzydlate niemowl ta,

pokryte białym puchem; mo na je, jak wyja nił Awtandil, wykorzysta na dwa sposoby: i jako pupili - niektórzy sponsorzy chcieli mie skrzydlatych pupili, oraz jako zwiadowców-ratowników, mog cych przedosta si szybko tam, gdzie mialby trudno ci czlowiek, nie mówi c ju o sponsorze.

Nast pnie Awtandil z dum zaprowadził mnie do pokoju po drugiej stronie korytarza, gdzie w wannach z plyn po ywk , ju niemal gotowe od urodzin, 173

kształtowały si ludzie-robaki. Nie s dz , by nadały si do funkcji pupili, ale w pracach kopalnianych b d nie do zast pienia.

Po godzinie o ywionych opowie ci moich nowych znajomych poczułem, e do gardła podpełzaj mi wymioty. To, co biologom wydawało si strasznie ciekawe i godne pochwały, wzbudzało we mnie wzrastaj cy wstr t.

Przez te miesi ce, które sp dzilem na wolno ci, od chwili ucieczki z domu Jajblusko, przekonywałem si coraz bardziej, e jestem niewolnikiem we własnym domu. e wszyscy dokola s niewolnikami, których mo na sprzeda .

Kupi i zabi , i - jak si dzisiaj dowiedziałem - pozbawi dzieci stwa i ludzkiego oblicza, dlatego e tak chc zielone aby z błyszcz cymi nied wiedzimi oczkami. I nie do , e ja nie wiem, dlaczego króluje taka niesprawiedliwo , ale nie mo e odpowiedzie na to pytanie nikt, poniewa ludzi, pozbawionych wiedzy, pozbawiono równie pami ci o swojej przeszło ci.

Ale, słuchaj c natchnionych przemówie Awtandila o tym, e przyst pili do tworzenia oddychaj cego amoniakiem czlowieka, zrozumiałem, e musz dowiedzie si jak najwi cej od pana Sijniko. Co prawda, musi on chce rozmawia , ale podejrzewałem, e mnie opowie wi cej ni jakimukolwiek innemu czlowiekowi, poniewa wyró niam si z grona zwykłych ludzi. Zabiłem sponsora! I znałem sponsorów j zyk.

Powiedziałem, e musz si przespacerowa i wyszedłem z laboratorium. Nikt mnie nie zatrzymywał. Wyszedłem na trawnik i zacz lem wolno przechadza si po cie kach, obserwuj c liczne dzieciaki, które w wi kszo ci były zwykłymi dzie mi. Inna sprawa, e - jak mnie poinformowała Ludmiła - w ostatnim okresie zacz to wszczepia im rodek parali uj cy: je li taki pupilek nagle si w cieknie i rzuci si na wła ciciela, ten b dzie mógł go natychmiast obezwładni .

Na szcz cie, kiedy ja opuszczałem stadnin , ten pomysł jeszcze nie wyklul si w głowie jakiego Awtandila czy Ludmiły.

Arseniusz zobaczył mnie z daleka i, porzuciwszy zabaw w piaskownicy, podbiegł do mnie.

- Wujku! - krzyczał. - Wujku! Wiesz co?! Wiesz co?

Kiedy podbiegł do mnie powiedziałem:

- Nazywam si Lancelot. Rycerz Lancelot.

- Lot - powiedział malec. Widocznie sprawiało mu trudno ci zapamiętać całość takiego długiego imienia.

- No, co chcesz mi powiedzieć ?

- Słyszałem, wujku Locie, jak kucharki w kuchni rozmawiały, a jesteście rewizorem. a może esz kogo chcesz zlikwidować albo posłać do rakarni. Czy to prawda?

174

Zdecydowałem, a te plotki mogą być dla mnie przydatne.

- No wiesz, kucharki, rzecz jasna, przesadzają . .

Arseniusz nagle zaszlochał.

- Co ci się stało? - Przykucnąłem obok niego. Maluch zasłonił oczy wyposadzonymi w błony dłońmi, jak dwoma wachlarzami.

- Wyślesz mnie do rakarni? - zapytał szlochając.

- Co za bzdury wygadujesz!

- Powiedzieli mi, a jestem przerażony!

- Ty? A ile ty masz lat?

- Dziewięć - powiedział Arseniusz.

- Nie może być !

Przedemną płakał trzylatek.

- Takiego mnie wmyli - powiedział mały. - Wmyli mnie, abym się nie zmieniał. Ale pani Liwijko powiedziała, a nie potrzebuje wiecznego niemowlaka.

Ona chciała, abym rósł i nurkowałem. . jak prawdziwy!

Jeszcze długo opowiadał, staraj się, aby dotarło do mnie, a to nie on jest winny, a on jest dobry, a sam tego chciałby urosnąć, ale nic z tego nie wychodzi, nawet jeśli się starać o niego. I teraz, kiedy stało się jasne, a nikt go nie chce, Senia wymyślił sobie, a jak nie dziś, to jutro go sprzedać. Jak usuwali inne wyrodków, które nikomu do niczego się nie przydały.

Pogłaskałem go po miękkich włosach i postarałem się uspokoić, zapewniłem, a nie mam co do niego żadnych złych planów i nie będę się z nim przyjaźnił.

Uspokojony malec pobiegł do kolegów, a ja skierowałem się do swojej budy.

Wiedziałem, że idąc się ubrać i ubranie stanie się dla mnie symbolem niezawisłości. Jeśli sponsor zechce mnie zabić - ma prawo to zrobić. Ale umrę w ubraniu. Jakkolwiek miesznym i naiwnym może się to wydać, pocieszyło mnie to postanowienie.

Ale nie udało mi się ubrać. Przed moimi drzwiami czekały na mnie dwie kucharki. Jedną z nich już spotkałem - gruba zasmalcowana kobieta, drugiej, chudej i szkapiastej, nie znałem.

- Chcemy panu powiedzieć - dramatycznym szeptem zakomunikowała zasmalcowana kucharka - wkład mi sny realizuje szef produkcji. Tak więc, jeśli na stołach jest go za mało, to on za to odpowiada.

- Jakże znowu mi się?

175

Przeszkadzajcie sobie nawzajem zaczęły pokrętnie i tchórzliwie zrzucić winę za kradzież na swojego przełożonego, mając nadzieję, że z moją pomocą zatriumfuje sprawiedliwość. Straciłem jeszcze z dziesięć minut zanim udało mi się splawić wizytantki, zachowując przy tym w nich przekonanie o mojej tajemniczej znaczącości.

Kiedy kucharki zniknęły ze swoimi próbnymi skargami, powiedziałem, że nie wiem, jak się wchodzi do domu pana Sijniko. Dla pupilki, rzecz jasna, nie ma zamkniętych drzwi i kluczy. Wchodzi i wychodzi kiedy chce. Jeśli panu się to nie podoba, może wysłać pupilkę. Ale pupilka, w odróżnieniu od człowieka, nigdy niczego nie ukradnie - chociażby dlatego, że jest nagi.

Drzwi do domu sponsora były zamknięte. Nie pozostało mi nic innego, jak czekać i wrócić. Ze starego przyzwyczajenia zwinłem się w kłębek na wycieraczkę i zapadłem w drzemkę. Nikogo to w studni nie zdziwiło - pupilki zawsze pią, gdzie chcą i kiedy chcą. Tak więc, zasypiając, powiedziałem jak to miło wrócić do skóry domowego zwierzęcia - nie dźwięczy syrena, nie dzwoni dzwonek, nikt nie woła cię na zbiórki, do zawodów, walki na miecze czy do wyładunku pelzaczy.

Spałem, ale tak, jak się należy - jednym uchem nasłuchując, aby ktoś na mnie nie nadeprnął. Dlatego, gdy coś wielkiego zakryło wiatło słoneczne, pomyślałem sobie, że wrócił sponsor, i zerwałem się. Ale nie był to sponsor. To był

Arseniusz, ale tym razem nie sam - trzymał za ręk dziwną istotę, nagą dziewczynkę o niemal dwumetrowym wzroście, krótko ostrzyżoną, i - gdyby nie przesadne wymiary i straszliwa chudość - do pogajania.

- Rozbudzili cię - powiedział Arseniusz, konstatując fakt, ale bez wyrzutów sumienia. - Wstawaj. Przeprowadziłem Leonora.

Olbrzymka skłoniła głowę w ukłon - widocznie Sienia nagadał jej o mojej w niej pozycji.

- Bardzo mi miło - powiedziałem nieco rozdrażniony, bo nie lubi jak się mnie budzi. - Co się stało?

- Lancelot - powiedział Sienia - trzeba pomóc Leonorze. Inaczej wkrótce umrze.

- Umr - przytaknęła si Leonora. - Pewnie niedługo.

- Gro rakarni ? - zapytałem.

Domyliłem się, że jest wynikiem nieudanego eksperymentu państwa projektantów. Teraz, kiedy wyrosła i okazała się nikomu niepotrzebna. .

- Dlaczego rakarnia? - zdziwił się Arseniusz. - Jeszcze się przyda. Tylko, że karmi ją według zwykłej normy, a Leonora różnie. I jest przez cały czas głodna.

Oddałem jej wczoraj połowę swojej porcji kaszy.

176

- No to popro o dokładkę - zaproponowałem.

Dziewczyna zaczerwieniła się. Nie wstawałem - kiedy rozmawia się z olbrzymem leciwie się wydawa, że sam jesteś duży, ale kiedy się stoi -

złudzenie przyska.

- Nie daj. Wszystko bior dla siebie - poskarżyła się. - I powiedzieli, że jak się poskarzy pani Ludmile albo panu sponsorowi, to w ogóle przestan mi dawać jedzenie.

- Przecież są tu wychowawcy, lekarze. .

- Oni też kradną - zakomunikował Arseniusz. - Tutaj wszyscy kradną. Tyle że nam, małym, to nie szkodzi, ale nie wszyscy są tacy. A Leonora to już zupełnie jest biedna. Musisz ich postraszyć, żeby dawali jej je.

- Pogadam z nimi - obiecałem.

Leonora odeszła pierwsza. Miała takie szczupłe plecy, że łopatki niemal przebijały skór.

Wyszedłem na ławkę i zerknąłem na słonece. Pięć godzin.

- Hej? - zawołałem do Arseniusza. - O której obiad?

- Usłyszysz gong.

Usiadłem na ławce. Dookoła mnie było pusto, w stadninie królowała cisza i rajski spokój. Tylko nad głowami rozlegały się krzyki lecących na południe urawi, czasem zaszeleciły kołysane wiatrem

szczyty starych d bów i odległe dzieci ce miechy.

Pomy lałem sobie, e niczego nie wiem o otaczaj cym mnie wiecie. Póki byłem pupilkiem nie niepokoiło mnie to - obok była pani Jajbluszko, która wiedziała wszystko i za mnie, i za siebie. Kiedy uciekłem moje losy tak si pogmatwały, e nie miałem nawet czasu nad nimi si zastanowi - byle tylko wy y . Dopiero w szkole gladiatorów, chocia i tam nie byłem bardzo zaj ty, zacz leń troch my le o tym, co si dokola dzieje. Co prawda kiedy docierałem do pryczy od razu zasypiałem, a i moi rozmówcy nie byli specjalnie m drymi lud mi i mało wiedzieli o tym, co si dzieje za murami pokoju, szkoły czy stadionu. Wszyscy odbierali istniej cy porz dek rzeczy jako ten obowi zuj cy, i nikt nie zamierzał

go zmienia . "A na czym polega ten porz dek?" - zastanawiałem si .

Nasz wiat kierowany jest przez m drych i wszechmocnych sponsorów.

Przybyli tu, pewnie bardzo dawno temu, eby uratowa Ziemi od ekologicznej katastrofy.

Sponsorzy musieli oczyszcza nasze powietrze i wod , odtwarza pierwotny wygl d naszej planety. Dopiero kiedy to olbrzymie zadanie zostanie wykonane, sponsorzy odlec z powrotem, dlatego e im te nie jest łatwo tak daleko od domu.

177

To wyja nienie całkowicie zadowalało mnie, póki byłem pupilkiem. Widocznie wierzyła te w to dobra pani Jajbluszko.

Nie pasowały do tego obrazu takie rzeczy jak włócz dzy, dzikie pupilki, parszywce ze mietnika, ale pani Jajbluszko wyja niała mi, e s to nieszcz liwe istoty, nie maj ce dachu nad głow i stałego wy ywienia, e ich stale si odławia i odwozi na resocjalizacj . Ale przecie Ziemia jest tak wielka, a sponsorów tak niewiele - nie wyrabiaj si .

W mie cie, które mnie oszołomiło, w Moskwie, widziałem mnóstwo innych ludzi, Prawie wszyscy lamali najwa niejsze prawo ycia - nie ubiera si !

Przy okazji, a dlaczego nie wolno chodzi w ubraniu? Nie zadawałem sobie wcze niej takiego pytania - wiadomo: higiena. Ale teraz zapytałem siebie, i odpowied okazała si prosta, chocia nieoczekiwana: eby nie mo na było niczego zatai przed sponsorem. eby nie mo na było nosi przy sobie broni.

A dlaczego w mie cie mo na było si ubiera ? Na to odpowiedziała mi Markiza: dlatego, e w rzeczywiście ci sponsorzy nie mog obej si bez ludzi.

Pozwalaj nawet ludziom na to, co jest kategorycznie zabronione. O ile to im, sponsorom, jest na r k .

Okazało si e ywno dla sponsorów w fabryce słodyczy przygotowuj ludzie, e serwuj rozrywk równie ludzie i nawet dbaj o ustanowiony porz dek milicjanci-ludzie.

Bez ludzi nie da si obej . A bez sponsorów?"

"Bez nich na pewno si obejdziemy" - powiedziałem sobie, ale ta moja pewno , niestety, niczego nie zmieniała. Dlatego e, bez wzgl du na wszystko, panowali tu sponsorzy. A ja byłem wiadkiem, jak nie mrugn wszy nawet okiem zabili kilkaset, mo e nawet kilka tysi cy, najprawdopodobniej potrzebnych nawet sobie i po ytecznych osób.

"Czy nienawidz sponsorów?" - zapytałem siebie.

"Nienawidz sponsorów" - odpowiedziałem sobie. Zabili Dobryni , Batu-chana i Prupisa. Robi z ludzi zwierz ta. Słusznie post pilem zabijaj c sponsora.

Ta my l mi si spodobała. Chciałem wypowiedzie j na głos, ale obok przechodził Awtandił, nios cy jakie naczynie z ludzkim zarodkiem wewn trz.

Przemilczałem wi c. Nawiedziła mnie inna dziwna my l: czy spotkałem człowieka, który chciałby, eby sponsorzy znikn li, wygin li, odeszli na zawsze?

Zrozumiałem nagle, e nie spotkałem takiego człowieka. Ludzie nie maj poj cia o innym yciu, jak ycie pod egid sponsorów, po prostu nie chc innego ycia.

Wszyscy s zaspokojeni i zadowoleni. Pupilki - za to, e s karmione i pieszczone, gladiatorzy s dumni ze swojej siły i umiej tno ci i a si pal , eby zademonstrowa to sponsorom. Markiza, władczyni podziemi, równie do ostatniej chwili była wr cz zadowolona z ycia. . Czy bym został sam? A mo e sponsorzy nie l ? Mo e naprawd uratowali Ziemi od zagłady? Mo e ludzie 178

gotowi byli wygin ostatecznie? A czy, w ko cu, ratownikom nie wybacza si wiele? Przecie yj w ród nas, z dla od domu, wykonuj nudn prac , potrzebuj rozrywek. .

Ale w tym momencie przypomniałem sobie oczka stwora: człowieczka z głów aby. . i znowu przestałem wierzy sponsorom.

Przebywaj c w takim dziwnym stanie zobaczyłem, jak na polanie l duje migłowiec pana Sijniko; pilot ci ko wygramolił si z maszyny i zm czonym krokiem zmierzał w kierunku domu.

Poczułem ochot pomachania ogonem, Ale stałem wyprostowany, nieco pochyliwszy głow , w postawie gladiatora, stoj cego w szeregu przed walk .

Sijniko jakby dopiero teraz zauwa ył mnie. Dopiero wchodz c przez drzwi, odwrócił si do mnie i zapytał:

- Jadłe ju obiad?

- Nie było jeszcze sygnału na obiad - odpowiedziałem.

Sijniko poprawił umocowany do ramienia komunikator i powiedział:

- Mówi sponsor Sijniko. Przynieś mi obiad do mnie do pokoju. Dla mnie i pupilka Lancelota.

Nie czekaj na odpowiedź wyłczył komunikator.

- Je li pupilek to Tim - powiedziałem. - A Lancelot - je li rycerz, gladiator.

- A ja wcale nie zamierzam pytać cię, jak mam cię nazywać - burknął

Sijniko.

Poszedłem za nim go gabinetu. Od razu w oczy rzuciło mi się moje ubranie, walaj się w k cie.

- Ci ki dzie - o wiadczył sponsor. - Wszystko przez ciebie.

- Przeze mnie?

- Z powodu wczorajszego incydentu. Dopiero co się skończyła du a oblawa w metrze. Szukali ciebie.

- Znale li?

- Na razie nie - powiedział sponsor. - Ale na pewno znajd .

Podszedł do okna i popatrzył na ł czk , po której biegały maluchy.

- Markiz z Henrykiem zdylem uprzedzi - powiedział w ko cu sponsor. -

Zd yli uciec. Ale wielu zgin ło.

- A Irka? - wyrwało mi się .

179

- Jaka znowu Irka? - zdziwił się sponsor. Nie znał adnej Irki, a jakby nawet znał - co mu za różnica?

- Podcinamy gał , na której siedzimy - o wiadczył sponsor. Zrozumiałem, e mówi do mnie tylko dlatego, e nie ma innych rozmówców w pobli u. Mógłby równie dobrze rozmawia z krzesłem.

Do pokoju bez pukania weszła kucharka i przyniosła misk z polewk dla mnie i dupy garnek dla sponsora.

Ten zwolnił kuchark , wyjął z niszy w cianie łyk - do dzi nie potrafiłem nauczyć się posługiwania tak , a sponsorzy - tylko takimi jedz .

Sijniko nie zaproponował mi łyki - jak zwykle, wszyscy sponsorzy zapominali o tym, ale nie prosiłem. W ko cu - umiałem przecie chlepta z miski.

- A je li trafi się inspekcja? Dlaczego zakładacie, e inspekcja będzie przyjazna dla nas? Federacja od dawna ma z b na nasze metody.

Mówił to wcinaj c swój zup , o wiele smaczniejszy , niż polewka, jak karmi tu ludzi, ale to. Co mówi było zupełnie niezrozumiałe. Nie wiedziałem, co to jest inspekcja i dlaczego może być nieprzyjazn .

- Egoizm, a tam bardziej egoizm grupowy - pouczal mnie sponsor - mo e w fatalny sposób wplyn na rozwój całej cywilizacji. Nie wolno tylko bra i nic nie dawa w zamian. Nie jednokrotnie usilowałem sygnalizowa ten problem na radach regionalnych. Fakt, e Rejkino znajduje si w oplakanej sytuacji i konieczne jest wysiedlenie. . nie jest jeszcze argumentem dla likwidacji całej obcej rasy. Zgadzasz si ?

Pytanie zaskoczyło mnie. Ale postanowiłem zgodzi si ze sponsorem i przy okazji zada pytanie, eby udowodni , e uwa nie i dobrze słuchałem pana sponsora.

- A co to jest Rejkino?

- Rejkino - to mój dom - powiedział sponsor. - To planeta, która usiłuje pozby si swoich synów.

- Rozumiem - powiedziałem.

- Na szcz cie nic nie rozumiesz i dlatego na razie jeszcze yjesz.

- Prosz mi powiedzie - postanowiłem udowodni , e nie jestem głupi - co było na Ziemi, zanim tu przybyli cie?

- Pewnie wciskali ci, e jeste my bra mi w rozumie?

- Wyl dowali cie na talerzach i pomogli cie nam oczy ci rzeki i powietrze. W

innym przypadku wszystko by my zniszczyli.

180

- A kto was tam wie - powiedział w roztargnieniu sponsor. - Mo e by cie i wy yli. Jeste cie strasznie ywotni.

- To znaczy, e nie jeste my bra mi w rozumie?

- Bracia, bracia - mrukn ł sponsor. - Ale to niczego nie ułatwia. Kiedy spotykaj si dwa gatunki ywych istot, które musz dzieli nisz ekologiczn , jeden z tych gatunków jest skazany na wytrzebiecie. Nie dlatego, e jest gorszy, tylko dlatego e jest słabszy. Przymilny bełkot o pomocy i trosce - to, wybacz mi, puste gadanie dla gawiedzi, takiej jak ty.

- Czy to znaczy, e nie przylecieli cie tu, eby nas ratowa ?

- Oficjalnie, dla Federacji, pomagamy wam. Ale w tpi , czy oszukali my kogokolwiek. Kto ma oczy mo e zobaczy , e mieszkamy tu tylko dlatego, e nasza planeta jest przeludniona i musimy zdoby gdzie przestrze yciow . Sami doprowadzili my nasz dom do ubóstwa, i potrzebujemy teraz waszych surowców i innych towarów, nie po to, by dzieli si nimi z wami, a eby je wywie . A im mocniej tu si osadzamy, tym mniej nam jeste cie potrzebni.

- To dlaczego nie wybili cie nas zaraz po l dowaniu?

- M dre pytanie. - Sponsor odsun l garnek z polewk i rozwalil si w swoim fotelu. - eby powa nie zacz likwidowa was, musieliby my zupełnie nie kry si z tym i na dodatek wytrwale polowa na was, jak na karaluchy. Jeste cie przecie strasznie ywotni. Nie mieli my na to ani sil, ani rodków. O wiele m drzejsze było pozwoli wam wymrze w sposób naturalny.

- I pan tak spokojnie o tym mówi? - Rozzło ciła mnie ta bezwzgl dna tusza.

- A dlaczego miałbym si tym przejmowa ? Kiedy budujecie w lesie dom, czy was interesuje los ptaków, które mieszkały na gał ziach wyci tych drzew, czy te uczków, które ywiły si ich li mi.

- Czy mo na porównywa te rzeczy? My jeste my rozumni!

- A gdzie zaczyna si rozum? My mamy wi ksze od waszego do wiadzenie w kontaktach z istotami ró nych wiatów. I twierdz : granica mi dzy rozumem i nierozumem jeszcze nie została okre lona. A wy, ludzie, raczej nie jeste cie rozumni. Taki s dzimy. - Cał swój postaw sygnalizował znak u miechu.

- A je li si z tym nie zgodz ?

- Kto ci , pupilku, b dzie pytał?

- Zabiłem jednego z waszych!

- Ach, ty gadzie! - Ci ka łapa opadła mi na głow i sponsor, omal nie oderwawszy mi jej, podniósł mnie za włosy. Z bólu trysn ły mi z oczu łzy. Ale sponsor nie zastanawiał si czy mnie to boli. - Jeste wstr tny i wydajesz si by 181

niebezpieczny - kontynuował. - Tylko ciekawo badacza zmusza mnie do przedłu ania twojego nikczemnego ycia.

Odrzucił mnie, a ja zwałem si na podlog , uderzaj c głow o nó k krzesła.

- Musz po tobie my r ce - powiedział ze szczerym obrzydzeniem. - mierzysz jak wszyscy ludzie!

- Odchodz st d - odpowiedziałem podnosz c si .

- Nigdzie nie pójdiesz - warkn l sponsor. - Naradzimy si z bioin ynierami i zdecydujemy, co z tob zrobi , eby si tu przydał. Id do siebie, nudzisz mnie.

Podrapałem si po głowie - korzenie włosów jeszcze bolały, schyliłem si , eby zebra z podłogi moje ubranie.

- A to co znowu? - zapytał sponsor.

- Chc chodzi w ubraniu - powiedziałem.

- Kto ci pozwolił?

- Zawsze chodź w ubraniu. Tutaj jest mi niezrownie chodzi nago. Gdybym był dzieckiem, to był jako si z tym pogodził. Ale jestem dorosłym mężczyzną.

- Jaki tam z ciebie dorosły!

Sijniko uniósł swój słońce i trzymał mnie. Wypadłem z pokoju otworzywszy plecami drzwi.

Ale nie wypuściłem odzieży z ręki.

Drzwi do gabinetu Sijniko zamknęły się.

Odetchnąłem, naciągnąłem spodnie z grubej skóry, w których stawałem do walki z "Białymi Murzynami". Koszula była podarta. Oderwałem jej rękawy i włożyłem je. Najprzyjemniejsza niespodzianka czekała mnie, gdy przejechałem ręką po bocznym szwie - w skórce ukryta pochwa zawierała cienkie ostrze. Które dostałem od Gurgena. W każdym razie, jeśli byś chciał coś ze mnie zrobić, byś mógł się bronić i zranić bole nie nawet największego sponsora.

Ubrałem się i czuję jak człowiek, wyszedłem na trawnik. Dzień był chłodny, ale my, pupilki, przywykliśmy do chłodu. Wiał wiatr, niosący ze sobą piwniczną wilgoć. Z dębów opadały liście.

Po schodach z willi zbiegali malcy. Dopiero co skończył się obiad. Nie poszedłem do głównego wejścia. Postanowiłem sprawdzić, czy łatwo będzie się uciec.

Wszedłem do zagajnika, drzewa tu rosnące były stare, stały w pewnym oddaleniu od siebie, jak kolumny w ogromnej sali. Ziemia pod drzewami usiana była rudymi i burymi liśćmi.

182

Nagle zobaczyłem dziwną postać - kiedy podszedłem bliżej poznałem Leonora. Słysząc moje kroki wyprostowała się przestraszona, do małej nagiej piersi przyciskała garstkę ołdziej.

- Głodna jesteś? - zapytałem jak mogłem przyjaźnie.

- Bardzo - przyznała dziewczyna. - Ale nie wolno, nie pozwalaj.

- Nie powiem nikomu - obiecałem. - Jedz. A ja pogadam z kucharkami.

Dziewczyna nagle zawstydzona się, może nie uwierzyła mi, w każdym razie po pieśni opuściła zagajnik, zaciskając ołdziej w piśkach.

Przemierzyłem las i znalazłem się przy wysokim drucianym płocie.

Oczywi cie, mógłbym przy pomocy swojego no a przeci druty, ale nie miałem pewno ci czy nie plynie nimi pr d. Trzeba b dzie si tego dowiedzie .

Pan Sijniko zawołał mnie na spacer, kiedy sło ce opadło za drzewa.

- Tylko nie próbuj ucieka - powiedział. - Nie uda ci si . Przez płot plynie pr d.

Doszli my do willi.

- Chcesz zobaczyć nowe pokolenia malców? - zapytał Sijniko.

- Ju widziałem.

- Kto ci pozwolił?

- Uznali mnie za waszego tajnego agenta i wszystko pokazali.

- Idioci! Trzeba usun wszystkich ludzi i na ich miejsce postawi sponsorów!

- Dlaczego nie?

- Dlatego e nie wystarcza sił i rodków, dlatego e aden sponsor nie poni y si do wycierania pupki ludzkiemu niemowl ciu. Wie, ile jest w nim jest mikrobów i całego tego wi stwa.

- Pani Jajbłuszko troszczyła si o mnie, nawet kiedy byłem chory!

- Byłe jej własno ci , jej własnym pupilkiem. Zamiast dziecka. Niezbyt dobrze rozmna amy si na Ziemi. Pupilki zast puj nam dzieci.

- Podbili cie nasz planet , wysysacie z niej soki i jeszcze likwidujecie ich mieszka ców!

- Bzdura! Nic podobnego. Zapytaj dowolnego człowieka, czy jest niezadowolony ze swojego ycia, czy cierpi? Dowiesz si , e ludzie s szcz liwi.

- Dlatego, e niewiele wiedz ?

183

- Dlatego, e wiedz tyle ile powinni. Mówimy im, e yje si im lepiej ni wcze niej, i lepiej ni kiedykolwiek. Powtarzamy to od rana do wieczora.

Mówimy jak le yli ludzie wcze niej, póki nie znale li my si tutaj i nie nauczyli my was wszystkiego. A oni wierz . Je li teraz pojawisz si i zaczniesz krzycze do nich, e yj le, e s uciskani i nawet eksterminowani, to rozszarpi wła nie ciebie. Nikt nie potrzebuje prawdy. Wszyscy potrzebuj jedzenia.

- A co z Markiz i Henrykiem? - zapytałem. - Te s lepi?

- Im jest wygodnie, e Ziemia nale y do nas. wietnie si urz dzili. To chwasty.

Chwasty nale y co jaki czas pieli .

- Pozwalacie im nosi ubrania?

- Oczywi cie. Na wiele im pozwalamy. eby im si wydawało, e co znacz .

Oddali my im mierz ce podziemia i nieprzebyte lasy, kopalnie i cieplarnie, oddali my im fabryki słodczy i huty. Pozwalamy im wykorzystywa współplemie ców, ludzi, a oni zdzieraj z nich trzy skóry. Jednocze nie dr przed nami. Czy nie jest to wygodny dla wszystkich model?

- Markiza była zła na pana.

- Nic podobnego. Twoja Markiza wystraszyła si . Zrozumiała, e pewnego pi knego dnia j równie mo na b dzie zlikwidowa . Ale jednocze nie była rada -

zgin li niektórzy z jej konkurentów. Mam przy tym mo liwo pocieszenia jej.

- Jak?

- Dawno temu obiecałem jej, e wy l j do Galaktycznego Centrum, gdzie poprawi jej ciało. W zamian b dzie nam jeszcze wierniej słu yła.

Wrócili my do betonowych budynków. Podbiegł Arseniusz i zacz ł ociera si o nog sponsora - zaszczepiono w nim ju miło do sponsorów. Do wszystkich sponsorów. Widocznie we mnie szczepionka si nie przyj ła.

Sijniko potar mosił włosy Arseniusza.

- Nie odró niam ich - powiedział. - Ale przyszło Ziemi nale y do nich. Ludzie nie powinni rozmna a si jak popadnie. Ka de dziecko powinno by zaprogramowane, eby było przydatne dla nas. Dlatego ja osobi cie jestem przeciwny działaniom gwałtownym. Po co zabija ? Za kilka dziesi cioleci Ziemia b dzie idealn , harmonijn planet . A gwarancj b d nasze stadniny.

Sijniko zadziwiał co dobrze mówił po rosyjsku, u ywaj c smakowitych słówek i zwrotów, bez akcentu, wła ciwego wszystkim sponsorom.

Wszedłem na schody i skierowałem si do willi.

- Co si dzieje? Dok d idziesz? - krzykn ł Sijniko.

- Mam dwa słowa do kucharek - odpowiedziałem.

184

Sponsor znalazł si w głupim poło eniu - przecie nie mógł wej do domu. Tak działo si ze wszystkimi sponsorami - im si wydaje e rz dz , ale nie mog wej ani do domu, ani do kopalni, ani - cz sto - do fabryki słodczy. Póki ludzie nie zostali wytrzebieni i nie wszystko na Ziemi zostało przerobione na modł

czterometrowych ab, ludzie b d yli swoim yciem. egnaj, mój panie!

Poszedłem do kuchni i kazałem kucharkom, które jeszcze zmywały naczynia, eby Leonorze dawano od dzi podwójn porcj jedzenia. Kucharki zacz ły co ple o kanciarzu - szefie zaopatrzenia, o wskazówkach pana sponsora, ale nie wdawałem si z nimi w dyskusje, rzuciłem tylko, e jutro sprawdz wykonanie polecenia.

Ku mojemu zdziwieniu Sijniko czekał na mnie przy schodach.

- Kto to jest Leonora? - burkn ł.

Trzymał w r ku komunikator. Jasne - słyszał wszystko, co mówilem.

Komunikatory slysz przez ciany. Znowu zbytnio uwierzylem we własn przemy lno .

- Najpierw hodujecie mutanty, a potem zapominacie je karmi .

- Którego mutanta masz na my li?

- T dwumetrow dziewoj . Nie rozumiem, do czego wam si przyda?

- Do czego? Odpowiem ci. Sprawa polega na tym, e jeste my, jak zd yle zauwa y , bardzo emocjonalni. Musimy w jaki sposób wyładowywa swoj energi . Wszelkie zawody, zwłascza z elementami walki, s dla nas bardzo interesuj ce. Zapobiegliwi ludzie oprócz walk gladiatorów pracuj , i to z sukcesami, nad odrodzeniem, zapasów, boksu i koszykówki. A poniewa kandydatek jest mało, postanowilem, e mógłbym wyhodowa własn dru yn koszykarsk . Tam - wskazał pi tro budynku - w inkubatorach le y dwudziestka takich gigantów. Nie mo e by tak, e ci gle zyski b d splywały od kieszeni ludzi. Czas bra wszystko w swoje r ce. Za dziesi lat moje koszykarki podbij wiat i przynios mi miliony.

- Ile lat ma Leonora? - zapytałem.

- Dwadzie cia. Jest najstarsza - powiedzial sponsor. - Dobrze, e pilnujesz, eby kucharze nie kradli. Wy, ludzie, macie straszne skłonno ci do złodziejstwa. Nie ma dla was niczego wi tego. Ci gle po co wyci gacie łapy..

Sponsor zacisn ł wargi, był przepelniony wstr tem.

To była ostatnia taka szczera rozmowa pana Sijniko ze mn .

Sponsor był zaj ty w mie cie, przylatywał pó no. Od witu wizytował

laboratoria i pracownie projektowe. Pewnego dnia przyleciała migłowcem para sponsorów, wybrała i zabrała ze sob hybryd . Jeszcze przed t wizyt wróciła 185

pani Fujke; ignorowała mnie zawzi cie - no i dobrze, w ka dym razie mogłem te nie zwraca na ni uwagi.

W czasie, jaki spędziłem w stadninie dla pupilków, odpocząłem, najadłem się za wszystkie czasy - kucharki bały się mnie, a ja nie wyprowadzałem ich z blatu.

Sijniko miał niezły bibliotek. Pozwolił mi przeglądać ilustracje w księgach z jego gabinetu. Wiedziałem, że przy całej swojej mdrości, Sijniko choruje na to samo przypadło co i reszta sponsorów - nie mógł dopuścić do siebie myśli, że pupilki może umie czytać, przy tym nie tylko po rosyjsku, ale również w języku sponsorów.

Mogłem więc nie tylko oglądać obrazki, ale także czytać. Co prawda ze księgi sponsorów wiele nie dało się dowiedzieć - z reguły ich księgi-harmonijki traktują o wojnach na nieznanymi planetach, w których to wojnach niejaki pan Kujbiwko wycina w pie mnóstwo smoków albo innego wistwa. Pani Jajbluszko uwielbiała rozkładać o samotnej nieszczęsnej sponsorce, która ukrywa swój urod w oczekiwaniu na godnego narzeczonego, który, w końcu, przylatuje z gwiazd.

Kiedy byłem pupilkiem, czytałem te księgi, uważając, że wszystko to -

prawda, i nawet bolałem za biednym narzeczoną. Teraz za odrzucałem wszystkie te księgi na bok i szukałem prac historycznych albo księgi mówiących o nas, ludziach.

Ale o ludziach niczego nie było. Jakby nawet nie było takiej planety, Ziemi. Nie było kraju, Rosji, nie było innych krajów, widoki których trafiały się w telewizji, gdy mieszkałem u sponsorów.

Przywykłem do życia w stadninie, a stadnina - do mnie. Najpierw sponsor myślał, że bóg pomagał Awtandilowi, ale genetyka mnie nie pociągała.

Natomiast lubiłem zajmować się maluchami, graliśmy z nimi w różne gry, zacząłem prowadzić zajęcia z kultury fizycznej, strzelania z łuku i szermierki.

Myślałem, że byłem popularną osobą w stadninie.

Sponsor również przywykł do mnie. Gdy wracał z miasta często przywoływał

mnie, razem jedliśmy kolację, a potem on zaczynał dywagować albo monologizować, a ja pokornie wysłuchiwałem ich. Zresztą, dowiadywałem się od niego nie tak znowu dużo. Wiedziałem, że sponsorzy mają sporo kłopotów z milicją, która nie mogła pogodzić się ze śmiercią milicjantów na stadionie, a bez milicji - jak na razie - sponsorzy sobie na Ziemi nie radzili. Trzeba było podnieść im pensje i przydzielić im specjalne przydziały. A z tym było kiepsko.

Ciżby tylko nie trzeba było dobierać się do zapasów strategicznych!

Czasem Sijniko nie zauważał mnie. Pakowałem się do jego biblioteki, znajdowałem się za gabinetem, czytałem albo oglądałem obrazki. Sijniko w tym czasie jadł, spał, odpoczywał, pisał listy, wydawał dyspozycje, wiedząc, że znajduje się obok, i nie zwracał na to uwagi.

Zima w tym roku była łagodna, ale nie na.

Ka dy, kto mógł, wkładał na siebie ciepłe rzeczy, ale tak, eby nie zauważyła tego nasza główna dr czycielka pani Fujke. Ludmiła, która nie do e do mnie przywykła, ale nawet rzucała w moim kierunku powłóczyste zapraszające spojrzenia, zrobiła mnie na drutach kamizelki, która wietnie grzała i nie wystawała spod kitła. To sponsorzy wymyśliła legendę, a pupilki nie czują zimna. Zimna nie czują sami sponsorzy. A ludzie nauczyli się jak go unikać. Al mi było maluchów, które w zimowe dni były wyganiane na niego bosy. Sypialnie nie były ogrzewane, dlatego wielu z nich chorowało i umierało, a pani Fujke nazywała te zgony wynikiem selekcji naturalnej.

Kiedy zachorował mój przyjaciel Arseniusz, w ciekłem się i powiedziałem do sponsora:

- Przypominacie kur, która tłucze nogami własne jaja. Szkodzicie sobie jak wrogowie.

Taka wypowiedź zdziwiła Sijniko, oderwał wzrok od telewizora, eby się wsłuchać w moje słowa.

- W cięgu zimy, jak się dowiedziałem, umiera niemal jedna trzecia maluchów.

Ka dy malec kosztuje pieniądze, Martwy maluch - to pieniądze, których nie dostaliście.

Sponsor wysłuchał mnie i, skinąwszy głową, znowu odwrócił się do telewizora.

- Nie odpowiedział mi pan, panie sponsorze - powiedziałem.

- Mamy obowiązek dostarczać klientom towar o najwyższej jakości -

powiedział w końcu Sijniko. - Po co nam reklamacje? Niech pupilki przechodzą twardo szkół, a wiat wychodzi wspaniały materiał.

- Bzdura - powiedziałem. - Do zimna człowiek nie może przywyknąć. Człowiek może tylko nauczyć się go cierpieć. Nie wiemy.

- Skąd to wiesz?

- Sam wymyśliłem. Siedemnaście lat przeżyłem jako pupilek. Myli pan, że dom, w którym mieszkałem nie był ogrzewany? Nie wiem pan, że mój dywanik znajdował się w kuchni, gdzie zawsze jest ciepło?

- Nie wolno - powiedział Sijniko. - Reklamujemy swoich pupilków jako twory mrozoodporne.

- Nie są mrozoodporne. One cierpią.

- Jestem zdziwiony - powiedział Sijniko. - Obowiązkiem jest sprawdzić to.

Niczego nie zrobił, i maluchy dalej chorowały i umierały. Co prawda, Arseniusza wziłem do siebie do boksu, który, jak i wszystkie pomieszczenia dla 187

sponsorów i laboratoria, były wietnie ogrzewane. Oddałem Arseniuszowi swój koc, a ze stolówki przynosiłem mu jedzenie. Arseniusz gło no kaszłał, jego skrzela były rozpalone, wyblagałem od bioin ynierów tabletki przeciwko kaszlowi i gor czce. Po dwóch dniach musiałem jeszcze bardziej si posun - ci ko zachorowała Leonora,

Ale Leonora nie przyszła sama - przyniosła przezi bion dziewczynk . Tak wi c powstał mnie lazaret, który pracował a do wiosny. Jak si okazało, kucharki, sprz taczki i wychowawczynie równie czasem brały do siebie do domów chore dzieci. Pani Fujke nie dziwiła niezgodno w wykazie dzieci z prawdziwym stanem osobowym. Zapewne wiedziała, co si dzieje, ale nie opowiadała o tym panu Sijniko. Ten by zaprowadził tu porz dek.

Sponsor Sijniko nie był jak krwio ercz istot , nie był sadyst . Ale czasem widziałem w nim straszliwego zabójc . Działo si tak, dlatego e było mu wszystko jedno, co si stanie z ludzko ci , o ile tylko nie dotyczyło to jego interesów. Sprzeciwiał si masowym likwidacjom ludzi, poniewa uwa ał, e sponsorzy yj lepiej, gdy s obsługiwani przez ludzi. Ale gdyby kto go przekonał, e je li ludzie wymr , to sponsorom b dzie si lepiej yło, jestem pewien - pierwszy zacz lby tru nas gazem albo obrzuca bombami. To, e wyró niał mnie z tłumu ludzi, o niczym nie wiadczyło. Zdawałem sobie spraw , e rozstanie si ze mn równie spokojnie, jak ze stłuczon arówk . Ale póki co współpraca z lud mi była mu wygodniejsza od ich mierci.

Szczególnie widoczne stało si to, kiedy na pocz tku maja do naszej stadniny przyleciało nagle kilka migłowców, z których wysiedli nieznani mi wysokopostawieni sponsorzy. W ród nich byli nosiciele pomara czowych kr gów ekologicznej obrony, niebieskich grzebieni ochrony porz dku i czerwonych okr gów Ministerstwa Propagandy.

Byłem wtedy w bibliotece za gabinetem Sijniko i chciałem wyj stamt d, ale spó nilem si - sponsorzy jeden po drugim wchodzili do gabinetu. Nie dla wszystkich starczyło foteli, wi c dwoje - Sijniko i wysoki urz dnik z Ochrony Porz dku, siedzieli, pozostali stali. Zreszt sponsorzy nie lubi siedzie , wol sta .

Pomysł siedzisk został zapo yczony od ludzi, i Sijniko mówił mi, e do tej pory w ród konserwatywnych sponsorów istnieje trwały wstr t do foteli, jako do symboli moralnego rozkładu.

Widziałem stwory przez szpar w niedomkni tych drzwiach. Przytailem si .

Byłem przekonany, e zawiod zaufanie swojego protektora, je li wyjd z biblioteki i pomaszeruj przez gabinet.

Sponsorzy byli przekonani, e nikt ich nie podsłuchuje, dlatego mówili gło no, nie przebierali w słowach, a ja słyszałem i rozumiałem wszy ciutko do ostatniego słowa.

- Jeste my wszyscy bardzo zaj ci - powiedział Sijniko. - I nie lubimy traci nadaremnie czasu. Zaczynam od informacji, otrzymanej od Rady Najwy szej.

188

- Słusznie - pochwalił sponsor z czerwonym okr giem Ministerstwa Propagandy. - Do rzeczy.

- W Radzie Najwy szej dyskutowano problem braku ywno ci i innych produktów, które wytwarzane s przez ludzi.

- Nie po raz pierwszy - zauwa ył drugi sponsor.

- Ale tym razem postanowiono przedsi wzi kroki. Zgodnie z projektem dwana cie. Pami tacie go?

Dwa zgodne pomruki - potem pojedynczy glos:

- Nie jestem na bie co.

- Przypominam: w ubiegłym roku rozpatrywano i odrzucono projekt, który obja nia degradacj ekonomiki i upadek produkcji tym, e pracownicy-ludzie coraz bardziej bezczelniej i coraz wi ksz cz produkcji zostawiaj sobie. To pozwala im opływa w dostatki i rozmna a , podczas gdy my, sponsorzy, znajdujemy si w niewygodnej sytuacji, poniewa kosmiczne dostawy napotyka na problemy, a kontrola Federacji została zaostrzona. Projekt numer dwana cie przewidywał likwidacj połowy ludno ci Ziemi.

- Po co? - dał si słysze zdziwiony glos sponsora z Zarz du Obrony Ekologicznej,

- Istota projektu polega na tym, eby zmniejszy dwukrotnie ilo ludzi-konsumentów, i w ten sposób zwolni mas produkcji dla zagospodarowania przez nas.

- Bzdura! - rykn ł jaki glos. - Czy oni nie rozumiej , e ka dy konsument jest jednocze nie producentem?

- Prosz nie uwa a Rady Najwy szej za głupszy ni jest naprawd - delikatnie zaoponował Sijniko. - wietnie to rozumiej . Ale te rozumiej , e w istnieniu ludzi zainteresowana jest tylko cz sponsorów - ci, którzy zawi zali jakie kontakty słu bowe oraz prywatne. A to wła nie wydaje si szefom Rady bardzo niebezpieczne. Obawiaj si demonta u naszej ideologii.

- To niedobrze - powiedział sponsor z Ministerstwa Propagandy. - To znaczy, e z ywno ci i towarami b dzie o wiele trudniej.

- O wiele - zgodził si Sijniko.

- Jednak e nasi kochani konserwaty ci uczyni jeszcze jeden krok do ideału, do wzorcowej planety z jednym wzorcowym miastem dla inspekcji i komisji.

Natomiast my zostaniemy pozbawieni wszystkiego.

- Niestety - ten punkt widzenia przeważa nad innym - powiedział Sijniko. -

Obawiam się, że nie uda się tego zmienić.

189

- No to co mamy robić?

- Likwidacja połowy populacji Ziemi to trudne zadanie. Nawet ci najbardziej zdecydowani w Radzie rozumiej to. Wcześniej niż w sierpniu ta operacja się nie zacznie. To daje czas na przygotowanie się, uprzedzenie potrzebnych ludzi, ukrycie tego, co się da ukryć..

- A wykazy do likwidacji, konkretne listy - gdzie, ile, w jaki sposób?

- Dostarcz je departamenty.

- Samobójcy - powiedział propagandzista.

- Trzeba pilnie powiadomi Centrum Galaktyczne - powiedział ktoś.

- Ja nie ryzykuję tego - powiedział Sijniko. - Słuchaj, co tylko czekaj a się pomyli. A głowę mam jedną.

Długo jeszcze obgadywali, co powinni zrobić. Rozeszli się dopiero wieczorem.

Słuchałem ich i ogarniało mnie coraz większe przerażenie. Ani jeden ze sponsorów nie powiedział, że ma ludzi. Przynajmniej odrobinę. Alim było tylko własnych korzyści i swoich dochodów.

Byłem tak zdenerwowany i przygnębiony, że popełniłem fatalny w skutkach błąd.

Kiedy sponsorzy odlecieli swoimi migłowcami, wyszedłem z biblioteki i poczekałem w gabinecie na sponsora Sijniko. Ten zdziwił się widząc mnie.

- Po co przyszedł? - zapytał mnie.

- Naprawdę nie szkoda panu ludzi, których zabijecie? - zapytałem z kolei ja, odsuwając się do drzwi.

- Jakich ludzi? - zdziwił się Sijniko.

- Którzy zginą zgodnie z projektem dwanaście.

- Skąd wiesz?

- Byłem w bibliotece!

- Zrozumiałe wszystko?

Sponsor zawisł nade mn .

- Znasz nasz j zyk?

- Troch - powiedziałem. Poczucie zbli aj cego si niebezpiecze stwa zmusiło mnie do skulenia si .

- Odrobin .

Kłamałem maj c nadziej , e słaba znajomo j zyka uratuje mnie.

190

- Uczono ci ?

- yłem w odzienie i słuchałem.

- Tylko słuchał ? Nic wi cej?

- Ogl dałem telewizj .

- A w domu wiedziano, e rozumiesz nasz j zyk?

- Nie s dz . Wy, sponsorzy, uwa acie, e jeste my zbyt t pi, eby nauczy si waszego j zyka.

- To wykluczone! - krzykn ł sponsor. - Tego jeszcze nie było.

- Na pewno nie jestem taki jeden. S przecie pupilku m drzejsze ode mnie.

Sponsor usiadł w swoim fotelu, utkwił spojrzenie gdzie obok mnie, jakby bał

si patrze na mnie.

- Niebezpieczeństwo, promieniujcie od ciebie - powiedział w końcu - jest większe, niż twoja waga jako wiadka.

- Obiecał pan Markizie! - przypomniałem. W końcu cały się trzęsł.

- Tak!

- Dał pan słowo!

- Ja dałem, i ja wycofam!

- Wspaniale mówi pan po rosyjsku!

Nie mógł powstrzymać się od uśmiechu.

- Nie bój się - powiedział. - Zlikwiduj cię tak, a nawet tego nie zauważysz.

Nikt tego nie zauważy. Nie bój się więc.

- A nie da się obejść bez takich rodków?

- Idź spa - machnął ręką sponsor. - Jestem strasznie zmęczony i niezadowolony. Może mają rację ci, co optują za całkowitą likwidację rasy ludzkiej.

- A są tacy?

- Oczywiście. Byłoby to higieniczne i rozwiązało wszystkie problemy ekonomiczne na Ziemi.

- Po co? Aby przejść Ziemi?

- W jakimkolwiek efekcie zawsze zwycięży silniejszy.

- I nikt nie stanie w naszej obronie?

191

- Obronie? Gdzie słyszałem o obrońcach?

- Nie słyszałem.

- Ludzie są kłamliwi. A ty jesteś jednym z najbardziej załganych kłamców swojej rasy. Nie jesteś wartej tego, by być pod swoim niebem.

- Zło ci się pan? Boi?

- Co?. - Wyjd st d, bo rozszarpi ci gołymi r kami.

Wyszedłem. Oczywi cie, nie zabije mnie własnymi r kami, ale gro ba w jego głosie brzmiała złowieszczo. Sponsor był racjonalny. Zacz lem si ba , poniewa podsłuchałem ich tajemn rozmow i byłem na tyle głupi, e si do tego przyznałem. Teraz sponsor powinien obawia si , e rozgłosz t wiedz .

Pogr ony w takich gorzkich my lach wróciłem do swojego boksu.

Zmierzchało. Niebo miało ten wiosenn o ywion barw , płyn ły po nim obłoki. Od lasu ci gn ło chłodem, tam, w g stwinie mo na było jeszcze trafi na placki niegu. Pierwsze gwiazdy zapłon ły na wschodniej stronie nieba.

Zatrzymałem si i zacz lem patrze w nieboskłon, ogarni ty niespodziewanym i niezrozumiałym dla samego siebie poczuciem szcz cia, jedno ci z tym wiatem.

Pewnie z powodu tego niepoj tego uczucia d wi ki stadniny, dobiegaj ce do mnie, wydały mi si d wi kami zwyczajnej Ziemi. Głosy istot, wyhodowanych dla uciechy sponsorów - wesół muzyk zwykłych dzieci cych zabaw, terkotanie wyci gowego wentylatora w laboratorium genetycznym - postukiwaniem kół

odległego poci gu, niskie głosy sponsorki Fujke, obje d aj cej kuchark za niewpisan strat talerza - krzykiem sowy w g stwinie lasu, krakanie wron. .

zreszt , krakanie wron zostało krakaniem wron, i niczym innym by nie mogło.

Obejrzałem si , daleko z tyłu pojawił si prostok t wiatła - w jego centrum pokazał si kontur pana Sijniko, który podreptał do genetyków - jak zwykle wieczorem sprawdzał co zdziałali przez dzie . Dlatego laboratorium jest takie wielkie, na wymiar sponsorów, eby kontrolerzy zawsze mogli wpa i sprawdzi czym zajmuj si tam ludzie.

Rozbłysły reflektory na wie ach dokoła stadniny - zapalały si automatycznie, kiedy ciemniało si . Wiedziałem, e na wie yczkach dy uruj milicjanci. Nagle pomy lałem zło liwie: was te , goł beczki, zlikwiduj , Mo e nawet wcze niej ni innych. Przypomnijcie sobie stadion. Ten, gdzie zabiłem sponsora. .

Słowo honoru - nie jestem okrutny i nawet nie szarpałem w dzieci stwie kotów za ogon, prze yłem wiele lat w wiecie, którym rz dz sponsorzy, nie podejrzewaj c nawet, e wcale nie s naszymi dobroczy cami, a grabie cami i zabójcami! Ale nawet kiedy poznałem prawd nie powstała we mnie dza mordowania. W ko cu - jak mo na zabi o wieconego i rozumnego pana Sijniko, który, ryzykuj c wiele, ukrywa mnie w stadninie!

Zrobiło mi si zimno. Poszedłem do siebie do boksu. Moi chorzy, którzy czuli si ju lepiej i w dzie

wylazili pogrza si w promieniach sloneczka, siedzieli przykrywaj c si jednym kocem i co piewali. Na mój widok sploszyli si i zamilkli. Wiedzialem, e piewy s zabronione, ale powiedzialem:

- piewajcie, nie zwracajcie na mnie uwagi.

Ale ju im si odechcialo piewów. Powiedzialem, e zrobilo mi si zimno, i usiadlem obok nich. Dziwne radosne uczucie, które opanowalo mnie na ulicy, nie opu cilo mnie i tutaj. Z rozrzewnieniem patrzyłem na swój lazaret. Oto Arseniusz, chłopiec- amfibia, br zowooki, zawsze wesoly, przywi zal si do mnie, jak do starszego brata, i widzialem jak szczerzył z by, kiedy za co obsztorcowywala mnie pani Fujke. Obok niego, zlo ona we troje albo i we czworo, siedzi Leonora - niewiarogodnie wysoka dziewczucha, cech wla ciw której jest zawstydzenie. Wstydzi si swojego wzrostu, swojej chudo ci, swoich oczu, swoich r k, wstydzi si samego ycia na tym wiecie. Czasem maluchy dra ni si z ni , a ona cierpi. Cale jej ycie jest kar , i my l , e nie poci gnie tu dlugo, je li nie wy l jej do jakiej dru yny koszykarskiej, gdzie dokola b dzie miala takie same tyki. Trzecie istota - najmilsza i najmniej skancerowana z calej trzódki - Marusia-ptaszek. Przygotowywano j na specjalne zamówienie jakiej znacznej rodziny, w której wczesniej yla papuga. Dlatego glow Marusi pokrywaj nie wlosy, a biale pióra, a cale ciało pokryte jest puchem. Marusia ma równie skrzydelka, ale malutkie i lata na nich si nie da.

- Kiedy b dzie lato? - zapytala Marusia.

- Za miesi c - odpowiedzialem.

- eby ju si sko czył ten przekl ty miesi c - powiedziala Marusia.

Chocia ma dopiero cztery lata Marusia ma opini m drali i czasem wyrzuca z siebie wieloznaczne i nie zawsze zrozumiale dla otoczenia sentencje.

Ju w ubieglym tygodniu, kiedy cala trójka le ala u mnie zlo ona temperatur , kaszl c i kichaj c, obiecalem im, e gdy tylko nadejdzie lato, namowi sponsora Sijniko, eby pu cil nas do lasu. Pow drujemy daleko i b dziemy zbierali kwiaty i jagody; teraz wi c moi podopieczni czekali lata jak wi ta. Patrzyłem na nich z rado ci i nie zauwalam ich okalecze . Jednocze nie wiedzialem, e s skazani na ycie w charakterze zabawek istot, nie maj cych ani prawa, ani sumienia, eby kaleczy ludzi. A najgorsze, e kalecz i zabijaj nie ze zlo ci, nie z powodu wrodzonego sadyzmu, a dlatego, e tak trzeba, tak jest wygodnie. Mniej wi cej tak, jak ludzie hodowali ró ne rasy psów. . Niedawno rozmawialem z Ludmił , z któr stopniowo zbli yli my si i zacz li my ufa sobie nawzajem, wi c zapytalem j , czy współczesna biotechnika jest w stanie przywróci maluchom normalny stan. Ludmiła rozpostarla ramiona i odpowiedziala, e szans na to jest malo. Aby zakodowa w komórce okre lone zmiany wystarcz ziemskie laboratoria, ale zmieni wygl d i wewn trzn budow istot, ju stworzonych i yj cych. . do tego trzeba technologii, o której nie mo emy nawet marzy . "A sponsorzy?" -

zapytalem. "W tpi - powiedziala Ludmiła. - Sponsorzy wykorzystuj cudze osi gni cia - i to nie

tylko ziemskie".

To nic, powiedziałem do siebie, wyp dzimy tych sponsorów i wtedy, braciszkanie, naprawimy was.

Właśnie w tej chwili jestem w stanie odtworzyć w pamięci: cisza w boksie, oddechy dzieci, i własny stan. Wtedy zrozumiałem, że mam już w życiu cel -

przepędzić z Ziemi sponsorów. Ponieważ jeśli my tego nie zrobimy, oni stopniowo wytrzebią wszystkich ludzi, albo - jeśli nawet nie wybiją do nogi - zrobią z nas pupili i niewolników.

Nie miałem pojęcia, jak tego dokonam. Ale byłem przekonany, że los do tego celu wybrał właśnie mnie. Miałem pewność, wynikającą z niedomówień i aluzji sponsorów, że na Ziemi wybuchały już powstania i spiski przeciwko sponsorom.

Ale upadały one z dwóch powodów: albo sponsorzy na czas dusili powstanie, ale znajdował się zdrajca. To drugie zdarzało się o wiele częściej - w ciągu stu lat panowania braci w rozumie ludzie nauczyli sprzedawać się i istnieć w błogostanie, jak winie w rzece - prowadz je na rzece, a one piesz się jeszcze na rzece albo policzyć się z innymi. Jesteśmy wszyscy winnymi winami w szczelnej rzece!

Drzwi odrobin się uchylły i usłyszałem głos:

- Tim.

- Kto tam? - poderwałem się.

- Wyjdź na chwilę.

Dzieciaki niespokojnie kręcili głowami, szeptały do siebie.

Wyszedłem na korytarz.

W tym mroku, z którym walczyła jedna jedyna arówka, stała Ludmiła.

Pociągnęła mnie za rękę, w głąb korytarza, pod zakratowane okno.

- Tim, strasznie się boję - szepnęła.

- Mów.

- Sponsor Sijniko przyszedł do nas. Rozmawiał z Awtandilem i profesorem.

Mnie przepędzili z laboratorium. Nie spodobało mi się to, więc zaczęłam podsłuchiwać. Nie usłyszałam wszystkiego, ale rozmawiali o tobie.

- I co? - Staraliśmy się wyglądać normalnie - a niby niech sobie gadaj.

- Sponsor chce ci zabić .

- Jak?

194

- Otruj ci , otruj ci tak, e b dzie to wygl dało na przypadek, dlatego e nasz sponsor jest humanist . B dzie miał czyste r ce.

- Dzi kuj ci - powiedziałem. - Ale chyba troch przesadzasz. Po co miałby sponsor mnie zabija ?

- Wygl da, e mu przeszkadzasz. Musz ci powiedzie , e zdarzył si ju tu taki przypadek. Nie wiem dlaczego, ale sponsorowi nie spodobał si doktor Hertz.

Przestał by pokorny, chciał si zwolni z laboratorium. A potem doktora znaleziono martwego. I powiedzieli, e si najadł truj cych grzybów.

- Nie b d jadł grzybów - obiecałem bior c Ludmił za r k . - Obiecuj ci.

- Mog wymy li co innego.

- B d ostro ny.

- Nie masz poj cia, jacy oni s chytry!

Ludmiła była zdenerwowana. Wydawało si jej, e nie rozumiem gro cego mi niebezpiecze stwa. Była w bł dzie - rozumiałem.

- Id - powiedziałem. - Id , póki nie zauwa yli twojej nieobecno ci. Pogadamy jutro.

- Ale oni mog do ciebie przyj ju dzisiaj w nocy.

- Niech przychodz .

Odprowadziłem Ludmił do drzwi - pomkn ła wzdłu ciany. Miałem nadziej , e nikt jej nie zauwa y.

Miałem sporo do przemy lenia.

Stałem w zimnym pustym korytarzu.

Co oni mog wymy li ? Czy naprawd sponsor postanowił si mnie pozby ?

Kiedy? Pewnie jutro rano. Ale wszystko mo e si zdarzy . .

Wyjrzałem na zewn trz i zerkn łem na gwiazdy. Było około dziesi tej.

Stadnina ju spała, ucichli przyszli pupilkowie; reflektory, tn ce z góry ciemno , tylko podkre lały pustk i cisz .

Nie było na co czeka . Trzeba było działa .

Wróciłem do swojego boksu. Moi malcy, oczywi cie, nie spali - cała trójka zaniepokojona i oczekuj ca mojego powrotu.

- Nic strasznego si nie stało - u miechn lęm si do nich. - Nie denerwujcie si .

Ciocia Ludmiła powiedziała mi, e wychowawcy s li, e tak długo mieszkanie u mnie. Chc was za to ukara .

- Nie chc do pawilonu! - zawołał Arseniusz.

195

Mieszkali u mnie ciszej ni myszy, dr c przed koniecznie ci powrotu do willi i maj c nadziej , e dzisiaj do tego nie dojdzie.

- Je li si na nas rozzłoszcz - powiedziała m drutki ptaszek-Marusia - zamkn nas w karcerze. I nie b dziemy mogli chodzi do Tima.

- Mo e jutro? - zapytała Leonora.

- Nie - powiedziałem twardo. - Trzeba dzisiaj wróci do pawilonu. Uwierzcie mi.

Dzieciaki powstrzymały si od płaczu i pró b.

- Ale do lasu pójdziemy latem? Obiecał - powiedziała Marusia.

- Pami tam. I obiecuj , e pójdziemy.

Musiałem rozwi za skomplikowane zadanie: Arseniusz z Leonor mieszkali w willi, w wieloosobowych sypialniach. Marusia - w boksie za laboratorium, dlatego e proces jej metamorfozy jeszcze si nie sko czył. To było w zupełnie innym ko cu obiekcie. Nie mogłem pu ci ich samych na ulic - w nocy w stadninie były spuszczone psy. Psy mogły wystraszy dzieciaki.

- Poczekaj na mnie - powiedziałem do Marusi. - Odprowadz Arseniusza i Leonor , a ty nikogo nie puszczaj, sied cichutko.

- Ja zawsze siedz cichutko - powiedziała Marusia.

Wzi lęm Arseniusza na r ce, Leonora szła obok mnie.

Poszli my nie na wprost, przez trawnik, o wietlony reflektorami, a przy płocie, przez krzaki.

Nikogo nie spotkali my, tylko przy cie ce wiod cej do willi, z krzaków wyskoczył pies i zabierał si do szczekania, ale kazałem mu milcze i pies pobiegł obok nas. Leonora bała si go i mocno trzymała mnie za r k długimi palcami.

Obeszli my will . Od tyłu było wej cie do kuchni - tam wyladowywano produkty. Wiedziałem jak si otwiera zasuwka, nie raz ju tamt dy wnikałem do kuchni, eby gwizdn co do jedzenia dla malców: skoro chorowały u mnie w boksie, to nie przysługiwało im wy ywienie.

- Cicho - szepn łem. W kuchni zazwyczaj nie było stró a, ale czasem kucharki albo praczki te podkradały jedzenie. Przecie wszyscy yli my w półgłodzie. A w ostatnich dniach radio zacz ło powtarza , e tyle si namno yło ludzi, i zaczynaj oni podbiera ywno swoim współplemie com. Wiedziałem ju , co oznacza takie gadanie.

Przeszli my przez kuchni , i przy schodach do sypialni po egnalem si z Leonor i Arseniuszem. Obiecałem im, e rano odwiedz ich i dogadamy si .

196

Wyszedłem z willi t sam drog , zamkn łem za sob drzwi i, nie piesz c si , eby co najwa niejsze - nie podnie alarmu, poszedłem do siebie.

Wydało mi si , e kto za mn idzie, nawet zatrzymywałem si kilka razy, ale nikogo nie zobaczyłem. Tylko wyczuwałem. Wiedziałem, e wydano na mnie wyrok, ale nie powiem, ebym bał si napa ci. Bałem si tylko, e uda im si zabi mnie tak, e nawet tego nie poczuj .

eby zmusi do działania swojego prze ladowc przyspieszyłem i gwałtownie uskokczyłem za pie d bu. Uwa nie wpatrzyłem si w mrok za sob . Tak, co ciemnego, jaki cie przemkn ł z tyłu. Ale nie wi cej. Oczywi cie, mog równie strzela , w ko cu i tak udowodni , e zmarłem mierci naturaln . Jednak e najbardziej prawdopodobne jest, e to nie b dzie strzał, a co "czystsze". Zabij mnie tak, eby jutro mo na było wystawi ciało na widok publiczny, bez obawy, e kto co zacznie podejrzewa ..

Ruszyłem szybkim krokiem. Potem pobiegłem, chc c oderwa si od ciemnego cienia. Jeden z wartowniczych psów pobiegł za mn , ale nie szczekał poznawszy mnie - cz sto co mu podrzucałem do jedzenia. Biegł wi c obok mnie, podskakuj c i ciesz c si , e tak fajnie si bawimy.

Przed boksami zatrzymałem si . Co tu było nie tak.

Po chwili zrozumiałem - w ciemno ciach jasno wiecily dwa du e okna. Jedno w boksie pana Sijniko. To znaczy, e sponsor nie pi, mimo e zawsze w tym czasie pi. I jeszcze w jednym oknie si wieci - w laboratorium. Tam te kto czuwa.

Przygotowuj si .

A ja za diabła nie wiem - co wymy lili?

Wymacałem w ski nó w szwie skórzanych portek, jednocze nie uprzytamniaj c sobie, e urz dzam przebie ki po stadninie odziany w biały fartuch - widoczny za kilometr. Całe szcz cie, e postanowili nie strzela do mnie

- trudno wymy li sobie lepszy cel!

Zrzuciłem fartuch i zrolowałem go. Przede mn rozci gała si otwarta przestrze , co chwila o wietlana reflektorem z wie yczki. Wyczekałem a promie skieruje si w bok od l czki i biegiem rzuciłem si do swojego boksu.

Zd yłem pomy le : dobrze, e u sponsora i w laboratorium pali si wiatło.

Przynajmniej nie ledz mnie.

Oto i mój boks.

"Stop!" - krzyknęłam do siebie. Wewnątrz mnie wyla syrena alarmowa. O co chodzi? Dokładnie zamknęłam drzwi, kiedy wychodziłam. Pamiętam to dokładnie. Kto tu był już po mnie. Ale gdzie jest teraz? Czeka na mnie w ciemnym korytarzu?

197

Znajdowałam się w niewygodnym położeniu - między mną i wieńcem nie było żadnego budynku, wiedziałam więc, że za minutę promień reflektora oświetli mnie.

Plecami czułam, jak skrada się ku mnie krąg światła. Ogarnęła mnie wściekłość - pogną gdzieś, rozwalę coś wpadnie pod rękę. Tak się czułam na stadionie, kiedy zabiłem sponsora. Jeśli nie mogła stać i czekać śmierci, to lepiej spotkać ją twarzą w twarz.

Najważniejsze - szybko!

Dwoma skokami dopadłam drzwi, szybkim uderzeniem otworzyłam je i wpadłam w korytarz. Oczekiwałam uderzenia, strzału - ale nie przydarzyło się nic takiego. Walnęłam w ciankę z oknem, dzieląc korytarz i znieruchomiałam. Było nadzwyczaj cicho, brzęczał jakiś przedwczesny komar. Gdzieś w oddali zakrakała wystraszona czarna wrona.

Boks był pusty.

Ale odgłosu oddechu, ani jęku, ani ruchu.

Oddechnęłam, Postarałam się uspokoić. Drzwi mógł otworzyć wiatr. Niezbyt wiarygodne, ale możliwe.

A może pułapka czekała na mnie w moim pokoju?

Ale już byłem pewniejszy. Mogłam się nie spieszyć, za plecami miałam betonową ciankę, korytarz - w końcu, tu wrogowie nie mają nad mną przewagi.

Oparłam się plecami o ciankę mocnym uderzeniem nogi otworzyłam drzwi do swojego pokoju.

Cicho. Pusto. Martwo. Tylko nieprzyjemny, uciekający z przeciwnym zapachem..

medyczny. . martwy..

Przemknął obok mnie, wysysany przez przecięg na korytarz, pozostawił po sobie pewności ało w głowie i gwałtowny atak mdłości.

Wszedłem do pokoju. Był pusty. A gdzie mój ptaszek, gdzie jest Marusia?

Na podłodze, na moim materacu leżał koc, pod nim może na było odgadnięte ciało dziewczynki.

Zasnęła.

Zapach wci jeszcze panował w pokoju i był wstrętny.

Kiedy pochyliłem się, żeby obudzić ptaszka i odnieść go do boksu laboratoryjnego, zapach wydał mi się jeszcze silniejszy. Dotknęłam ramienia Marusi. Nie odezwała się - ramię poddało się naciskowi ręki.

198

Odrzuciłam koc. Marusia leżała na boku, we wpadającym przez okno wietrze latarni widniały, a nigdy już się nie obudzi. Marusia była martwa.

Wziłam ją na ręce i poszedłem do wyjścia.

Marusia była lekka, jakby miała ptasie kości. Jej głowa zwisała, twarz, obramowana białymi piórkami, była spokojna.

Ta wo - nieprzyjemna, duszka - skąd ją znam?

Jej lady wyczuwało się w laboratorium. W pewnej zlewce.. Co powiedział

Awtandil? Powiedział: "Nie możemy ograniczać się do badań. Powinniśmy hodować pupili, hodować i u miernic, jeżeli okażą się niezdolni do życia". - "To chyba rzadko się zdarza" - przerwała mi Ludmiła. "Jeżeli nawet zdarza się, to istnieją humanitarne sposoby. Pupilek nawet się nie domyśli, że umiera"..

Awtandil!

Wziłam wtedy z półki stojak z szeregiem ampulek. W jednej była mroźna biała ciecz..

Teraz już wiedziałem, jak mój przewidywał dla mnie pan sponsor: Awtdandil

albo jakiś inny równie posłuszny uczeń przedostał się do boksów, rozbił w moim pokoju ampulek, albo wdużył przycisk rozpylacza. . Był przekonany, że pi -

dokąd niby miałbym pójść? Morderca puścił gaz, zamknął drzwi i wyszedł z boksów. Rozpylona trucizna działała, jak szał, błyskawicznie - Marusia nic nie poczuła.

Ale ja czulem - i swoj mier , i mier dziewczynki.

Szedłem do wyjścia i myślałem: jak to dobrze, że wyprowadzałem stąd Leonora i Arseniusza, Inaczej wszyscy byśmy zginęli.

Podszedłem do drzwi wyjściowych i znieruchomiałem.

Nie miałem planu na wypadek dalszych działań .

Odnieść ciało dziewczynki do sponsora? Oskarzyć go o zabójstwo? I co dalej?

Ich moc polegała na tym, że śmierć któregokolwiek z ludzi nie mogła być powodem bólu czy przynajmniej wstydu. Im mniej pozostanie ludzi, tym lepiej.

Odnieść je do laboratorium i oskarżyć uczonych?

Nie czuj i nie poczuj wyrzutów sumienia, ponieważ wykonali polecenie i wykonali je dobrze.

Trzymałem w ręku lekkie ciało ptaka i docierało do mnie, że odtąd mam w życiu cel i drogę - drogę wrogości i nienawiści do sponsorów. Nie dla tego wcale, że są okrutni i bez serca, wśród nich byli różni, a dlatego, że, jak się okazało, przed sobą mamy tylko dwie drogi - albo na Ziemi pozostaną ludzie, albo na Ziemi będą tylko sponsorzy ze swoimi pupilkami.

199

A skoro tak, to od dziś nie należą do siebie. Powinienem znaleźć sojuszników, bo chyba nie jestem sam na całej planecie! Powinienem mieć przyjaciół i towarzyszy broni! Nie Markiz i Henryka, którzy wspinała się urzędzili, a jacy inni, jeszcze nieznanymi mi ludźmi.

Przylapałem się na tym, że stoję przy zamkniętych drzwiach i trzymam ciało Marusi zawinięte w koc.

Wróciłem do swojego boksu, ostro nie ułożyłem Marusi na materacu, poprosiłem w myślach o przebaczenie za to, że odchodzę . Potem wziąłem koc. Dwa razy mocno nim strzepnąłem, aby pozbyć się resztek gazu, zwinąłem w rulon i owinięłem się nim. Tak było wygodniej niż trzymać go w ręku czy pod pachą .

Potem wziąłem kilka sucharów, niedojedzonych przez moich wychowanków, wsunąłem do kieszeni spodni. Biały fartuch też wziąłem , mógł się przydać .

Powinienem natychmiast, póki jeszcze nie przyszli sprawdzić czy dobrze wykonali swoją robotę , póki nie zaczęła witać , uciec ze stajni.

Mniej więcej wiedziałem jak powinno się to odbyć - w ciągu ostatnich tygodni nie raz w myślach uciekałem stąd.

W d bowym zagajniku, w najwi kszej g stwinie krzaków, pod drutem kolczastym, zawsze podł
czonym do pr du, psy wryły przej cie. Stało si to pewnie wtedy, kiedy jeszcze nie puszczo pr
du, w ka dym razie psom to nie szkodziło. Sam widziałem jak pies, wolno, jakby czuł pr d,
przełaził pod płotem i pognał do lasu, pewnie na randk .

Nie miałem innego wyj cia.

Ksi yc zaszedł i straciłem kilka minut zanim znalazłem w ciemno ciach to podziemne przej cie.
Poło yłem si obok i zacz łem je pogł bia , poniewa jak dla mnie było za w skie.

Wyrzucałem ziemi z podkopu jednocze nie sam stopniowo wsuwaj c si we .

Niespodziewanie nad moim boksem zapaliło si wiatło. Potem rozdzwoniły si dzwonki. Domy
lilem si , e sponsor przyszedł popatrze na moje ciało - był

uczonym cierpliwym i starannym i przywykł sprawdza wykonanie polce przez ludzi, którym ci
głe nie dowierzał.

Kto biegł przez polan zwoluj c psy.

W g stwinie d bowych gał zi zacz ły miota si promienie reflektorów.

Zrozumiałem, e teraz b d szuka mojej osoby a cigaj cych wystarczy, by działa jednocze nie wsz
dzie: w willi, w boksach, wzdłu płotu.

Zacz łem paznokciami drze ziemi i wyrzuca j za siebie.

Głosy zbli ały si - stra nicy szli wzdłu płotu!

200

Przerzuciłem na tamt stron koc i fartuch. Potem wolno, głow do przodu zacz łem wbija si w
podkop - najwa niejsze, ebym przeszedł w pasie.

Odpychałem si r kami, a zwisaj cy przewód dyndał o centymetr od mojej twarzy.

Głosy były ju tu obok.

Ale spó nili si - byłem ju na wolno ci!

Zrobiłem krok, podniosłem si , otrz sn łem.

I zrozumiałem, e nie jestem tu sam. Kto milcz c, staraj c si nie oddycha , pełzł tym samym przej
ciem.

To było niewiarogodne. Czy by mnie kto wy ledził?

Nie - to był kto niewielki.

Pies?

- Kto to? - zapytałem cicho.

- To ja - odpowiedział Arseniusz. - Poci gnij mnie za nogi, bo za wolno pełzn .

Poci gn łem chłopca do siebie.

O nic go ju nie pytałem - dlatego e kilka kroków od nas rozbłysły wiatła latarek. Dały si słysze głosy.

Chwyciłem pod pach koc, pod drug chłopca i pognąłem do lasu. Plecami czułem, e stra nicy znale li przej cie pod płotem i gło no rozmawiaj o tym, ale zanim pójd w moje lady musz wyl czy pr d. Znaczy si , e mam jakie pi minut forów. .

201

Rozdział 7

Pupilek w lesie

Gnali za nami przez kilka kilometrów. Było im lepiej niż nam - mieli latarki.

Ale udawało nam się zalec, zatai się w gąstwinie, najwłaściwie - zniechęcenie w odpowiedniej chwili. Jeśli jesteś nieruchomy, ze migłowca nie da się cię zobaczyć. Zmoczyłem się nosząc małego. Niby był nieduży, ale jaki taki nabity i cięki. Sam poczuł, że jest mi ciężko i powiedział:

- Sam pobiegł. Dobrze biegam, uwierz mi.

Postawiłem Sieni na ziemi. Nie miał butów, a gleba była zimna i mokra.

- To nic - powiedział. - Ja już się nie przeziębim. Jak się biega to jest ciepło, prawda?

Musieliśmy znaleźć jakiegoś kryjówkę, aby się przyczaić. Ale nie znalazłem, niestety, okolicy stadniny, na dodatek podano nam jakiegoś nagonka podziwczyn na odstrzał.

Wyszliśmy nad brzeg niewielkiej rzeczki, nad którą zwisały gałęzie wierzb, już pokryte kotkami. Raczej się tego domyślałem niż widziałem, Książe pojawił się, ale w słońcu i dawał zbyt mało wiatła. Przez cały czas się bałem, że małe skaleczy czymś nogi. Ja miałem lepiej - na stopach buciorów, jeszcze tamte, gladiatorów.

Nieco niżej z przodem rzeczka rozlewała się szeroko i niezbyt głośno bulgotała na kamieniach, w miejscu gdzie był bród.

- Chodź, przeniosę ci - zaproponowałem.

Sienia może miał się.

- Lubi wodę - powiedział. - Id tam, a ja wolę tutaj.

I skoczyłem do rzeczki w głębszym miejscu, zniknął z oczu, tylko kręgi rozeszły się po wodzie.

Wystraszyłem się najpierw, potem sobie przypomniałem: przecie małe jest rybka.

Zdjąłem buciorów i zacząłem przechodzić rzekę. Kamienie boleśnie kłuły w stopy. Przy drugim brzegu nieoczekiwanie zrobiło się głębiej - zanurzyłem się po pas i musiałem podnieść nad głowę moje skarby. Sienia, który już czekał na drugim brzegu, może miał się.

- Ciszej! - syknąłem na niego. - Chcesz nas zdradzić?

202

Małe obraził się i zamilkł. Szliśmy dalej w milczeniu. Powiniennem był

przeprze Sieni, ale tej nocy strasznie byłem zmęczony i zdenerwowany. I cięgle widziałem bł

kitn w wietle ksi yca twarz Marusi.

Brzeg, na którym si znale li my był wysoki, ale łagodnie si wznosił. Od brodu prowadziła szeroka, zaro ni ta traw i krzewami droga.

Zacz ło wita . Powietrze zrobiło si bł kitne i zimne. Sienia biegał dokoła mnie, podskakiwał, eby si ogrza - wcale nie był zm czony. Uznałem, e po cig został z tyłu - min ło pół godziny od czasu, kiedy ostatni raz słyszałem hurkot helikoptera i krzyki my liwych.

Droga, po której szli my, po pół godzinie doprowadziła nas do porzuconego ludzkiego osiedla. Wtedy jeszcze nie wiedziałem, e takie osiedla nazywaj si wsiami.

Wie składała si z jednej szerokiej ulicy, na której kiedy wylegiwała si droga, a teraz wszystko zarosło krzakami i nawet solidnymi, o pniach, które ledwo dawały si obj r kami, brzożami i jodłami. Drewniane domy, otoczone niewysokimi parkanami, ukryły si w zaro lach, a ogrodzenia dawno temu zwały si i znikn ły w trawie. Niektóre domy miały rozwalone dachy, inne całe pochylły si albo wr cz rozsypały. Ale jeden z nich, zbudowany z grubych bali, wydał mi si mocny. Chocia szyby wszystkie miał wytłuczone.

- Chod my tu spa - powiedziałem do Sieni.

Sienia pokr cił nosem, w szył chwil - w ch ma diabelski.

- Dobra - zgodził si . - Nikt tu nie mieszka, oprócz jakich małych zwierz tek, które pouciekały.

Przedarli my si przez krzaki do domu. Drzwi były uchylone i w takiej pozycji wypaczyły si i jakby wrosły w deski ganku. Ale wewn trz była nawet podłoga.

Okna w domu były małe i podzielone na cz ci, w jednej z cz ci prawego okienka zachowała si szyba.

Zdziwiła mnie niegdy biała konstrukcja, stoj ca w pokoju. Z jednej strony była w nim wn ka, w której le ał zardzewiały arkusz elaza, w drugiej niszy pod nim zachował si szary popiół.

- To był chyba piec - zakomunikował Arseniusz. - Na dole kładziono paliwo, a z góry garnki.

Wsun łem r k do niszy i natrafiłem palcami na jaki okr gły przedmiot.

Wyci gn łem go, okazało si - garnek. Cały eliwny garnek!

- Chod my spa - powiedział Sienia. - To jest dobre miejsce.

Wyj łem dwa suchary i podałem jeden małemu.

- Jutro - zdecydował Sienia. - Po pimy i zjemy. B dziemy strasznie głodni. A teraz bardziej chce mi si spa .

Miał racj .

Nogi mnie bolaly, głowa p kała. Trzeba by było pój na zewn trz i narwa trawy i li ci, eby zrobi dla nas pduszki. Ale nie miałem na to sił. Rozło yli my na podłodze fartuch, obj li my si i nakryli my moim kocem, eby było cieplej, i natychmiast zasn li my.

Zbudziłem si dlatego, e kto na mnie patrzył.

Uchyliłem tylko lekko powieki - nie poderwałem si , niczym nie okazałem, e si obudziłem.

Na podłodze, metr ode mnie siedział niewielki puszysty zwierz. Miał krótkie trójk tne oczy, du e zielone oczy, szare plecy i głowa, ale biały pier i białe łapy.

Przypomniałem sobie, e widziałem tego zwierzaka w atlasie w bibliotece Sijniko.

To było kiedy domowe zwierz i nazywało si kot. Wraz z likwidacj wiejskich osiedli i organizacj ludzi na innym poziomie koty zostały uznane za ekologicznie nie do przyj cia i zostały skazane na wygini cie.

A t kot wy ył i nawet przyszedł popatrze na ludzi.

Wcale si nie wystraszyłem tego zwierza - nie zamierzało nas atakowa , zreszt jego z by były do małe. Wydało mi si wcale ładne.

Ostro nie tr cilem przytulonego do mnie Sieni . Obudził si od razu, otworzył

oczy i ucieszył si widz c kota.

Wstał. Kot zerkn ł na niego ze zdziwieniem i nieufno ci .

Pozwolił Sie ce podej na dwa kroki, a potem odst pił od dwa kroki. Nie chciał widocznie, by kto go dotykał.

Sienia zatrzymał si . Kot wskoczył an parapet i uwa nie przyjrzał si nam.

- Nie ruszaj go - powiedziałem. - Nie strasz.

- Wiem - odpowiedział Sienia. - On tu mieszka. B dziemy teraz mieszka razem.

Kot siedział na parapecie, o wietlony porannym sło cem. Sło ce przebijało si przez p czkuj ce li cie drzew i cienie ich wygl dały jak koronki, które dziergała wieczorami pani Jajbłuszko.

Było ciepło, a w dzie b dzie jeszcze cieplej. Ucieszyłem si , e uciekli my w cieplej porze roku.

Zim zamarzliby my albo wytropiono by nas po ladach.

Sienia podbiegl do okna. Kot zeskoczył z parapetu i znikn ł w zaro lach.

204

- Jakie ogromne sło ce! - o wiadczył Sienia. - Nie wyobra asz sobie, jaki jestem głodny.

Jednocze nie i do mnie dotarło, e jestem głodny.

- A my nie mamy ani zapalek, ani zapalniczki - powiedział Sienia. - B dziemy tu jedli tylko zimne potrawy.

- Tak - musiałem przyzna mu racj . - Tak si pieszyłem, e nie wzi łem jedzenia.

- No to dawaj suchary! - polecil Arseniusz. - A ja pójd po wod .

Chwycił eliwny garnek i skierował si do drzwi.

- Id z tob - powiedziałem. - Daleko nie odchod .

- Woda jest blisko - machn ł r k Sienia. - Wyczuwam wod .

Uciekł. Wyszedłem na zewn trz. Patrzyłem jak chłopiec biegnie wzdłu ulicy -

tam, jak si okazało, płyn ł strumyk.

Popatrzyłem wzdłu drogi w drug stron . Szczyt wzgórza zajmowała podwójna kamienna budowla. Ni sza cz była podobna do du ego domu, a wy sza - do wie y. Czubek wie y zawałił si , ale nad nisk cz ci budowli widniała wie yczka z jak ozdob - czym jak du a cebula, z której krzywo wyrastał krzy .

Pewnie w tym budynku mieszkał naczelnik wsi, pomy lałem. Trzeba b dzie przeje si tam.

Dotychczas nie zauwa yłem ladów po cigu, nie wyczuwałem jej. Arseniusz, który wracał ze ródelka z przyci ni tym do piersi garnkiem, równie wygl dał

na spokojnego. Kot maszerował w pewnej odległo ci za nim, jakby w biegu rozwi zywał trudne zadanie - uzna w nim przyjaciela czy ignorowa .

Stałem na progu domu, patrzyłem na id cego chłopca i zastanawiałem si , co robi dalej. Nawet je li b dzie ciepło, nie wytrzymamy tu dłu ej ni kilka dni. Co b dziemy je ? No i co b dziemy tu robi ?

Musimy i do miasta, do ludzi.

Tylko po co? Gdzie mam znaleźć ludzi, którzy mylą, jak i ja, którzy chcą przeprosić sponsorów i tych, którzy pomagają im rządzić nami? Czy może być, że tylko ja tak mylą? Może wszyscy są zadowoleni?

W sumie nie doszedłem wtedy do żadnych wniosków, odebrałem od Sieni garnek i skosztowałem wodę - była kryształowa, zimna. Potem Sienia polecił mi rękę, opłukałem ją. Mieliśmy cztery suchary. Dwa zjedliśmy na niadanie, dwa zostawiliśmy na wieczór. Położyliśmy suchary na półce, bo nie wiedzieliśmy co jest kot - jeśli lubi suchary, to lepiej trzymać je od niej z daleka.

205

Potem poszliśmy z Sieni na wzgórze, do kamiennej budowli z krzyżem, ale po drodze Sienka zobaczył, że rzeczka, którą przekraczaliśmy w nocy, była z innymi

- szeroko. Chłopiec powiedział, że skoczy tam, zobaczy co i jak, obiecał by ostro nym.

Wszedłem do kamiennego domu.

Było w nim zimno. Przez wyrwę w dachu nawiał wiatr i zaspą jeszcze nawet nie roztałała. Na ścianach budynku były namalowane obrazki, przedstawiające ludzi ubranych w prześcieradła. Usiłowałem zrozumieć sens obrazów, które opowiadały jak historię, ale nie potrafiłem. Było tam kilka obrazów namalowanych na szerokich deskach. Tu namalowani byli starożytni ludzie. Na dwóch czy trzech - kobieta w chustce, trzymająca na rękach niemowlę.

Zło ciło mnie, że nie rozumiem, po co ludzie budowali takie domy.

Wewnątrz było bardzo cicho, szum wiosennego lasu docierał tu jako brzęczenie komarów. Usłyszałem jak trzasnęła jaka gałązka pod stop człowieka. Człowiek szedł wolno. To nie mógł być Sienia. Zrobiłem krok w kierunku ściany i zamarłem. Kroki były zbyt wolne by należały do naszych przeładowców, ale w obcym miejscu należały by ostro nym. Wyci gnęłem do połowy nóg z pochwy.

Ciemna, przygarbiona postać z lasu pojawiła się w drzwiach. Od razu było widoczne, że to stary człowiek.

Nie wołałem go, jeszcze się wystraszy. Niech robi sobie co chce.

Starzec podszedł na rękę sali i zatrzymał się, jakby nie zdecydowany.

Nie widziałem jego twarzy, jego czarny zniszczony strój krył się w kapturze, w którym się kryła. Widziałem tylko jego brodę, zwisała w dół, ale nie dotykała piersi.

Patrzę na obraz, przedstawiający kobietę z dzieckiem, człowiek zaczął szybko i niezrozumiale mamrotać. Rozróżniałem poszczególne słowa, ale nie mogłem pojąć ogólnego sensu jego monologu. Starzec mówił i mówił.. i nagle z zewnątrz rozległ się dziecięcy okrzyk:

- Tim? Gdzie jeste ? Wujku Lancelocie. .

Odruchowo poruszyłem si , a starzec gwałtownie odwrócił si do mnie.

Widziałem jak si wystraszył, był taki słaby i stary. .

- Prosz si nie ba - powiedziałem. - Nie ycz panu zła. Jeste my tu dwaj z chłopcem.

- Niech Bóg was strze e - powiedział starzec. - Ja ju si nie boj nikogo.

Promienie słoneczne przenikały przez wysokie okna i w ich wietle, kiedy starze odwrócił si do mnie zobaczyłem, e ma wyniszczon , pomarszczon , ółt twarz, 206

na której wyró niały si czarne oczy. Dło , opieraj ca si na lasce, miała opuchni te stawy i, podobnie jak twarz, była pokryta zmarszczkami.

- Dzie dobry - powiedziałem. - Nazywam si Tim. Albo rycerz Lancelot.

Razem z chłopcem Arseniuszem uciekli my ze stadniny i ukryli my tu. Nie wiedzieli my, e pan tu mieszka.

- Nie mieszkam tu, mieszkam w lesie - powiedział starzec. - Mieszka w cerkwi jest niebezpiecznie - widoczna z daleka, miejsce odkryte, cz sto tu wpadaj .

- Kto?

- Milicjanci - powiedział starzec. - Przylatuj na ryby tymi swoimi migłowcami.

- Ludzie? - zapytałem. - Nie sponsorzy?

- A co tu maj aby do roboty? - skrzywił si starzec. - aby nie lubi naszych lasów.

- A my tu nocowali my - powiedziałem.

Sienia, widocznie, usłyszał nasz rozmow , wszedł do budynku, ale wcale nie wystraszył si nieznanego starca. Podbiegł do mnie:

- Patrz! - Obiema r kami przyciskał do piersi garnek wypelniony niemal po brzegi małymi rybkami. Niektóre jeszcze si poruszały.

- Sk d to masz?

Dopiero teraz zauwa yłem, e chłopiec jest cały mokry.

- Tam jest du a rzeka! - triumfuj co o wiadczyl Arseniusz. - Zanurkowałem -

przecie wiesz, e potrafi . Nawet lepiej jest mi w wodzie. Dogoniłem je, mamy teraz jedzenie.

Oczekiwał pochwały. Był dumny z siebie.

- Zuch - pochwalilem go.

Chłopiec poprawił opadaj ce na czoło mokre pasmo włosów. Starzec z niepokojem wpatrywał si w jego poł czone błon palce.

Zrobił dłoni dwa ruchy przed twarz , od góry w dół, i od lewej do prawej.

- Boisz si mnie? - zdziwił si malec.

- Bóg z tob - powiedział starzec. - Nie boj si nikogo. Ochroni mnie modlitwa.

Ale wida było, e boi si .

- Daj mi nó - powiedział Sienia.

207

- Po co?

- Oczyszcz ryby, oskrobi , wypatrosz . Przecie nie jeste my dzikusami!

- Nie jeste my dzikusami - u miechn łem si i podałem chłopcu nó .

Sienia pomkn ł z domu, który starzec nazwał cerkwi .

- A pan gdzie mieszka? - zapytałem.

- Mam ziemiank , w g stwinie. Nie do znalezienia.

- Kto mo e pana skrzywdzi ?

Starzec zdawał si nie rozumie co mam na my li. Potem nagle u miechn ł si -

a nie u miechał si o dawna i, moim zdaniem, zabolaly go od u miechu zmarszczki.

- Ani ptaki, ani zwierz ta si mnie nie boj - powiedział. - Jedz mi z r k. W

ko cu prze yłem tu niemal cale swoje ycie.

- Jak to?

- Przybyłem tu, eby obj parafi - powiedział, wskazuj c r k dokola. -

Ojczulek poprzedni umarł, a ludzie tu jeszcze yli, a i w lesie jeszcze si wielu chowało. Potem jedni wymarli, innych zaszczuli, wyt pili jak szczury. We wsi ju nie dało si mieszka . No to stałem si pokutnikiem bo ym. DO wi tyini przychodz tylko si pomodli i wracam do lasu.

- wi tyinia - powtórzyłem. - Pomodli si . .

Starzec przekrzywił głow .

- Młody człowieku, chcesz wiedzie gdzie stoisz?

- W wi tyini, w cerkwi - powiedziałem. - Przecie powiedział pan.

- A co to jest wi tyinia?

- No, ten budynek. Dom z obrazami - odpowiedziałem.

- A o Bogu slyszale ? - Starzec nagle spowa niał. Poczulem si winny.

- Nie wiem - przyznałem.

- Grzeszna, znaczy si , dusza - o wiadczył starzec.

Nie sprzeczałem si . Powiedziałem:

- Chod my do naszego domu, pewnie Sienia ju oczy cił ryby.

- Nie jem mi sa - powiedział starzec. - Od jakich pi dziesi ciu lat nie jem.

- A co pan je?

208

- Co las da, co na grz dce wyro nie, czym si pszczoły podziel .

Mimo to namówilem starca, eby poszedł z nami. Widzialem, e starzec, mimo e odnosi si do nas z pewn nieufno ci , a nawet z jak wrogo ci , szczególnie w stosunku do Sieni, z powodu jego dłoni, strasznie jednak st sknił si za lud mi.

Poszedł ze mn .

Gdy przyszli my Sienia jeszcze czy cił ryby, nie bardzo radził sobie z no em.

Wzi lem go sam zacz lem czy ci i patroszy zdobycz. A starzec, nieco pewniejszy siebie, tym czasem wypytywał nas kim jeste my, sk d uciekli my i przed kim si ukrywamy. Nazywał si Mikołaj.

Oczy cilem ryby i jeszcze raz zapytałem starca, czy nie chce przył czy si do nas.

Sienia był dumny z siebie - co by nie mówi - zaopatrzeniowiec! Chwył jedn rybk i wpił si w ni z bami. Ja nie bardzo mogłem na ladowa , poniewa nigdy wcze niej nie jadłem surowych ryb. Poza tym kr powałem si starca.

Dziadek Mikołaj j kn l patrz c na Sieni .

- Co ty wyprawiasz, diable! - krzykn l.

- A co? Jestem głodny - zdziwił si Arseniusz.

- Surowe ryby? Bez soli? Co to - nie chce si usma y albo ugotowa ? Mo e nie jeste człowiekiem?

- Taki sam jak ja i pan - powiedziałem. - Tylko zrobili mu operacje.

- I to udane! - z dum przyznał chłopiec. - Gdyby nie ja, to kto by nałapał ryb?

Jutro te nałapi .

- To grzech je surowe ryby - przekonuj co o wiadczył starzec.

- Nie mamy zapalek, nie mamy ognia - powiedziałem. - Nie mo emy gotowa ani sma y .

Starzec zamy lił si . Malec przez ten czas schrupal trzy rybki i powiedział:

- Soli brakuje. To granda, trzeba było zwin troch .

Nieoczekiwanie starzec o wiadczył:

- Teraz idziemy do mnie. W ziemiance przenocujecie. Tam mam i ogie i co do jedzenia.

- Nie, dzi kujemy - powiedziałem. - B dzie panu za ciasno.

- Niech mieszka sobie - dodał Sienia. - A my sobie.

Starzec nie spodobał mu si , poniewa nie potrafił ukryć niepokoju na widok dłoni i stóp chłopca.

209

Milczeli my. Zastanawiałem si . I nie wiem, co bym wymy lił, ale gdzie z daleka dał si słysze d wi k silnika migłowca. Pierwszy usłyszał go Sienia, poderwał si na równe nogi.

- Lec - zakomunikował starzec. - Na pewno b d was tu szuka . Wie to znane im miejsce. I b d s dzili, e tu znajdziecie schronienie. Chod cie, ale szybko.

Chwyłem koc i reszt moich rzeczy, Sienia, który wszystko w mig zrozumiał, złapał garnek z

resztkami ryb.

Ojciec Mikołaj pierwszy wyskoczył z domu i postukując laską po ziemi zatruchtał do lasu, starając się nie wychodzić na odkrytą przestrzeń. Biegliśmy za nim.

Nie skierowaliśmy się na wzgórze, do cerkwi, a pobiegliśmy dołem, w kierunku brzegu dużej rzeki, pod sklepienie ciasno rosnących wiekowych jodeł. Na skraju lasu odwróciłem się i zobaczyłem, że helikopter wylądował obok wiłtyni, wyskakując z niego milicjanci i białe fartuchy - ludzie sponsora.

- Chodźmy, chodźmy - ponaglił mnie starzec. - Do mojej ziemianki mamy z pół wiorst, i to przez bagno.

Gdy zapadaliśmy się w bagno, skacząc z kępki na kępki, przedzieraliśmy się przez obszerne, porośnięte rzadkimi osinami bagno, zapytałem ojca Mikołaja, dlaczego ukrył się w takim wilgotnym miejscu? A on mi odpowiedział:

- Urządzali z psami obławę, tych, co ze wsi uciekli i kryli się na suchych miejscach - migiem wytropili i wylapali. A przez bagno się bali chodzić - ponoć nie ma końca.

Po godzinie dotarliśmy do suchego miejsca - nie wielkiej wyspy pośród bagna.

Wyspa była piaszczysta i przykryta czapkami potnych sosnów.

Tam właśnie ukryta była ziemianka ojca Mikołaja - sucha, dość obszerna, pełna zapasów, pozostałych jeszcze po zimie.

Sienia nie lubił siedzieć w ziemiance. Szlajał się po bagnach, po lesie, nurkował

w bezdennych czarnych jeziorach w jodłowych borach, łowił ryby i raki. Nie interesowały go niekończące się opowieści ojca Mikołaja, który po raz pierwszy od trzydziestu lat znalazł dla siebie słuchacza.

A ja słuchałem. Opowieści starego były niczym wielki i różnobarwny kawałek mozaiki nazywanej Historia Ziemi. Starzec-pustelnik, proboszcz wiłtyni, w której nikt nie modlił się od pół wieku, opowiadał mi tę historię wieczór po wieczorze, albo siedząc przy ogniu, albo obrabiając małe poletka, porzucane po lesie tak, by nie wywołać podejrzeń u pilota patrolowego migłowca.

Usłyszałem o Bogu i wiłtyniach, o ludziach, którzy mu służyli. Zdziwiło mnie to, że przed przylotem sponsorów ludzie mieli nie jednego Boga, a wielu.

Niektórzy wierzyli we wszechmogącego boga Chrystusa, inni nazywali Boga 210

Mahometem, a jeszcze inni - Budd, i wszyscy strasznie się między sobą sprzeczekali i nawet

walczyli, eby ustali który Bóg jest wa niejszy. Przy tym ludzie mieli jeszcze antybogów, których nazywali diabłami. Ojciec Mikołaj był

gł boko przekonany, e sponsorzy - to diabelskie pomioty, a mo e i nawet same diabły, zesłane na Ziemi w celu ukarania ludzi, za to e yli głupio, wojowali ze sob , nie troszczyli si o swoj Ziemi i dokonywali przest pstw.

Ojciec Mikołaj cały znajdował si jeszcze w przeszło ci, w tym czasie, który ko czył si wraz z przybyciem sponsorów. On sam tego czasu nie pami tał - miał

około siedemdziesi ciu lat - robił sobie karby na kijku, przechowywany w ziemiance, ale potem ten kijek gdzie zgubił. Ale pami tał z dzieci stwa te czasy, kiedy ludzi na Ziemi było du o, kiedy wsie były jeszcze zaludnione. O przylocie sponsorów opowiadał mu jego ojciec, ale sami sponsorzy w jego wsi nie pokazywali si . Okazało si , e podbój Ziemi nie był spraw jednorazow, jak sobie wyobra ałem, a trwał do długo. Najpierw miało miejsce co na kształt współpracy, a je li istniały jakie konflikty, to jako były łagodzone. Przez wiele lat sponsorzy, mimo e znajdowali si na Ziemi i zajmowali si ratowaniem jej przyrody, to bali si czego . Dopiero stopniowo, rok po roku, ro li w sił i zdecydowanie.

Wytrzebienia "niepotrzebnych" ludzi, którzy swoim istnieniem zagra ali przyrodzie, sponsorzy dokonywali r kami milicji. Pewnego fatalnego dnia na wie czy osiedle spadało kilka helikopterów z milicj , która zabierała m czynn -

powiadali, e do roboty na kontrakt, na rok, na dwa. No i wi cej nikt tych m czynn nie widział. A w nast pnym roku czy po kilku miesi cach przytrafiała si ta sama historia s siedniej wsi. Wielka idea ratowania Ziemi realizowana była przez sponsorów konsekwentnie, spokojnie i nieodwracalnie. Ludzie zacz li y biednie a nawet n dznie - nie mo na było je dzi do miasta, poci gi nie kursowały, samochody równie - je dzi mogły tylko samochody milicji i wiernych przyjaciół sponsorów, ich pomocnikom. I nie wiadomo było - s jeszcze inne miasta, czy ich nie ma i czy s inne kraje czy si sko czyły. Jesieni po wsiach latały milicyjne migłowce i odbierały plony. Mało kto uciekał do lasu - we wsi mieszkały ju wła ciwie tylko kobiety, a te miały dzieci. Wszyscy czekali na powrót m czynn, chocia nie bardzo ju wierzyli w ich powrót. Milicjanci i prelegenci przeprowadzali zaj cia. Baby i dzieci nauczyli si piewa podniosłe pie ni i deklamowa wiersze o Wielkim Przyjacielu - sponsorze, o tym, e porta ratowa Matk Ojczyzn .

Ojciec Mikołaj pozostał w coraz bardziej pustej wsi a do ostatniej chwili. W

s siednich wsiach, gdzie jeszcze byli ludzie, te prowadził działalno - kogo chrzcił, kogo grzebał. Nie było tylko komu udziela lubów.

A potem stało si tak, e odwiedził Wysielki, dwadzie cia kilometrów od Polanowa, gdzie znajdowała si cerkiew. Wrócił do siebie - a we wsi nie ma ani jednego ywego ducha. Jakby wszystkich diabli gdzie wzi li. Wywie li. Rzucił si do Sierpuchowa, ale nie dał rady tam dotrze . Odwiedził t wie dopiero dwa lata pó niej - kiedy była ju pusta i zarastała traw .

Przez ostatnie pół wieku widział ludzi tylko raz czy dwa. Ale to byli dzicy ludzie, niema zwierza. Bał si ich i krył si przed nimi po ród bagna.

wi tyini odwiedzał, eby pomodli si . wi tyinia nie była potrzebna sponsorom - ani ikony, ani freski, nie były potrzebne. Sponsorzy jakby nie zauwa ali ich. Zreszt , starzec przyznał si , e adnego sponsora nigdy na oczy nie widział. Bóg strzegł. Prze ył ycie, a sponsora nie widział. Milicj widział, prelegentów widział, a prawdziwego diabła - nie.

Uwa nie i cierpliwie słuchałem staruszka. Mimo e si powtarzał i z ka dym dniem w jego opowie ciach było coraz mniej nowych dla mnie rzeczy.

Opowie ci ojca Mikołaja przygniatały mnie. Okazało si , e jakie pi dziesi t lat temu w tysh okolicach zabrakło ludzi. Mo e to samo dzieje si w całym kraju i na całym wiecie? Mo e spó nilem si z urodzeniem? Kto jest moim towarzyszem broni: były sługa Jezusa Chrystusa i chłopiec, który mo e nurkowa jak ryba?

Nawet moi koledzy ze szkoły gladiatorów s ju martwi. .

A póki co mieszkali my z Sieni w ziemiance ojca Mikołaja. Nadeszło lato, bagno podeschło i starzec stał si po trzykro ostro ny - bał si , e z nieba mog zauwa y dym naszego paleniska. Arseniusz m niał, opalił si - i to mimo tego, e ci gle przebywał w wodzie, chyba wi cej ni na powietrzu.

Starzec wiedział jakie drzyby s jadalne, a jakei truj ce. Przekazał t wiedz i mnie - uwa ał, e ta wiedza mo e si przyda , je li znajd si w lesie sam. Bez przyjaciół. .

A ja sprawilem sobie zapalniczka - krzemie i krzesiwo.

Sienia i starzec przywykli do siebie, i ojciec Mikołaj ju nie uwa ał chłopca za wysłannika piekiel. Sienia lubił starca, ale zupełnie si go nie słuchał.

Trwa ju czerwiec, noce stały si krótkie, bardzo ładnie piewały małe ptaszki.

Które ojciec Mikołaj nazywał słowikami. Do sierpnia, kiedy to sponsorzy maj zacz eksterminacj ludzi, zostało bardzo niewiele czasu. Nie mogły dalej mieszka sobie w ziemiance, poniewa je li zginie Moskwa, to w Rosji zupełnie nie b Dzie ju ludzi. Nie wiedziałem do kogo nale y si zwróci o pomoc, ale miałem nadziej , e jak dotr do Moskwy, to kogo takiego znajd . Miałem nadziej znale kogo w metrze, mo e przedosta si do szkoły gladiatorów - przecie takie szkoły musiały pozosta . Powiniennem chodzi i opowiada o niebezpiecze stwie i uprzedza ludzi.

- Złapi ci - mówił mi na to ojciec Mikołaj. - Ludzie s słabi, wymieramy, jak mamuty, takie zwierza. Oni wydadz ci władzom, b dziesz m czennikiem.

- Nie chc by m czennikiem - oponowalem.

Kiepsko stali my z sol , ojciec Mikołaj zamiast soli wykorzystywał popiół z paleniska, ale było tego mało, wi c ryby i grzyby na drog suszyli my. Milei my z Sienie całe swoje gospodarstwo, nawet niezłe. Zebrali my i r óne rzezcy po 212

wiejskich domach - mieli my kubki, butelki, garnki, i rondelki. Gorzej było z ubraniem - tkaniny niemal nie zachowały si . Ale uszyłem Sieni dług koszul z lekarskiego fartucha, który wyniosłem ze stadniny. Mo e ubranie nie było najpi kniejsze, ale Arseniuszowi si podobalo.

Z resztek fartucha uszyłem torb na rami .

Sienia nie chciał pu ci mnie samego, ale obiecałem mu, e szybko wróc .

Poprosilem ojca Mikołaja i Sienie, by robili wi lkie zapasy na zim - wszak mog przyprowdzi ludzi.

Byłem ju niemal gotów do podró y, któr postanowilem rozpocz j od miasta Sierpuchowa, ale wydarzyło si co , co zmieniło moje plany.

Znalazłem dziwny lad w niecce przy ródle.

Wracałem ze zdobycz , po penetracji strychów. Na jednym znalazłem skrzyni , w której były pasy, wyschni te, ale mocne i gumowe podeszwy. Cieszyłem si z takiego polowu.

Dzie był upalny, sło ce stało wysoko. Zszedłem do ródla.

Kto tu był.

Cienkie gał zie przy ródle były połamane, a w wilgotnej ziemi przy wodzie widoczny był dziwny lad - jakby do ródelka podjechał samochód na wytartych oponach.

Zaniepokoiło mnie to. Dokoła trwała jednak gł boka, południowa g sta cisza.

Brz czały owady, piewały ptaki. Jak mógł tu wjecha samochód?

Ostro nie poszedłem si po ladach, musialem dowiedzie si co one znacz .

Ka da niewiadoma to miertelne niebezpiecze stwo.

Znowu zobaczyłem wyra ny lad, traw zgmiotło takie samo koło, jak przy ródle. Przy tym stało si to niedawno l przecie trawa szybko podnosi si i zapomina, e została przygnieciona.

Id c po ladach nieznajomego wyszedłem ze wsi i starymi ogrodami dotarłem do zaro ni tego osikami pola. Intuicja mówiła mi, e nieznajomy jest niedaleko.

Trzymałem w r ku sztylet. Znieruchomiałem przywarłszy bokiem do grubego pnia.

Wtedy usłyszałem głos:

- Prosz si mnie nie ba .

Głos był wysoki, jakby dziecinny, a jednocze nie nieprawdziwy - takie głosy słyszy si we nie, gdzie kusz by wej w ciemn g stwin lasu.

213

Odwróciłem si w kierunku, z którego dochodził. ciana listowia leszczyny trwała nieruchomo.

- Nie skrzywdz pana - powiedział głos.

- No to prosz wyj - powiedziałem. - Dlaczego si pan chowa?

- Dlatego e mo e si pan wystraszy i zabi mnie.

- Dlaczego miałbym si wystraszy ?

- Dlatego e mnie pan wcze niej nie widział.

- To mieszne - powiedziałem. - Wielu rzeczy wcze niej nie widziałem!

Mi dzy cian listowia i mn znajdowała si niewielka polanka, jakie trzy metry, poro ni ta wysok traw .

- Prosz wyj - powiedziałem. - Bo wychodzi, e pan mnie widzi, a ja pana nie.

Li cie rozsun ły si i na polank wylądował si stwór, widok którego powinien nieuchronnie wywoła wstr t u ka dego normalnego człowieka.

Odsun łem si od ogromnej, wysokiej na półtora metra, a grubej jak ludzki tułów, szczeciniastej g sienicy, która uniosła si na tylne nogi i poruszała przed blyszcz cym pancerzem brzuszny kilkoma parami wyposa onych w pazury łap.

Oczy stworzenia były ogromne, szklane i nieruchome.

Odsun łem si , ale nie uciekłem,

- Boi si pan? - zapytała g sienica. - Jestem całkowicie nieszkodliwy.

- Wiem - powiedziałem. - Po prostu - zaskoczenie. Nie wiedziałem, e jeste cie takie du e. . to znaczy, nie wiedziałem, e umiecie mówi ! Diabli by to. .

Pelzacz zgi 1 si , jakby usiadł na wygi tej w moim kierunku dolnej cz ci ciała.

- Pan si mnie nie boi - stwierdził. - Pan mnie zna?

- Przecie jeste pelzaczem!

- Tak nas nazywaj tutaj - zgodził si pelzacz. - Ale jestem tu sam i jestem przekonany, e wcze niej si nie spotykali my.

- Nie twierdz , e si spotykali my - przyznałem. - Ale jest pan pelzaczem, a ja nigdy nie podejrzewałem, e pelzacze s istotami rozumnymi. Przecie tysi ce was przerabiali my!

- Co pan powiedział?

- Pracowałem wcze niej - powiedziałem - w fabryce słodczy. Tam zabijali my takie osobniki jak pan, tylko mniejsze. Ja nie zabijałem - ładowałem do kontenerów.

214

- Był pan tam! - Głos pelzacza wzniósł si do crescendo. - Widział to pan!

- Ale pelzacze nie s rozumne, s nie wiadome - powiedziałem. - Widziałem to.

Wiem.

- Pan tam był! - j czał pelzacz.

Wygl dało, e jest ze mnie niezadowolony.

- A pan tam te był? - zapytałem. - Uciekł pan, prawda?

Po długiej pauzie pelzacz odpowiedział:

- Tak.

- A daczego pan jest rozumny, a tamci nie?

- Prosz mi powiedzie . . - Pelzacz odwrócił głow o stan słupka, opieraj c si o ziemi dwoma parami mocnych szeroko rozstawionych łap. - Prosz mi powiedzie - czy gdy urodzi pan malutkiego człowieczka, zupełnie malutkiego, i oda rzu zanie sie go do fabryki słodocy, to czy b dzie on, pana zdaniem, istot rozumn ?

- To były wasze dzieci?

- To nasze maluchy - powiedział pelzacz. - Nie potrafi mówi . Nie potrafi jeszcze mny le , musz mie cztery pi lat, eby móc mówi . Rozumie pan teraz?

- No to z tego wynika, e sponsorzy jedz wasze dzieci?

- Wy te zjadacie cudze dzieci - powiedział ze smutkiem pelzacz. - Jecie ryby i zwierz ta, jecie jaja ptaków, a te jeszcze nie potrafi mówi .

- Ale nie zjadamy istot rozumnych.

- A sk d macie wiedzie , e malutki pelzacz b dzie kiedy rozumny? Tego si nie rozglasza. Nawet wi kszo sponsorów tego nie wie. Istniej inkubatory, w nich wykluwaj si male istoty. Potem si troch je hoduje. Potem si je zabija.

Tak powstaje bardzo po ywna ywno , sponsorzy j jedz , ale nie wiedz , co jedz .

Wierzyłem tej g sienicy i nie bałem si jej. Ale w ko cu rzucałem zabite pelzacze do kontenerów!.

- Nie jest pan winny - powiedział pelzacz. - Nie wiedział pan. Sponsorzy zjadaj wszystkich. Zjadaj wasz planet , zjadali nasz planet .

- A matki. . Gdzie s matki tych maluchów?

- Trudno jest mi obja ni cały nasz system rozmna ania - powiedział pelzacz. -

Trzeba to długo bada . Je li to pana interesuje opowiem pó niej.

- Czy to znaczy, e dorosłych pelzaczy tutaj nie ma?

215

- Dorosły - to ja - o wiadczył pelzacz. - Oni tu przywo tylko zapłodnion ikr

- to jest ekonomiczne. I nikt nie wie.

- Ale po co? Czy na Ziemi jest mało ywno ci?

**- Jest ywno i jest ywno optymalna - wyja nił pelzacz kiwaj c si jak kobra przed atakiem. -
Nasze dzieci s idealnym jedzeniem. A teraz sponsorzy potrzebuj go wi cej. Ludzi b dzie mniej,
a jedzenia powinno by wi cej.**

- Pan wie o zmniejszeniu ilo ci ludzi?

- Troch wiem.

- A co pan tu robi?

**Pelzacz miał brzuch pokryty chitynowym pancerzem, blyszcz cy, troch przypominaj cy ogon
raka. Na bokach i grzbiecie rosła sztywna sier . Pelzacz nie był ładny, a nawet był przera aj cy.
Ale byłem do nich przyzwyczajony. Poza tym, je li potwór rozmawia i nawet skar y si przed tob
- trudno si go ba .**

**Nie chciał odpowiada na moje pytanie. Gdyby jego oczy nie były nieruchome powiedziałbym, e
wpatruje si z uwag w poszczególne d bla trawy.**

- Id - powiedział w ko cu.

- Czy by? Dok d si pan wybiera?

- Do Arkadii - powiedział pelzacz.

Nic mi to słowo nie mówiło.

- Gdzie jest ta Arkadia? - zapytałem.

- Daleko - mrukn ł pelzacz.

- Pójdzie pan ze mn ? - zapytałem.

- Dok d?

- Mieszkam tu w pobliżu. S tam moi przyjaciele.

- Nie odpowiem - powiedział pełzacz.

- Razem jest lepiej.

- Razem jest lepiej - powtórzył jak echo pełzacz, ale nie ruszył się z miejsca.

- No to idziemy?

- Nie, przepraszam - powiedział pełzacz i opadł na wszystkie kolczyny, od razu stał się podobnym po prostu do gienicy, ogromnej, ale tylko gienicy.

- Id - powiedziałem.

216

Pełzacz zaczął cofać się. Pomyślałem, że bardzo nie ufam ludziom - i nic dziwnego, na tej planecie morduje się jego dzieci.

- No to wszystkiego najlepszego - powiedziałem, choć rozstawałem się z nim zalem. Kiedy dy kogo spotkam może mi coś opowie. Pełzacz też. Przecież gdzie się ukrywał po ucieczce z fabryki słodczy, czego byłem niemal pewien. Gdzie się nauczył rosyjskiego, z jakiego powodu trafił do tego lasu, na kogo czeka. .

Pełzacz zniknął w zaroślach, a ja nie śigalem go.

Odwróciłem się i zacząłem wychodzić z lasu. Za plecami panowała cisza.

Skierowałem się do ródka, a stamtąd, zaspokoiwszy pragnienie, do cerkwi.

Minąwszy kilka domów, zatrzymałem się.

Jakie to lekkomyślne z mojej strony - nie dowiedziawszy się praktycznie niczego odej ! Przecież niedaleko stąd, za bagnem znajduje się nasza ziemianka.

Starutki ojciec Mikołaj i malutki chłopiec. A je li pojawienie się pełzacza jest jedn z prób wyledzenia nas? A ja tak łatwowiernie uwierzyłem w jego opowieści o mordowaniu małych pełzaczy?

Czy mogą mi wierzyć ?

Oczywiście, odpowiedź powinna być negatywna.

Zatrzymałem się. Zarówno ta ulica schodziła w dół. Było cicho, pusto, gorco.

Dlaczego pelzacz nie chciał pój z mn ? Przecie samemu jest mu gorzej ni z nami? Jak trafił na to pustkowie? Bo gdyby nie ledził nas, to, mo e, powinien si z kim spotka ?

Powiniennem to wyjść .

Przekonawszy się , że nie widać mnie od strony ródka, przebiegłem do zapadni tego w ziemi , zrujnowanego domu. Obok niego rosła olbrzymia sosna, potnęłam gałęzie której zaczynały rosnąć niewysoko nad ziemi . Wdrapałem się po gałęziach w głąb stwin korony i wyszukałem dla siebie taką pozycję , z której , sam niewidoczny, mogłem niemal z lotu ptaka obserwować ródka i polan dookoła niego. Każdego człowieka czy sponsora, który zbliży się do wsi od strony rzeczki, musi trafić w pole mojego widzenia.

Usiadłem możliwie wygodnie i postanowiłem czekać .

Dobrze wszystko sobie obmyślałem. Minęło kilka minut, może z pół godziny, i z lasu, po chwili ostrożnej obserwacji prowadzonej z jego brzegu, wypłynął pelznik.

Przemknął w dół, do ródka - widocznie chciał mu się pić . Pił jak pies, uniósłszy nieco tułów na wyduńonych łapach, opuściwszy pysk do wody.

Napiwszy się pelznik wolno podpełzł pod krzaki. I nagle zamarł. Co usłyszał - ja natomiast byłem daleko i nic nie słyszałem.

217

Jednym susem pelznik dopadł krzaków. Ich liście drgnęły i znieruchomiały.

Przez szeroki bród, przeskakując z kamienia na kamień , w naszym kierunku przemieszczała się samotna ludzka postać , szczupła, szybka, zgrabna. Nie mogłem dojrzeć jej twarzy z tej odległości.

Człowiek ten przebiegł rzeczki i pewnie skierował się do ródka.

Gdy pozostało mu jakieś pięćdziesiąt kroków człowiek zatrzymał się .

Nasłuchiwał.

Potem wsunął do ust dwa palce i gwizdnął. To znaczyło - wie, że kto na niego powinien czekać . A z tego wynika, że pelznik nie przypadkowo to przyszedł.

Krzaki zaszeleciły i z nich, unosząc tułów na tylnych łapach, wyszedł pelznik.

Niechym pingwin, kołysząc się przy każdym kroku, ruszył na spotkanie z człowiekiem, który wydał mi się strasznie znajomy, ale stał plecami do mnie i nie mogłem przyjrzeć się jego twarzy. Odwrócił się do mnie profilem, prosiłem w myślach tego człowieka, żeby cię poznał !

Odwrócił się do mnie profilem, a ja wrzasnąłem:

- Hej, stójcie, nie uciekajcie!

Podrapawszy sobie cał pier sturlałem si z drzewa i rzuciłem si do pełzacza i Irki, która stała obok niego, trzymaj w r ku pistolet. Widziałem, e pełzacz co do niej mówi, kiedy dopadłem ich, Irka schowała ju pistolet rzuciła si w moim kierunku szeroko rozstawiwszy szczuple r ce. Uwiesiła si na mnie i zaczęła rycze , trcaj c mnie mokrym nosem i głaszcz c szorstkimi dło mi po plecach.

- Wiedziała - mówiła przez łzy - wiedziałam, e yjesz! Klami ci, co mówili, e ci zabili. Wiedziałem co robi , kiedy ci szukałam.

Włosy Irki pachniały dymem i sło cem.

Pełzacz stał za jej plecami i kołysał si , jakby nie mógł si zdecydowa - ucieka st d z całych sił, czy, na odwrót, cieszy si , e podró si sko czyła.

Podczas drogi przez bagno Irka zd yła mi opowiedzie , e szukała mnie, nawet trafiła do stadniny, ale była bardzo ostro na i nie wpadła w oczy sponsorom. Jedni mówili, e zostałem otruty wraz z ptaszkiem Marusi , inni - e mnie wywie li. Ludmiła miała nadzieję , e uciekli my - tej nocy po niebie miało si tam du o migłowców z milicjantami. Gdyby mnie zabili - po co by wywoływali taki harmider?

- Wysłała ci Markiza? - zapytałem. - Czy sama to wymy liła ?

- Markiza wie, e ci szukam, ale ona jest teraz zaj ta swoimi sprawami! Pan Sijniko wiezie j do Arkadii - stamt d wy l j do Centrum Galaktycznego!

Słowo "Arkadia" usłyszałem tego dnia po raz drugi.

218

- Po co? - zapytałem, maj c na uwadze Markiz .

- eby poprawi jej ciało.

- A ja chciałem jutro pój do Moskwy - o wiadczyłem.

- Szuka nas?

- Szuka kogokolwiek, eby powiedzie - w sierpniu sponsorzy zaczn likwidacj ludno ci Ziemi.

- Wiem - powiedziała Irka.

Pogłaskała mnie po r ce.

- Nie mog jeszcze uwierzy , e to ty - powiedziała. - Opalił si , wygl dasz zdrowo. Trudn ci

pozna . Włosy ci wyja niały.

- A co to jest Arkadia? - zapytałem.

- Arkadia to szcz liwe miasto.

- Szcz liwie miasto? Na Ziemi?

- Słyszałam o nim ju wcze niej, ale nikt z naszych nie mógł si tam przedosta .

Teraz Markiza tam trafi. My te si postaramy.

- Po co?

- eby odnale prawd - wyja nila Irka. - Wszystko ci opowiem.

Zapomniałem zupełnie o pelzaczu. Przedzierał si za nami, staraj c si i dokładnie za nami - nie znosił błota i otwartej wody. Od czasu do czasu wydawał

z siebie wysokie skrzypliwe d wi ki, a wtedy Irka, nie odwracaj c si , uspokajała go.

- Kiedy przyjdziemy? - pisał pelnacz z tyłu.

- Niedługo - obiecałem i zapytałem: - Dlaczego ja nic nie wiem o Arkadii?

- Sami od niedawna o niej wiemy. Sponsorzy dobrze jej strzeg .

- Ale co to jest?

- To jest szcz liwe miasto, w którym mieszkamy razem.

- Irka, nie ple bzdur! Mo esz wyja ni po ludzku?

Było mi przyjemnie patrze na ni . Ani bliny na twarzy, ani wybite z by nie psuły mi przyjemno ci patrzenia na ni . Wiedziałem, e jest dobra i ludzka. By mo e Markiza jest tysi c razy pi kniejsza, ale Irka jest moim przyjacielem.

- Po co tu przyszła? - zapytałem.

219

- Bo szukałam ciebie. Markiza chciała sprawdzi , jak ci si yje, jak Sijniko dotrzymuje słowa.

- Ta ucieczka to moja wina - przyznałem. - Słyszałem, jak oni rozpatruj likwidacj ludzi.

- A on si wystraszył? Na pewno si wystraszył. Ale Markiza my lała, e nie o mieli si ciebie zabi . W ko cu ona te co tam wie.

- To ona ci posłała?

- Poszłam sama. Z pelzaczem.

- A była w stadninie? Rozmawiała z Sijniko?

- My lisz, e jestem całkowicie głupia, tak? Oczywi cie, e nie rozmawiałam z Sijniko, ale rozmawiałam z Ludmił i dzie mi. Wiele z nich nie spało, wiele słyszało du o. Niektórzy nawet wiedzieli, w jak stron poszli cie. Postanowiłam wi c, e poszukam was tu, we wsi i na bagnach. Wi c poszli my. No i nie trzeba było szuka - sam wyskoczyły .

Rado nie tr ciła mnie pi stk w bok.

- Ostro nie! - krzykn łem, przeskakuj c z k pki na k pk , balansuj c ciałem. -

Tu jest gł boko!

Mały Sienia spotkał nas na skraju bagna. Widz c pelzacza w strachu przygryzł

własną pi stk .

- Nie bój si , chłopcze! - zawołał Irka. - To mój przyjaciel.

Arseniusz nie uwierzył i tyłem, tyłem wycofał si w g stwin . Stamt d obserwował nas.

Jeszcze bardziej wystraszył si ojciec Mikołaj, który pracował w swoim ogródku, podniósł głowę i zobaczył nasz trójk !

Uznał, e odwiedził go diabeł we własnej osobie. Prze egnał pelzacza trzyman w r ku łopatk . Pelzacz, z natury delikatny, zawstydził si , e dostarcza ludziom tyle nieprzyjemnych chwil, i zaczął mówi o powrocie do wsi. Musiałem wygłosi krótk mow o szlachetnej i nieszcz snej rasie pelzaczy, których dzieci, ledwo co wyklute z jaj, zjadają sponsorzy.

Malec do tego czasu przyjrzał si ju pelzaczowi, wylazł z krzaków i zaczął na dotyk sprawdza sier pelzacza, który znieruchomiał, eby nie wystraszy dzieciaka. Ojciec Mikołaj nie zbli ał si , cz sto si egnał i nijak nie mógł w sobie znale współczucia do robaka. Chyba przez cały czas podejrzewał nas, e odgrywamy przed nim jakiś niedobry, okrutny art, ale istoty tego artu nie rozumiał i dlatego nie pchał si na pierwszy plan, a w raz z zapadnięciem zmroku oddalił si do ziemianki, gdzie chciał si pomodlić przed wiszącymi na cianach 220

ikonami. Nie chcieli my mu przeszkadzać , odeszli my na bok, pod wysoką sosną , Komarów było mało, ogniska nie rozpalali my, eby nie ryzykować bez potrzeby.

- Jeste nam potrzebny - powiedziała Irka. - Nie myśl sobie, e ci szukałam, bo nie jeste mi obojętny.

- Nie my ! . - Nie mogłem powstrzymać się od uśmiechu.
- Musisz nam pomóc przedostać się do Arkadii.
- wietnie - powiedziałem nie zastanawiaj się nad sednem powiedzianego.
- Mamy mało czasu. Musimy pokrzyżować ich plany.
- W każdej chwili - powiedziałem czujcie się ulgą . Uczciwie mówicie, przez ostatni tydzień zacząłem bać się , że jestem jedynym człowiekiem na Ziemi, który chce przeprosić sponsorów. Myślałem już , że wszyscy inni są zadowoleni. Wszyscy dostali kielbas , a rozstrzelili tylko w piątek.
- A on? - zapytałem wskazując pelzacza, którym zwinął się w ciasny krąg, wielkość ci mniej więcej opony ciarówki.
- Pamiętaj jak pracowaliśmy w fabryce słodczy? - zapytała Irka.
- Nie da się zapomnieć !
- Niech ci się nie wydaje, że trafiłam tam przypadkowo. Kradli my tam jajka pelzaczy, pamiętasz? Dlatego ten pelzacz był już z nami i wszystko opowiedział.
- Sponsorzy nie są dzikusami - odezwał się pelzacz unosząc głowę . - To są cywilizowani władcy. Nie podniosli ręki na rozumne istoty . Ale jeżeli rozumna istota ma nierozumne dzieci, to można z nimi robić co się zechce - i zasady są przestrzegane i brzuch pełny.

Powiedziawszy to na długo zamilkł.

- Opowiem ci o Arkadii - zaproponowała Irka.

Okazało się , że daleko od innych miast i osiedli sponsorzy zbudowali szczęśliwe, wzorcowe miasto Arkadię . W nim ludzie, zadowoleni z faktu, że sponsorzy przylecieli na Ziemię i zajmują się naszymi ekologicznymi problemami.

Jeżeli na Ziemi wybierają się jacyś goście, powiedzmy inspekcja z Galaktycznego Centrum czy jacyś uczeni z Boga wie jakiej planety, wiezie ich do Arkadii. Tam dokonują oni obserwacji Ziemi i Ziemiaków. Wszyscy są zadowoleni.

Oczywiście, pozostali mieszkańcy Ziemi nie powinni wiedzieć o Arkadii.

Jeszcze by zechcieli się tam przenieść , albo spalić czy wysadzić w powietrze to szczęśliwe miasto.

Za trzy dni przylatuje na Ziemi kolejna inspekcja. Musimy znaleźć się w rodoku Arkadii i za wszelką cenę spotkać się z inspektorami. Opowiedzieć im prawdę . Mamy tylko jedno podejście - drugie

szansy nie będzie.

- I jestem ci potrzebny?

- Jeste nam potrzebny - potwierdziła Irka. - Jeste odważny i silny, potrafisz walczyć białą bronią i nie boisz się sponsorów. Zabiję sponsora.

- Zabiję sponsora - powtórzyłem cicho. Zabrzmiało to jak mgliste, odległe wspomnienie. Trochę już nie odnoszę się do mnie.

- Ale najbardziej jesteś potrzebny, bo byłeś w stadninie i znasz się na pupilkach.

- O Panie - doleciało z ziemianki, gdzie zaczął cicho modlić się ojciec Mikołaj.

Jego życie, które miało przebiegać rozumnie i z pożytkiem dla ludzi, zmieniło się w siedemdziesiąt lat koszmaru, potworów, miernoty ludzi i zagłady jego wiatra.

Nawet teraz nie mógł nam zaufa, dlatego obok jego ziemianki siedzi chłopczyk z błonami pławnymi między palcami i gadający robaki.

- Pójdź z nami - powiedział Sienia.

- Nie wezmę ci - odpowiedziałem.

- A ja poproszę ciocię Irę. Mam już dziewięć lat. Jak nałapał ryba - to jestem potrzebny. A jak do Arkadii to mnie nie bierzcie. A jak i tak za nami pójdź.

- A co potrafisz? - zapytała rzeczowo Irka.

- Nie wiesz? Jestem ziemnowodny. Mogę pod wodą.

Irka trochę pomyślała i potem powiedziała, odwracając się do pelzacza.

- Przyda się nam.

- Przyda się - powiedział pelzacz.

- Dziękuję - ucieszył się Sienia.

Byłem przeciwny zabieraniu go. Był małym chłopcem i to nadmiernie odważnym. Tacy chłopcy łatwo giną - tym bardziej w tym cholernym świecie. Ale kto mnie posłucha? Nikt się mnie nie boi.

Noc była bezwietrzna, ciepła, bez komarów. Wszyscy prócz ojca Mikołaja, położyli się spać na zewnątrz. Pelzacz przez cały czas rzucał się we mnie, rozwijał

się i znowu zwijał. Irka spała z głową na mojej pierści, w zagłębieniu gdzie pierś styka się z

ramieniem. Oddychała niemal bezgło nie i nie poruszała si .

Nie wyspałem si , poniewa bałem si zasn , odwróci si nieostro nie i obudzi Irk .

222

Spakowali my si szybko, ale nie udało nam si wyruszy rano - nad lasem nisko i natr tnie kr ył migłowiec. Irka uznała, e musieli j zauwa y w stadninie.

Kiedy migłowiec odleciał poszli my cie k , która dwie godziny pó niej wyprowadziła nas na przesiek . Wzdłu niej stały kiedy jakie metalowe konstrukcje; Irka wyja niła, e wie e l czyły si przewodami, po których płyn ł

pr d. Ale aktualnie przewody były zerwane, koronkowe konstrukcje powykrzywiały, a niektóre powywracały si .

Staralem si nie dyktowa mocnego tempa - nie chciałem, eby Irka si m czyła. Ale ona szła dziarsko. Malec te nie był zawad . A pełzacz, kiedy si zm czył pełzaniem, zwijał si w koło i toczył.

Szli my po przesiece, potem po drugiej, szerszej, a do południa. Gdy las si sko czył, zatrzymali my si na biwak, posilili my si , zdrzemn li troch . Irka powiedziała, e kto ma tu wyj nam na spotkanie. Ale nikt nie przyszedł.

Wieczorem wi c, kiedy upał zel ał, ruszyli my dalej sami. Przestałem ju wierzy , e Markiza przy le kogo po nas, ale przed zmierzchem zobaczyli my na le nej drodze furmank , zaprz on w par koni. Obok niej stali dwaj m czy ni, ubrani biednie, ale czysto. Nie byli uzbrojeni.

Ci ludzie powiedzieli, e tych pierwszych, co mieli nas spotka zatrzymali milicjanci.

Potem poszli my za nimi. Pełzacz był najbardziej z nas zm czony, Irka chciała, eby pozwolono mu jecha na furmance, ale m czyzna, który kierował ko mi, powiedział, e konie si płosz , i eby szedł z tyłu. Pomy lałem sobie, e to on pierwszy raz widzi pełzacza i boi si go, ale wstyd mu si przyzna i okaza wstr t.

Pełzacz to rozumiał - powiedział, e nie mo e jecha na furmance, bo go mdli.

Szedłem za fur i my lałem, jaka szkoda, e w fabryce słodczy Irka nie opowiedziała mi o pełzaczach. Przecie umy lnie tam trafiła, eby ratowa je.

M czy nie z furmank doprowadzili nas do porzuconej chatki na skraju lasu.

Tam przenocowali my. Malec skaleczył nog , Irka opatrzyła j , ale Sienia i tak kulał, a przez noc noga spuchła.

Rankiem do chatki podjechała stara kryta ci arówka, jakby opleciona drutami, eby si trzymała

kupy.

Jechali my ni a do wieczora - zm czyli my si bardziej ni gdyby my szli na piechot ; ci arówka, według mnie, w ogóle nie miała resorów.

ciemniło si ju , gdy ci arówka wyhamowała w miejscu, gdzie kiedy było miasto, przy pi trowym murowanym domu. Dom miał du e pokoje, stały w nich malutkie stoły a obok ławeczki - przy ka dym stole mogli siedzie dwaj niewielcy 223

osobnicy. Irka wyja niła, e wcze niej była tu szkoła - tutaj uczono dzieci czyta i pisa .

Wszyscy poło yli my si spa , a ja skorzystałem z tego e jeszcze nie było ciemno i poszedłem na pi tro. Na podłodze w jednej z klas zobaczyłem kul , na której były narysowane ólte, zielone i niebieskie plamy. Długo kr cilem kul w r ku i czytałem malutkie napisy. Dopiero wtedy domy liłem si , e jest to malutki model Ziemi.

Irka nie mogła zasn , przyszła do mnie na gór i kiedy zobaczyła kul w moich r kach powiedziała, e to si nazywa globus.

- Kiedy ich przep dzimy - powiedziałem - zbudujemy du o szkół, a w ka dej b dzie globus, eby dzieci znały prawd o swojej Ziemi.

- Wierzysz, w to e wkrótce wyp dzimy sponsorów?

- To nie jest zaj cie dla kobiet - za artowałem sobie. - Ale obiecuj ci, zrobi to.

I do niedługo!

- Wiem. Powinni my dosta si do inspektorów, którzy przylec z jakiego wa nego centrum, i opowiedzie im prawd , dobrze mówi ?

- Dobrze.

- A sponsorom zrobi si tak głupio i wstyd, e odlec ?

- Nie wiem. Ale powinny istnie na wiecie jakie przepisy. Przecie je li lataj mi dzy gwiazdami, to musi istnie jaki porz dek.

- Zobaczymy - powiedziała Irka.

Nast pnego ranka przyszedł do nas milicjant. A si wystraszyłem, kiedy otworzyłem oczy i zobaczyłem stoj cego po rodku pokoju milicjanta.

Milicjant zdj ł fura erk i wtedy poznałem w nim chudego pomarszczonego Henryka. Ucieszyłem si widz c go.

Henryk cisn ł mi dło i powiedział, e wygl dam jak zuch. Wiedział ju , e w stadninie próbowali mnie zabi , ale zdołałem uciec.

- Jeste my zadowoleni z ciebie - powiedział.

W jego głosie zabrzmiały protekcyjnalne nutki.

Pomy lałem sobie, e nie potrzebuj takiej opieki, nie lubi takiego tonu. Ale, oczywi cie, nic nie powiedziałem.

Poszli my za Henrykiem do klasy, gdzie znalazłem globus. My, to znaczy Irka, pelzacz i ja. Pelzacz bez trudu wchodzil po schodach - jakby przelewał si przez stopnie.

224

Henryk wyj ł z kieszeni zło ony arkusz papieru. Rozwin ł go na stole. To był plan miasta, miasta w kształcie szerokiego półksi yca.

- Widzicie szcz liwe miasto, zwane inaczej Arkadi . Słyszeli cie o nim?

- Słyszeli - odpowiedziałem.

Pelzaczowi było niewygodnie patrze . Gdy na tylnych łapach jego oczy i tak znajdowały si zaledwie metr nad podłog . Pazurami przednich łap trzymał si kraw dzi stołu. Henryk obja niał plan, a ja patrzyłem na pelzacza i my lałem o tym, jak trudno jest mi przyzwyczai si do my li, e mam do czynienia z rozumn istot , los której jest tak tragiczny. Przecie , s dz c z wszystkiego, on te był przeznaczony na ubój, ale przypadkowo czy te przy pomocy Irki unikn ł

łagi i prze ył w ukryciu kilka lat. . Jak mało jeszcze wiedziałem o yciu na własnej planecie!

- Wewn trz półksi yca widzicie owal - kontynuował tymczasem Henryk. - To jest centrum obserwacyjne sponsorów. To tam musimy przenikn .

- A dookoła co jest? - zapytała Irka, wskazuj c palcem biały pas oddzielaj cy półksi yc miasta Arkadii od owalu.

- Fosa wypełniona wod .

- Szeroko , gł boko ?

- O ile wiem - niezbyt szeroka, ale gł boka. Najwa niejsze jest to, e je li nawet pokonacie fos , to i tak niczego to wam nie da. Znajdziecie si przed pionowym murem, wystaj cym z wody.

- A miasto jest chronione?

- Jeszcze jak! - zawołał Henryk.

- Kto pójdzie? - zapytała Irka.

- Maj i tylko wiadkowie - ty, pelzacz i Tim.

- A Sienieczka? - zapytała Irka.

- To jeszcze dziecko.

- Ma dziewi lat.

- Dziwne, ja my lalem, e co najwy ej pi . Ale i tak - my l - nie warto, eby szedł z nami.

Wygłaszał swoje opinie autorytatywnym tonem, zrozumiałem, e Henryk przywykł do posłuchu.

- On jest najwa niejszym wiadkiem - powiedziała Irka. - Ty tego po prostu nie wiesz.

225

- Czego nie wiem?

- Zrobili z niego człowieka-ryb . Kiedy b dziemy mówili o do wiadczeniach przeprowadzanych na ludziach to on b dzie najlepszym dowodem.

- Niech idzie - zgodził si Henryk.

- Opowiedz, prosz , dokładniej o szcz liwym mie cie - poprosilem Henryka. -

Sk d ono si wzi ło?

- Posłuchaj - zacz ł Henryk. - Sponsorzy nie s piratami i zbójami. To cywilizacja, która osi gn ła wi cej ni cywilizacja ziemska. Sponsorzy cywilizuj puste planety, urz dzaj , jak i inne cywilizacje, swoje bazy i naukowe posterunki na planetach, gdzie istnieje ju ycie rozumne. Ale powinny przy tym w miar sił

nie wtr ca si do ycia miejscowej cywilizacji. A ju w adnym przypadku nie czyni jej krzywdy. eby nie powstawały nieporozumie , co jakie okre lony odcinek czasu, powiedzmy - co kilka lat, na kolonizowane globy przybywa inspekcja centrum Galaktycznego. Taka wła nie inspekcja przylatuje jutro do Arkadii.

- Ale dlaczego wła nie tam? - zapytałem, rozumiej c ju , e odpowied na to pytanie jest najwa niejsz rzecz w tej rozmowie.

- Dobrze pytasz - Henryk u miechn ł si , jak, zapewne, u miecha si nauczyciel do bystrego ucznia, - Miasto Arkadia zostało stworzone, wymy lone i zbudowane przez sponsorów

specjalnie dla inspektorskich oczu! Oto w tym owalu - wskazał

centrum miasta - jutro wyl duj migłowce i okr ty inspektorów, eby mogli na własne oczy przekona si jak yj Ziemianie.

- Ni diabła nie rozumiem! - wykrzykn łem. - Na co b d patrze ?

- Na szcz liwe miasto Arkadia, które sam zobaczysz jutro - o wiadczył

Henryk. - Najwa niejsze, eby cie przenikn li tu - jego palec znowu d gn ł owal w centrum miasta - doczekali si pojawienia inspekcji i spotkali si z ni , eby opowiedzie o tym, co si dzieje na Ziemi.

- A sk d wiecie, e przylec jutro? - zapytałem.

- Naiwne pytanie, nie wymagaj ce odpowiedzi - powiedział Henryk. - Teraz chod my spa , bo jutro czeka nas trudny dzie .

Spali my wszyscy na parterze bylej szkoły, na podłodze. Ja z Sieni jak zwykle przykryli my si moim kocem; my lałem, e Irka przyjdzie do nas.

226

Kiedy obudzili my si rano jaka nieznajoma leciwa kobieta przyniosła nam gor c herbat ziołów . Potem pojawił si kulawy starzec z du ym workiem.

Wywalil zawarto worka na podłog , a ja zdziwiony zobaczyłem, e s to pi kne szaty. Takich pi knych i kolorowych ubra jeszcze nie widziałem.

- Przymierzajcie - polecil Henryk. Przy pomocy starca wybral ze sterty ubra komplet dla ka dego z nas. Irce przypadła długa do ziemi suknia, bł kitna i wspaniała, pantofelki, jakich nigdy wcze niej nie widziałem, bł kitny kapelusik z białymi piórami i torebeczka do kompletu kapelusika. Sienieczka omal nie p kl

ze miechu, kiedy Irka wyszła, przebrana, z s siedniej klasy. Potem przyszła kolej mia si na mnie - Sienieczka dostal krótkie spodenki , kurtk z wykładanym pasiastym kołnierzem i biały mi kki kapelusik, który starzec nazywał panamk .

Pelzacz, rzecz jasna, nie dostal adnego ubrania, natomiast ja musialem rozsta si ze swoimi krótkimi skórzanym portkami - zreszt , i tak ju si niemal przetarły. Dostałem czarne w skie spodnie, szar koszul , któr miałem wpu ci w spodnie, mi kkie buty, w których mo e dobrze chodziliby si po parkiecie, ale nie po lesie. Dostałem te kurtk , która nazywała si marynarka. Jako udało mi si umocowa swój nó w spodniach, chocia Henryk był niezadowolony i wołał, ebym poszedł do sponsorów bez broni. Ale po chwili poddał si - obiecałem mu bez potrzeby no a nie wyjmowa .

Potem musieliśmy do długo czekać. Kto miał po nas przyjechać, ale ci go nie przyjeżdżał.

- A skąd jest to ubranie? - zapytałem.

- W takich ubraniach chodzi mieszkańcy tego miasta - wyjechała Irka.

- Musimy wyglądać dokładnie jak oni.

Czekali my dalej.

Potem zapytałem:

- A skąd je mamy?

- Z miasta - odpowiedziała Irka.

W długiej sukni i kapelusiku wyglądała zupełnie inaczej, bardziej kobieco, delikatnie. Podobała mi się taka jeszcze bardziej.

- A gdzie Markiza? - zapytałem.

- Zobaczysz ją - obiecała Irka.

- Nie wysłali jej do sponsorów? - zapytałem.

- Może dzisiaj odleci.

Wszedł szybkim krokiem Henryk.

- Wychodzimy - powiedział. - Wszystko gotowe.

227

Przed szkołą stał duży furgon, zaprzęgnięty w parcie koni. Furgon był

zielony, na bokach miał wymalowane owoce i warzywa w naturalnych kolorach.

Wyglądało to bardzo ładnie.

Na kołach siedział rumiany młody człowiek w ubraniu podobnym do mojego, tylko zamiast marynarki miał na sobie kurtkę. Prócz tego na głowie miał okrągły czarny kapelusz.

- Najważniejsze - powiedział Henryk - niezauważalnie przedosta się do szczytowego miasta.

- W tym furgonie? - zdziwiła się Irka.

Wówczas obejrzał się i uśmiechnął. Miał siwe włosy w siodło.

Henryk podszedł do furgonu i otworzył jego tylne drzwi. Stały tam skrzynki z warzywami.

- A my gdzie się zmierzamy? - zapytała Irka. - Wybrudź tu sukienkę.

- Nie tu - zgodził się wówczas. - Tutaj migiem was znajdę.

- No to gdzie si schowamy? - zapytałem.

Wo nica podszedł do furgonu od tyłu i gestem sztukmistrza przekr cil jak d wigienk .

Pod furgonem otworzyła si drewniana klapa, zakrywaj ca dług skrzyni , przymocowan do dna furgonu. Skrzynia miała mniej wi cej pół metra wysoko ci.

- I my mamy tam wle ? - zapytała przera ona Irka.

- Innego sposobu, eby si do nas dosta , nie ma - o wiadczył wo nica. -

Posterunki na drogach - raz, pole siłowe - dwa.

- Mo e lepiej migłowcem? - zapytałem. Te mi si nie chciało włazi do ciemnej skrzyni.

- migłowiec zestrzel po minucie lotu - prychn ł wo nica.

- Nie tra cie czasu na puste gadanie - powiedział Henryk.

- Tobie to dobrze - odgryzła si Irka - ty nie musisz tam włazi .

- Nast pnym razem wlez - u miechn ł si Henryk.

Wle li my do skrzyni, wla ciwie - wepchni to nas. Było tam ciemno i ciasno, wiatło przenikało tylko przez w skie szczeliny. Le ałem na brzuchu, Irka wolala uło y si na plecach. Pełzacz przyłgn ł do mnie - był chłodny, a ja bałem si , e mo e wczepi si we mnie pazurkami, którymi ko czyły si jego krótkie łapy.

- Jak tam, Sienie? - zapytałem.

228

Chłopiec pierwszy wlał do skrzyni.

- Jeszcze yj - padła odpowied .

Furgon wolno potoczył si po nierównej drodze, od razu odczuli my wszystkie niedogodno ci podró owania w skrzyni.

- Po co komu taka skrzynia? - zapytałem.

- Do przemytu - wyja niał Irka. - Od dawna zajmuj si kontraband . A nam udało si podł czy do tego ła cucha dopiero niedawno.

Furgon nie piesznie, podskakuj c na wybojach i kiwaj c si na grubych elaznych resorach toczył si po drodze. Zerkalem w w sk szczelin , która znalazła si akurat pod moim prawym okiem.

Widziałem wiejsk drog , poro ni t mi dzy koleinami rzadk traw . Kurz, wzbijany w powietrze kołami, trafiał w szczelin , i musiałem mru y oczy, eby nie za miei oczu.

- Powiedz mi - zapytałem odwracaj c głów do Irki - jak si dowiedzieli cie, e akurat jutro przyleci inspekcja?

- Dowiedzieli my - mgli cie odpowiedziała Irka.

W tym momencie usłyszałem głos pelzacza, który kolejny raz zadziwił mnie swoj wiedz .

- Wy, ludzie, jeste cie bardzo chytry - powiedział swoim skrzypi cym głosem.

- Markiza odlatuje dzisiaj do Centrum Galaktycznego. Sijniko powiedział, eby była dzisiaj gotowa .

- Milcz! - niespodziewanie warkn ła Irka. - To Tima nie dotyczy.

Zrozumiałem, e jest zazdrosna. Nie, nie chodziło o mnie, po prostu - Irka uwa ała siebie za potwora z powodu blizny na twarzy i wybitych z bów. Pewnie te chciała polecie do Centrum Galaktycznego i sta si pi kn . Tyle e nikt jej nie zaproponował. Tak przynajmniej dla siebie zinterpretowałem jej zdenerwowan wypowied .

- Dlaczego Sijniko wysyła j ? Czy innych ludzi te wysyłali?

- Wysyłali - krótko odpowiedziała Irka.

- Polecie statkiem kosmicznym? - doleciało do nas pytanie Arseniusza.

- Je li Markiza ma by gotowa, znaczy - przyleci statek z Centrum Galaktycznego - powiedział pelzacz.

- Hej! - usłyszałem głos wo nicy. - Milczcie. Za chwil punkt kontroli.

Trz sło wcale nie mniej, ale troch inaczej. Przez szczelin widziałem okr gly bruk - furgon wyjechał na kocie lby. Dały si słysze niewyra ne głosy. Wo nica pogonił konie, wyobraziłem sobie jak naci ga lejce. Lubi konie - w szkole 229

gladiatorów chciałem by dobrym rycerzem i otrzyma konia; póki co sam zgłaszałem si do pracy w stajniach, do sprz tania boksów, czyszczenia koni, karmienia. Konie te mnie lubiły - konie wyczuwaj ludzi.

Furgon zatrzymał si .

- Co tam wieziesz? - usłyszałem szorstki głos.

- Zobacz.

Furjon kiwn ł si lekko. Domy liem si , e wo nica zeskoczył z kozła.

Dokładnie nad nami deski nieco si wyginały - chodził nad nami człowiek, który przesuwał skrzynki, grzebał w kartoflach, rozrzucał głowy kapusty. .

- Hej tam, troch ostro niej - powiedział wo nica stoj cy za furgonem. - Wioz to do sklepu!

- Przymknij g b , bo ja ci przymkn ! - zagroził szorstki głos.

Ale kontrola wypadła pomy lnie. Wylazł z furgonu.

- Dwie główki to za du o - powiedział wo nica. - Prosz wzi jedn .

- Nie gada ! - rozzło cił si wła ciciel szorstkiego głosu. - Wynocha mi st d!

Wszyscy si m drzy porobili - jedna główka, dyni nie rusza , kartofli - nie rusz!

A ja ma troje do wykarmienia! Czym mam to zrobi ?

- Ju dobrze, dobrze - powiedział wo nica. - Spokojnie. Idziemy.

Poczułem, jak włazi na kozła.

- Wwwio! - krzykn ł do koni.

Furjon poturlał si po brukowanej jezdni.

- Ale fajnie - powiedział Sienia - bo ju mnie nos zacz ł sw dzie , jeszcze troch i bym kichn ł.

- Teraz kichaj - powiedziałem. - Teraz mo esz.

- Teraz mi si nie chce.

Jechali my jeszcze jakie pół godziny. Furjon potoczył si pod gór , potem gwałtownie zacz ł zje d a w dół i wo nica mocno osadzał konie. Kocie lby zmieniała kostka brukowa wi c nieco mniej trz sło. Od czasu do czasu słyszeli my odgłosy, jakby jad cych na spotkanie powozów. W ko cu furjon skr cił z głównej ulicy w w sk , niebrukowan , zakr cił i troch si cofn ł. W skrzyni zrobiło si ciemno.

Wo nica zeskoczył z kozła i otworzył drzwi furgonu, a potem pokryw skrzyni.

Pomagaj c sobie wzajemnie z trudem wypelzli my na zewn trz.

Pelzacz był najbardziej z nas ruchliwy i pierwszy zeskoczył na ziemi .

Wo nica, najwyra niej, zapomniał jak wygl da jeden z pasa erów, odskoczył i zakł ł.

- Taki du y a si boi - os dził go Sienia, który - z kolei - zapomniał jak sam bał si pelzacza.

Furgon stał tyłem do otwartych drzwi magazynu czy szopy.

- No to teraz odpoczywajcie - powiedział wo nica.

U miechał si z ulg .

- Bałem si - powiedział - e kto z was kichnie czy si poruszy. Ci na posterunkach s li - wystarczy małe podejrzenie i ju strzelaj . Mieli my ju takich zabitych.

- Kto zgin ł ? - zapytałem.

- Ci co si bawi w szmugiel.

Wo nica wyci gn ł z kieszeni gar monet i banknot.

- To dla was - powiedział. - Jak zgłodniejecie, mo ecie przespacerowa si po mie cie. Tu, na ulicy Białych Ró , jest bar, niedrogi, a daj smacznie je . Tam sobie przek cie.

- Jak to - przek cie? - zdziwiła si Irka. - To nie jest niebezpieczne?

- Ju nie - u miechn ł si wo nica. - Ju min li my kontrol . Teraz jeste my w Szcz liwym Mie cie. Tu wszyscy maj wszystko w nosie, jasne?

- Nie, nie jasne. Chyba lepiej sied my do wieczora w magazynie.

- Jak chcecie - powiedział wo nica. - Nie jestem wasz nia k . Tylko eby cie tu byli jak si ciemni. Ma po was kto przyj , kto poka e wam, jak mo na przedosta si do centrum. Ale bardzo w tpi .

Z tymi słowy odwrócił si i odszedł, zostawiaj c nas samych.

Szopa była pusta. Od dawna nie było tu adnych towarów - w k tach szele ciły szczury, k ty i sufit zaci gn ły paj czyny.

Odchodz c wo nica przymkn ł ci kie drzwi szopy. Slysze li my jak turkoc koła odje d aj cego furgonu.

- Posiedzimy to do zmroku - powiedziała Irka, która dowodziła nasz dru yn .

- W nocy musimy przenikn do Wie y Obserwacyjnej.

- Dokąd? - głośno zapytał z kłopotem Sienieczka - w szpitalu, w poszukiwaniu czegoś jadalnego. Stał głodny. Zresztą, w tym czasie głód mu nie groził -

mieliśmy cały worek jedzenia.

231

- Pamiętasz owal na planie? - zapytała Irka, ale nie Siek, a mnie. - To właśnie nie jest Wieś. Z jej szczytu sponsorzy i inspektorzy, a czasem i turyści z innych planet, mogą obserwować naturalne warunki życia typowego ziemskiego miasta.

Tam właśnie musimy się dostać.

- Czy to znaczy, że oni nie przylatują do samego miasta?

- W żadnym wypadku! - oświadczyła Irka. - Państwo sponsorzy i ich goście twardego trzymają się zasady nieingerencji. Każda opóźniająca cywilizacja powinna rozwijać się naturalnym sposobem. Można jej pomóc w przyspieszeniu rozwoju, ale w żadnym wypadku nie wolno przeszkadzać czy eksploatować planety -

Galaktyczna Wspólnota stworzona została w szlachetnym celu.

- A jak się przyglądam? - zapytałem.

- Zobacysz wkrótce - obiecała Irka.

- Ona sama nie wie - wtrącił się Sienieczka.

Podszedł do drzwi i wyjrzał przez szparę.

- Nie ma tu nikogo - powiedział. - Mogę się przejść?

- Poczekaj - powiedziała Irka. - Na razie nie możesz.

Ale Sienieczka, rzecz jasna, nie usłyszał odpowiedzi i wymknął się przez szparę.

Irka podbiegła do drzwi i zaczęła wyglądać na zewnątrz.

- Już za późno - powiedziałem. - Już wyszedł.

- Pójdź po niego, może zepsuje całą akcję. Czy ty nie rozumiesz, jakie to ważne?

Podszedłem do drzwi i też wyjrzałem.

Drzwi szopy wychodziły na krótką pustawę uliczką, przy której znajdowało się kilka podobnych do naszego magazynów i innych pomieszczeń typu usługowego.

W końcu ulicy widać było wodę - rzekę czy jakiś inny zbiornik wodny. W

tamtę stronę podbiegł Sieniec.

Po drugiej stronie tafli wody pojawiła się w górę gładka betonowa czy też plastikowa biała ściana, która się podnosiła do samego nieba.

Wyszedłem na zewnątrz i skierowałem się do zbiornika wodnego, tropem chłopca. Opanował mnie niepokój, Od razu domyśliłem się, że mam przed sobą Wieżę Obserwacyjną, i młodego, zdradziwego chłopca, który mnie zawalił.

operacji .

- Sienia! - krzyknęłam i biegłam. - Sienia, natychmiast wracaj!

Chłopiec nie słyszał, albo nie chciał słyszeć mnie. Dobiegł do wody i zatrzymał się. Wystraszyłem się, że zanurkuje, ale z jakiego powodu zawahał się.

232

Wypadłem z przejścia między magazynami i znalazłem się na płaskim, porośniętym tymi niskimi murawami i brzością brzegu rzeki, która omywała gładką wysoką wieżę.

Nie byliśmy na brzegu sami - na skarpie siedzieli rzędem w dół, wszyscy trzymali w dłoń i wszyscy mieli - jak należało - białe albo słomiane kapelusze.

Nasz widok wcale nie wzniecił popłochu, jak się obawiałem; łowili dalej, tylko jeden z nich, facet zadartym nosem i siwym kompletem w sów i bokobrodów, w pasiastym waciaku i pasiastych spodniach, przyłożył palec do ust, uprzedzając, żebyśmy nie straszili ryb. Kiwnęłam uspokajająco głową i kontynuowałem po cichu za Sienieczką, którego udało mi się złapać w chwili, kiedy ten już szykował się do skoku do wody. Tak się spieszyłem ze złapaniem go, że w rezultacie złapałem za ucho, chłopiec znieruchomiał i zaczął jęczeć.

Nie wiedząc co robi dalej odwróciłem się i zobaczyłem, że po brzegu, chwyciwszy w ręce długie niebieskie spódniczki, zgrabna jak marzenie, biegnie licznotka, na którą wytrzeszczam gały nie tylko ja, ale i wszyscy w dół.

licznotka podbiegła do nas i otworzyła usteczkę, ukazując brak przednich zębów, co, oczywiście, zburzyło jej idealny obraz w oczach tych, co blisko niej się znajdowali.

- Młody człowieku - powiedziała niezbyt głośno, ale zdecydowanie, zwracając się do Sieni. - Twoje szczęście, że Tim ci złapał wczoraj nie ja. Teraz, hultaju, o mało co nie zawałiła operacji, dla sukcesu której niektórzy ludzie już zginęli, a inni jeszcze zginą. Operacji, od której zależy przyszłość Ziemi.

Mimo że mówiła cicho wydawało mi się, że od jej głosu kołyszą się betonowe ciany cytadeli sponsorów. W dół powinni byli w panice uciec na te słowa. Ale w dół niczego nie słyszeli i nadal rozkoszowali się promieniami słoneczka.

Sienieczka zbladł ze strachu. Wydawało mi się, że nigdy jeszcze w życiu tak się nie wystraszył.

- Ja tylko przekopałem i od razu na brzeg. Nie myślałem, że. Nigdy wcześniej już nie było - mamrotał malec. Zrobiło mi się głupio. Irka zobaczyła, że moja ręka kieruje się do jego głowy, żeby go pogłaskać i uspokoić; w mgnieniu oka runęła do przodu i szarpnęła mnie za rękę.

- Nie wa si - wrzasn ła szeptem. - Skoro robi dziecku reprimande, to ty, Lancelocie, b d
uprzejmy, pocierp chwil i nie mieszaj si , jak babunia do procesu pedagogicznego! Pestalozzi
cholerny!

Stan li my z Sienieczk jak wmurowani - okazało si , e Irka zna takie uczone słowa!

- Chod my st d - polecila. - W dkarze ju nas zapami tali. Na pewno kto pobiegnie i zakabluje
nas.

233

Ruszyli my z Sienieczk pokornie i z poczuciem winy za ni po zielonym brzegu. Było ju gor co,
cho dzie nie doszedł jeszcze nawet do południa. Lekkie kł biaste obłoki tajały zbli aj c si do sło
ca, jakk gdyby jego ciepło wysuszało je.

Wrócili my pod magazyny i zatrzymali my si , eby przyjrze wie y.

Najbardziej przypominała betonowy pie . Jego rednica wynosiła jakie sto metrów, wysoko -
jeszcze wi cej. W górnej cz ci gładkich cian wida było okna typu strzelnice, a górna kraw d wie
y miała wyra ne z by.

Podstawa pnia gin ła w wodzie - ciemnej, wartkiej rzeczce, szerokiej jak ulica, na której
swobodnie mijaj si cztery samochody. Wydało mi si dziwnym, e rzeczka jest taka wartka,
przecie na planie miała kształt zamkni tego pier cienia

- fosy. Rozumiałem, e b dziemy musieli pokona t przeszkod wodn , ale nie wyobra ałem sobie
jak. Tym bardziej nie miałem poj cia co potem - nie było mowy o wspi ciu si na stumetrow
betonow cian .

Jednocze nie ujawniła si jeszcze jedna przeszkoda.

Jeden z w dkarzy podniósł si , zobaczyłem, e jego sławik, odci gni ty do oporu w prawo przez
pr d, znikn ł od wod , a w dkarz zaci ł i poci gn ł

zdobycz do siebie. Srebrna rybko wyskoczyła z wody, ale w tej samej chwili z wody wysun ła si
straszliwa paszcza, zako czona ostrym drapie nym dziobem.

Otworzył si pysk - potwór chwycił rybk i połkn ł j wraz z haczykiem i przyn t . W dkarze j kn li
chórem i zbiegli si do kolegi wyrazi swoje współzucie. Ale wida było, e wcale nie s zdziwieni
incydentem - widocznie wiedzieli, co si czai w otaczaj cej wie fosie. Jaka lodowata dło chwyciła
i cisn ła moje serce: wyobraziłem sobie jak wejdziemy w nocy do tej wody i jak potwory po r
Irk i Sienieczk . O sobie jako nie pomy lałem.

- Co to? - zapytał Sienieczka. - Nigdy czego takiego nie widziałem.

- Ja te nie widziałem - przyznałem. - Ale s dz , e w nocy one pi .

- Tylko nie wpadajcie w panik - powiedziała roze lony Irka. - Ju macie ochot zwia gdzie oczy ponios .

- Nikt nie zamierza ucieka - powiedziałem.

- Pełzacz załatwi je jak koci ta - powiedziała Irka.

Miałem wra enie, e ostatnie zdanie wymy liła wła nie chwil temu.

- Chod my, obejrzymy miasto - powiedziałem, eby tylko za egna klótni .

- Im mniej b dziemy spacerowa , tym mniej wpadniemy w oko - zaproponowała Irka.

- Jestem ciekaw jak si yje w szcz liwym mie cie Arkadia!

234

- Ja te jestem ciekaw - doł czył si Sienieczka.

- Dobrze - zgodziła si Irka. - Tylko niczego nie dotykajcie, nie ci gajcie na siebie uwagi, nie bijcie si i nie kló cie.

- Jasne - powiedziałem. - Nie ma sprawy.

Rozumiałem, e Irka nie mniej ni my chce si przej po bajecznym mie cie.

Przecie nawet je li prze yjemy, to nigdy tu ju nie trafimy. Irka obejrzała nas krytycznie, kazał mi wyczy ci plam na spodniach, a Sie ce strzepn czapk i wyczy ci traw buty.

- Je li kto was zapyta o co - pouczyła nas - jeste my szcz liw rodzin : Becker-ojciec, Becker-matka i Becker-syn.

- A kto to Becker-syn? - zapytał Sienieczka.

- Ty, mój skarbie - powiedziała Irka i pstrykn ła go paznokciem w czoło.

- Akurat! - oburzył si malec i chwycił mnie za r k . - Wol spacerowa z Timem, on mnie nie tłucze - wyja nił swój postaw .

Min li my magazyny. Prowadz ca do nich gruntowa ulica wlała si w prawdziw ulic , brukowan .

Z obu stron ulica znajdowały si niewysokie płotki, w których kwitły bzy i tulipany. Za płotkami ci gn ły si parterowe przytulne domki kryte czerwonymi dachami, pomalowane na wesole kolory. Z kominów wily si dymy, a z kuchennych okien snuly si apetyczne zapachy.

Gdzieniedzie w ogródkach grzebały si w ziemi staruszki, sadyły rozsady, pielily grz dki. Na nasz widok niektóre z nich prostowały swoje stare plecy i uprzejmie si z nami witaly. My, rzecz jasna, witali my si z nimi.

Z niektórych otwartych okien donosily si przyjemna muzyka. Zajrzałem do jednego z nich i zobaczyłem, e tam, przy niewielkim pianinie, siedzi miła dziewczynka z kokiem na głowie i gra.

Sienieczka szedł z rozdziawion buzi - nikt z nas niczego podobnego nie widział, ale my z Irk ukrywali my jak mogli my swoje zdziwienie, a Sienieczka nawet nie zamierzał ukrywa oszólomienia.

Kiedy krótka willowa ulica sko czyła si skr cili my w inn , gdzie z reguly nie było płotków przed domami, a i same domy były wi ksze, pi trowe, murowane.

Na parapetach wychodz cych na ulic okien stały doniczki z kwiatami oraz akwaria i klatki ze piewaj cymi ptakami. Czasem spomi dzy nich wygl dała głowa babci czy dziadka i u miechała si do nas. My u miechali my si w odpowiedzi.

Wszystko co wpadło nam w oko miało cechy zadowolenia, syto ci i uporz dkowania.

235

Na ko cu tej ulicy, która - s dz c po tabliczce na pocztowej skrzynce pierwszego domu - nosiła nazw Jabłoniowej, znale li my bar "Przytulny", który zajmował parter niedu ego ró owego domu. Przed otwartymi drzwiami na chodniku stały pod pasiastymi parasolami dwa stoliki przykryte obrusami w kratk . Zajrzeli my do wn trza, w nim znajdowały si równie stoliki. Przy jednym siedział bładny chudy człowiek w czarnym garniturze. Na podłodze obok niego le ał kł bek sznura i wysoki czarny kapelusz, który, jak si dowiedziałem pó niej, nazywa si cylinder. Czarny człowiek jadł du ły k lody owocowe z kryształowej wazy.

Zewn trzna ciana baru była przeszkłona, widzieli my przez ni wie . To był

ładny widok.

- Dzie dobry - powiedziała Irka, która szybciej ni ja przystosowywała si do nowej sytuacji. - Mo emy zje tu niadanie?

- Jestem kominiarzem - uprzejmie wyja nił człowiek w czarnym garniturze. -

Jem teraz drugie niadanie. Czeka na mnie praca. Ale zaraz jako pa stwu pomo emy. Jeleno! Jeleno Konstantynowno!

Natychmiast zasłonka, kryj ca tylne drzwi, otworzyły si i do pomieszczenia wbiegła na paluszkach młoda pulchna kobieta w ró owej długiej do podłogi sukience z falbankami, z wysoko upi tymi włosami, spi tymi na górze grzebieniem obsypanym cekinami.

- Ach, przepraszam - powiedziała pulchna damulka. - Tak si w kuchni zaczytałam. Nowa powie Turgieniewa! Podoba si pa stwu Turgieniew?

Nagle ogarn ło mnie dziwne uczucie - czy otaczaj nas prawdziwi ludzie? Mo e to tylko organiaki, szcz liwe roboty?

- Na co mamy apetyt? - zapytała damulka.

- A co jest? - zapytała Irka.

- Wszystko zale y od tego, czy mocno si piezycie czy umiarkowanie. Je li mocno to proponuj kanapki z serem, kaw z mlekiem i herbatniki.

Sienieczka gło no przelkn ła lin .

- Ale my si nie piezimy za bardzo - znalazła si Irka.

- No to - jajecznic z trzech jaj na w dzonce dla ka dego. U ywacie pa stwo w dzonki? Jest nieco tłustawa dzisiaj.

- Niech b dzie! - zadysponowała Irka.

- Ju za chwilk , ciesz si , e mog by pomocna.

Damulka pobiegła na zaplecze pod piewuj c w biegu. Czarny kominiarz wstał od stołu, poło ył na nim banknot i wyszedł nie egnaj c si .

236

- Chc mieszka w tym mie cie - o wiadczył Sienieczka.

- Pewnie ni - powiedziała Irka. - Trzy jajka na głow . Chyba przez całe swoje ycie nie zjadłam trzech jaj.

- Ja te ! Ja te ! - roze miał si Sienieczka.

- Jestem tylko ciekaw czy wystarczy nam pieni dzy? - u wiadomiłem sobie. -

Bo inaczej mo emy zawali cał operacj .

- Pewnie wystarczy - powiedziała Irka.

- Jeszcze chwila! - zawołała, wysuwaj c głow z za zasłonki, wła cicielka baru, -

Je li pa stwo chcecie prosz usi

na ulicy, przynios tam pa stwu zamówienie,

- Wła nie, tam jest lepiej - powiedział Sienieczka i wyszedł pierwszy.

Usiedli my przy stoliku. Z zadowoleniem przyjrzałem si swoim współtowarzyszom. Zdziwiał ce - jak szybko ludzie przyzwyczajaj si do sprzyjaj cych warunków. Siedzieli my, niczym szcz liwa rodzina z jakiej przeczytanej przeze mnie ksi ki. wieciło przyjemne sło ce, ulica, wybrukowana równymi, starannie dobranymi kostkami, były czysta, jak podłoga w mieszkaniu. Nie daremnie ka dy, kto słyszał o Szcz liwym mie cie, marzy by zamieszka w nim.

Po ulicy szli ludzie, niektórzy witali si z nami. Wygl dali staromodnie i byli podobni do aktorów ze starej sztuki.

- Ciekawe - powiedział Sienieczka. - Jak yli ludzie przed sponsorami?

- Ró nie - wymijaj co powiedziała Irka.

Zrozumiałem, e ona te nie bardzo wie, jak to było.

Gospodyni baru zbli yła si do nas z tac .

Postawiła na rodku naszego stołu du patelni z jajecznic , po czym rozstawiła talerze i rozło yła no e i widelce. Zabierała si ju do odej cia, ale nagle zauwa yła jak Sienieczka usiłuje widelcem zahaczy kawalek jajecznicy.

Błyskawicznie sympatyczna kobieta spurpurowiała i sykn ła:

- Zwariowali cie! Nie rusza ! Nie wolno!

Zdziwiony Sienieczka schował r ce pod stół, s dz c, e kobiet zdenerwowały jego błony. Ale przyczyna jej zdenerwowania kryła si gdzie indziej.

Kobieta plasn ła pulchnymi r kami:

- Czy wy jeste cie pierwszy raz w barze?

- Czym zdenerwował pani chłopiec? - zapytałem.

237

- No bo gdzie d ga widelcem, co? Kopi chce zmarnowa ? Gdzie ja zdob d now , pytam si was? A bez kopii zamkn mi zakład.

- No to co mamy je ? - zapytała Irka.

- Zaraz przynios chleb - odpowiedziała pulchna kobieta. - A jak kto jest głodny, to mog da

herbaty, z owsiank . Ode mnie nikt głodny nie wychodzi, nie to co z "Savoya". Tam maj tylko kopie, wyobra acie sobie?

Wyci gn lem r k i dotkn lem jajecznic . Była zimna i liska. Wykonano j z plastyku.

- Ale po co nas pani oszukuje? - zdziwilem si . - Przecie pieni dze za jajecznic pani we mie?

- Jasne, a co mam bra - za prosiaka? Nie podawałam prosiaka!

- Kogo pani oszukuje?

- Nikogo nie oszukuj ! - rozgniewała si pulchna kobieta. - Wykonuj zarz dzenie Rady ywienia Społecznego Arkadii, które mówi: "W przypadku braku artykułu spo ywczego lub towaru nakazuje si zast pienie go odpowiedni atrap o zewn trznym podobie stwie".

- Ale po co?

- Po to, e mog stamt d zobaczy ! - Gospodyni ciszyła głos i ruchem głowy wskazała wie .

- Jasne - powiedziała Irka, która kojarzy szybciej ni ja. - Prosz przynie herbat i owsiank . Nie ruszymy tej pani jajecznicy. A du o rzeczy brakuje?

- Ach, szkoda gada ! Niczego nie dostarczaj !

Gospodyni ukloniła si i z widoczn ulg odeszła od naszego stolika. Przyniosła nam po chwili lepk owsiank i ciepł wod - herbat , po czym stan ła pod cian i nie odrywaj c od nas wzroku przygl dała si . Napotkawszy moje pytaj ce spojrzenie oznajmiła:

- Musz patrze . W ubiegłym tygodniu ukradli talerze. A co si tyczy fili anek to po prostu katastrofa. Nie, nie oskar am nikogo, ale tak brakuje fili anek, e ludzie posuwaj si do przest pstw. Prawda?

- My jeste my przyjezdni - mrukn lem ponuro. Owsianka była niedosolona, niesmaczna, jakby przygotowana z opilek.

- Znamy takich przyjezdnych - odpowiedziała gospodyni.

Skasowała od nas za niesmaczne niadanie po sze rubli - prawie wszystkie pieni dze, jakie dał nam wo nica.

238

- W ko cu - powiedziała Irka - to jest nawet mieszne. Czy rzeczywi cie uwierzyłe w to, e w naszym kraju mo e istnie szcz liwe miasto?

Nie odpowiedziałem.

- To dlaczego obiecała jajka? - zapytał Sienieczka.

- Dlatego, e ona bawi si w bar - opowiedziała mu Irka.

Pomy lałem, e ma racj . Przecie jeste my w mie cie wymy lonym ii zrealizowanym przez sponsorów, a co sponsorów obchodzi, czy naprawd szcz liwi s mieszka cy tego miasta.

"Delikatesy Obfito

" głosiła wywieszka nad parterem innego domu.

Wchodzili tam ludzi z pustymi torbami a wychodzili z pełnymi. Nawet torby były ładne i miały wymalowane na ciankach najprzeró niejsze artykuły spo ywcze.

Przednia cianka sklepu była przeszklona, a wewn trz sklep był dobrze o wietlony, przypominał wi c akwarium, w którym pływały rybki.

Stali my na zewn trz, nie wchodz c do sklepu, i przygl dali my si , jak ludzie wchodz do delikatesów, podchodz do gablot, przygl daj si le cym tam towarom.

Nabrałem ochoty by obejrze sklep od wewn trz, zaproponowałem wi c reszcie, eby poszli ze mn

Niewielka kolejka składaj ca si z porz dne ubranych mieszka ców Szcz liwego Miasta stała obok gabloty, w której le ały kielbasy ró nej grubo ci, długo ci i koloru. Ekspedientka w białym fartuszk i białym koronkowym czepeczku u miechaj c si sympatycznie wa yła w dliny.

- Co to jest? - zapytał Sienieczka, który nigdy w yciu nie widział kielbasy.

Ja byłem, w ko cu, od niego starszy i raz kiedy w szkole gladiatorów pocz stowano mnie kielbas

- Zaraz ci kupi - powiedziałem. - To jest kielbasa.

Przede mn stał m czyzna w rednim wieku w długim zielonym płaszczu i mi kkim kapeluszu na głowie. Odwrócił si słysz c moje słowa.

- Jeste cie przyjezdni? - zapytał uprzejmie.

- Tak, jeste my tu od niedawna - powiedziałem, a Irka u miechn ła si nie otwieraj c ust.

M czyzna pieszczotliwie pogłaskał Sienieczk po głowie.

- Dzisiaj jest niespecjalnie udany dzie - powiedział. - Jutro przywioz mortadel i serwolatk .

Dostałem poufną wiadomość. Na waszym miejscu kupowałbym jutro.

- Timek - Sieneczka pocięła mnie za rękaw. - Tam leży nieprawdziwa kielbasa - wskazał gablotę. - Ona jest namalowana.

Nasiś siedzi z kolejki udawali, że nic nie słyszą, ale Sieneczka nie ustępował, a wtedy starucha w mantylce poprosiła:

- Proszę kazać milcze swojemu chłopcu. Możemy mieć przez niego nieprzyjemności. A nie chcielibyśmy tego.

- Sienia! - warknąłem.

Teraz dopiero zobaczyłem, że ludzie, których kolejka nadeszła, wskazywali którą z kielbasianych atrap, lecz w jasno oświetlonej gablocie, ale ekspedientka, miło się uśmiechając, odcinała niewielki kawałeczek od jedynego kawałka grubej prawdziwej kielbasy, lecz przed nią.

Kiedy doszła kolej do starszawego mężczyzny w zielonym płaszczu, podał ekspedientce kwadratowy kawałek papieru, i ten dostał kawałek kielbasy.

Ogarnęło mnie przecucie czegoś nieprzyjemnego.

I miałem rację.

- Kartka? - powiedziała ekspedientka, zawieszając nóż nad kawałkiem kielbasy.

- Mamy pieniądze - powiedziałem.

Irka milczała. Sieneczka wysuwał nos ponad ład.

- Powiedziałam - kartka! - podniosła głos sprzedawczyni.

Jednocześnie uśmiech nie zniknął z jej oblicza.

- Obywatele, nie wstrzymujcie kolejki - powiedział ktoś z tyłu.

Szacowna starucha w mantylce odepchnęła Irkę i zaczęła odpychać mnie od lady.

Mężczyzna w zielonym płaszczu, który po odejściu od lady zatrzymał się, by obwiesić swoją kielbasę, powiedział pouczająco:

- Przecież nie możemy dzielić się kielbasą z takim przyjeźdnym.

- Ale my tego chcemy! - wtrącił się Sieneczka.

- Jedzcie u siebie w domu - powiedziała starucha w mantylce; zd yła ju odebra swój kawalek kielbasy.

240

Leciwy m czyzna wyszedł wraz z nami. Chyba bało mu niezr cznie. Na oko był dobrym człowiekiem.

- Powinni cie nas zrozumie - powiedział on. - Znajdujemy si w kleszczach deficytu. Na szcz cie wystarcza nam ywno ci, by zagwarantowa potrzeby ludno ci. I teraz, musz to powiedzie gło no, sytuacja nasza stale si polepsza.

Starucha w mantylce poszła w prawo, on - na lewo.

Ci gle stali my pod sklepem. Sienieczka obejrzał si na wystaw - była bogato udekorowana plastikowymi kopiami ró nych artykułów ywno ciowych.

- Kogo oni oszukuj ? - retorycznie zapytała Irka.

- Kochana - powiedziałem - zapomniała , e nasza planeta od stu lat cierpi pod buciorem przybyszy. Gdyby my to my rz dzili Rosj , kielbasy byłoby do woli.

Spacerowali my jeszcze około godziny po mie cie, które okazało si niewielkie.

Zwróciłem uwag na to, e wszystkie ciany, wychodz ce na betonow Wie , były prze roczyste a pomieszczenia za nimi były jasno o wietlone, jak delikatesy czy dział skarpet i po czoch w domu towarowym.

Ale prócz sklepów prze roczyst cian miał zakład usługowy, gdzie dziewcz ta wy piewuj c wesole pie ni, szyły sukienki i inny zakład, w którym stolarze produkowali krzesła. Stolarze byli jeden w drugiego, chłopcy malowani, młode zuchy. U miechali si do nas przez szklan cian tak niewymuszenie, e odruchowo u miechali my si do nich.

W ko cu trafili my na dworzec. Dworzec nie był du y, prowadziła do niego tylko jedna nitka torów. Poci g, składaj cy si z dwóch otwartych wagoników i połyskuj cego miedzianymi elementami parowozu z długim lejkowatym kominem, czekał na nas przy peronie, po którym tragarz popychał wózek z walizkami i spacerował dy urny ruchu w czapce z czerwonym otokiem.

Stadko dziewcz t w jednakowych br zowych sukienkach i białych fartuszkach wyfrun ło na peron i szczebiocz c zaj ło miejsce w pierwszym wagoniku.

Ładna kobieta ze zło on parasolk w r ku patrzyła na poci g nie zamierzaj c jednak wsiada do niego.

- Jedziemy? - zapytał Sienia.

- Ale nie wiemy dokąd jedzie ten pociąg - powiedziałem. - Nie wiadomo dokąd może nas zawieść.

- Prosz mi powiedzcie, dokąd jedzie ten pociąg? - zapytała uprzejmie Irka dyurnego ruchu.

- Macie bilety? - zapytał w odpowiedzi.

241

Nie wiem co spowodowało, więc popatrzyłem w prawo, frontowa ciana dworca była ze szkła.

- Na kartki? - zjadliwie zapytał Sienieczka.

- Bez kartek - odpowiedział mężczyzna w czerwonej czapce.

Parowóz gwizdnął.

- Właćcie, właćcie! - poleciała czerwona czapka. - Zapłaćcie w rodku.

Odwróciłem się do ładnej kobiety. Przeczytała w moim wzroku nie zadane pytanie i odpowiedziała na nie:

- Prosz się nie martwić, wróci na ten sam peron.

Weszliśmy do drugiego wagonu. Zabytkowy wagon, pozbawiony cian, podzielony był na niewielkie przedziały. Zajęli my jeden z nich, a Sienieczka zaczął skakać po moim siedzeniu. Naczelnik stacji w czerwonej czapce pogroził mi berłem i zagroził:

- Przestań chuliganie, bo ci usunę z pociągu!

Potem uniósł berło, parowóz jeszcze raz gwizdnął i, gwałtownie ruszając szarpniętym wagonem tak, że musieliśmy trzymać się ławek i siebie nawzajem.

Dziewczyna w sąsiednim wagonie zaczęła tak piszczeć, że niemal nas ogłuszyła.

Za drugim razem parowóz zdołał ruszyć pociąg, cioko dyszczący pociąg

wagony wzdłu peronu. Ładna kobieta podniosła rękę z chusteczką, obejmując nas.

Pomachałem do niej, zrobiło mi się jej przykro.

Pociąg potoczył się nabierając prędkości. Przy torach znajdowały się niewielkie ogródki, w których pracowali ludzie. Ale te ogródki raczej nie były widoczne z Wierzy - pomylano je tak, aby kryły się w cieniu domów. W ogóle przed naszym wzrokiem pokazało się jakby drugie oblicze Arkadii. Od poszewki miasto nie było już takie wesołe, czyste i ładnie pomalowane.

Z drugiej strony torów ci gn 1 si zielony nasyp, wietnie widoczny z Wie y.

Na nim nie bylo budynków ani ogrodów, ale co jaki czas zdobily go kwietniki.

Nast pne dlugo jechali my wzdlu ulo onego z betonowych plyt olbrzymiego stumetrowego napisu "Chwala ekologiii!"

Po kilku minutach na nasypie, który stal si bardziej stromy i wy szy, rozgo cil

si jeszcze jeden, nie mniejszy od poprzedniego, napis: "Ozdobimy Ojczyzn sadami!"

W tym czasie poci g zatoczył ju obszerny półokr g, i Wie a Obserwacyjna zostala z tyłu. Tory coraz bardziej zagł bialy si w ziemi, i nagle w wagonie zapanowala ciemno - wjechali my do tunelu. Od razu odgłos kół stal si glo niejszy i gwałtowniejszy, parowóz zahuczał i zapachniało dymem.

242

- Daleko jeste my - o wiadczyla Irka. - Jak wrócimy?

- Wrócimy! - rado nie odezwal si Sienia. Jak i my nigdy dot d nie jechal

poci giem, ale podczas gdy my z Irk ukrywali my swoje uczucia, udaj c, e taka podró nie jest niczym dla nas nowym, Sienieczka nie krył swojego zachwytu.

W wagonie bylo zupełnie ciemno. Wyci gn 1 r k i odszukałem szczuple palce Irki. Opanowalo mnie dziwne uczucie, jakbym zlatywal z jakiej góry.

- Jeste kochana - wyszeptałem. Nie wiem, czy mnie Irka uslyszala, ale mocno zacisn ła palce na moich. A Sienieczka, nie rozumiej c co si dzieje, zapytal:

- Co powiedziales ? Co si stalo?

- Jeszcze jeste za mały, eby to wiedzie - opowiedzialem.

Irka roze miala si .

Tunel sko czył si tak samo niespodziewanie, jak si zacz ł. Z lewej pokazaly si sady, domki od tyłu, w ska ulica, zwrócona do nas swoj niemalowan stron .

Nieopodal nich i nad nimi ci gn ła si do nieba twierdza Wie y.

To znaczy, e kolej prowadzi wzdlu zewn trznej granicy półksi yca, tworz cego miasto, nast pne na ko cu rogu weszly pod ziemi i omin wszy Wie wyszly na powierzchni przy drugim rogu półksi yca, wykonawszy pełna koło.

Z drugiej strony torów znowu pojawiło się olbrzymie hasło: "Swoją pracę umacniajmy czysto Ojczyznę!"

- Widziałeś du o księki - powiedziała Irka. - Wszyscy ci ludzie jako nie po naszymu s ubrani. Suknie do ziemi, kapelusze, i ten pociąg dziwny taki. Co to wszystko znaczy?

- I konie! - wtrącił się do rozmowy bystry Sienieczka. - Czy może tak być, że nie ma samochodów? Ani jednego samolotu?

- Konie - powtórzyłem. - Konie były używane wczynie, przed samochodami i samolotami.

- Wiadomo, że wczynie! Poza tym - kto będzie w wolnej woli nosi tak suknie! Ani w nim pobiec, ani podskoczy. Już nie wspomni o walce na noże? -

uzupełniła Irka.

- Albo jak uciec przed glinami? - dodał Sienieczka i roześmiał się.

Na podwórku domku, którego tyły wychodziły na tory, siedział w pasiastym waciaku starzec z drewnianymi protezami nóg. Pogroził nam palcami i krzyknął coś.

Dziewczyna w sąsiednim wagonie głono coś śpiewała. Wróciliśmy do centrum miasta. Po głównej ulicy jechała wysoka czarna karoca, siedziała w niej dama; 243

machając przed twarzą różowym wachlarzem. Obok karocy jechał na koniu młody człowiek, który rozmawiał z damą, pochyliwszy się w jej stronę.

Na centralnej ulicy przed największym w mieście dwupiętrowym budynkiem z kolumnami przed wejściem stała inna karetka, bez koni. Grubas w niebieskim fartuchu malował ją na niebieski kolor, a na balkonie przy niej stał inny grubas w czerwonym fartuchu i udzielał mu wskazówek. Trzej dozorczy szeregiem zamiatali ulicę. Za nimi szedł człowiek w mundurze ze złotymi guzikami, który pilnował, aby ulica była dobrze pozamiatana. Przed sklepem stała długa kolejka.

Niski budynek dworca odciął nas od widoku ulicy.

Oto i peron. Tyle że tym razem podjechaliśmy do niego z drugiej strony.

Naczelnik stacji w czerwonej czapce podniósł berło. Witajcie nas. Kobieta ze złoconym parasolem w rękach stała na peronie, Popatrzyłem na słóce - podróż trwała pół godziny.

Dziewczyna z wycieczki szkolnej hałaśliwie wysypała się z sąsiedniego wagonu.

Pomknęły do wyjścia, omywając niczym burzliwy strumień samotnych kobiet.

Wyszliśmy równie z wagonu.

- Konduktor był? - zapytał naczelnik stacji.

- Nie, nie było - odpowiedziałem.

- To nic, jutro będzie - powiedział naczelnik stacji. - Na razie może zapłaci u mnie. Po sześćdziesiąt kopiejek.

Wziął pieniądze, przyłożył palce do daszka czapki i pośpieszył do parowozu, z którego wysiadł z żoną maszynista.

- Nikt więcej nie przyjechał? - zapytała kobieta z parasolem.

Jej uroda była złowieszczą i - powiedziałbym - fatalną. Miała bladą cerę twarzy, jakby posypaną makiem; na tej twarzy rozpaczliwie jarzyły się czarne oczy.

- Przecież pani wie - powiedziałem.

- Nic nie wiem! - krzyknęła kobieta. - Czekam już cał wieczno!

- Moim zdaniem jest pani jedynym nieszczęśliwym człowiekiem w tym mieście -

powiedziała Irka, jakby zapraszając kobiety do odpowiedzi. Ale ta odpowiedziała nie od razu, popatrzyła ponad ramieniem Irki wzdłuż pociągu, składającego się, w końcu, tylko z dwóch wagonów, jakby naprawdę miała nadzieję coś zobaczyć.

Następnie przekonawszy się, że i tym razem nikt nie przyjechał, kobieta zwróciła się do Irki:

- Jestem szczęśliwa. Mam dobrą pracę, świetny wypłat. Mam własny pokój.

Czego jeszcze mogą chcieć?

244

- A na kogo pani czeka? - zapytała Irka.

- Co za głupota! - rozzłościła się kobieta. - Na kogo mogą czekać?

- Proszę się uspokoić, Mario Osipowno - powiedział zbliżając się naczelnik stacji. Za nim szedł maszynista niosący w ręku małą walizeczkę. - Nikt nie chce pani skrzywdzić. Nie chcecie przecież skrzywdzić Marii Osipownej?

- Skoro pracuję, uczciwie zapracowuję na swój chleb, skoro uczciwie witam pociąg i nikomu nie przeszkadzam - to nie ma chyba powodu, aby czyni mi zarzuty.

- Nikt pani nie czyni zarzutów - powiedział naczelnik stacji. - To po prostu naturalna ciekawość przyjezdnych. Jesteście przyjezdni, prawda? Zaraz sprawdzimy wasze dokumenty i dowiemy

si , dlaczego chodzicie po mie cie i zadajecie prowokacyjne pytania.

Naczelnik u miechn ł si chytrze, a ja si poczulem niepewnie.

- Przepraszamy - powiedziała twardo Irka - ale nie mamy czasu z wami rozmawia . My te pracujemy. Sprawdzamy sekretnie, jak pracuje kolej elazna.

Rozumiecie to?

Tak zaakcentowała słowo "to", e naczelnik stacji wszystko zrozumiał.

- Prosz o wybaczenie za zatrzymywanie was - powiedział.

Nie uwierzył Irce, ale te nie zamierzał kusi losu i sprawdza nas.

Wyszli my na ulic . Ogon długiej kolejki do piekarni przecinał jezdni . Z

trudem przecisn li my si przez tłum. Tłum był wesoly, u miechni ty, pelen nadziei i nawet pewno ci, e chleba dla wszystkich wystarczy.

Min wszy kolejk , zobaczyli my spokojn staruszk , która szła po ulicy, wlok c plastikow torb , z której wysuwały si dwa bochenki chleba.

- Musimy doj do pustych magazynów - zaczepila j Irka. - Jeste my przyjezdni i troch zabł dzili my!

- Chod my - rado nie odezwała si staruszka. - To po drodze.

- A dlaczego taka kolejka po chleb? - zapytala Irka.

- Jutro sponsorzy b d pokazywali inspekcji nasze miasto. - Babunia wskazała wznosz c si do nieba twierdz . - A ludzie nasi - jak to ludzie? adnej wdzi czno ci! Jakby co dawali - ustawi kolejki, e nie daj Bóg!

- To znaczy - dzisiaj sprzedaj wszystko na dwa dni na przód? - domy lila si Irka.

- A jutro jak zawsze! - Babunia chytrze si u miechn ła. - Lepiej si nie pcha !

245

Poznałem uliczek magazynów zbiegaj c do rzeki.

Po egnali my si z babci , która jeszcze stała na szczycie wzgórza.

- Ciekawa jestem - powiedziała Irka - sk d oni bior takich ludzi?

- Mo e hoduj w próbówkach? - podpowiedział Sienieczka.

- My l - powiedziałem - e nałapali w ró nych miejscach i przywie li tu.

Mieszkaj tu od dawna, przyzwyczaili si . S szcz liwi, e maj kielbas .

- Masz racj - zgodziła si ponuro Irka. - Ci gle im si powtarza, e za granicami miasta kielbasy nie ma.

- A jest? - zapytał Sienieczka.

- Ja tam próbowałem - przyznałem si . - W szkole gladiatorów.

- Szkoła gladiatorów - to nietypowe miejsce - powiedziała Irka. - Maj kontakty ze sponsorami, s na listach spec zaopatrzenia.

- A ja w ko cu tak i popróbowałem kielbasy - powiedział Sienieczka i przelkn ł

lin .

- Spróbujesz, na pewno spróbujesz. Daj ci słowo - powiedziała Irka.

246

Rozdział 8

Pupilek w wie y

Zapadł zmierzch, ale nikt nie przychodził.

W magazynie zrobiło si zimno, myszy i szczury krz tały si po k tach, jakby przeprowadzały si z mieszkania do mieszkania i przenosiły meble.

Sienieczk dobijała beczynno , kilka razy wybiegał z magazynu, potem wracał i przybitym głosem komunikował, e nikogo nie wida .

Doko czyli my nasze zapasy, rozumiej c, e jutro mog zapomnie nas nakarmi .

eby nie siedzie w ciemno ciach, wyszli my na ulic , a do pierwszych domków. W domach płon ły wiece i lampy naftowe. Nad wysokim domem była naci gni ta girlanda lampionów, ale elektryczno ci w Szcz liwym Mie cie nie było. Jacy ludzie przemierzali ulic rozmawiaj c gło no i pijackimi głosami; na wszelki wypadek skoczyli my za róg i tam przeczekali my. Wraca do magazynu nikomu si nie chciało - zimno tam było jak pod ziemi .

Straciwszy nadziej , e doczekamy si przyjaciół, wrócili my do magazynu i usiedli my w rogu, objwszy si , eby było cieplej.

Otworzyły si drzwi i wo nica, zerkn wszy do rodka zapytał ochryplym szeptem:

- yjecie?

Rozmawiali my tak cicho, e nikt nas nie słyszał.

Wo nica powiedział, e wie ci o jutrzejszym przylocie inspekcji potwierdziły si - wieczorem na Wie y l dowalo kilka milicyjnych migłowców.

- W mie cie wszyscy wiedz o jutrzejszej inspekcji - powiedziałem.

- Nie da si ukry - wzruszył ramionami wo nica. W ciemno ciach nie widziałem jego w sów, ale s dz c po tym jak mamrotał wyobra ałem sobie, e uje koniuszek w sów. - Zawsze w przeddzie przyjazdu inspekcji na talony wydaj artykuły. W dniu inspekcji - pusto.

- Dlaczego w ten sposób? - zapytała Irka.

- Bo je li co jest w sklepie od razu tworzy si kolejka. Nie da si zabroni ludziom ustawia w kolejce, skoro jest towar. A z Wie y wida bałagan.

- Czyli brakuje ywno ci?

- Nie skar ymy si - powiedział wo nica. - Jako zdobywamy, kr ci si . Przecie ludzie wiedz , e w innych miastach z zaopatrzeniem jest w ogóle krucho.

- Sk d wiecie? - zapytała Irka.

- Jak to - sk d? Wychodzi tu gazeta - oznajmił wo nica u miechaj c si .

Rozumiałem, e cho jest miejscowym i szcz liwym mieszka cem Arkadii, ale ju toczy go robak zw tpienia spowodowany kontaktami z Henrykiem i z nami -

mieszka cami innego wiata, zepsutego sceptycyzmem i nieufno ci .

- A sklepy b d jutro zamkni te? - zainteresowałem si .

- W adnym wypadku! Jutro jest dzie tymczasowego wydawania atrap.

Ka dy z nas jest przypisany do sklepu, a niektórzy przypisani s do targowiska.

Ka dy we mie, co si nale y i odniesie do domu. A potem b dzie karnawał.

- Jaka szkoda! - powiedziała Irka. - Nigdy nie widziałam karnawału.

- A ja nawet nie znam takiego słowa! - doł czył si Sienieczka.

- O której wychodzimy? - zapytała Irka.

- Wkrótce - obiecał wo nica.

- Jak pan si nazywa? - zapytałem. Wydało mi si czym niestosownym nie zapami ta człowieka, który tak wiele dla nas zrobił.

- Gustaw - powiedział wo nica. I kontynuował: - Zaraz pójdziemy do fosy. Tam ju nie wolno rozmawia . Na Wie y jest pełno milicjantów. Sponsorzy nie ycz sobie jakich przypadkowych komplikacji.

- A jak my na ni wleziemy? - zapytałem.

- To odpada. I tak si nie da.

- No to jak?

- Pod wod jest wej cie do wie y. Jest wykorzystywane gdy spuszcza si wod z fosy, podczas czyszczenia czy remontu. Nikt o nim nie wie, sami dowiedzieli my si przypadkowo - w archiwum kto szcz liwiei trafił na polany budowy Wie y.

W wieczornej ciszy rozległo si dzwonienie zegara na budynku dworca.

- Czas na nas - powiedział Gustaw. - Zaraz przynios nam ponton.

W milcz cej procesji udali my si nad fos . Woda w niej rwała jak w górskiej rzece.

- Dlaczego tak to wygl da? - zapytałem szeptem.

- Maj tam wł czon machin - Gustaw dla pewno ci wskazał Wie . - eby nikt nie mógł podpłyn do Wie y.

248

Ko ciany łeb jednego z potworów, zamieszkuj cych fos , wysun ł si na mgnienie oka z wody i znikn ł, jak uniesiony pr dem.

- A te potwory? - zapytałem. - Smoki?

- Smoki? - Gustaw nie zrozumiał co miałem na my lli.

- Je li wejdziemy do wody, to nie wyjdziemy z niej ywi - szepn ła Irka.

- Tu nie ma smoków - powiedział Gustaw. - Nie rozumiem, o czym mówicie.

- Nie widzia ła tej głowy?

Wo nica u miechn ł si - w półmroku bylsn ły jego białe z by.

Wyci gn ł z kieszeni chleb, oderwał kawałeczek i zamachn wszy si cispn ł do wody nieco powy ej miejsce, gdzie stali my.

Niemal natychmaist z wody wysun ła si głowa potwora, obok druga. Kawałeczek chleba znikn ł.

- Co to było*?

- To du e ólwie - powiedział wo nica. - S nieszkodliwe. Ale je li si o tym nie wie mog prezrazi . W mie cie wszyscy my ł, e one po eraj ludzi, a s tacy, co staraj si , by te plotki ci gle były ywe.

- Gdzie jest wej cie do Wie y? -zapytałem.

- Widzicie wydrapany na Wie y krzy , tu nad wod ? - odpowiedział pytaniem na pytanie Gustaw.

Przyjrzałem si i chyba zobaczyłem krzy .

- Pod nim jest wej cie do Wie y. Tu nad dnem. Zasłania go kraty, zamkni ta na zasuw .

Czas płyn ł. Wyszedł ksi yc; w male kim miejskim parku pod girlandami naftowych latarek grała niewielka orkiestra.

- Gdzie nasz ponton? - zapytała zniecierpliwiona Irka.

- Sam chciałbym wiedzieć - odpowiedział wońca. - Ju pół godziny temu powinni byli go przynieść.

Czekali my. Stracili my ochotę do rozmowy. Co się wydarzyło.

- Może trzeba pójść i sprawdzić? - zapytała wońca Irka.

- To na drugim końcu miasta - powiedział Gustaw. - Za dworcem. A za pół

godziny w mieście zaczyna się pora nocna. Nie wolno po nim chodzić. Tego przepisu surowo się przestrzega.

249

- No to się pośpiesz i dowiedz - powiedziałem.

Gustawowi nie chciało się iść, ale rozumiał, że mamy rację.

- Nigdzie się nie ruszajcie - powiedział przesadnie powaźnie.

- Nie martw się.

Ucisnęli jego kroki. Było cicho. Z parku docierała do nas muzyka, która wysoko nad naszymi głowami rozlegała się głośnie. W powietrzu wznosiła się czarna i nieprzystępna. Na jej szczycie zapłonęły małe, ale jasne plomycy. Potem rozszerzając się stożek światła przeliznęła się po murze w dół - widocznie ktoś wychylił się poza parapet i oświetlił cianę od góry. Promień latarki nie sięgnął

wody, a ta padała u naszych stóp niemal bezgłośnie i szybko. W świetle księżyca zobaczyłem jak tu pod powierzchnią wody pojawił się olbrzymi ółw.

Nie wiem ile czasu minęło - ale, chyba, co najmniej godzina. Gustaw nie wracał.

Sieneczka wiercił się z nudów - dziecko nie może tyle siedzieć bez ruchu.

Orkiestra w parku przestała grać, ognie w domkach gasły jeden po drugim.

Gustawa nie było.

Nagle z daleka, od strony dworca, rozległ się krótki ostrzegawczy okrzyk.

Zamarli my wytając uszy. Jeszcze jeden okrzyk. Wydało mi się, że usłyszałem szybkie kroki - ktoś uciekał. Potem gwałtowny krótki trzask - jeden, drugi, trzeci.

- Strzelaj - cicho powiedziała Irka.

Podniosła si z trawy. W mie cie zrobniło si cicho.

- Pójd w gór nurtu - powiedziałem i zanurkuj . Tak oblicz , eby mnie pr d zniósł pod krat .

- Nic z tego - powiedział Sienieczka. - Wsad r k do wody to si przekonasz.

Podszedłem do samej wody i wsadziłem do zimnej wody r k . Pr d uderzył w ni z sił wodospadu. Moja r ka została dosłownie wyrzucona z nurtu.

Nie s dzilem, e pr d jest a tak mocny.

Irka te spróbowwała zmierzy si z nurtem.

- Nic z tego - powiedziała smutno. - To głupie - tyle czasu si przygotowywali my i nic z tego nie wyjdzie.

Stali my jeszcze chwil nasłuchuj c i maj c nadziej , e usłyszymy kroki Gustawa. Ale nikt nie zbli ał si do fosy.

- W magazynie widziałem lin - powiedział Sienieczka.

- Po co ci?

250

- Przedostan si do drzwi, do kraty i przywi

do niej lin . Wtedy wy si

przedostaniecie trzymaj c sznura.

- Łatwo powiedzie - u miechn lem si ironicznie. - Masz poj cie gdzie ci wyniesie woda?

- Du o jest tam tej liny? - zapytał Sienia.

- Du o - przytakn ła Irka.

- To dobrze - powiedział Sienieczka tonem do wiadzonego yciem człowieka, który nie zamierza traci czasu na klótnie ze mn - chłoptasiem. - Potrzebujemy du o liny. Musicie mnie tylko słucha i nie dyskutowa .

Kiedy ludzie nie maj nadziei, to nawet mały Tomcio Paluch mo e sta si jej ródlem - najwa niejsze, e on był pewien siebie.

- Powiedz, po co ci du o sznura? - zapytała Irka.

Sienieczka nie odzywaj c si skierował do magazynu.

- Nie mamy czasu - powiedział. - Je li ten wasz Gustaw wpadł w łapy glin, to wycisn z niego do kogo i poco szedł.

To nie było głupie, wi c Irka nie zadawała wi cej pyta . Poszli my do magazynu.

Był ciemny. Krzesalem ognia i zapalilem zapalniczka , któr podarował mi ojciec Mikołaj. To była zapalniczka na olej, jej ogienek kopcil i niemal nie dawał

wiatła.

Ale udało si przy tym mizernym wietle znale liny i malec poukladał je i wyja nił nam swój pomysł.

Sienia nie b dzie przepływał fosy - i tak go zniesie. Ale w odró nieniu od nas, którzy nie mog oddycha pod wod , dla niego woda jest jak powietrze. Tak wi c, je li znajdziemy wystarczaj co ci ki kamie , to mały mo e doj do kraty po dnie, co b dzie o wiele łatwiejsze ni przepłyni cie fosy po powierzchni.

We mie ze sob lin i przywi e j do kraty w Wie y - powstanie most.

Trzymaj c si liny b dziemy mogli przepłyn fos .

Na szcz cie wszystko wyszło tak, jak przewidział m dry Sienieczka. Owini ty lin , trzymaj c w r ku ci ki głaz, wszedł do wody. Szarpn ło go i poniosło w bok.

Luzowalem lin , której drugi koniec przywi zany był do wkopanego w ziemi słupa. Lina pr yła si

pod ostrym kątem, Sienieczka zniknęła pod wodę. Z jednej strony - wietnie wiedziałem, że chłopiec jest amfibi, z drugiej - z trudem 251

powstrzymałem się, żeby nie skoczył za gołęm kim dzieciakiem do czarnej wody, w której zniknęła.

Lina wysuwała się z moich rąk zrywami. Irka podbiegła, chcąc mi pomóc trzymać sznur. Pomoc była niewielka, ale nie mówiłem jej tego.

Widziałem jak po powierzchni wody przemknęło opływowe ciało ółwia.

Dobrze jest mówić o nieszkodliwym ci ółwi - ale tam, w fosie, znajduje się po prostu mały chłopiec.

Lina to naprężyła się, wrywała z rąk, to nagle luzowała. Wydawało mi się, że Sienieczka powinien być już dawno pokonał przeszkodę wodną, ale nie pojawiał

się z drugiej strony. Czy by coś mu się stało?

Irka dotknęła mojego rękawa, jakby chciała coś powiedzieć, ale w ostatniej chwili powstrzymała się.

Teraz linę ciągnęło z nurtem, ale nagle zrozumiałem, że jest już umocowana do czegoś po drugiej stronie fosy. W jakby w odpowiedzi na moje rozważania z wody, przy podstawie Wieży wysunęła się głowa Sienieczki, który z trudem utrzymywał się w jednym miejscu.

- Ci gnij linę, naciągaj - polecił mi. Wydało mi się, że mówił zbyt głośno, że zaraz na górze zapłonęła latarka.

Ale nic takiego się nie stało. Irka pomagała mi ciągnąć linę.

Sienieczka zniknęła z powierzchni wody. W końcu sznur został naciągony nad samą wodę, swój koniec przywiźnię do słupa.

Irka zrobiła z naszych ubrań tobole, który umocowała sobie na plecach, a ja, przy jej pomocy, przywiźnię do pleców pelzacza. Pelzacz zaczął się bać, zaczął nagle mówić, że jeśli utonie, to trzeba będzie koniecznie powiadomić kogoś tam. Ale nie słuchaliśmy go - baliśmy się, że nie zdziemy.

Irka jako pierwsza weszła do wody chwyciwszy się mocno liny. Prędko odciągał

ją, odrywał od sznura, ale ona wolno przekładała rękę na niego. Sznur naciągany

się pod kątem, woda pienilo się wokół Irki, stopniowo przesuwała się w stronę Wieży. Pelzacz, przywiźnię do moich pleców, drętał.

- Nie ruszaj się, kiedy popłyniemy - uprzedziłem go starając się, żeby zabrzmiało to zdecydowanie.

- Wiem - odezwał si pelzacz.

Ale kiedy Irka zatrzymała si u podnó a budowli i pomachała mi r k , na znak, e teraz moja kolej przechodzenia przez rw c rzek , pelzacz zacz ł

zachowywa si oburzaj co. Wiercił si i wbijał mi w plecy swoje pazury, a ja niemal byłem gotów go zrzuci - tak bolesne były jego wyczyny.

252

Ale rodku nurtu omal nie oderwało mnie od sznura, niczego nie widziałem, woda pieniała si wokół mnie, zimny wał uderzał mnie w bok, i nie pami tam, w sumie, jak dotarłem do ciany. I dopiero kiedy moja r ka uderzyła w twardy beton, z wielk ulg zrozumiałem, e przepłyn łem.

Kto szarpn ł mnie za nogi, chciałem si sprzeciwi i omal nie zachłysn łem wszechobecn wod , dopiero po chwili zrozumiałem, e to Sienieczka chce mi pomóc zanurkowa . Powiedziałem do pelzacza, cho nie mailem pewno ci e słyszy:

- Nurkujemy, nie miotaj si .

Potem, nabrawszy do płuc powietrza i wci jeszcze trzymaj si liny, drug r k zacz łem obmacywa cian i moja r ka, jakie pół metra ni ej wpadła do wn trza Wie y, a kto mocno mnie za ni poci gn ł. W tej wła nie chwili pelzacz, wystraszony i zdezorientowany, tak mocno wbił mi pazury w kark, e prawie ju wrzasn łem z bólu, ale woda trafiła mi do ust; przestałem kojarzy co si dzieje, nawet nie mogłem wypu ci trzymanej w r ku liny, i Irka zmuszona była sił

wyłamywa mi palce. .

Wod rozst piła si .

Wypłyn łem w centrum czarnego, wypełnionej wod studni, Dokoła mnie pionowo wznosiły si wewn trzne ciany wie y. Na cianie, w pionowym szeregu palily si m tne lampki. Po ciemno ciach, jakie otaczały mnie wcze niej, wydawały si mimo wszystko jasne, w ich wietle od razu odnalazłem wzrokiem Sienieczk , który pomógł mi wygramoli si na brzeg studni.

Pomieszczenie na dnie Wie y było ogromne, oprócz studni, z której wynurzyli my si znajdowały si maszyny, miarowo pomrukuj ce podczas obracania ogromnych okr gów. Pomy lałem, e by mo e to wła nie one rozp dzaj wod w fosie.

Po wyj ciu na brzeg zacz łem od razu uwalnia si od pelzacza, przeklinaj c go na czym wiat stoi. Sienieczka i Irka pomagali mi, a pelzacz, usprawiedliwiał si nieudolnie, czuł, e jest winien, ale twierdził jednocze nie, e nie pami ta, jak starał si mnie okaleczy .

- Nie le ci poharatał - powiedziała Irka patrz c na moje plecy.

- Przydałoby się opatrzeć - odpowiedziałem. - Moje szpony są jadowite.

- Nie dawałem wam powodu, by tak o mnie myśleć - nie wiadomo dlaczego obraził się pelzacz.

- Opatrzemy póź niej. Wytrzymasz? - zapytała Irka.

- Pociępi - powiedziałem. - Ale ebym kiedy jeszcze targał na sobie pelzacza

- w życiu!

253

W Wiedzy było ciepłej niż na zewnątrz, i - gdyby nie zadrapania na plecach -

powiedziałbym, że pierwszy raz podróży odbyli my bardzo udanie.

Z tym, że nie wyobraziłem sobie, co mamy robić dalej.

Co nawaliło na tamtym brzegu fosy - miał przyjść ktoś z pomocą. A tu? Kto nam pomoże?

Rozejrzawszy się w poszukiwaniu drogi, jak trafiali do maszynowni sponsorzy i ich służby, zobaczyłem, że do ściany przytwierdzona jest w skałę metalowa drabina, która wznosiła się, zakręcając się, i kończyła się gdzieś pod sufitem płacikiem z metalowej kratownicy. Było to jedyne wyjście z pierwszego piętra Wiedzy.

Pozostawiwszy swoich współtowarzyszy na dole szybko wbiegłem po schodach do góry i spróbowałem otworzyć drzwi - drzwi były zamknięte. Zresztą, należało tego oczekiwać.

Z góry moi partnerzy wydawali się małutkimi, nieszczytnymi i bezsilnymi, dowolny sponsor mógłby zgnieć ich jednym palcem. Na szczęście, nie było w pobliżu takiego nieuczynliwego sponsorskiego palca.

Nie mieliśmy odwagi głosu rozmawiać - nie wiedzieliśmy, czy ta sala nie łączy się z innymi pomieszczeniami niewidocznymi dla nas kanałami.

Irka złożyła ręce w tubę i zapytała głosem szeptem:

- No i co?

Rozłożyłem ręce pokazując, że drzwi nie otwierają się. I e tu się kończy droga.

Sieniec zwrócił się jak mały wbiegł po schodach i stanawszy obok mnie zaczął ostro nieporuszać klamką, jakby oczekiwał, że dzięki tym manipulacjom otrzyma jakiś sygnał, który ułatwiłby otwarcie drzwi.

Przestępowaliśmy przed tymi drzwiami z nogi na nogę jak jakieś głupie zwierzęta, a na dole

pelzacz i Irka stali przy obszernej studni, i zadzierali głowy w oczekiwaniu dobrych wiadomości.

I nagle usłyszeli my, jak kto z tamtej strony przekręca klucz. Ja i Sienieczka odskoczyli my w bok i przywarli my plecami do ściany. Uniosłem rękę z nosem gotów zadać cios człowiekowi, który zamierzał wejść do sali.

Drzwi otwierały się wolno, jakby ten, kto znajdował się po drugiej ich stronie, tego nie był pewien i bał się.

Napiłem mi nie ręki trzymajciej nóg, ale kiedy w końcu drzwi otworzyły się, głowa przybysza znalazła się nie tam, gdzie się spodziewałem ją zobaczyć. W

pierwszej chwili pomyślałem, że na metalowy balkon wyszło jeszcze jedno dziecko, podobne do Sienieczki.

254

I dopiero gdy z dołu dotarło do nas radosne westchnienie Irki i na dodatek zobaczyłem bujną szop włosów, domyśliłem się, że drzwi otworzyły nam Markiza.

Markiza, którą Sijniko cięgnął na przyłot inspekcji, trafiła do specjalnego pokoju na szczycie Wieży już rano tego dnia. Ale nie miała żadnego kontaktu z miastem, wiedziała tylko, że ma w nocy zejść na dół i otworzyć drzwi, i że ce najniżej piętrowej budowli z piętrem wyszumi.

Nie było to w sumie trudne - wszystkich niepełnosprawnych, przywiezionych tu w ramach realizacji programu Pomocy milicjanci zaprowadzili do pokoju, a sami szczęśliwie poszli spa. Markiza nie mogła poruszać się po Wieży w swoim fotelu i dlatego kulkała na kulach, co nie było dla niej łatwe.

Otworzyłaby te drzwi już wcześniej, ale, jak na złość, kilku milicjantów zasiadło do gry w kości akurat przed jej pokojem. Markiza nie czekała aż zasną, wyszła z pokoju i odważnie przeszła obok nich, jakoby za potrzebą. Milicjanci nawet nie zwrócili uwagi na okaleczoną karlicę.

Teraz należało wejść na szczyt Wieży i to tak, aby nikt tego nie zauważył.

Po tych wszystkich przejściach ogarnęło mnie jakie histeryczne podniecenie, jakie ogarnia żołnierza po trudnym, ale udanym szturmie wrogiego miasta, gdy staje otworem wszystkie kramy i mieszkania - można na nie grabić!

Nie czułem nóg i najchętniej pobiegłbym po schodach do góry, byle szybciej usi

, ale Markiza, rzecz jasna, nie mogła wchodzić po schodach szybko i odpoczywała co pięć schodków.

- Może wniesie pani? - zaproponowałem.

- Nie, dzi kuj - odpowiedziała chłodnym tonem. - To ju niedaleko.

Weszli my na ostatnie pi tro budowli, wy ej była ju tylko widokowa platforma dla inspektorów. Ta kondygnacja była podzielona na kilka pomieszcze i przygotowana dla tych ludzi, którzy obsługiwali Wie Obserwacyjn . Tu znajdowały si sypialnie dla milicjantów, izba dla kalek, jadalnia, toalety, magazyny, dyspozytornie. .

Teraz panował tu cisza. Przekonani o niedost pno ci Wie y milicjanci spali snem sprawiedliwych. Sponsorzy za przyjd dopiero jutro - nie widz potrzeby nocowania tutaj.

- Znalazłam dla wad cudowne miejsce - powiedziała szeptem Markiza. - A trudno uwierzy , e miałam tyle szcz cia.

Pokazała niewielk pokryw .

- Na gór ? - zdziwiła si Irka. - Na sam gór ?

255

- Wła nie - powiedziała Markiza. - Im bli ej gniazda orła kr ci si wróbel tym jest bezpieczniejszy. Tam, w ka dym razie, nikt was nie b dzie szukał.

Weszli my na sam gór . Szczyt Wie y był obszernym placykiem, który - tak si wydawało - płyn ł w niebie tu pod gwiazdami. Było tu pusto i panował taka cisza, jaka króluje chyba tylko w górach albo na pustyni, gdzie nie ma nic ywego.

Zupełnie nisko przelatowały lekkie pierzaste obłoki, gwiazdy były jasne.

Nietoperz przeci ł powietrze nad naszymi głowami - mkn ł bezszelestnie, nie płoszył - jak i wszystko na tej wysoko ci - ciszy na Wie y.

Markiza zaprowadziła nas do niskiej nadbudówki w malutkimi okienkami -

było ich kilka od strony przeciwnej do miasta.

- Nie wiem, co tu było wcze niej - powiedziała. - Ale s dz c po wygl dzie - nikt tu nie zagł da.

Markiza otworzyła niskie drzwi, weszli my do nadbudówki.

- Tu b dziecie czeka - powiedziała. - Dowodzi wami Irka. - Szczupłymi dło mi poprawiła włosy i popatrzyła na niebo. - Szkoda - powiedziała.

- Co powiedziała ? - nie zrozumiała Irka.

- Marzyłam, e przewioz mnie do Galaktycznego Centrum. .

- Te bym tam chciała - przyznała si Irka.

- Je li wszystko pójdzie tak, jak sobie zaplanowali my - o wiadczyła Markiza -

to polecimy tam jeszcze kiedy .

Zacz li my rozgl da si po ciasnym pomieszczeniu wypelnionym rulonami sztywnej tkaniny.

- Wiem, co to jest - szepn ła Irka. - Kiedy pada deszcz rozci gaj nad platform tent.

W mokrym ubraniu spa si nie dało. Próbowałem zasn , wiercelem si , kilka razy zaczynałem drzema , ale od razu zaczynały mnie prze ladowa jakie koszmary, budziłem si wi c. Sieniczka mamrotał co przez sen, Irka te nie spała błogim snem. Nie mog nic powiedzie o pelzaczu, poniewa nie wiem czym si ró nie jego spokojny sen od niespokojnego.

O wiecie obudziłem si na dobre.

Zzewn trz, na widokowej platformie było cicho. Wyjrzałem przez okienko.

Sło ce jeszcze nie wstało, ale ju było jasno, gwiazdy pogasły - czerwcowe noce nie s długie. Wyszedłem na platform i zaczą ł podskakiwa , eby si zagrza .

256

Na brzegu platformy mi dzy z bami mury, do parapetu przymocowane były ró nego rodzaju lunety i ekrany. Znajdowały si na wysoko ci nie przeznaczonej dla człowieka i wycelowane były w miasto.

Ekran y ł czyły si z jakim urz dzeniem optycznym. Wspi łem si na palce, eby móc co zobaczy . Jeden z ekranów pokazywał cz miasta powi kszon wiele razy. Wydawało si , e patrz na ulic z okna domu.

Ulica była pusta, tylko zamiatał j samotny dozorca. Obok przeszedł

m czyzna w czarnym ubraniu i czarnym cylindrze z motkiem liny przez rami -

znajomy mi kominiarz.

Ekran był ruchomy - udało mi si go odwróci .

Patrzyłem teraz na główny plac przez du ym budynkiem. Trzej m czy ni ustawiali na nim wysoki słup. Pomy lałem, e widocznie przygotowuj si do karnawału..

A tu mamy dworzec. Na ławce przed nim, podkurczywszy nogi, pi ładna kobieta, parasol wypadł jje z r k i le y na chodniku. Obok przejechała wysoka karoca i na sekund zakryła sob ławk z kobiet .

Gło no zabrzmiały kuranty na miejskiej wie y.

- Tim! - usłyszałem ostrzegawczy syk.

Odwróciłem si - na platform spinali si milicjanci.

Rzuciłem si do kryjówki. Udało si .

Moi partnerzy uło yli si na zrolowanym płótnie kopuły i przygl dali si platformie przez w skie szczeliny znajduj ce si pod samym dachem.

Przył czyłem si do nich.

Milicjanci w grzebieniastych hełmach wybiegli na platform , szybko rozejrzał

si po niej, jeden nawet zajrzał do nas, zamarli my, ale milicjant nie spodziewał

si zobaczy tu kogo - zatrzasn ł drzwi i pobiegł dalej.

- W porz dku! - usłyszeli my okrzyk milicjanta, a odpowiedziały mu z ró nych stron takie same okrzyki:

- W porz dku!

- W porz dku. . w porz dku!

Grzmiały podkute obcasy - widziałem jak milicjanci, popychaj c si i piesz c, schodz w dół.

W tej samej chwil powietrze nad Wie ciemniało - jeden za drugim ł dowwały na platformie migłowce. Z ka dego wychodził sponsor, a migłowiec natychmiast startował, zwalniaj c miejsce dla nast pnego.

- byli to dowódcy zarządów i departamentów. A oto i nasz stary znajomy. . pan Sijniko. Gdyby widział kto leży na zwiniętych rulonach o jakie dwadzieścia metrów od niego!

- To on! - szepnął Sienieczka leżący obok mnie. - Poznałem go.

Położył dłoń na ciepłym czubku głowy chłopca. żeby go uspokoił.

- To ja będę mówił - uprzedziła nas Irka.

- Wiem.

Nad platformą zawieszony pasażerski flyer. Z jego błyszczącego brzucha wysunęły się płaskie schody.

Jako pierwszy zszedł nieznajomy mi sponsor w mundurze zarządu wojskowego.

- Będę słuchał - wyszeptałem do ucha Irki. - I kiedy nastąpi właściwy moment dam ci sygnał.

Irka skinęła głową.

Jeden po drugim z flyerów wyszli na platformę trzej inspektorzy. Najpierw zobaczyłem ich nogi, jak pojawiały się z luku i od razu próbowałem wyobrazić sobie jak będą wyglądać daleko, ale ani razu nie odgadłem.

Każdy z nich był zupełnie inny.

Pierwszy wyszedł człowiek, właściwie istota przypominająca człowieka, ale o wzroście ponad dwa i pół metra. Miał ołt, szeroki, okrągły i płaski twarz. DO

takiej twarzy pasowałyby skośne oczy, ale ten człowiek miał oczy całkowicie okrągłe, ptasie. Człowiek ten opierał się na cienkiej łasce, wysadzonej drogocennymi kamieniami. W promieniach dopiero co obudzonego słońca kamienie rozbłysły strzelając różnokolorowymi zajączkami po całej platformie.

Następny inspektor poruszał się wolno. Miałem wrażenie, że w ogóle nie ma w nim kości - co kisielowatego, zapakowanego w jejdrną tkaninę, kiwało się nad schodami nie mogąc się odważyć na pierwszy krok. Człowiek z łask odwrócił się i podał towarzyszącemu rękę.

Miśczak oparł się na rękę, przelał się w stronę człowieka. Widziałem, jak trudno mu było utrzymać galaretowatą masę.

- One są bardzo mądre - szepnął pelzacz. - To palliotowie. Ci kości.

- Co im ci kości? zapytałem wciąż nie zdziwiony wiedzą pelzacza.

- Ci kości chodzi. Oni żyją w rodowisku ciekłym.

- Jak ja - wtrcił si Sienieczka.

258

Ledwo widoczne l nienie wokół głowy palliota okazało si prze roczystym hełmem.

Po zej ciu ze schodów na powierzchni platformy palliot z ulg - albo to ja poczułem za niego ulg - rozpłyn l si po nawierzchni i domy lilem si , e gdyby nie skafander inspektor przekształciłby si w kału .

Tymczasem z góry zszedł trzeci inspektor. Ten był zr czny, niewiarygodnie szybki, na owadzi sposób chudy; na pasie, który mógłbym obj palcami dłoni, wisiał szeroki miecz w pomalowanej na ró ne kolory pochwie. Istota ta miała w sk twarz, jakby ci ni t pod pras , wysuni t do przodu. Oczy skierowane na boki w stosunku do błyszcz cego garbatego nosa, wydawały si by oczami owada. Jego ubraniem był szeroki, z mnóstwem pionowych fałd płaszcz, lekki i kołysz cy si przy ka dym ruchu owada czy powietrza. Trzeci inspektor nie był

wysoki, ust pował nawet pod tym wzgl dem Irce.

Sponsorzy ustawili si w szeregu przed inspektorami i po kolei wyst powali do przodu; dobrze słyszałem jak si przedstawiali i prezentowali swoje stanowiska.

U ywali w tym celu j zyka sponsorów, inspektorów to nie dziwiło - widocznie taka była umowa.

- Rozumiesz ich? - zapytała szeptem Irka.

- Tak.

- Nie b dziemy zajmowali waszego drogocennego czasu - powiedział Sijniko po zako czeniu wzajemnych uprzejmo ci. - Prosz podej do ekranów i lunet, zobaczycie odpowiedzi na wiele interesuj cych was pyta .

Inspektorzy w towarzystwie sponsorów skierowali si do parapetu. Ale owadopodobny chudy inspektor w płaszczu wychylił si najpierw przez parapet i przygl dał si miastu i widocznemu na horyzoncie lasowi, jakby chciał przekona si , e to naprawd istnieje.

- Kto to? - zapytałem pelzacza.

- Mi dzy władca legionu - odpowiedział pelzacz, nie przejmuj c si zupełnie czy zdołam go zrozumie .

- Sk d jest?

Pelzacz dziwnie prychn ł, jakby zdziwiony moim ignorancj .

- Z krainy Duchów Zórz - zakomunikował w ko cu.

- Dzi ki - powiedziałem nie kryj ironii.

- Jak ju wiecie - kontynuował tymczasem Sijniko - nasza misja przybyła tu akurat w chwili, kiedy wrzały tu, i nie pierwszy rok, niszczyły wszystko atomowe wojny, które praktycznie zrównały z ziemi wszystkie najważniejsze zasiedlone punkty

globu i znacznie zmniejszyły populację planety. Ci, natomiast, którzy pozostali przy życiu, w większości wypadków byli nosicielami różnych chorób.

- Radioaktywnych? - zapytał Palliot.

- Chemicznych, genetycznych. . Mieli my przed sobą bardzo trudne zadanie.

Trzeba powiedzieć, że niczego podobnego wcześniej nasza cywilizacja nie spotykała.

Sponsorzy gestami i kiwnięciami głów wyrazili aprobatę co do słów pana Sijniko.

- Leczymy tych, których nie mogą wyleczyć miejscowi lekarze. Jeśli natomiast wyleczenie jest w ogóle na Ziemi niemożliwe, odwozimy chorych do nas, do naszych klinik. Przy okazji, po zakończeniu inspekcji miasta zapraszamy was na dół, tam czeka na spotkanie z wami pokażę kolekcję, oczekujcie wysłania do Centrum Galaktycznego.

Tam jest Markiza, pomiędzy nami. Siedzi teraz w niepewności, nie wie, czy się nasze starcie ze sponsorami.

- Wszystkie niezbędne dokumenty i tak my, dokumentujemy sytuację na planecie, będą przekazane do dyspozycji szanownym inspektorom po powrocie do głównej bazy - kontynuował Sijniko. - Teraz powiem tylko, że postawiliśmy przed sobą zadanie - odtworzyć życie na Ziemi, co okazało się zadaniem o wiele bardziej skomplikowanym niż się zdawało.

- Z tym również zapoznamy się w bazie - powiedział wysoki człowiek, którego zachowanie świadczyło - jak mi się wydawało - o tym, że jest szefem inspektorów.

Wykonywał gwałtowne gesty i widać było, że się niecierpliwi.

- Oczywiście - od razu zgodził się Sijniko. - Przywieźcie mi was tutaj nie po to, żeby wspominać przeszłość i opowiadać jakichś rodaków i wysiłków kosztuje nas odrodzenie planety. Ale każda rozmowa, każda dyskusja będzie próbną, jeśli nie poznacie z pierwszej ręki tego, co reprezentuje nasza cywilizacja Ziemi, jak żyje, do czego dąży.

, jak spędzają swoje dni szeregowi jej mieszkańcy.

Palliot przelewał się podpełznął do parapetu.

- Przestrzegajcie surowe reguły - w żadnym wypadku nie mieszajcie się do życia Ziemiaków - zbudowali nam tutaj obok zwyczajnego typowego miasta. Jego mieszkańcy, zwyczajni Ziemiacy, nawet nie

podejrzewaj , e s stale obserwowani w celach naukowych. Ju od wielu lat nasza ekspedycja, któr w danej chwili mam zaszczyt kierowa , stale obserwuje to miasto. Nazywamy je mi dzy sob Typowym miastem.

- A jak oni je nazywaj ? - zapytał nagle chudy inspektor.

260

- Jak? - Sijniko nagle stracił w tek, pytanie zaskoczyło go. Odwrócił si do sponsora z Resortu Propagandy, stoj cego obok niego. Tamten wolno pochylił

głów , udekorowan małymi czarnymi okularkami, i odkaszln ł.

- Połow dochodów, uzyskiwanych przy eksporcie z Ziemi niektórych po ytecznych kopalin, inwestujemy w rozwój planety..

- W jaki sposób? - zapytał nagle palliot.

- Przeka emy dokumentacj - powiedział Sijniko. - Istnieje cały szereg programów, takich "Czyste powietrze". " ródło", "Ocean". Wielu naszych uczonych owocnie trzdzi si , pomagaj c naszym młodszym braciom w rozumie.

- A to jest typowe miasto? - zapytał wysoki człowiek.

- Wła nie!

- I ludzie nigdy nie widzieli adnego z was?

- Staramy si nie pokazywa im na oczy. Oni nie s jeszcze gotowi do kontaktów mi dzyplanetarnych - powiedział Sijniko.

Krótkim ruchem grubego łapska Sijniko skierował uwag inspektorów na ekrany i lunety.

- Mo ecie sami przekona si na podstawie pewnych charakterystycznych szczegółów powszedniego ycia Ziemi, e dopiero niedawno przeszli do epoki pary i zbudowali pierwsze koleje elazne.

Inspektorzy skierowali spojrzenia na ekrany.

- Jak daleko si ga ta kolej? - zapytał owadopodobny inspektor w długim płaszczu,

- Ł czy to miasteczko z innym, podobnym do niego - wyja nił Sijniko. - Wszak du ych miast nie Ziemi praktycznie nie ma. Stały si ofiarami wojen i nie były odtworzone. My l, e z czasem pojawi si nowe. Chocia my, z punktu widzenia ochrony przyrody, niezauwa alnie dla Ziemian i nienatr tnie propagujemy ide preferencji małych osiedli.

**- Prosz o przedstawienie dokumentacji o sposobie propagowania tej idei -
powiedział palliot.**

Sijniko przejechał paluchami po grzebieniu, co było wyrazem niezadowolenia.

- Oczywi cie - powiedział. - A teraz mo emy kontynuowa nasz nienatr tn wycieczk po mie cie. Macie prawo zajrze do ka dego domu.

Najbli szy do mnie ekran pokazywał wn trze delikatesów, w dniu dzisiejszym dosłownie zawałone ró nymi gatunkami kielbasy i serów. Ludzie wchodzili do sklepu, a ekran pokazywał jak si u miechaj ekspedientki, odcinaj c kawałki atrap i pakuj c je w papier.

261

- Czy u nich istnieje system monetarny? - zapytał wysoki człowiek.

- Tak i był o wiele bardziej rozpowszechniony w okresie krwawych wojen.

Wtedy istniały równie du e banki. Teraz wszystko jest o wiele prostsze i po yteczniejsze dla ycia Ziemian.

Ciekawe, pomy lałem, nie wydaje si inspektorom dziwne, e sklepy, punkty usługowe i nawet domy s podobne do akwariów, e tak usłu nie spogl daj na Wie szklanymi cianami. Ale, by mo e, inspektorzy przypisali t ciekawostk do listy dziwactw Ziemian i nie dziwiło ich to.

Ekran pokazywał centralny plac.

Pomost był gotów. Podskoczyłem tak mocno, e uderzyłem głow o niski sufit pomieszczenia. To była szubienica.

Dokoła pomostu zebrał si ju liczny tłum ubranych według przestarzałej mody obywateli. Na pomost wyszedł m czynna w czerni, który rozwin ł zwój papieru i zaczą l co z niego czyta .

- Co tam si dzieje? - zapytał chudy inspektor.

- Nie wiem - odpowiedział Sijniko. - Jeste my dopiero w trakcie poznawania ich ycia. Ziemianie czasami zadziwiaj nas.

Nie pieszył si , eby przesuwa ekrany i lunety na inny widok. Nabrałem przekonania, e sam jest ciekaw, co si dzieje na placu.

- Nie, nie wiem - powtórzył. Pozostali sponsorzy tym bardziej nie wiedzieli co si tam dzieje. My l , e widzieli miasto po raz drugi czy trzeci w yciu i zupełnie ich przy tym nie bawiły karnawałowe pomysły Sijniko.

Na pomost wszedł brodac z czerwonej koszuli z podwini tymi r kawami.

Spróbował czy mocno trzyma si sznur.

- Dzisiaj odbywa si karnawał - powiedział Sijniko. - Ale to nie wygl da na karnawał.

Inspektorzy, chyba podobnie jak ja, odczuli dramatyzm i ukryte napi cie sceny. Stali nieruchomo i czekali co si b dzie działo dalej.

Na plac wyjechała czarna kryta karoca, zaprz ona w par koni. Karoca zatrzymała si przy pomo cie zasłaniaj c go przed nami, i, dopiero gdy po minucie odjechała, zobaczyli my, e na pomo cie stoi nasz wo nica Gustaw, który zagin ł poprzedniej nocy.

- Ojej! - pisa ła Irka.

cisn łem jej r k .

Gustaw miał r ce zwi zane za plecami. Człowiek w czerwonej koszuli poprowadził go do szubienicy. P tła lekko kołysała si na wietrze nad jego głow .

262

- Czy oni aby nie zamierzaj go zabi ? - zapytał palliot.

- Zupełnie mo liwe - powiedział sponsor Sijniko. - My l , e ma pan absolutn racj . W ten okrutny sposób ludzie karz swych przest pców.

- Co on zrobił? - zapytał wysoki chudy człowiek.

- Tego nigdy si nie dowiemy - westchn ł Sijniko. - Nie mamy ł czno ci z miastem.

Widziałem, jak kat kazał Gustawowi stan na ławce.

- Co mamy robi , co robi ? - szeptała gor czkowo Irka.

- Milcz - powiedział pelzacz. - Nie mo emy teraz narazi całej operacji.

- Czy to nie wszystko jedno? - zapytałem. - Teraz czy za pi minut? Jedyna różnica to ta, że Gustaw będzie absolutnie martwy.

Po tych słowach wyskoczyłem na zalaną powierzchnią platformy.

Wszyscy usłyszeli jak wybiegam z budki. Wszyscy odwrócili się i odskoczyli ode mnie.

Jeden ze sponsorów wyszarpnął pistolet, ale, na swoje szczęście, zobaczyłem ten ruch wcześniej niż on zdążył wystrzelić i odskoczyłem w bok.

- Sta! - krzyknąłem w języku sponsorów. - Zatrzymaj! To oszustwo!

- Ach ty przestępco! - Sijniko również próbował wydobyć pistolet.

Nie wiem, czy udałoby mi się powiedzieć jeszcze choć jedno słowo, ale nagle z tyłu usłyszałem gwałtowny głos pelzacza, krzyk czegoś w nieznanym mi języku.

Pelzacz stał na tylnych łapach, podobny do atakującej kobry.

- Nie walczył się strzela! - krzyknął w odpowiedzi na jego krzyk wysoki człowiek. Jak zrozumiałem posiadał on pewien dar oddziaływania na inne istoty żywe - w tym samym momencie poczułem się sparaliżowany. Nie mogłem poruszyć ani ręki, ani nogi. Usłyszałem ciche uderzenie metalu - pistolet wypadł z ręki Sijniko.

Nastąpił atak paraliżu skończył się.

- Kim jesteś? - zapytał wysoki inspektor.

- Najpierw proszę powstrzymaj się! - krzyknąłem.

- To niemożliwe - powiedział Sijniko. Patrzył prosto na mnie swoimi czarnymi okularami i marzył o tym, aby mnie zabił. Ale nie miał.

- To możliwe! - Zwróciłem się do inspektorów: - To miasto to fikcja. To miasto to dekoracja wymyślona przez sponsorów. Wszystko, co tam się odbywa, 263

wymyślono, wyreżyserowano i przetestowano. Ale odgrywaj dla was te rozczulające scenki ludzie, którzy słuchają sponsorów. Oni mają blisko z miastem.

Mogą wydać rozkaz, posłuchaj ich.

- Czy to prawda? - Palliot wolno odwrócił się do grupy sponsorów.

- To kłamstwo! To wymyślone całe! - powiedział nieznanomy sponsor.

- Ale zróbcie coś! - wrzeszczałem. - Przecież oni chcą powiesić Gustawa tylko za to, że pomógł nam

przedsta si tutaj.

- Wstrzyma zabójstwo - rzekł chucdy inspektor w długim płaszczu. -

Inspekcje jest z was niezadowolona.

- Wierzycie awanturnikom, mieszka com chorej. zacofanej planety. Stawiacie ich slowo ponad slowa czlonków Galaktycznej Wsp Inoty. To przekracza nasze poj cie i jest oba liwe. I niech sprawa zostanie rozpatrzona w S dzie Galaktycznym! - rzucil gniewnie jeden ze sponsorskich szych.

Szybko, nadal w nieznanym mi j zyku, wypowiedzial kilka zda pelzacz.

Inspektorzy patrzyli na niego, nast pnie palliot poiwezdial:

- Nie wierzymy wam.

Mój wzrok przesun l si na ekran.

Przera enie cisl o mi serce: Gustaw byl martwy. Kiwal si na sznurze szubienicy, a jego nogi, wyci gni te czubkami palców w dól, w ostatniej rozpaczliwej próbie si gni cia ziemi, wolno kr cily si nad podestem. Kat odsun l

si o krk do tyłu.

- Jeste cie mordercami! - oznajmilem.

Irka zrobilo krok do przodu.

- Szanowni panowie inspektorzy - powiedziala. Dziwne, nigdy nie pomy lalbym, e równie zna j zyk sponsorów. -Prosz o pi minut waszego czasu.

- Te wyst pienia to obraza dla nas i naszego zdrowego rozs dku - krzykn l

Sijniko.

- Niestety - kontynuowała Irka. Mówiła wolno i z dostojeństwem, naet wydała mi się w rzeczywistości ci. - Należę do pojawienia się przed wami wygląda zbyt dramatycznie, ale nie mieliśmy okazji zbliżyć się do was wcześniej.

Przecież wy jesteście trzymać w centralnej bazie sponsorów, dokąd zawiozła równie i dzisiaj po tej wycieczce, tłumaczcie izolację niebezpieczeństwami czyhającymi na was na Ziemi. Ale to wszystko jest kłamstwem. Chcemy przedstawić zarzuty wobec sponsorów, którzy, wzięwszy na swoje barki prawo do dysponowania naszą Ziemią, nie pokazali cech cywilizowanych istot.

264

- Czas ukroci te drwiny z nas! - krzyknął Sijniko.

Popatrzył na ekran. Kat w czerwonej koszuli i kominiarz w czarnym cylindrze zajmowali szubienicy ciało Gustawa.

- Nie bierzcie naszego czasu i opowiada o tym, co się wydarzyło na Ziemi w czasie ostatnich dziesięcioleci.

- Macie zarzuty? - zapytał Palliot.

- Ja oskarżam - powiedział pelzacz. - Oskarżam sponsorów o to, że przywożą na Ziemią jaja moich współplemięńców, czekają a wyklują się z nich larwy i zabijają je, aby zjeść.

- Potwarz! - wrzasnął Sijniko.

- Potwarz - zawtórowali pozostali sponsorzy.

- Widziałem to - powiedziałem. - Pomagałem zabijać małe pelzaczki.

Oskarżam sponsorów o to, że otruli przy pomocy gazu i zabił kilka tysięcy ludzi tylko za to, że tacy widzieli śmierć sponsora.

- To ty go zabiłeś! - usłyszałem głos Sijniko.

Nie zdążyłem odpowiedzieć, ponieważ na czoło wysunął się mały Sienieczka.

- Oskarżam - powiedział chłopiec - sponsorów o to, że dla rozrywki sponsorów przeprowadzają oni do wiadczenia nad nami, nad małymi dziećmi, aby robić z nas domowe pupilki.

- Czy to prawda? - Palliot odwrócił się do Sijniko.

- Potwarz! - powiedział ten.

- Potwarz! - chórem potwierdzili pozostali sponsorzy.

- Moemy polecie na tak zwan fabryk słodczy, gdzie morduje si małe pelzacje - zaproponowałem.

**Jakby wyczuwaszy wahanie inspektorów Sienieczk zrzucił ze siebie swoj bł kitn kurteczk .
Wszyscy zoabczyli gł bokie blizny skrzeli na jego plecach.**

**Tak go wła nie zapami tałem - pod jasnym sło em stoi mały chłopiec, rozpostarłszy zł czone błon
palce r k i wolno obraca si , eby ka dy mógł**

zobaczy skrzela na jego plecach.

Właśnie Sienieczka okazał się t krapla, dzięki której inspektorzy przestali się wahać.

- Damy, aby natychmiast zawieziono nas do o rodka, gdzie wykonuje się operacje na dzieciach.

- Takie o rodki nie istnieją - powiedział Sijniko.

265

Opanował się już i nie krzychał.

Na ekranie, zerkając cym do maista, widać było jak mieszkać zaczęli dekorować pomost i sam szubienic girlandami i lampionami - przygotowywali się do wiata.

- Moście wskażcie drogę do o rodka? - zapytał Irk chudy inspektor o twarzy mrówki.

- Ja mogę - powiedziałem. - Mieszkałem tam. Tam również mieszka sponsor Sijniko.

Wszyscy odwrócili się do niego.

Po krótkiej przerwie on nieczekiwanie dla mnie powiedział:

- Jestem gotów obalić to otwarcie. Zaraz zwołam mieglowiec.

Odwrócił się i szybko zszedł z platformy. Za nim po pieszyl jeszcze jeden sponsor w mundurze ochrony ład.

- Nie dajcie im odejść! - krzyknąłem. - Ucieknijcie.

- Nie odważaj się - powiedział palliot.

Na platformie zapanowało oczekiwanie. Doliczyłem do stu. Inspektorzy byli całkowicie spokojni. Palliot i wysoki człowiek podeszli do parapetu i zaczęli zmieniać widok na ekranach, przyglądali się w miarę.

- To wszystko kłamstwo - powiedziała Irka. - Mylicie, czy to tylko? To kopie artykułów tylko ciowych!

Inspektorzy nijak nie mogli zrozumieć po co ludziom "sprzedaje się" atrapy tylko ci.

Kilku sponsorów, którzy pozostali na platformie, cicho rozmawiali ze sobą; czułem jaką bije od nich nienawiść.

Pelzacz podszedł do niewysokiego chudego inspektora z obliczem mrówki i rozmawiał z nim.

I w chwili, kiedy zrozumiałem, że Sijniko nigdy już nie wróci, jego zielona abia głowa wysunęła się z luku.

- Zaraz przyleci migłowiec - zakomunikował on. - I polecimy tam, gdzie wskazuje ten zabójca! - Oskar аж cym gestem wskazał palcem na mnie.

A ja zastanawiałem się - co dalej? Dobra, uwierzę nam inspektorzy, a co oni mogą zrobić? Czy nie za bardzo naiwny był nasza akcja? Przecież w strumieniu zdarzeń i wydarzeń: i ani razu nie zastanawiałem się jakie mogą być prawdziwe wyniki naszego działania.

266

Palliot przelał się do mnie i pytał o życie pupilka, ale nie potrafiłem mu dobrze wszystkiego przekazać, ponieważ nie zgadzały się nam proste życiowe pojacie.

Dopiero po dwudziestu minutach po powrocie Sijniko zawisł nad nami duży migłowiec, ten sam, którym przylecieli inspektorzy.

Wsiadliśmy do niego. Staraliśmy się stać tak, aby między nami i sponsorami byli inspektorzy. Zawsze baliśmy się sponsorów. Ja też się bałem.

Poszedłem do przodu do pilota. Obok mnie, jakby dodając mi ducha, stał inspektor z obliczem mrówki.

Powiedziałem pilotowi-sponsorowi dokąd ma lecieć. Ten nie chciał mnie słuchać i nie podporządkował się inspektorowi. Dopiero kiedy do kabiny przyszedł

Sijniko migłowiec wziął kurs na dworek i stadnin pupilków.

Nie było trudno je znaleźć.

Po kolejnej pół godzinie niebieskiego lotu przed nami pokazała się znajoma willa z kolumnami.

- Tutaj! - krzyknąłem.

migłowiec wolno wylądował na dużym polanie. Z prawej była willa, z lewej - betonowe kostki laboratoriów i domów.

W stadninie było tak cicho, że najpierw pomyślałem, że dzieci leżą po obiedzie. Ale do obiadu było jeszcze daleko.

Poprowadziłem porośniętą do willi.

Sponsorzy szli z tyłu, pan Sijniko udawał, że trafił tu pierwszy raz w życie.

Wszystkie jadalnie, sypialnie, korytarze były puste. Nie tylko nie było tu wychowanków, nie było też kucharek, pomywaczek i wychowawczy.

- Gdzie oni są? - zapytał Sijniko. - Co ci z nimi zrobili?

Sijniko był niewzruszony.

Nie powiedział ani słowa również podczas drugiego przemarszu po stajniach, kiedy prowadziłem inspektorów do laboratorium, gdzie pracowali Ludniła i Awtandil.

Było puste.

Co prawda jakieś przyrządy stały podcianami i na stołach. Ale ani śladu człowieka.

Po następnej pół godzinie zebraliśmy się na polanie przy migłowcu.

267

- Teraz się przekonaliście? - zapytał Sijniko.

- Tak - powiedział inspektor Palliot. - Przekonaliśmy się. Tu nie ma nikogo.

- Rozumiecie więc, że ci ludzie?

- Nie - powiedział inspektor z twarzą mrówki - tego nie rozumiemy, ponieważ mieliście ich gdzieś przez tę godzinę w całym mieście.

- No to szukajcie! - krzyknął Sijniko.

- Nie - powiedział wysoki człowiek. - Nie będziemy szukać. Dlatego, że w ten sposób życie tych nieszczęśliwych istot będzie naprawdę zagrożone. My natomiast jeszcze nie zdążyliśmy ich pozabijać i ukrywanie w lesie. Natomiast je i zaczniemy ich szukać i zabijacie ich.

- No to co będziemy robić? - zapytał Sijniko.

- Lecimy z powrotem do waszej centralnej bazy.

- A kłamcy? - zapytał Sijniko.

- Kłamców zostawcie tutaj - polecił Palliot.

- Nie, powinni być ukarani.

- Traktujemy w sposób łaskawy - rzekł wysoki inspektor. - I prosimy dać im szansę.

- Ale oni są niebezpieczni dla otoczenia!

- Tym nie mnie. . Zaraz startujemy. Odlecimy wszyscy. Prócz tych ludzi.

Byłem tak przygniony katastrofalnym ko:cem naszej misji, e nawet nie zauwa yłem, jak wystartował helikopter.

Usiadłem na trawie, zrezygnowany i rozgoryczony.

- Uciekajmy! - krzykn ł Sienieczka.

- Dok d?

- Oczywi cie, e uciekajmy - powiedziała Irka. - Przecie Sijniko zawiadomi o nas milicj , tych, kt rzy uprowadzili ze stadniny wszystkich ludzi. Dogoni nas i zabij , adni inspektorzy nam nie pomog ..

Pobiegli my.

Biegli my, oczywi cie, w stron wsi i bagien, gdzie mieszkał ojciec Mikołaj.

Przez cały czas si ogl dali my oczekuj c po cigu, w wyniku czego omal nie wpadli my na zaginion stadnin .

268

Zap dzono ich do g stego osikowego zagajnika, w parowie. Siedzieli przytuleni do siebie; strzgli ich nie tylko milicjanci, ale i ludzie w białch fartuchach -

wychowawcy, uczeni i kucharze. Tak starali, tak si bali, e w lesie malcy mog si rozbiec, e nawet nas nie zauwa yli, chocia podeszli my do nich na pi dzieis t metrów.

- Szkoda, e teraz nie mo emy zawoła inspektorów - powiedziałem.

- Nawet nie marz - odlecieli - powiedziała Irka.

- Tim - poprosił Sienieczka - bardzo ci kocham. Prosz ci - uwonijmy ich.

Widzisz tam Leonor ? No zobacz, Timeczku!

- Cicho - powiedziała Irka. - Czy tobie si wydaje, e ich nie uwolnimy?

- Kiedy?

- To zale y od nas wszystkich, równie od ciebie - wtr cił si milcz cy do tej pory pelzacz.

Odeszli my od parowu, której dr eli ze strachu i chłodu pupilki. Czas było i dalej, do ojca Mikołaja, ale zwlekali my. Zupełnie jakby my nie mogli zdecydowa si i dalej czy post pi jak szale cy i zaatakowa ochron .

Ale los zdecydował inaczej. Niespodziewanie milicjanci i laboranci zacz li si krz ta - otrzymali sygnał. Zacz li pogania dzieciaki i pognali je, ganiaj c dokoła niczym owczarki z powrotem do stadniny.

Szli my dalej w kierunku bagien.

Ledwo si wlokłem ze zm czenia i smutku. Smutek zawładn ł mn tak mocno, e kolana si pode mn ugiwały i zataczałem si .

Przebierałem w pami ci wydarzenia dzisiejszego dnia szukaj c gdzie popełnili my bł d. Gdzie post pili my niewła ciwie? Dlaczego nie potrafili my przekona inspektorów? Co teraz b dzie? Przecie sponsorzy zemszcz si na nas i innych ludziach.

Pelzacz poruszał się z moją pomocą ci - podciągnął ogon i wysoko wyginał grzbiet. Zaczęłam mówić, a ja drgnęłam, ponieważ jego głos dobiegł do mnie niemal z ziemi.

- Wydaje ci się, mój przyjacielu - powiedział on - że wszystko na nic. że niepotrzebnie pchaliśmy się na wiecie i że bez sensu zginął Gustaw.

- Podśledzałam moje myśli.

- Nietrudno to było zrobić, bije od ciebie rozpacz na sto metrów - powiedziała Irka, która bezładnie zmieniła się na ciele.

- Nic strasznego się nie stało - kontynuował pelzacz. - Inspektorzy wszystkiego wysłuchali i wyciągnęli wnioski.

269

- Wnioski - odleć do siebie i zostawi nas na pastwę losu!

- A co jeszcze mogli zrobić? - zapytała nie odwracając się Irka.

- Oni. . oni powinni być z nami i razem z nami szukać pupilków w stadninie - uparł się Sienieczka.

- Póki by szukali, uduszono by ich gazem - powiedział pelzacz. - Poprosiłem inspektorów, aby nie robili nic.

- Ty?

- Poprosiłem ich, aby odlecieli nie wyadnych wniosków zostawiając sponsorów w niepewności. Uwolnienie Ziemi to sprawa wielu lat. Muszą to zrobić sami ludzie. Komuś potrzebni posłuszni niewolnicy sponsorów?

- My - niewolnicy?

- Tak - oświadczył pelzacz. - Ludzie są niewolnikami, i - co gorsza - w dużej części ci są niewolnikami z wyboru.

Chciałem się odgryźć, pokłócić, ale wyprzedziła mnie Irka:

- Jestem zadowolona z tego co się stało. Bałam się, że inspektorzy przejmą się tym kłamstwem.

- A wtedy co? - nie rozumiałem.

- Wtedy? Najpierw statek inspektorów uległby katastrofie, wobec czego nie wróciliby do siebie.

- Kto by si odwa yl?

- Stawka jest bardzo wysoka.. Natomiast teraz Federacja została uprzedzona.

Sponsorzy za stracili zaufanie. B d teraz o wiele ostro niejsi.

- My lisz, e Markiza poleci do nich?

- Oczywi cie - powiedziała Irka. - Sponsorzy nie b d ryzykowa .

- Zazdro cisz jej?

Irka szeroko otworzyła usta, ebym zobaczył czarn dziur - wybite z by.

- Podobam ci si ? - zapytała ze zło ci .

- Czasami - odpowiedziałem.

Kiedy Irka wpadała w zło jej blizna, przecinaj ca brew i policzek, purpurowiała.

Odwróciła si i pognąła do przeodu. Sienieczka biegł obok niej i opowiadał co wesołego. Potem Irka roze mała si i wzi ła go za r k .

270

Po dwóch godzinach dotarli my do ziemianki ojca Mikołaja. Ucieszył si i nakarmił nas zupł grzybow .

Zamierzali my rano ruszy dalej. Irka wiedziała dok d.

Przed wietem obudziłem si . Dygotałem z zimna. Próbowalem owin si kocem, ale dreszcze nie mijaly. A rano mialem gor czk . Trz slo mnie jak w febrze.

Opu cilem trzy czy cztery dni swojego ycia. Pami tam tylko jak przy mnie krz tali si i siedzieli ludzi, których znałem, ale których imiona nie pami tałem.

Przez cały czas odczuwałem mocne pragnienie. Wydawało mi si , e pojawili si milicjanci, eby zabra nas do stadniny i wszczepi nam skrzela. Kto strzelał z karabinyu maszynowego; potem powiedziano mi, e to było burza z piorunami.

Kiedy ockn łem si to zobaczyłem Leonor . Siedziwała obok mnie zgi ta we troje. Uznałem, e Leonora te mi si ni, ale gdy gor czka spadła, ojciec Mikołaj powiedział mi, e dziewczyna uciekła ze stadniny i opeikowała si mn . Irka pow drowała i zabrała ze sob Sienieczk . Nie mogła czeka dłu ej. Zostawiła pełzacza, który zanł drog do podziemi, pozostawionych przez stare zapomniane wojsko. Tam Irka miała na nas czeka .

Przele ale jeszcze tydzie . Potem zacz lem wstawa , wychodzi za potrzeb , rozmawialem z pelzaczem. Wiedzial du o o tym, jak zbudowany jest Wszech wiat, jakie go zamieszkuje rasy i jak si komunikuj mi dzy sob .

Wkrótce okrzeplem na tyle, e siedzialem na sloneczku przed ziemianak z kubkiem ziolowej herbaty w r ku. Siedzialem rozebrany, eby slo ce swoimi promieniami moglo dotyka mojego ciala. Pelzacz wygrzebywal d d ownice i zjadał je patrze na to nie bylo prtyjemnie.

Pomy lalem, e od dawna jeste ma razem, ale nie zaprzyja nili my si tak jak zaprzyja nilem si z Irk . Mo e dlatego, e pelzacznie byl czlowiekiem, pochodził z innej planety i - w ród nas - te czul si samotnie.

- Nie wierz , e jeste4 z fabryki slodyczy - powiedzialem kiedy do pelzacza. -

Gdyby ci Irka stamt d wykradla jako larw , to nic by nie wiedzial.

- A ja wla nie nic nie wiem - odpowiedzial pelzacz.

- Nie l yj, od dawna ci obserwuj - powiedzialem. - Znasz jaki zupełnie obcy mi j zyk - u ywale go w rozmowie z inspektorami, a sponsorzy ci nie rozumieli.

- To mój j zyk - powiedzial pelzacz.

eby pokaza , e rozmowa ze mn mu si znudzila odpelzl w bok i zacz l

spulchnia ziemi w poszukiwaniu robaków.

- Nie mial kto ci nauczyc .

- Irka pomogla.

271

- Od dawna si ukrywasz?

- Od niedawna - odpowiedzial pelzacz.

- I tak ci nie wierz .

- Je li nie jestem z fabryki slodyczy, to sk d? - zapytal pelzacz odwracaj c si do mnie. Z jego ust zwisal dlugi tlusty ró owy robak, pelzacz upychal go do paszczy ostrymi pazurami.

Odwróciłem si .

Potem, kiedy dopilem herbat , a on si najadł, pelzacz wyrównal kawalek ziemi przy ziemiance i zacz l rysowa mi map , wedlug ktorej dojdziemy do sztabu sil

powietrznych, gdzie na nas czeka Irka.

**Narysował rzek , las, wieś i miasteczka, przez które mieli my i czy których nale ało unika .
Rysował z niezachwian pewno ci , co jeszcze bardziej przekonało mnie, e nie jest tym. za kogo
si podaje. Ale nie miałem poj cia kim mo e by naprawd .**

**Kiedy zarzuciłem mu, e g sienica z fabryki słodyczy nie mo e zna ziemskiej geografii, pełzacz
nie spierał si ze mn , a tylko powiedział:**

- Skoncentruj si , Tim. Chc , eby zapami tał drog .

- Po co, skoro ty znasz?

- Je li mnie zabij albo zachoruj to znajdziesz si w sytuacji bez wyj cia -

powiedział mentorskim tonem pełzacz. - Słuchaj wi c, co ci mówi m drzy ludzie.

- To ty niby jeste tym m drym człowiekiem?

- Przepraszam, za artowałem - powiedział pełzacz.

**Rysował i rysował, a ja zrozumiałem, e nasza trasa wiedzie przez znane mi miejsca, e
znajdziemy si na tym wysypisku, gdzie po raz pierwszy spotkałem w podziemiu Markiz i Irk , a
to znaczy.. To znaczy, e b dziemy zupełnie blisko mojego rodzinnego miasta.**

**I jak tylko to sobie u wiadomiłem, od razu strasznie zachciało mi si zajrze do domu pa stwa
Jajbluszek, przej si po ulicy, na której marzyłem o nowej obro y, a najwa niejsze.. Nie od razu
przyznałem si sam przed sob -**

najbardziej chciałem zobaczy młód pupilk z s siedniego domu.

**Min ł ponad rok od czasu, kiedy uciekłem od Jajbluszków. A wydawało si , e min ło ju całe
długie ycie.**

**W ostatnich miesi cach nawet nie wspominałem o domu, ale kiedy przypomniałem go sobie, ciska
ło mi si serce.**

272

**Słuchałem roztargniony pełzacza, udaj c, e zapami tuj wszystkie cie ki, a pełzacz czuł, e bijam
w obłokach. Z wł ciwym mu nudziarskim uporem zmusił**

mnie, ebym przeszedł po mapie od ziemianki ojca Mikołaja do sztabu Sił

**Powietrznych, i musiałem trzykrotnie zaczyna podró , zanim wszystkiego nie zapami tałem.
Wtedy pełzacz uło ył si na plecach na nagrzanym przez sło ce stoku. Pazurki jego króćich łlap**

sterczały na boki pancernego tułowia.

Policzyłem: trzy pary ręk, trzy pary nóg. Nieładnie. Brzuch ółty, pasiasty, oczy przykrywa biała błona, nicyzm u pi cej kury. I z t istot mam kilka dni przemierza wrog krain ? I mie nadziej , e uratuje mnie, je li no pójdzie nie tak?

- O czym my lisz*? - zapytałem pelzacza.

- pi - odpowiedział. - Nie przeszkadzaj.

Powiedziałem pelzaczowi, e przespaceruj si . Pelzacz odpowiedział: "Tylko ostro nie". Całym sob wyczuwał niebezpiecze stwo. "Spokojna głowa" -

powiedziałem mu, chocia te czułem niebezpiecze stwo. Ale nie chciałem si przyzna , tym bardziej przed sob .

Nasza kryjówka znajdowała si pod ogromn stert chrustu, tam znajdowało si wej cie do pokrytej darni ziemianki. Rozebrałem si do naga.

- Nie we miesz broni? - zapytał pelzacz.

- Je li w misteczku zobacz ubranego człowieka zastrzel go bez ostrze enia.

Przecie wiesz, jak si nas boj .

- Bez broni niebezpiecznie - nie ustawał pelzacz.

- Wróc około dwudziestej trzeciej - powiedziałem. - Jakby co nie szukaj mnie.

- Nie pouczaj mnie, nie jestem dzieckiem - obraził si pelzacz i zwin ł si w kł bek na klepisku.

Nie lubi paradowa nago, jak domowy pupilek.. Przemkn łem, czasem upadaj c w wysok zachwaszczon traw , czasem przebiegaj c mi dzy poro ni tymi burzanem kupami mieci, do peryferii osiedla, udekorowanego zmierzchem i nielicznymi latarniami. Dalej, za pasmem krzewów zaczynały si betonowe i tytanowe czapy umocnionej bazy.

Wyszedłem na ulic miasteczka i poszedłem po chodniku, ocieraj c si plecami o płoty i ciany domów, pochylaj c si i staraj c pozosta niezauwa onym. Tak wła nie powinien zachowywa si mieszkaniec mietnika, któremu udało si do tej pory nie trafi do rakarni, ale przygotowanemu na taki los. Nawet kuląłem z lekka i powłóczyłem nog .

Szedłem ostro nie ale pewnie. W tej godzinie zmierzchu miałem mało szans spotka sponsora - nie lubi zmroku i kryj si przed nim za stalowymi aluzjami 273

w swoich betonowych domach. Zawsze jednak pozostawała mo liwo spotkania z milicjantem czy ruchomym patrolem.

Udało mi się przejść centrum szybko i bez przygód. Dom towarowy był już zamknięty, ale w oknach jeszcze paliło się światło - podliczano utarg. W sali dla pupilków, gdzie sponsorki zostawiają swoich udomowionych pupilków, w czasie gdy zajmują się zakupami albo siedzą w kawiarni, panował ciemno.

Oczekiwałem, że coś we mnie drgnie - nostalgia, czy po prostu wspomnienia, ale nic takiego się nie stało. Zresztą - kto lubi wspominać o swojej przeszłości? Pytałem o to wielu swoich towarzyszy, ale nikt nie chciał pamiętać.

Tego nie było. Tego by nie mogło.

A oto mój dom!

Bo to taki szkaradny! Betonowe ściany z wąskimi oknami, dookoła zapuszczony trawnik i basen bez wody z warstwą mułu na dnie. W oknach światło. Nie podchodziłem do drzwi - tam działało pole ochrony. Wystarczy podejść, by uruchomić syreny na całe miasto.

Przeskoczywszy przez niski wywłot, poszedłem przez trawnik do okna salonu i popatrzyłem do środka.

Salon - jak to umownie określić! - był, jak się należy, szarym i pustym pokojem. Z jednej strony na ścianie - ekran. Na nim pokazywany był oficjalny wiadomościowy i oficjalny program rozrywkowy. Z drugiej strony pokoju szeroka metalowa ława, na której obok siebie siedzą sponsorzy - pan i pani Jajbluszek.

Jednakowi, pokryci łuskami, zieloni, masywni, dwukrotnie przewyższający człowieka wzrostem i dziesięciokrotnie siłą. Ich pyski pozbawione są mięśni i dlatego sponsorzy nie wiedzą, co to mimika. Wydaje się więc, że są posągami, statuami bliźniaków w stanie katatonii.

I te kreatury były kiedyś moim panem i moją panią?! Tymi, przed którymi drżałem? To były wzorce mordercy? Chciałbym się u nich mieścić, ale nie mogłem -

wszak to ja byłem ałosny, ponieważ byłem lepcem.

Nagle pani Jajbluszek poruszyła się - coś, co znajdowało się na podłodze zwróciło jej uwagę. Zielone cielsko wolno pochyliło się, łapa opadła do podłogi.

Wstałem na czubki palców i zobaczyłem, że u stóp pani Jajbluszek stoi kołyska, a w niej, zadarłszy ku górze noski, upaja się rozkosz niemowlę. Ozdobiona pazurami łapa Jajbluszek delikatnie dotknęła głowy chłopczyka i pogłaskała go; wargi malca drgnęły, pani wyciągnęła do niego butelkę.

Czy to byłem ja? Ja - sprzed wielu wielu lat?

Z góry doleciał mi cichy terkot. Po incydencie na Wieży milicja demonstrowała swoją czujność.

Mo na było by pewnym, e nie zaniechaj lotów a do nocy. Co prawda, niełatwo im b dzie nas odnale , zwłaszcza kiedy wyst puj w postaci domowego pupilka - ani jednego metalowego przedmiotu na cieie. Czujniki nie wyró ni mnie z otaczaj cej przyjaznej sponsorom przyrody.

274

Mimo to nie zamierzałem ryzykowa - skoczyłem w krzaki i zaległem w nich.

Patrol odleciał. Siedziałem na trawie, obj wszy r kami kolana, patrzyłem na w skie strzelnice mojego domu.. Paradoksalne, ale te aby s wła ciwie moj był rodzin - wychowywał mnie, karmiły, k pały i leczyły gdy chorowałem. . I pani Jajbluszko mogła odczuwa co na kształt uczu macierzy skich do mnie, chyba tak? Jak mało o nich wiemy! Po co wzi li nowego malca? Czy dom wydaje im si pusty bez obecno ci człowieka?

Trzeba wraca . Pełzacz b dzie si niepokoił.

Popatrzyłem na s siedni dom. ten za ywopłotem. Mógłbym do ko ca wiata przekonywa siebie, e przyszedłem tu popatrze na ciany rodzinnego domu, ale w rzeczywisto ci ci gn ło mnie do domu s siadów. Pierwsza w moim yciu emocjonalna eksplozja, która wyrwała mnie ze wiata domowych pupilków, miała swoje ródło wła nie tu, w tym betonowym sze cianie, za g stymi zaro lami burzanu. Tam te wida było wiatło w strzelnicach, plyn ło uporz dkowane ycie.

.. (KIR?) Uchyliły si drzwi, ółty prostok t wiatła cisl na ziemi czarny cie zgrabnej figury Inny. Stało si to tak nieoczekiwanie i nagle, e nie zd yłem opanowa si i odskoczyłem. Inna usłyszała mnie, zamarła w progu i zapytała:

- Jest tu kto?

Nie ruszałem si , nawet nie oddychałem. Bałem si , e wystraszy si , zatrza nie drzwi i schowa si za nimi.

Stała jednak chwil , wsłuchiwała si i - widocznie - uznała, e hałasował jaki ptak. . Porzuciła o wietlony prostok t drzwi i weszła na traw . Teraz mogłem si jej przyjrze .

W półmroku jej ciało wydawało si mie bl kitny odcie , a włosy - kolor bzu.

Kiedy popatrzyła w moj stron jej oczy były dla mnie niczym czarne okna w rozgwie d onym niebie. Jej figura straciła w pewnym stopniu dziewcz c gibko i kanciasto , piersi stały si ci sze, biodra szersze, ale były to naturalne przemiany w stron kobiecej doskonało ci.

Inna szybko, jakby si obawiała, e w domu dostrzeg jej nieobecno , przebiegła trawnik, przeskoczyła przez płot i ju ostro niej, ogl daj c si za siebie jak złodziej, podbiegła do domu Jajbluszków. Obok okna do salonu zatrzymała si i wczepiwszy długimi palcami w parapet, uniosła si na palcach, eby lepiej widzie , co si dzieje w salonie.

I wtedy wszystko zrozumiałem. Wszystko to było proste, cho niezwykle i niedozwolone.

Maluch, który zaj ł moje miejsce w rodzinie Jajbluszków jest synem Inny i Wika. Według przepisów noworodka odbiera si matce, gdy tylko przestanie go karmi . Je li z punktu widzenia rasy zadowala selekcjonerów, wysyla si go do 275

sekcji przydzielowej. A dalej - jak pokieruje los. Mo e si poszcz ci i dostanie si do jakiego domu, jako pupilek. W tym przypadku. . najprawdopodobniej, kiedy si urodził, zrospaczona moim znikni ciem pani Jajbluszeko zdecydowala si wzi to dziecko do siebie. Kto dostal prezent, kto zostal przekonany i doszlo do dziwnego złamania przepisów - matka i syn znajduj si w jednym mie cie, i - co najwa niejsze - matka wie, gdzie mieszka jej syn.

Nie s dz , by pozwalali jej kontaktowa si z maluchem, pewnie izolacja byla jednym z warunków. . Zreszt , to mog sprawdzi .

- Inna - powiedzialem cicho.

Odskoczyla od okna, jak uk szona przez w a. Przywarla plecami do gluche betonowej ciany i patrzyla przera ona jak zbli am si do niej.

Wyci gn lem przed siebie r k , otwart dloni ku gorze.

- Nie bój si - powiedzialem. - To ja, Tim. Pami tasz mnie? Mieszkałem tutaj.

- Tiiim? - powiedziala przeci gaj c glosk . - Przecie nie yjesz.

- Jestem kilka razy nie ywy, ale yj - powiedzialem u miechaj c si .

- To nie ty! Nie zbli aj si do mnie!

- Mieszkałem tutaj, siedzieli my raz w tych krzakach i rozmawiali my, powiedziala mi, e znala swoj matk , a ja ci nie uwierzylem. a potem zamierzali mnie zaprowadz do weterynarza, a do ciebie przyproawdzono Wika. .

- Tiiim!

- Chod my gdzie dalej. Mam malo czasu. Mog mnie wytropi .

Poslusznie poszla za mn w kierunku ciemnego masywu krzaków, ale zatrzymala si nie wchodz c w ich cie . bala si . Nie do ko ca wierzyl, e ja - to ja.

- A gdzie teraz jeste ? - zapytala. - Kim s twoi sponsorzy? Czy mo e jeste wlócz g ?

W jej glosie rozbrzmiala normalna u pupilków pogarda.

- Chc , eby nie bylo ju nigdy adnych sponsorów.

- Jak to - nie było?

- eby odlecieli. Albo zgin li.

- A my? - Cofn ła si o krok ode mnie.

- A my b dziemy y .

- A kto nas b dzie karmił? Kto b dzie wyprowadzał na spacer?

276

Ju przywykłem do takich szczerych pyta . Czego mo na wymaga od ludzi, którzy nie wiedz o niczym prócz jedzenia, spaceru i pa skiego kija lub marchewki?

- Brzydko pachniesz - o wiadczyla Inna. - Jakby si nie mył.

- Rzeczywi cie - nie myłem si od tygodnia - przyznałem. Sprawiało mi przyjemno droczenie si z ni , tak mał , słab , pachn c domow pupilk . - A jak si czuje twój abczak?

- Kto?

- Twój pan, ten abczak, któremu wr bała pani Jajbluszeko.

- Tim. nie wolno tak mówi o sponsorach.

Powiedziała to tonem do wiadczonej leciwej babuni.

- Dobrze - zgodziłem si . - Zajm si tob . Obowi zkowo wróc , eby powa nie z tob porozmawia . Szkoda mi zostawia ci w zwierz cym stanie.

- Jestem w szcz liwym stanie! - odpowiedziała po pieśni.

Była strasznie podenerwowana i marzyła tylko o jednym - ebym jak najszybciej odszedł, znikn ł z oczu, eby mogła wykre li mnie z pami ci.-

- To twoje dziecko? - Wskazałem okna domu Jajbluszków.

- Milcz! - Podskoczyła i zamkn ła mi usta dłoni . Gwałtowny ruch spowodował, e jej bujne włosy w kolorze br zu rozsypały si po ramionach. Była bajecznie pi kna! Dla takich kobiet popelnia si szale stwa, z ich powodu upadaj królestwa. . Tyle e Inna nie wiedziała o swojej pot dze.

- A kto jest ojcem? - zapytałem. Przez zasłon jej palców pytanie zabrzmiało niewyra nie. Moje palce natkn ły si na cian palców i pocałowały je. Inna szybko odsun ła dło .

- Nie wolno ci tak mówi ! Je li kto usłyszy - mnie te st d wywioz ! Milcz, milcz, milcz!

- Pewnie Wik - nie ustawałem.
- Chorował cały tydzie , po tym jak tak bestialsko go pobili .
- A potem wyzdrowiał. I znowu go przyprowadzono do ciebie.
- Potem wyzdrowiał. I przyprowadzono go..
- A gdzie jest teraz?

- Nie wiem. Jego sponsorzy przeprowadzili si do innej bazy. Nie powiesz nikomu, Tim? Co wieczór chodz popatrze na chłopczyka. Widziało go?

277

Rozkoszowałem si jej widokiem, a ono nie zauwa ała mojego spojrzenia.

- A pani Jajbluszko jest bardzo dobra, nie bije go wcale. Bo ja to najpierw płakałam, ale powiedzieli mi, e go nie wywioz .
- Kiedy wyrzucimy ju st d w diabły - powiedziałem - to najpierw zwrócimy ci twojego malucha.
- Nie mów tak! Nie my l nawet, to niebezpieczne!
- Czy bym i ja był taki?
- Jaki?

Pogłaskałem j po ramieniu, odsun łem ci kie pasma włosów.

- Nie wa si mnie dotyka !
- Zaraz sobie pójd , nie bój si .
- B d krzyczała! Nie wa si mnie dotyka ! Jeste brudny!! Brzydko pachniesz!

Jej głos wzniósł si do niebezpiecznej wysoko ci - nie kontrolowała swojego strachu przede mn , strachu utrefionej pudliczki przed podwórzowym kundlem.

- Odejd , odejd , odejd !

Ogarni ty gorycz zacz łem wycofywa si , wiedz c, e jej głos ju zaalarmował sponsorów. Maj zadziwiaj cy słuch - eby tak ludzie mieli taki!

Pierwszy pojawił si podro ni ty abaczak. Rozgniewani czy wystraszeni sponsorzy poruszają si z szybko ci pantery. abczak przemkn ł przez trawnik jak czarny pocisk, wystrzelony z

olbrzymiej armaty.

Nie usłyszałem go, ale zdylem siusun .

Nie wyhamowawszy abczak wyrnił w cian , i, mimo e ta były z grubego betonu, miałem wraenie, e dom kiwnł si .

Póki abczak odwracał si wpadłem w krzaki i zamarłem tam.

Otworzyły si drzwi. Mój zastpczy ojciec, pan Jajbłuszko, który, zreszt , nigdy mnie nie kochał, poniewa nie kochał niczego, co nie było pokryte zielon łusk , pojawił si w progu. Widz c co matowo połyskuj cego w jego dłoni zrozumiałem, e tatunio wyszedł na spacer dobrze uzbrojony. A ze mnie niezły sentymentalny kretyn, powiedziałem sobie. Niekiepskie sobie wymy liłem spotkanie z lekkomyln młodo ci .

Sponsorzy zamarli. Jeden z łbem przytulonym do ciany, drugi na progu.

Czekali czy nie westchn , nie porusz si , eby wykorzysta ka dy odgłos i zako czy mój ywot.

278

Nie ruszałem si , nie kichałem i nie oddychałem. Do takiego ycia ju przyzwyczailem si . I wszystko był si upiekło, gdyby nie sprytny abczak, który całym cielskiem odwrócił si do Inny i, niespiesznie sun c na ni , za dał:

- Gdzie? Gdzie on? Mów! Mów, nie milcz, bo ci ukarz !

W powie ciach wierna ukochana zaciska nie nobiałe z bki i milczy mimo tortur.

- W krzakach! Tam! - wrzasn ła Inna. - On chciał na mnie, chciał mnie. .

Szybciej, boj si go!

Rzeczywi cie była potwornie wystraszona! W nienawi ci do mnie te była szczera, poniewa chciała przypodoba si sponsorom i uratowa swoje widzenia z synem.

Zobaczyłem, e tatunio Jajbłuszko przesuwa d wigienk na lufie z ognia skumulowanego na szerokie pasmo - zamierzał wypali krzaki wraz ze mn , i nikt nie zamierzał si z nim o to wyklóca .

Jeszezce sekunda i b dzie za pó no na ratunek..

Na czworakach, jak chart, rzuciłem si w prze wit wzdłu ywopłotu.

Wieczór rozjarzył si o lepiaj cym zielonym wiatłme strzału.

Sto ek zabójczego promienia si gn l gwiazd, spalaj c na swojej drodze wszystko, co mogło si porusza i oddycha - motyle, ptaki, komary.. Nast pnie uslyzsalem gluche t pni cie. Kontur sponsora znikn l z oczu. .

Z powodu tej zawieruchy za plecami zatrzymałem si dopiero za mietnikiem, w burzanie. Zatrzymałem si i zacz lem zastanawia - dlaczego papcio strzelał

nie we mnie a w niebo? Sponsorzy nie popelnaj takich bł dów.

Obok mnie brz kn la puszką po konserwach.

- Kto? - zapytałem samymi wargami.

- Ja - odpowiedział pelzacz. - Cudem zwiali my.

- To ty tam byle ?

- Znudzilo mi si czeka , poszedłem za tob . Zd yłem go złapa za nogi i zsarpn . Dobrze wyszło?

Pelzacze s strasznie silne. W niektórych rzeczach mogłyby nsawet rywalizowa ze sponsorami.

- Bomba - powiedziałem.

Le ałem bez sił.

- Czas wia - o wiadczyl pelzacz. - B d przeczesywali okolic .

279

- Chwila.

Usiadłem. W głowie mi si kr cilo - widocznie biegłem szybciej, ni mope normalny człowiek.

- Fajna dziewczyna - powiedziałem. - I synka kocha.

- Opowiesz mi kiedy - rzerkl pelzacz. - Zawsze mnie dziwiły wasze ludzkie obyczaje.

Poczu li my si bezpieczni dopiero kiedy oddalili my si jakie 5 kilometrów od miasteczka.

Odpocz li my na starej szaosie. Jej asfalt długo walczył z ro linno ci , ale w ko cu poddał si , pop kał, powstały w nim dziury, z których wyrastały trawa i krzewy; w wi dszych zapadliskach pojawiły si drzewa. Ale na pewnych odcinkach asfalt trwał w cało ci i po szosie i tak łatwiej było i ni po dziewiczym lesie.

Po godzinie znale li my si nad rzek . Kiedy jej bvrzegi spinał elazny most, ale rodkowe prz sła zapadły si , przej po nim si nie dało.

- Mo e my przepłyn trzymaj c si belki - powiedzialem. - Widzisz, tam le y na brzegu?

Pelzacz nie odpowiedzial.

Odwróciłem si . Pelzł wolno po szosie, odstawał ode mnie o niemal sto metrów.

- Co z tob ? - zapytałem. - Zm czale si ?

Pelzacz nie odpowiedzial. Pelzł miarowo, podci gaj c ogon do przednich łap i podnosz c rodkowy segment ciała. Du e oczy patrzyły do przodu. Bura szczecina na plecach nastroszyła si .

Uznałem jego milczenie za wynik niewystarczaj cego wychowania, jakie przeszedł w fabryce słodczy. Zacz łem szuwa si w dół, do belki. Ale w połowie odległo ci odwróciłem si do pelzacza i zapytałem:

- Słuchaj, nawet nie wiem - mo esz trzyma si belki?

Nie w tpilem w pozytywn odpowied - przecie razem przedostali my si do Wie y, trzymaj si liny, przeci gni tej przez Sienieczk . Co prawda, do dzi miałem jeszcze blizny na plecach.

- Czekaj - powiedzial pelzacz. Jego głos brzmiał dziwnie.

Chciałem wspi si do niego, ale pelzacz sam zsun ł si do mnie.

- Co ci jest?

- Nie. . mog - powiedzial. - Nie mog i !

280

Jego słowa mnie zmartwiły - trzeba b dzie szuka tratwy albo czego wystarczaj co pewnego, eby przewi go na drugi brzeg.

Pelzacz zwlaił si bez sił umoi ch stóp, z przra eniem zobaczyłem, e sie na jego grzbiecie cze ciowo wypadła. Przejechałem dłoni po grzbiecie pelzacza suche d bla szczeciny kruszyły si i opadały na brzeg. Zrozumiałem, e najbardziej podobne to jest do napromieniowania atomowego - weidzałem to od Jajbluszków.

Zawsze bali si napromieniowania. Pani Jajbluszeko mawiała:

- Poczekaj, trafisz pod wi zk promieniowania - wypadn ci wszystkie włosy.

- Pelzacz - powiedzialem. - le si czujesz?

- To nic - odpowiedzial z wysilkiem. - Pomó mi tylko dosta si do sztabu. Nie porzucaj mnie.

- Bzdury pleciesz - powiedziałem. - Dlaczego mam ciebie porzuca ?

- Nie mog i ..

- Le i odpoczywaj - poleciłem. - Le i nie choruj, a ja poszukam, na czym si przedostaniemy si na drugi brzeg.

Ale nie było na czym si przedosta . Jasne jak sło ce, e nie ma adnego rodka przeprawy. Belka? Mo e pójd wzdlu brzegu a znajd drug ? Chocia z dwu belek i tak nie zbuduj statku.

A lina? Nie mam sznura!

- Nie ma rady - powiedziałem. - B dziesz musiał plyn na belce.

- Co mówisz? - Z trudem mnie rozumiał.

- Popłyn za belk , a ty wdrapiesz si na ni , chwycisz pazurami i b dziesz si trzymał. A ja b d popychał. Jasne?

- Jasne - odpowiedział pelzacz. - Nie porzucaj mnie. .

- Pełnij w dół.

Mój towarzysz starał si pełzn , ale nic mu nie wychodziło, poruszał si z trudem, jakby kto nadział go na trzpie , przez co nie potrafił si zgi .

Musiałem go obj , oderwa od ziemi i ci gn w dół. Pro ciej byłoby po prostu poturla go, jak kłód , ale bałem si uszkodzi mu jaki organ wewn trzny.

Uło yłem go na piasku nad wod . Potem zzulem buty, wsun lem je do worka, koszul - te . Zaci gn lem mocno sznury.

- Słyszysz mnie? - zapytałem pelzacza.

- Tak - odezwał si .

281

Spróbowałem czy belka łatwo oderwie si od brzegu. Na szcz cie nie osiadła mocno na piasku. Podniosłem pelzacza i uło yłem na belce.

- Trzymaj si teraz! - poleciłem.

Usłyszał mnie - jego szpony wysun ły si do oporu i wczepiły w kor .

- Pom cz si troch .

Dno zapadło si zaraz przy brzegu.

Pchn łem belk i zrobilem krok za nim. Ale nie obliczyłem dobrze jak szybko opada dno - krok i ju nie poczułem dna! Wypu cilem koniec belki i zapadłem si z głów pod wod .

Gdy wypłyn łem zobaczyłem, e belka do szybko oddala si ode mnie i wolno obraca si wokół osi podłu nej, tak e pelzacz jest ju nie na wierzchu, a z boku -

jeszcze chwil i znajdzie si w wodzie.

- Tim! - dobiegł mnie wystraszony głos pelzacza.

Jestem kiepskim pływakiem, ale tak mocno zacz łem wali r kami o wod , e dogonilem belk szybciej, ni zd yła zanurzy pelzacza w wodzie.

Płyn łem machaj c nogami i popychaj c belk przed sob , a ona ci gle starał

si okr ci i utopi pelzacza. A drugi brzeg jako si nie przybli ał. Zm czyłam si tak, e wydawało mi si - jeszcze chwila i puszcz t cholern belk z tym znieawidzonym pelzaczem-symulantem, któremu po prostu nie chce si płyn .

Na szcz cie te jadowite my li nie zdołały opanowa mojej wiadomo ci -

nieoczekiwanie belka uderzyła w dno. W nast pnej chwili poczułem je kolanami.

Okazało si , e drugi brzeg był płaski, a mielizna ci gnę si niemal od połowy nurtu.

- Jeste my na miejscu - powiedziałem do pelzacza, ale ten si nie odezwał. Miła zamkni te oczy, szczecina na plecach niemal całkowicie wypadła, odsłaniaj c jego chitynowy pancerz.

Z trudem oderwałem pelzacza od belki. Wcale mi nie pomagał, był całkowicie skostniały. Jego ciało było gor ce, a usta pulsowały.

- Tim. . - usłyszałem zbli ywszy ucho do jego ust. - Nie porzucaj!..

Obułem si , wło ył koszul i spróbowałem zarzuci sobie pelzacza na plecy. Nie odzyskałem jeszcze po chorobie pełni sił i dlatego dwudziestopi ciokilowy pelzacz wydał mi si strasznie ci ki.

Znalazłem na drugim brzegu był drog asfaltow i powlokłem si po niej, omijaj c dziury i szczeliny.

Pomy lałem: jak to dobrze. e pelzacz zmusił mnie, ebym zapami tał

marszrut . Wiedziałem, e musimy i t drog a do du ego białego słupa, przy 282

którym trzeba skr ci na drog gruntow , a ta zaprowadzi nas przez las do ruin osiedla, gdzie

powinien na nas czeka samochód.

Do białego słupa było z dziesięć kilometrów. Ale mnie wydało się, że dwa razy dalej. W każdym razie wlokłem się tam ponad trzy godziny. Z każdym krokiem przed siebie pelzacz stawał się coraz cięszy, a ja coraz częściej walczyłem bez sił na poboczu drogi, a postoje stawały się coraz dłuższe.

Zaczęłem się obawiać, że pelzacz zemdlee zanim doniosę go do sztabu. I wcale, zresztą, nie byłem pewien czy tam znajdzie się lekarz, który zna się na tajemniczych chorobach pelzaczy. Ale póki co pelzacz żył - był goręco i czasem po jego ciele przebiegał skurcz. Jednocześnie nie zesztywniał jak palec i jakbym nim nie obracał i tak uciskał mnie w ramieniu.

Przestałem już wierzyć w białego słupa, kiedy w końcu go zobaczyłem. Zwalilem się obok niego i odpoczywałem chyba z pół godziny, ludzka nadzieja, że Irka pomyliła się i przyśle samochód właśnie do słupa, a nie do zrujnowanego osiedla.

Było goręco, męczyło mnie pragnienie. Rozumiałem, że nie mogę tu pogarszać tylko swojego stanu i dodatkowo męczyć biednego pelzacza. W końcu więc przeklinając przez siebie wciagnęłem go sobie na plecy i zataczając się, poszedłem do lasu po wschodniej stronie, z głębokimi koleinami, pomiędzy którymi rosła bujna trawa.

Stopniowo okolica obniżała się i wionęło wilgoci. Ale upał nie zmniejszał się, dokoła mnie, bole nie krząsały się, krążyły się kośkie muchy. Nawet nie miałem jak się od nich odpędzić.

Nagle zobaczyłem, że z prawej ode mnie mignęła woda. Zrzuciłem dobijający mnie ciężar i rzuciłem się do małego jeziora, otoczonego turzycami. Z trudem dotarłem do wody - brzeg był tak grząski, że ugrzęzłem niemal po pas, zanim mogłem się napić. Piłem z rozkoszą, ale nie mogłem wziąć ze sobą zapasu, co prawda, według moich obliczeń, cel w drzewki był już blisko.

Namoczyłem koszulę, aby przynajmniej zwilżyć mokrymi tkaninami ciało mojego niebezpiecznego współtowarzysza podróży, odwróciłem się, wyciągnąłem jednocześnie nogi z czarnego bagna.

I z przerażeniem zauważyłem, że mój pelzacz nie jest już sam.

Nad nim, pracowicie turlając nieruchome ciało łapał i usiłując otworzyć go jak ostrygę, stał brunatny niedźwiedź. Mruczał i jakby mamrotał coś do siebie, najwyraźniej zły, że nie może się do smacznego dostać.

- Ach, ty bydlaku! - wrzasnąłem wymachując koszulę. - Ty go tu przywlokłeś?

Nosił go?

Z niewiadomego powodu właśnie ten mój wyczerpany wysiłek wydały mi się w tym momencie najpotężniejszym argumentem, aby nie pozwolić niedźwiedziowi na porwanie zdobyczy.

Nied wied zwrócił na mnie uwag , kiedy zacz łem wymachiwa koszul jak sztandarem. Moje koszula gonie wystraszyła. Wstał na tylne łapy i rykn ł

ponuro; pokazał przez to, e nie zamierza dzieli si ze mn swoj zdobycz .

Zwierz ruszył w moim kierunku, a ja dopiero wtedy przypomniałem sobie o swoim no u.

Wyszarpn łem go. Akurat na czas, poniewa czerwony pysk, okolony ółtymi z bami, był tu -tu , wi c wbiłem nó w brzuch nied wiedzia, ale nie udało mi si usta na nogach - drapie nik z rozp du zwałił mnie z nóg i wytr cił z r ki nó .

Po uderzeniu o ziemi na kilka sekund straciłem przytomno , ale zaraz j odzyskałem, nie w brzuchu nied wiedzia, a na swobodzie. Czy to wystraszyło go moje uderzenie, czy zrobiło mu si al mnie i pełzacza - usłyszałem tylko trzask gał zi i, odwróciwszy si , zobaczyłem plecy tył nied wiedzia, gin cego w zaro lach.

Z trudem podniosłem si , odszukałem nó - krwi na nim nie było, pewnie nie zdołałem przebi warstwy tłuszczu. Poszedłem do pełzacza.

Nied wied nie zd ył zrobi mu krzywdy. Odwrócił tylko na bok.

Pochyliłem si nad pełzaczem. Krew z mojego podrapanego ramienia kapala na jego ciało. Przycisn łem do rany koszul , zapomniawszy, e przyniosłem j , eby ochłodzi pełzacza, wzi łem go na rami i poszedłem dalej, poniewa w tym czasie sens ycia i bodziec do poruszania si polegały tylko na tym, eby donie tego przekł tego owada.

Nie zauwa yłem jak wyszedłem na luk w lesie - ulic zrujnowanej wsi.

Zreszt , nie ró niła si ona specjalnie od le nej drogi - takie same drzewa i krzewy dookoła. Nie bardzo nawet wida , e tu akurat pod drzewami kryj si ruiny.

Samochodu dla na nie było. Nie było go w sztabie. Na szcz cie znalazła si furmanka. I dwaj ludzie,

Zobaczyli mnie z daleka. Ale nie od razu domy lili si , e jestem tym szlachetnym rycerzem, którego maj tu spotka . Z lasu wyszedł na nich jaki wysmarowany od głów do stóp stwór z ółt kłód na ramieniu, na dodatek zataczaj cy si , niczym kto miertelnie ranny.

Kiedy domy lili si w ko cu co si dzieje uło yli mnie na furmance i powie li do sztabu. W furmance były sterta wie ej słomy, wi c niemal natychmiast zasn łem kamiennym snem. Spałem niemal do samego sztabu - to znaczy dwie godziny.

Kiedy obudziłem si zapytałem kieruj cego koniem człowieka czy pełzacz jeszcze yje. Nie mogli my si dogada , poniewa pełzacz zupełnie nie przypominał samego siebie.

Nie doczekawszy si odpowiedzi zasn lem ponownie.

Przeniesiono mnie do lazaretu, gdzie opatrzone moje rany. Nie obudzilem si .

Obudzilem si dopiero rano, umieszczony pod ziemi lazaret był o wietlony sk po. Do pokoju weszła kobieta w białym fartuchu, podobny do Ludmiły, ale o czarnych włosach. Zapytała jak si czujk . Odpowiedzialem, e dobrze. Potem kobieta zapytała, czy przynie mi jedzenie do ló ka, czy dam rad wsta .

Odpowiedzialem, e spróbuj si podnie . Z trudem wstałem, walcz c z zawrotami głowy. Jaki m czyzna przynióśł drewniany stolik i ławeczk .

Kobieta postawiła na stole du fili ank kawy i poło yła kromk chleba.

Zjadłem niadanie.

Zapytałem co si dzieje z pełzaczem.

Kobieta odpowiedziała, e miał szcz cie. Wszystko z nim dobrze.

Wszedł m czyzna w skórzanym obraniu, podobnym do ubrania ochrony Markizy w metrze. Zapytał mnie czy jestem w stanie pój do głównodowodz cego. Odpowiedzialem, e mog . Dopilem kaw i poszedłem za przewodnikiem po podziemnych korytarzach. Wcze niej była tu wojskowa baza.

Tutaj przed wieloma laty wojskowi oczekiwali na atomowe uderzenie. Ale wojna nie nast pila, a pojawili si sponsorzy.

W korytarzu spotkali my pochód małych pełzaczy. Prowadził ich nastolatek z patyczkiem w r ku. Pełzacze miarowo i jednakowo garbiły swoje owłosione plecy.

- Czy my ich hodujemy w kradzionych jaj? - zapytałem.

Mój przewodnik wzruszył ramionami, albo nie wiedział, albo nie chciał

zdradza sekretów. Przepu cił mnie przed sob w jakie drzwi.

Za nimi znajdował si pokój o wietlony lepiej ni inne pomieszczenia. Przy du ym biurku siedziała Irka, przed ni stał komputer, dokoła wały si porozrzucane papiery.

- yjesz? - zapytała Irka i u miechn ła si .

Miała na sobie równie skórzane ubranie, włosy uczesała do tyłu.

- Ty tu dowodzisz? - zapytałem.

- A jak ci si wydaje?

- Moim szefem te jeste ?

- Póki nie wróci Markiza - uwa aj! - U miechaj si odruchowo zakryła usta dłoni .

- A co z pelzaczem? - zapytałem chc c zmieni temat. Jako nie ucieszyło mnie, e Irka okazała si nie t osob , któr przywykłem widzie .

285

- yje - powiedziała Irka. - Dzi ki tobie.

- Natkn li my si na nied wiedzia - poinformowałem j . - Chciał do po re .

- Jak zobaczyłam twoje rany na ramieniu od razu domy liłam si , e obejmowałe si z nied wiedziem.

- A ja nie domy lałem si , e jeste tu szefem.

- Kto musi by ..

Wszedł Henryk. Poło ył jakie papiery na biurko przed Irk . Popatrzyła na nie i podpisała, a Henryk podszedł do mnie i powiedział, e jestem zuch, i e rad jest mnie widzie .

Henryk poszedł sobie, a ja ze smutkiem pomy lałem, e teraz nie b d mógł ju całowa Irki. Nigdy. I zrobilo mi si smutno.

- Gdzie jest pelzacz? - zapytałem. - Chc go zobaczy .

- Zaraz sam przyjdzie - uspokoiła mnie Irka.

W tym momencie wpadł do pokoju Sienieczka, obj ł mnie za nog swoimi błoniastymi r kami. Pyszczek miał zapłakany.

- Rycerzu Lancelocie! - zawołał. - Przyszedle w ko cu, tak si ciesz ! Wiesz, e Leonora te tu jest? Pójdziemy do niej dobrze?

- No to pójd sobie? - powiedziałem. Nie wiedziałem, czy powinienem pyta Irk o pozwolenie.

Irka odsun ła papiery i wstała. Chciała podej do mnie, ale nagle do pokoju wszedł inspektor, którego widziałem na Wie y. Ten smukły, z obliczem mrówki, w długim t czowym płaszczu. Dziwne, dlaczego został na Ziemi?

Inspektor skierował się w moją stronę. Zesztywniałem. Biła od niego surowo i precyzyjnie ruchów doprowadzona niemal do idealnego mechanizmu.

- Nie poznajesz? - zapytał głosem pelzacza.

- Pelzacz?

Inspektor podszedł i wyciągnął do mnie szczupłe twarde dłonie.

Podąłem mu swoje. Zrozumiałem wszystko.

- Jesteś jak motyl? - zapytałem.

- To metamorfozy - powiedział pelzacz. - Ale stadium larwy nadchodzi niespodziewanie, chociaż trwa krótko. W takiej chwili obok powinien być ktoś bliski. Albo przyjaciel. Bo mogło się zdarzyć - krótkim ruchem przejechał kciukiem dłoni po swoim chudym gardle; jego mrówcze oczy pozostały nieruchome - i zginąłbym. Dziękuję ci za wszystko.

286

- Pokaż mi, pokaż! - powiedział Sienieczka. - On jeszcze nie widział. Wszyscy widzieli tylko nie on.

- Pokaż - zgodziła się Irka. - To piękne.

Pelzacz machnął rękami i jego długi, czarny płaszcz, jak bajkowy niewidzialny parawan, otworzył się, rozciągnął - i zobaczyłem przed sobą ogromnego perłowego motyla.

- Umieemy latać! - zakomunikował Sienieczka.

Kiedy odeszli Irka podszedła do mnie, wspięła się na palce i pocałowała mnie w policzek.

- Witaj, Lancelocie! - powiedziała.

287